

J·I·KRASZEWSKI



BRÜHL

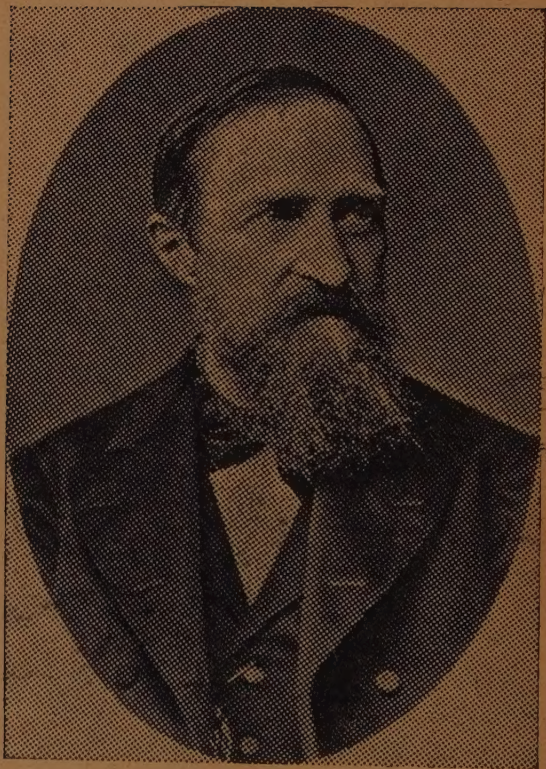
WYDAWNICTWO M·ARCTA W WARSZAWIE

LIAGODZINSKI

BIBLIOTEKA WIELKICH PISARZÓW
SERJA I: J. I. KRASZEWSKIEGO POWIEŚCI HISTORYCZNE
10 TOMÓW KWARTALNIE

B R Ü H L

ARCT, ZAKŁADY WYDAWNICZE, SP. AKC. W WARSZAWIE



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

ur. 1812 r. um. 1887 r.

POWIEŚCI HISTORYCZNE Tom LXVII

J. I. KRASZEWSKI

BRÜHL

CZASY SASKIE

CZĘŚĆ I



1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE
PRINTED IN POLAND

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225

ODBITO NA PAPIERZE KRAJOWYM Z FABRYKI PAPIERU I TEKUR „PILICA”

I.

Pięknym wieczorem jesiennym, o słońca zachodzie, ostatnie trąbki, zwołujące myśliwych, odzywały się w lesie, z jodeł i buków starych złożonym. Szerokim gościńcem, przerywanym puszcą odwieczną, ciągnęły wielkiego dworu łowieckie oddziały, po bokach ludzie z oszczepami i sieciami; konni w zielonych sukniach ze złotymi galonami i kapeluszach z piórami czarnymi; środkiem strojne towarzystwo i wozy ze zwierzyną, zielonemi gałęziami umajoną. Łowy musiały pójść bardzo szczęśliwie, gdyż myśliwcy byli w wesołym usposobieniu i na wozach sterczały rogi jeleni, zwieszały się łby dzików z kłami zakrwawionymi.

Przodem widać było orszak pański, świetne stroje, piękne konie i kilka amazonek z różowemi twarzyczkami. Wszystko to przybrane było jak na uroczystość i galę, bo łowy najmilszą stanowiły zabawę panującego naówczas mniej więcej szczęśliwie Saksonji i Polsce Augusta II-go.

Sam król wiódł łowy, a u boku jego jechał najmilszy syn pierworodny, umiłowany naówczas Saksonji następca, na którym spoczywały nadzieje narodu. Król, mimo wieku, wyglądał jeszcze wspaniale i rzeško, na koniu siedział rycersko, a syn, równie przystojny, z łagodniejszą nieco twarzą, niemal młodszym bratem się przy nim wydawał. Mnogi i świetny bardzo dwór otaczał dwóch panów. Zdąża na noc do niedalekiego Hubertsburga, gdzie syn ojca miał przyjmować, bo myśliwski zameczek ten do niego należał. W Hubertsburgu czekała na nich królewiczowa Józefa, synowa królewska, cesarskiego Habsburgów domu córka, niedawno młodemu Fryderykowi poślubiona. Dwór królewski tak był liczny, że mu się na zamku trudno było pomieścić. Zawczasu więc rozbito nieopodal namioty w gaju i tam miała noc spędzić znaczniejsza część pańskiego orszaku. Nakryte już były stoły do wieszery i w chwili, gdy król wjeżdżał na zamek, rozpuszczone myślistwo poczęło sobie szukać wyznaczonych stanowisk. Mrok padać zaczynał; pod namiotami gwar no już było i wesoło; odgłosy młodzieńczych śmiechów, które przytomność króla i starszych hamowała, rozlegały się teraz swobodniej. Po znużeniu całodziennem chwymano za stojące flasze, choć marszałek nie dał jeszcze znać do stołu.

Namioty dla dworu, ocienione drzewami, oświecały się zapalonemi latarniami; tuż obok przy improwizowanych żłobach ustawiano rżące konie, których głosy niekiedy wywoływały groźne kłatwy masztalerzy. Nieznane sobie rumaki poczynaly znajomość od kasanja i kwiku, klaskanie z batów pokój przywracało. Dalej jeszcze psiarnie króla dawały znać o sobie szczekaniem i warczeniem. Nakładano sfory; i tu też dozorczy mieli do czynienia, aby wrzawę uśmierzać. Ale pod namiotami nie było nikogo, coby młodzieży śmiechy i śpiewy, i kłótnie śmiałą powagą swą zahamować. Sprzeczano się jeszcze o najpiękniejszą twarz, o najlepszy strzał, o najpochlebniejsze jego królewskiej mości słowo. Królewicz tego dnia był bohaterem: położył ze sztućca, kulą w sam łeb trafiwszy, odyńca, który wprost szedł na niego. Unoszono się nad przytomnością umysłu niezmierną i flegmą, z jaką celował długo i wypalił. Gdy myśliwcy przypadli na strzał chyżo, ażeby rozjuszoną bestję dobić kordelasami, leżała już, brocząc krwią ziemię. Król August pocałował syna, który rękę ojca a pana z uszanowaniem ustami dotknął i pozostał po zwycięstwie tak zimnym i spokojnym, jak był przedtem. Jedyną dobrego humoru oznaką było, iż na uboczu potem fajkę sobie podać kazał i dym puszczał daleko większemi kłębami, niż zwykle. Wchodziła wówczas w używanie powszechna roślina, zwana *tabacco*, którą i Stanisław Leszczyński palić lubił, palił ją zapamiętale August Mocny, a namiętnie syn jego, Fryderyk. Szczególniej przy męskich ucztach i piwie nie obeszło się bez fajek. Podawano je na dworze pruskim u króla, czy kto chciał czy nie chciał, a jeśli komu dym zawadził koło serca, śmiano się zeń do rozpuku.

Należało do dobrego hulaszczego tonu fajkę ssać od rana do wieczora. Brzydziły się nią niewiasty, lecz ich wstręt nie odstręczał ówczesnych panów od przyjemnego upojenia, jakie owe *tabacco* przynosiło z sobą.

Bardzo młodym tylko zakazywano wczesnego nawyknienia do tego trunku, który z kartami i winem razem uchodził za niebezpiecznego uwodziciela.

Pod namiotami też fajek widać nie było. Znużeni jeźdźcy, posiadawszy z koni, gdzie który mógł, popadali na ziemię, na kobiercach, na kłodach i ławach. W zamku widać było zapalające się światła rżesiste i dźwięk muzyki dochodził do gaju, w którym rozłożony był dwór, służba i czeladź pańska. Nazajutrz miano polować w innym dziale lasów i wczesnie rozporządzono, by wszyscy byli gotowi. Nieco opodał od pozbieranych w gromadki starszych panów, na drodze, wiodącej do zamku, jakby z chęcią dostania się do niego, przechadzał się piękny dwudziestoletni młodzieniec.

Po sukni łatwo było w nim poznać pazią, przywiązanego do osoby króla jmc.

Zręczna bardzo, pięknej budowy, giętka, wyłamana, nie-

co niewieściego wdzięku postać musiała nań najobojetniej-
sze zwrócić oko. Suknie na nim leżały, jakby się w nich
urodził, peruczka, jakby w niej przyszedł na świat ufryzo-
wany, nie potargana się nawet w czasie łowów, a z pod niej
wyglądała twarzyczka, niby z meiseńskiej porcelany, biała,
różowa, niemal dziecinnej i dziewiczej piękności, z uśmie-
szkiem wpogotowiu na zawołanie, z oczyma bystremi, ale
zostającymi na pana rozkazach. Mogły one w każdej chwili
pogasnąć i zamilknąć, lub rozplomienić i wypowiedzieć na-
wet to może, czego w duszy nie było.

Śliczny ów młodzieniec pociągał, jak zagadka. Kochali
go niemal wszyscy, nie wyjmując króla, a mimo to nie było
grzeczniejszego, usłużniejszego, potulniejszego stworzenia na
dworze. Nie starał się popisywać z niczem nigdy, nikogo nie
chciał nigdy zaćmić, a mimo to, wezwany do jakiegokolwiek
roboty, wywiązywał się z niej ze zręcznością, łatwością, pręd-
kością i roztropnością nadzwyczajną.

Była to uboga szlachetka z Turyngji rodem, ostatni
i najmłodszy z czterech braci Brühlów w Gangloffs-Söm-
mern. Ojciec jego na dworze malutkim w Weissenfels był
jakimś mniejszym jeszcze radcą; pozbywszy pono ojczystego
odłużonego majątku, nie miał co zrobić z tym synem, za-
wczas go więc oddał, aby się dworskiej trzymał klamki,
księżnie wdowie Fryderyce Elżbiecie, mieszkającej najczę-
ściej w Lipsku. Na ówczesne jarmarki do tego miasta zjeź-
dzały się dwory książęce; lubił je nadewszystko August Moc-
ny i mówią, że na jednym z nich młody paź ze swoją miluch-
ną, uśmiechniętą twarzą wpadł mu w oko. Księżna go
chętnie królowi jmcu ustąpiła.

Osobliwsza rzecz, że chłopak, co takiego pańskiego, wspa-
niałego a pełnego etykiety dworu nigdy w życiu nie widział;
a może i nie śnił, od pierwszego dnia wrodzonym instynk-
tem wpadł na dobry tor i tak swą służbę zrozumiał, star-
szych od siebie królewskich paziów gorliwością i zręcz-
nością prześcignął. Król mu się wdzięcznie uśmiechał; bawiła
go pokora chłopaka, który w oczy patrzył, myśli zgadywał,
nie skrzywił się nigdy, a przed słonecznym majestatem kró-
la Herkulesa i Apollina padał na twarz z uwielbieniem.

Zazdrościli mu służący z nim razem, lecz krótko prze-
jednął ich dobrocią, łagodnością, skromnością i chętnem do
usługi sercem. Nie obawiano się wcale, aby takie niebożatko
pokorne mogło zejść wysoko. Ubogie też to było, a rodzina
Brühlów, choć stara szlachecka, tak podupadła naówczas, że
o niej spokrewnieni zapomnieli. Nie miał więc innego pro-
tektora nad tę swoją wdzięczną, miłą, uśmiechnioną twa-
rzą.

Ale do malowania był też ładny. Kobiety, starsze zwa-
szcza, patrzyły nań wdzięczącymi się oczyma, on swoje na-
ówczas spuszczał zmieszany. Nigdy słówko złośliwe, ów

dowcip paziowski, który za cechę młodzieży dworskiej uchodził, nie wyrwało się z ust jego. Brühl był z uwielbieniem dla pana, dla dostojnych dygnitarzów, dla pań, dla sobie równych i dla całej służby i kamerlokajów królewskich, którym szczególne poszanowanie okazywał, jakgdyby już naówczas znał tę wielką tajemnicę, że przez najmniejszych dokonywały się największe rzeczy i że lokaje obalali cichuténko ministrów, a ministrom trudno było ruszyć lokajów; wszystko to szczęśliwie obdarzonemu młodzieńcowi dyktował instynkt, jakim go uposażyła szczodrobliva matka-natura.

I w tej chwili, gdy Henryczek (pieszczotliwie go tak zwykle nazywano) przechadzał się samotny po ścieżce, do zamku od namiotów wiodącej, rzekłbyś, że to czynił, aby nikomu nie zawadzać, a wszystkim na oku będąc, stać do usług wpogotowiu.

Tego rodzaju ludziom szczęście dziwnie służy. Gdy tak bez celu się przechadzał, z zamku wybiegł młody, równie piękny chłopak, prawie rówieśnik co do lat, ale suknią i powierzchownością całé różny od skromnego Brühla.

Znać było po nim, że, siebie pewny, już niewiele miał do życzenia. Słusznego wzrostu, mężny, zręczny, z oczyma czarnemi, bystro patrzącemi na świat, z postawą pańską, młodzieniec szedł żywo, jedną rękę założywszy za szeroką kamizelę, wyszywaną bogato, drugą pod połę sukni myśliwskiej, galonowanej przepysznie. Peruka, jaką miał na łowach, starczyła mu za kapelusz. Rysy jego twarzy, porównane z miłuchną Brühla, jakby malowaną przez włoskiego mistrza XVII-go wieku, miały zupełnie różny charakter. Pierwszy więcej był stworzony na dworaka, drugi na żołnierza.

Kłaniali mu się wszyscy po drodze i witali go uprzejmie, był to bowiem od lat dziecinnych towarzysz i przyjaciel królewicza, najulubieńszy jego łowów współnik, małych tajemnic powiernik, hrabia Aleksander Sulkowski (syn niemającego też polskiego szlachcica), który paziem był wzięty niegdyś na dwór Fryderyka, a teraz domem i łowami zarządzał. Już to samo znaczyło wiele, że mu królewicz powierzył, co miał najmilszego w świecie, bo polowanie dlań stanowiło nie zabawę i rozrywkę, ale całé zajęcie i najważniejszą pracę. Sulkowskiego szanowano i obawiano się razem, bo choć August II-gi wyglądał przy swem zdrowiu i sile na nieśmiertelnego, prędzej lub później bóstwo to musiało skończyć, jak najprostszy śmiertelnik. Z nowem słońcem wschodzącem i ta gwiazda na horyzont saski wnijsć musiała i przyświecać jej swym blaskiem.

Na widok zbliżającego się Sulkowskiego skromny paź królewski ustąpił z drogi, przybrał postać baranka, zgiał się nieco, uśmiechnął wdzięcznie i zdawał taką okazywać ra-

dość, jakby mu najpiękniejsza z bogiń dworu Augusta się ukazała. Sułkowski przyjął ten uśmiech i nieme, pełne poszanowania powitanie z powagą, ale z łaskawością razem. Zdała ręką, wyjętą z za kamizeli, potrząsł i głowę nieco uchylił, zwolnił kroku, zbliżył się i, odwracając do Brühla, rzekł wesoło:

— Jak się masz, Henryku! Cóż tak samotnie rozmyślasz? Szczęśliwy, możesz odpoczywać, a ja tu za wszystko odpowiedzialny i nie wiem od czego począć, żeby o niczem nie zapomnieć.

— Gdybyś hrabia kazał mi sobie pomóc?

— A! nie, dziękuję ci; trzeba obowiązków swe spełnić! Dla takiego gościa, jak nasz pan miłościwy, wszelki trud miły. — Westchnął zlekka. — Cóż? Polowanie się udało; ja, jak wiesz, nie mogłem być na niem, łowczego wysłałem z ekwipażami, w zamku tyle było przygotowań...

— Tak! Polowanie się wybornie udało, n. pan był w humorze, w jakim go oddawna nie widziano.

Sułkowski do ucha Brühlowi się pochylił:

— Któż tam teraz w alkowie panuje? he?

— Doprawdy nie wiem. Mamy pono bezkrólewie.

— A! a! to nie może być — zaśmiał się Sułkowski. — Dieskau? nie...

— A! nie, to są dawno pogrzebione rzeczy... ja nie wiem.

— Jakżebyś ty, paż królewski, nie wiedział?

Brühl spojrział nań z uśmiechem.

— Kiedy wszyscy wiedzą, pażowie wiedzieć nie powinni... Myśmy, jak tureccy *muets*, głusi i niemi.

— A! rozumiem, — odparł Sułkowski — ale między nami...

Brühl zbliżył się do ucha hrabiego i rzucił w nie słówko dyskretne, ciche, jak szelest listka, spadającego z drzewa jesienia.

— *Intermezzo!* — rzekł Sułkowski. — Zdaje się, że teraz, po tylu wielkich dramatach, z których każdy tyle naszego drogiego pana kosztował boleści, pieniędzy i troski, już na intermezzach poprzestaniemy.

Sułkowskiemu pod namioty, do których zdawał się kierować, widać już nie było pilno, ani na zamek zpowrotem. Wziąwszy Brühla pod rękę, co pazia uszczęśliwiło widocznie, zamyślony, począł z nim przechadzkę.

— Mam chwilę wytchnienia — odezwał się. — Miło mi jej użyć w waszem towarzystwie, chociaż my obaj jesteśmy pomęczeni tak, że i rozmowa być może trudem.

— O! ja nie a nie! — odparł Brühl. — A wierz mi, hrabio, dla was chodziłbym noc całą i nie czułbym się znużonym. Od pierwszej chwili, gdy miał szczęście zbliżyć się do was, uczułem razem najwyższy szacunek, i jeśli mi się godzi to powiedzieć, najżywszą, najgłębszą przyjaźń. Przy-

znać się mam? Ale prawdziwie, żem się po tej drożynie wybrał przechadzać z jakimś przeczuciem, z nadzieją, że was choć zdala zobaczę i pozdrowię, a tu mię spotyka szczęście takie.

Sułkowski spojrział na uradowaną, rozjaśnioną twarz i ścisnął podaną rękę.

— Wierzcież mi, — odezwał się — iż nie trafiliście na niewdzięcznika: na dworze przyjaźń taka bezinteresowna jest rzadka, a wzięwszy się za ręce we dwóch, daleko zajść można.

Oczy ich się spotkały, Brühl skinął głową.

— Wy jesteście przy królu i w łaskach.

— O! o! — odparł Brühl — nie pochlebiam sobie.

— Ja wam zaręczam! Słyszałem to z ust własnych najjaśniejszego pana, chwalił waszą usłużność i rozum. Wy jesteście w łaskach lub na drodze do nich... to od was zależy.

Brühl nader skromnie złożył ręce.

— Nie pochlebiam sobie.

— Ja wam mówię, — powtórzył Sułkowski — ja mam serce Fryderyka, mogę się pochwalić tem, że mnie przyjacielem nazywa. Sądzę, że nie obszedłby się beze mnie.

— Wy, to co innego — przerwał Brühl żywo. — Mieiliście to szczęście towarzyszyć od najmłodszych lat królewiczowi, mieliście czas pozyskać jego serce, a któżby się nie przywiązał do was, zbliżywszy! Co do mnie, obcy tu niemal jestem. Winienem łasce księżnej, że mnie przy boku j. k. mości umieściła; staram się wdzięczność moją okazać, ale na śliskiej posadzce dworu jakże to utrzymać się trudno. Im więcej gorliwości dla pana okażę, którego czczę i kocham, tem na większą zazdrość zarabiam. Każdy uśmiech pański oplaca się wejrzeniem jadu pełnem. Gdy człowiek mógłby być najszczęśliwszym, musi drzeć.

Sułkowski słuchał roztargniony.

— Tak! to prawda, — rzekł cicho — lecz wy macie wiele za sobą i obawiać się nie macie powodu. Uważałem na was, metodę przyjęliście przedziwną: jesteście skromni i macie cierpliwość. Na dworze dosyć jest ustać w miejscu, to się posunie mimowoli, a kto się nazbyt rzuca, ten najłatwiej pada.

— A! czerpię najdroższe rady z ust waszych! — wykrzyknął Brühl. — Co za szczęście mieć takiego przewodnika.

Sułkowski zdawał się za dobrą monetę brać ten wykrzyknik przyjaciela i z niedostrzeżoną dumą uśmiechnął się: pochlebiało mu uznanie tego, o czem był w głębi duszy najmocniej przekonany.

— Nie lękaj się, Brühl — dodał. — Idź śmiało, a rachuj na mnie.

Wyrazy te zdały się w najżywsze zachwycenie wpra-

wiać młodego Henryka; złożył ręce, jak do modlitwy, twarz jego błysła radością, spojrzał na Sulkowskiego i zdawał się tylko wahać, czy mu się do nóg nie ma rzucić.

Wspaniałomyślny hrabia z protekcyjną dobrocią uściśnął go.

W tej chwili na zamku zabrzmiały trąby: był to jakiś znak zrozumiały widać dla młodego faworyta, który, tylko ręką dawszy znak towarzyszowi, że pośpieszać musi, rzucił się krokiem żywym ku zamkowi.

Brühl pozostał sam, wahał się trochę, co począć z sobą. Król go od służby wieczornej uwolnił i pozwolił mu spocząć tego wieczora, miał więc swobodę zupełną. Pod namiotami rozpoczynała się wieczerza dla dworu. Chciał zrazu pójść i razem z innymi się zabawić, potem, zdala popatrzywszy, w bok się skierował i zadumany ścieżyną, w głąb lasu idącą, poszedł wolnym krokiem. Chciał być może sam na sam z myślami, choć wiek jego i twarzyczka o głębokie rozmyślanie posadzić go nie dozwalały. Prędzejby na ówczesnym dworze, pełnym miłostek i intryg kobiecych, o jakąś serdeczną chorobę podejrzewać się godziło. Ale na spokojnej wielce twarzy nie widać było troski sercowej, która się maluje na niej łatwemi do poznania symptomatami. Brühl nie wzdychał, patrzył chłodno, brew miał namarszczoną, usta zacięte, prędzej rachował coś i kombinował, niż z uczuciem walczył.

Zadumany tak głęboko, pominał namioty, konie, psiarne, rozłożone ogniska ludzi spędzonych dla łowów, którzy się z toreb dobytym chlebem z solą posilali, gdy obok piekły się dla panów jelenie i warzyły korzenne polewki. Około dwóchset do obławy spędzonych Wendów gwarzyło cicho w języku niezrozumiałym, nie śmiejąc nawet głośniejsze rozśmiać. Z namiotów dolatywały ich wesołe okrzyki, spoglądali i im tam szumiano głośniejsze, tem oni starali się ciszej sprawować. Łowczych kilku czuwało nad tą gawiedzią, która sobie chleb swój z domów przynieść musiała, bo o niej jednej na zamku nie pamiętano. Dla psów gotowano w kotle strawę, o nich nikt się nie kłopotał. Prędko też skończyli wieczerzę o chlebie i wodzie. Większa część już się pod drzewami na trawie kładła, aby do rana snem się pokrzepić. Brühl, ledwie na nich okiem rzuciwszy, poszedł dalej.

Wieczór był piękny, spokojny, ciepły, jasny i, gdyby nie opadające liście żółte starych buków, wiosnęby przypominał. W powietrzu woń lasów zdrowa, zapach uwiędłej zieleni, wyziewy jedlin unosiły się lekkim wietrzykiem, który ledwie gałązki poruszał.

Za gajem, w którym obozowano, panowała już cisza, samotność, pustynia, gwar tu zaledwie dolatywał, drzewa zasłaniały zamek, można się było sądzić daleko od ludzi.

Brühl podniósł głowę i wolniej odetchnął; twarz, której układać nie potrzebował dla ludzi, jakby na wolność puszczone, przybrała wyraz nowy; lekki, sardoniczny uśmiech przebiegł po niej i dziecięcy ów, dobroduszny, łagodny wdzięk straciła. Jedną ręką podparł się w bok, drugą do ust przyłożył, zadumał. Sądził się tu zupełnie sam, lecz jakież było jego zdumienie i niemal przestach, gdy o kilka kroków, pod ogromnym bukiem starym, spostrzegł dwie postacie jakieś, nieznane, dziwne, podejrzane. Mimowoli się cofnął krok i począł pilniej przypatrywać. W istocie o kilkadziesiąt tylko kroków od królewskiego obozu wyglądało dziwnie, podejrzane nawet tych dwóch ludzi, siedzących pod drzewem. Obok nich widać było leżące kije podróżne i dwie torebki, z ramion tylko co zdjęte.

Mrok wieczorny nie dawał dobrze rozeznąć twarzy ani ubiorów; lecz Brühl domyślił się raczej, niż zobaczył, skromnie, po podróźnemu przybranych dwóch młodych, jak on sam, ichmościów.

Wpatrzywszy się pilniej, dostrzegł twarzy nieco, które zdały mu się szlachetniejszych rysów, niż wędrowniej, rzemieślniczej czeladzi, za którą zrazu ich wziąć miał ochotę. Pocichu toczyła się rozmowa, ale dosłyszeć jej nie mógł.

Lecz cóż tu, pod bokiem króla, ci podróżni na ustroniu robić mogli? Ciekawość, obawa, nieufność nie dozwoliły mu odejść. Zamyślił się, czyby nie należało dać znać do namiotów.

Więcej potem instynktem, niż rachubą wiedziony, przyspieszył kroku i stanął tak, że go siedzący na ziemi zobaczyć mogli. Ukazanie się jego musiało nieco zdziwić spoczywających, gdyż jeden z nich wstał śpiesznie i, przypatrując się przybyłemu, chciał jakby spytać, co tu robi i czego od nich chcieć może?

Brühl nie czekał tego pytania, podeszedł kilka kroków i odezwał się tonem dosyć surowym:

— Co tu waszmość robicie?

— Odpoczywamy — odezwał się siedzący na ziemi. — Czy zakazany jest tu spoczynek podróżnym?

Głos brzmiał łagodnie, a język zapowiadał wykształconego człowieka.

— O kilkadziesiąt kroków dwór n. pana i sam król.

— Czybyśmy mieli zawadzać? — dodał znowu siedzący, wcale nie zdając się strwożonym.

— Ale waszmość sami sobie najszkodliwsi być możecie — odparł Brühl żywo. — Lada kto z lowczych może was tu odkryć i posadzić o jakie złe zamiary.

Śmiechem łagodnym odpowiedział na to spoczywający na ziemi i wstał, a wyszedłszy z cienia drzew, ukazał się Brühlowi jako pięknej i szlachetnej postawy młodzian z długimi włosami, na ramiona spadającymi. Po jego stro-

ju poznać w nim było łatwo studenta jednego z niemieckich uniwersytetów. Nie miał on żadnych oznak na sobie, ale prosta suknia, długie buty, z kieszeni wyglądająca książka, czapeczka, jaką nosili *studiosi*, dostatecznie go cechowała.

— Co waszmościowie tu robicie? — powtórzył Brühl.

— Wyszliśmy na wędrowkę, aby Bogu oddać cześć w naturze, aby odetchnąć powietrzem lasów, ciszą ich ukłysać duszę do modlitwy — począł powoli młodzieniec. — Noc zaskoczyła nas tutaj. O królu, o dworze nie wiedzieliśmy nawet, gdyby nas tu nie doszła wrzawa łowiecka.

I wyrazy, i sposób, w jaki je wymawiał stojący przed nim, uderzyły Brühla. Człowiek to był z innego jakiegoś świata.

— Pozwolisz pan, — dodał spokojnie student — iż, jako zapewne władzę tu jakaś mającemu, zamelduję osobistość moją. Jestem Mikołaj Ludwik, hrabia i pan na Zinzendorfie i Pottendorfie, a w tej chwili *studiosus*, szukający źródła mądrości i światła, zbłąkany na manowcach świata wędrowiec.

Sklonił się.

Usłyszawszy nazwisko, Brühl popatrzył uważniej. Światło wieczora i lekki blask księżyca wschodzącego opromieniły piękną twarz mówiącego.

Stali przez chwilę niemi, jakgdyby obaj nie wiedzieli, jakim do siebie mówić językiem.

— Ja jestem Henryk Brühl, paż do osoby j. k. mości przywiązany.

Sklonił się lekko.

Zinzendorf zmierzył go oczyma.

— A! bardzo mi was żal! — westchnął.

— Jakto żal? Dlaczego? — zapytał zdumiony paż.

— Dlatego, że dworactwo to niewola, że paziostwo to służba, i chociaż szanuję pana naszego, milej mi sercem i duszą poświęcać się czci i służbie Pana na niebiosach, Pana nad pany, a miłością zatapiać w Jezusie Chrystusie Zbawicielu. Właśnie pan znalazł tu nas na cichej modlitwie, gdyśmy myślami usiłowali zjednoczyć się z Panem naszym, który nas krwią swą odkupił.

Brühl tak był zdziwiony, że krok odstąpił, jakby się obłąkanego uląkł w młodzieńcu, który z wielką słodyczą, ale bardzo patetycznie wymówił te wyrazy.

— Wiem, — dodał Zinzendorf spokojnie — iż się to wydać wam musi, wam, co macie w uszach jeszcze szczerbiotanie i śmiechy dworskie, dziwnem i nieprzyzwoitem może; ale ilekroć myślą pobożną uda się zakolać do serca chrześcijanina uspięnego, jakże tego nie dopełnić?

Brühl stał niemy.

Zinzendorf zbliżył się doń.

— To godzina modlitwy... słuchaj pan, lasy szumią chór

wieczorny: Chwała Panu na wysokościach! Strumień szemrze pacierze, księżyc wszedł przyświecać nabożeństwu natury, a serca nasze nie miałyby się połączyć ze Zbawicielem w tej uroczystej chwili?

Oslupiały paż słuchał i nie zdawał się rozumieć.

— Widzisz pan przed sobą dziwaka, — dodał Zinzendorf — lecz czyż światowych dziwaków mało spotykasz i przebaczasz im, a nie miałbyś pobrażyć z gorącego ducha płynącemu zachwyceniu?

— Prawdziwie — szepnął Brühl — ja sam jestem pobożny, lecz...

— Lecz zapewne chowacie pobożność waszą na dnię serca, lękając się, by ją ręka, słowo profanów nie tknęło? Ja ją wywieszam jako chorągiew, bom gotów bronić jej życiem i krwią moją. Bracie w Chrystusie, — rzekł, jeszcze więcej zbliżając się do Brühla, Zinzendorf — jeśli ci zaciężyło życie w ukropie i wirze tego dworu, bo inaczej sobie nie tłumaczę wieczornej waszej przechadzki samotnej, siadź tu spocząć z nami, razem się pomódlmy. Ja czuję w sobie pragnienie modlitwy, a we dwóch, we trzech spotęgowana bratersko, może dolecieć do tronu Tego, który dla nas robaków dał krew swoją. Bracie!

Brühl, jakby się zląkł, ażeby go nie zatrzymano, cofnął się nieco.

— Zwykłem się modlić sam, — rzekł — a tam powołują mnie obowiązki, więc darujcie mi.

Wskazał ręką w stronę, od której gwar ich dochodził. Zinzendorf stał.

— Żal mi was! — zawołał. — Gdybyśmy tu pod tem drzewem zanucili pieśń wieczorną: „Bóg nasza twierdza, Bóg nadzieja nasza...”

— Naowczas — dorzucił paż — posłyszaliby to w. łowczy, lub który z podkomorzych króla i nie zamknęliby nas do kordegardy, bo tu jej niema, aleby odprowadzili do Drezna pod Frauenkirche i osadzili na odwachu.

To mówiąc, ruszył ramionami, skłonił się lekko i chciał iść, ale Zinzendorf zastąpił mu drogę.

— Czy istotnie wzbroniono się tu znajdować? — zapytał.

— Może to was podać w podejrzenie i na nieprzyjemności narazić. Zyczę się oddalić. Za Hubertsburgiem jest wieś i gospoda, która da wygodniejszy nocleg, niż pień bukowy.

— Którędyż iść mamy, aby nie wniść w drogę n. pa-nu? — zapytał Zinzendorf.

Brühl wskazał ręką i już odchodził.

— Wyminąć gościniec będzie dosyć trudno, panie hrabio; lecz jeśli wam służyć mogę, wyprowadzając pod moją opieką na drogę: służę.

Zinzendorf i milczący jego towarzysz pobrali prędko węzełki swe i kije i pośpieszyli za Brühlem, który wcale się nie zdawał rad temu spotkaniu. Zinzendorf miał czas nieco ochłonąć z ekstazy, w jakiej go Brühl, niespodziewanie się zjawiając, zastał. Widać w nim było człowieka wyższego towarzystwa i przyzwoitego w obejściu. Ostygłszy zupełnie, przeprosił nawet za to, że się tak dziwacznie odezwał.

— Nie dziwuj się pan — rzekł zimno. — Nazywamy się wszyscy chrześcijanami i synami Bożymi, a w istocie poganami jesteśmy, mimo obietnic na chrzcie uczynionych. Obowiązkiem więc każdego nawracać i apostołować, ja sobie z tego czynię życia zadanie. Cóż po nauce w słowach, gdy jej niema w czynach? Katolicy, protestanci, reformowani, wszyscy, wszyscy żywotem poganami jesteśmy. Bogów nie czcimy, bo ołtarzów ich niema, ale im składamy ofiary. Kilku księży sprzecza się i plwa na się o dogmata, a Zbawiciel na krzyżu krwią opływa, która w ziemię wsiąka nadaremnie, bo nią ludzie zbawionymi być nie chcą.

Westchnął.

W tej chwili, gdy kończył uroczyste wyrazy, ukazał się obóz i buchnęła zeń wrzawa od kufli, które spełniano z hałasem. Zinzendorf z przerażeniem spojrział.

— Nie sąż to *bachanalja*? Tylko co nie słyszę *Evoe!* — zawołał. — Idźmy prędzej, przybity się czuję do ziemi i upokorzony.

Brühl, przodem idący, nie odpowiedział nic. Tak wymięli obóz; idąc boki, wskazał im bliski gościniec, a sam, jakby co prędzej chciał uwolnić się od towarzystwa tego, skoczył żywo ku oświeconemu namiotowi.

Jeszcze w uszach brzmiały mu dziwaczne wyrazy Zinzendorfa, gdy widok osobliwszy oczom się jego w namiocie przedstawił. Wprawdzie w owych czasach i na tym dworze nie był on tak bezprzykładnym, aby miał zdumiewać, wszakże mało kto okazywał się publicznie w takim stanie, w jakim Brühl zastał pana radcę wojennego Pauli.

Radca leżał w środku namiotu na ziemi, ogromny gąsior próżny, rozbity obok niego, obie ręce rozkrzyżowane, twarz karmazynowa, suknie porozpinane, podarte, a wielki pies gończy, znać faworyt pański, siedząc nad nim, lizał mu oblicze i skowycał...

Stojący wkoło śmiali się do rozpuku.

Radca wojenny Pauli, który obowiązany był zawsze znajdować się pod ręką króla dla mnogich korespondencyj, które po trzeźwemu i po pijanemu nawet z kancelaryjną wprawą bardzo zręcznie redagował: nie po raz pierwszy tak nieszczęśliwie zwyciężonym został od gąsiorka. Trafiało mu się często w miękkim łożu i pod ławą, i przy ścianie spoczywać po libacjach, ale tak skandalicznie, jak dziś, na pośmiewisko być wydanym... przechodziło miarę.

Brühl, zaledwie to spostrzegł, rzucił się ku nieszczęśliwemu i zajął się dźwignięciem go z ziemi. Drudzy, opamiętawszy się, dopomogli i z niemałym wysiłkiem udało się pana radcę usunąć z przed oczów, składając go na posłanie z siana, które było przygotowane w kącie. W chwili, gdy go we trzech ruszono z ziemi, obudził się Pauli, powłókł oczyma po bliższych twarzach i wybelkotał:

— Dziękuję ci, Brühl... ja wszystko wiem, rozumiem, pijany nie jestem... tak, mdłości. Ty jesteś wcale dobry chłopiec: dziękuję ci, Brühl.

To mówiąc, powieki przymknął, westchnął ciężko, mruknął:

— Ot, to służba!! — i usnął.

II.

Na zamku królewskim paziowie przyboczni Augusta II-go mieli wyznaczone pokoje, w których, oczekując rozkazów, na służbie czuwali. Konie dla nich, na przypadek, gdyby który miał być wysłany, zawsze stały wpogotowiu. Mieniali się u drzwi i w przedpokojach, towarzyszyli n. panu, a często, gdy się inni starsi pod ręką nie znaleźli, z rozmaitemi pismami i rozkazami wyprawiani bywali. Gorliwie bardzo utrapioną tę służbę pełnił młody Brühl, sprawiał ją z kolei za siebie, a nawet chętnie za drugich, tak, że król, często go mając na oczach, przyzwyczajał się do twarzy i usługi.

— A ty tu znowu, Brühl? — zapytywał z uśmiechem.

— Na rozkazy w. k. mości.

— Nie przykrzy ci się?

— Najszcześliwszym jestem, będąc dopuszczonym do oglądania oblicza pańskiego.

I kłaniał się młody chłopak, a król jegomość po ramieniu go klepał.

Nigdy odpowiedzi nie był dłużnym, nigdy nic dlań trudnem, ani niepodobnem nie było; wskok biegł i sprawiał, co kazano, niezwłocznie. Dnia tego przychodziły kresy i odprawiać miano odpowiedzi; oczekiwano na nie od rana. Często się naówczas poczty opóźniały, bo lub koń padł, albo rzeka wylała, lub pocztyljon zachorzał, nie było więc czasu oznaczonego ściśle. Od rana radca wojenny Pauli, który królowi depesze redagował, czekał na kresy i rozkazy.

Zrazu bardzo cierpliwie.

Radca, którego nieszczęśliwy wypadek w Hubertsburgu widzieliśmy, przespał się potem, obmył i wstał, nie czując nic więcej nad doskwierające pragnienie.

Wiedział on, że matka-natura podstępem go zażywała, aby do napicia się wody nakłonić, ale wodzie poprzysiągł

był oddawna wstręt i pogardę i mawiać zwykł, że Pan Bóg stworzył ją dla gęsi, nie dla ludzi. Nie dał się więc złudzić pragnieniem i zalał robaka winem. Zaraz mu się lepiej i raźniej zrobiło, a wkrótce potem przeszła choroba owa i zostało po niej tylko mętne wspomnienie.

Zapamiętał wszakże radca, że Brühl go ratował w owej dobie nieszczęśliwej i złożył na posłaniu, a zawiązała się od tego czasu przyjaźń czuła pomiędzy starym Pauli a młodym paziem.

Brühl, który nie gardził niczyją łaską, przywiązał się do radcy. Człowiek to był niemłody już, okrutnie służbą ciężką około dzbana zmęczony, przytem niepomieranie otyły, co mu ruchy utrudniało; nogi niebardzo już służyć chciały, a po obiedzie, gdy tylko mógł, natychmiast, bodaj stojąc, drzemać był gotów. Twarz Paulego była rumiana, wpadająca w fioletową, rysy rozlane, podbródek zawieszisty. Ręce, nogi i on wszystek wydawał się jak nabrzękły.

Wszakże, gdy się wystroił do dworu, pozapinał, wyprostował i przybrał swą urzędową postać, można go było wziąć za poważnego bardzo człowieka. Do króla tak był nawykł, a król do niego, że z jednego słowa, ba, z wejrzenia Augusta wysnuwał cały list, myśl odgadł, formę trafił i nigdy sprostowywać jej nie potrzebował król j. m. Dlatego Paulego lubił bardzo i potrzebował go zawsze, a chciał mieć pod ręką; dlatego radcy wspaniałomyślnie przebaczał, jeśli się nawet zapił, zalał i w chwili ważnej nie mógł dźwignąć.

Naówczas trzech pokojowców budzić go musiało, a radca, nie otwierając oczów, przewracany po łóżku, odpowiadał: „Zaraz! Natychmiast! Oto jestem! W ten moment“! Ale nie wstał, aż mu wyszumiało, co przebrał.

Gdy otrzeźwiał, mył się zimną wodą, podawano mu dla rozjaśnienia myśli kieliszek czego mocnego i szedł do króla.

Podobne rzeczy trafiały się wówczas nie jemu jednemu; upijał się przyjaciel królewski Fleming, ba i innych wielu. Śmiano się z tego, choć słabą mieć głowę za srom wielki uchodziło.

Tego dnia, gdy właśnie na kresy, jakśmy mówili, czekano, radca Pauli siedział w marszałkowskiej sali i ziewał. Dobrał sobie wygodne krzesło szerokie, nogi wyciągnął, ręce na żołądku spał, głowę nieco spuścił, wygodnie ją na fundamentach rozłożystych podbródków umieściwszy, i dumał. O śnie mowy być nie mogło, bo któż może zasnąć naczeczko i nieprzygotowany wiatykiem stosownym na podróż z Morfeuszem po krajach marzeń?

Obrazy, pozawieszane w salce, dawno mu były znane, nie mógł się więc im przypatrywać. Ziewał niekiedy, a ziewał tak okropnie, że mu w szczękach trzaskało.

Był to widok serce rozdierający. Radca taki poważny, zasłużony, zmuszony ziewać naczczo.

Zegar ukazywał zrazu dziesiątą, potem jedenastą, a radca siedział, poziewał i strząsał się, bo po nim dreszcze czczości przebiegały. Był w tej chwili najnieszczęśliwszym z ludzi.

W tej samej sali kręcili się paziowie, podkomorzowie, szambelanowie, osoby na posłuchanie oczekujące, lub powracające od króla. Nikt nie śmiał spoczynku przerywać panu radcy.

O jedenastej wszedł młody Brühl, który na swą godzinę służby czekał. Pięknym był, jak cherubin, w swoim stroju paziowskim, z wielką elegancją włożonym. Twarz mu się, jak zwykle, śmiała dobroduszością i grzecznością nadskakującą; nikt nad niego nie miał kształtniejszej stopy, piękniejszej nogi, świeższych koronek przy mankietach, lepiej leżącego fraka i wytworniej ufryzowanej peruczki. Oczy mu się śmiały, biegając po twarzach i po ścianach. Czarodziej prawdziwy ujmował uśmiechem, słowem i ruchem, całą postawą. Zoczywszy go, radca, nie wstając, wyciągnął doń rękę.

Brühl podbiegł chyżo.

— Jakżem szczęśliwy! — zawołał.

I skłonił się z pokorą.

— Chyba ty mnie uratujesz, Brühl! Wystaw sobie, jestem naczczo! Kiedy przyjdą kresy?

Paź spojrział na zegar i ramionami ruszył.

— *Chi lo sa?* — odparł tym językiem, który, obok francuskiego, był niemal dworu mową, bo się już wówczas powoli włoska kolonja zwiększała w Dreźnie.

— Jedenasta! A ja naczczo! Natura dopomina się praw swoich! Przyjdzie z głodu umierać!

To mówiąc, radca ziewnął, wstrząsnął się cały: — Brr! — i strzepnął.

Brühl stał niby zamyślony, pochylił się wygięty cały do ucha Paulemu:

— Radco, *est modus in rebus!* Dlaczego zasiedliście, jakby na publicznej drodze? Obok jest pokój, z którego drzwi wychodzą na korytarz, wiodący do kuchen i kredensów, tamby wysmienicie, nim co będzie, można coś ka-
zać podać z kuchni, i coś z piwnicy.

Oczy się rozśmiały pocziwemu radcy, ruszył się zaraz, ale niełatwo mu było powstać. Obu rękami musiał się zaprzeć na poręczach, łokcie podnieść do góry i, stękając, całą swą ciężką figurę dźwignął nareszcie.

— Zbawco mój! — zawołał. — Ratujże mnie nieszczę-
śliwego!

Brühl skinął i wsunęli się we drzwi poboczne do gabinetu o jednym oknie. Tu — o чудо! — jakby się spodzie-

wano Paulego, czarodziejska jakaś siła stół już wcześniej przygotowała. Stało przed nim krzesło szerokie, wygodne, jakby do tuszy Paulego zrobione; na białym, jak śnieg, obrusie zastawione porcelanowe, białe z sinem nakrycie, maleńka wazka, maleńki półmisek z pokrywą i spory gąsiorek złoćącego się wina.

Radca, zobaczywszy to, ręką zrobił ruch w powietrzu, i jakby się obawiając, aby go kto nie uprzedził, nie pytając, co rychlej zajął miejsce, serwetę pod brodę założył, ręką sięgnął do wazki i dopiero, przypomniawszy sobie Brühla, odwrócił się.

— A wy?

Paź głową potrząsł: — To dla was, kochany panie radco!

— Niech ci płacą bogowie! — zawołał w uniesieniu Pauli. — Niech ci Wenus da najpiękniejszą z dziewcząt drezdeńskich; niech ci Higeja da żołądek, trawiący kamienie; niech ci Bachus da wiekuiste pragnienie i środki zaspokajania go węgryzmem; niech ci...

Ale jedzenie nie dało mu dokończyć, pograżył się w niem cały. Brühl stał, jedną ręką o stolik oparty, w postawie wdzięcznej, przypatrując się radcy z uśmiechem. Pauli nalał sobie pierwszą wina szklanekę. Spodziewał się on lekkiego, powszedniego węgryzinka, jakim dwór raczono; lecz gdy do ust wziął i pociągnął, twarz mu się rozjaśniła, rozpromieniła, oczy zabłysły, a wypiwszy i opadłszy na poręcz, w błogiem uspokojeniu poglądał się po piersiach tylko. Anielski uśmiech usta mu przeleciał.

— Boski napój! Cudotwórco mój, skądżeś go wziął? Ja go znam, to wino królewskie, to tokaj; powąchaj, posmakuj: ambrozja, nektar!

— Niechże radca zaszczyci go swą łaską i gąsiorkowi nie daje wysychać lub pójść na usta profanów, którzy go, nie smakując, przez gardła przeleją.

— A byłoby to istną profanacją! — zawołał radca, nalewając drugi kielich, równający się dobrej szklanicy. — Za zdrowie wasze, za powodzenie wasze, Brühl... będę ci wdzięczny do śmierci: ocaliłeś mi życie. Jeszcze pół godziny, a trupaby stąd wynieśli na Friedrichstadt. Czulem, jak życie uchodziło ze mnie.

— Bardzo się cieszę, — rzekł Brühl — że mogłem tak małym kosztem pamięci trochę przysłużyć się panu radcy, ale proszę pić!

Pauli wychylił drugi kielich, językiem o podniebienie plasnął, ręką począł w powietrzu jakby lot ptaka naśladować i rzekł:

— O! co za wino, co za wino! To jest tego rodzaju napój, że każdy następny kieliszek coraz lepiej smakuje. Jest ono, jak dobry przyjaciel, którego im bliżej poznajemy, im w ścisłejszy z nim wchodzimy związek, tem się więcej przy-

wiązujemy do niego. Ale Brühl, kochany Brühl, jeśli nadejdą depesze, jeśli n. pan zawoła, jeśli będzie trzeba koncytować list do Berlina lub do Warszawy, albo do Wiednia...

Odwrócił głowę z pytaniem, ale trzeci kieliszek nalewał.

— Panie radco, taki jeden gąsiorek dla pana? Cóż to jest? To tylko ekshilaracja niewinna, to *stimulans*, to... nic.

— Masz słuszość, Brühl; nie takie się już rzeczy o nasze głowy obijały — zaśmiał się radca. — Najgorsza rzecz mieszać trunki. Któż może wiedzieć, w jakich one są z sobą stosunkach? Trafi się nieprzejednany wróg, na przykład austriackie wino z francuskim: zaczynają iść naudry w żołądku i głowie, a człowiek pokutuje. Ale gdy się pije jedno uczciwe, rozumne, dojrzałe wino, niema niebezpieczeństwa: gospodaruje sobie w człowieku spokojnie i nic złego nie uczyni.

To mówiąc, radca jadł mięso przypieczone i oblane sosem zawiesistym, a coraz tokajem popijał i uśmiechał się. Brühl stał, patrzył, a gdy kielich się wypróżniał, wziął na się podczaszostwo i dolewał pilno.

Naostatek z talerzy było jak zmieciono, chleb znikł, zostało tylko pół gąsiorka wina.

Pauli wzdychał, patrząc, i mruczał:

— A depesze?

— Lecz czyż pan się możesz lękać?

— Masz słuszość; gdybym się lękał, byłbym tchórzem, a niema nic nikczemniejszego w świecie nad to stworzenie. Nalewaj: za twoje zdrowie! Dojdziesz wysoko! W głowie mi się jaśniej robi! Zdaje się, że słońce wyszło z za chmur, bo teraz mi dopiero weselszem się wszystko wydaje. Czuje się w werwie do stylizowania i utnę coś porządnego. E! gdyby mi dziś co solonego król pisać dał!! E! e! tobym dopiero przyprowadził!

Brühl ciągle nalewał.

Radca patrzył na gąsiorek, który u dołu był szerszy i jeszcze na czas jakiś starczyć obiecywał.

— Nie mam się czego lękać — przemówił Pauli jakby dla uspokojenia samego siebie. — Nie wiem, czy wy to pamiętacie. Raz, pomnę, dzień był upalny, n. pan posłał mnie do tej nieszczęśliwej bogini, która się zwała Cosel; tam mnie utraktowano zdradzieckim sektem szumiącym. Smaczny był, jak oto ten tokaj, ale pelen zdrady. Wyszedłszy w ulicę, poczułem wirowanie dokola. O! źle, a trzeba było iść pisać depesze. Dwóch dworzan podało mi ręce, zdało mi się, że lecę, że mam skrzydła; posadzili mnie u stołu, musieli mi pióro umoczone dać w rękę, papier położyć przede mną: król powiedział słów kilka i depesza urodziła się, jak mi mówiono, cudowna! Ale nazajutrz i po dziś dzień, zabij, nie wiem, com pisał. Dosyć, że było dobrze i król, śmiejąc się, na pamiątkę tego aktu dał mi pierścień z szafirem.

Z gąsiorka lało się a lało do kielicha, z kielicha przelewało do gardła. Radca gładził się po piersiach i uśmiechał.

— Psia służba, — odezwał się cicho — ale wina, jakiegoby człowiek nie powąchał gdzie indziej.

Gąsiorek przy opowiadaniach i westchnieniach doszedł do końca. Ostatni kieliszek był nieco mętny, Brühl chciał go usunąć.

— Tyranie! — krzyknął radca. — Co czynisz! Natura wydzieliła te części nie dlatego, aby je wylano, lecz, by ukryć na dnie prawdę winną: eliksir, sama treść i części pożywne.

Gdy Pauli sięgnął po kielich, Brühl z pod stołu dobył drugiego gąsiorka. Na widok jego radca chciał wstać, lecz radość go przykuła do krzesła.

— Co to jest? — krzyknął. — Co ja widzę?

— Nic, nic — rzekł paź pocichu. — Jest to drugi tom dzieła, zawierający konkluzję jego i kwintesencję. Niestety, — mówił paź wesoło — starając się o dzieło kompletne dla pana radcy, który lubisz literaturę...

Pauli obie ręce skrzyżował na piersiach i głowę skłonił.

— Któżby takiej literatury nie lubił! — westchnął.

— Starając się o dzieło kompletne, — kończył chłopak — nie mogłem dostać obu tomów jednego wydania. Ten tom drugi — rzekł, podnosząc zwolna flaszkę omszoną — jest starszej, pierwotnej edycji: *editio princeps*.

— Ach! — podsuwając kielich, zawołał Pauli. — Tego gotyku szacownego nalej mi jedną stronicę: nadużywać szanownej starożytności nie trzeba.

— Ale co po niem, gdy zwietrzeje i duch wieków z niego uleci!

— Prawda! Stokroć prawda! Ale depesze! depesze! — zawołał Pauli, ruszając ramionami.

— Depesze dziś nie przyjdą, drogi popsute.

— A! gdyby się tam mosty połamały! — westchnął Pauli.

Nalano kieliszek, Pauli pił.

— To wino tylko sam król pije, gdy się czuje niezdrów — szepnął Brühl.

— *Panaceum universale!* Żadne usta kobiety słodsze być nie mogą.

— O! o! — przerwał młodzieniec.

— Dla waści — mówił radca — to co innego, dla mnie one straciły już słodycz wszelką; ale wino! wino, to nektar, który do zgonu nie może postradać uroku swego. Gdyby nie te depesze!

— A cóż? Depesze! Czyż jeszcze...

— Prawda! Kat je bierz!

Radca dopijał, ale tak jakoś szybko po sobie następu-

jące libacje widocznie go rozmarzać poczynają. Ocieżał, w fotelu siadł, uśmiechał się, oczy mrużył.

— Teraz małeńka drzemka i...

— Ale butelkę dokończyć potrzeba! — nalegał paż.

— Zapewne, to obowiązek uczciwego człowieka, nie porywać się lub dokonać dzieła; prawda? — rzekł radca. — Co rzeczą sumienia jest, winno sumiennie być dopełnione.

Dolawszy kieliszek ostatni, Brühl wysunął z za okna fajkę i worek z tytuniem.

— Radco, a fajka?

— Aniele mój! — zawołał Pauli, otwierając oczy. — I o tem pamiętałeś. Ale nuż mnie to ziele upoi gorzej jeszcze. Co mówisz?

— Otrzeźwił — przerwał paż, podając fajkę.

— Jak się tu oprzeć pokusie! Daj! Daj! Co się ma stać, niech się stanie. Może pocztyljon kark skręci i depesze nie nadejdą. Nie życzę mu złego, lecz gdyby go nadwichnął?

Poczęli się śmiać.

Radca chciwie dym ciągnął.

— Djabie mocne *tabacco*.

— Królewskie — rzekł paż.

— Ale bo i król mocniejszy ode mnie, he?

Widocznie tytuniem upojony, już mruczał tylko stary; pociągnął jeszcze parę razy: fajka mu z rąk wysunęła się na ziemię, głowę na piersi spuścił i począł, w lewo ją pochyliwszy, chrapać okrutnie. Przez półotwarte usta dobywał się dźwięk dziwny i niemiły.

Brühl popatrzał, uśmiechnął się, cicho na palcach podszedł ku drzwiom i wysunął w korytarz; tu chwilę postawszy, pobiegł do przedpokoju króla.

Młody, strojny, wielkiego tonu chłopak, w paziowskiem także ubraniu, z pańską minką, zatrzymał go wchodzącego.

Był to Antoni hr. Moszyński. Twarzyczka jego biała, włosy czarne, rysy niepiękne, ale wyraziste, oczy błyszczące ogniem wielkim, a nadewszystko postawa arystokratyczna i wymuszone nieco maniery odznaczały go między innymi paziami do osoby króla przywiązanymi. Razem z Sułkowskim był długo przy królewiczu, czasowo teraz dostał się do Augusta II-go, który, jak mówiono, lubił jego zręczność, żywość i bystre pojęcie. Prorokowano mu naówczas świetną przyszłość.

— Brühl, — zapytał — gdzieś ty był?

Paż się nieco zawahał z odpowiedzią.

— W marszałkowskiej sali.

— Na ciebie służba przypada.

— Wiem, alem się nie opóźnił.

Spojrzał na zegar stojący w kącie.

— Już myślałem, — dodał, śmiejąc się i z nogi na nogę przechylając, Moszyński — że mi ciebie zastępować przyjdzie.

Przez twarz Brühla przeleciał jakby cień, ale natychmiast się wyjaśniła.

— Panie hrabio, — rzekł łagodnie — wam, faworytom pana, wolno chybić godzinę i dać się zastąpić; mnie, wysługującemu się i biednemu, byłoby to niedarowanem.

Skłonił się bardzo nisko.

— Zastępowałem nieraz drugich, ale mnie nikt.

— Chcesz powiedzieć, że cię nikt zastąpić nie jest w stanie — podchwycił Moszyński.

— O! panie hrabio, godziź się tak ze mnie, biednego prostaczka, żartować? Ja się tego uczę, w czym panowie jesteście mistrzami!

Skłonił się znowu.

Moszyński podał mu rękę.

— Z wami — rzekł — wojować na słówka niebezpiecznie, wołałbym na szpady.

Brühl skromną przybrał postawę.

— W niczem sobie żadnej nie przyznaję wyższości — dodał cicho.

— No, szczęśliwej służby — zawołał Moszyński. — Ot, wasza godzina: dowidzenia.

To mówiąc, wyszedł z przedpokoju.

Brühl odetchnął. Zwolna skierował się ku oknu. Stał w nim i zdawał się obojętnie spoglądać w podwórca, wyłożone kamiennymi posadzkami i wyglądające jak sale olbrzymie. Tuż pod nim kręcił się mnogi, zajęty i czynny dwór pański. Wojskowi w pysznych zbrojach i mundurach, szambelanowie w sukniach szytych od złota, kamerdynierowie i służba, niezliczona czeladź pańska związała się z pośpiechem; kilka lekyk stało u wschodów, a żółto postrojeni tragarze czekali na swych panów; dalej powozy galowe i konie wierzchowe, niemieckie i polskie zaprzęgi, hajduki w ponsach, kozacy — wszystko to, cicho dosyć sprawując się, mieszało w jedną pstrą i malowniczą całość.

Szambelan wyszedł od króla.

— Niema kresów? — spytał Brühl.

— Dotąd nie przyszły.

— Jak skoro je przyniosą, przychodź waćpan z niemi. Radca Pauli?

— Jest w sali marszałkowskiej.

— Dobrze, niech czeka.

Brühl się zlekka skłonił.

Pusto zaczynało się robić w pokoju i godzina, bliska obiadu, rozpędzała ludzi.

Brühl, wyglądając oknem z jakąś niecierpliwością, dojrzał nareszcie wpadającego w podwórce na zziąjanym ko-

niu pocztyljona z trąbką na plecach, w butach ogromnych i torbą skórzaną na piersi.

W tejże chwili ruszył biegiem po wschodach i nim służba zdażyła odebrać opieczętowane pliki, już on je pochwycił. Srebrny blat stał przygotowany w antykamerze, Brühl złożył na nim papiery i wszedł do króla.

August przechadzał się po pokoju z Hoymem. Zobaczywszy paż, blat i papiery, wyciągnął rękę, żywo rozewrwał pieczęcie. On i Hoym zbliżyli się do stołu i przeglądali przywiezione listy.

Brühl stał, czekając.

— A! — zawołał August. — Żywo niech Pauli przychodzi!

Brühl nie ruszał się.

— Idź po radcę Pauli — powtórzył król niecierpliwie.

Paż skłonił się i wybiegł, zajrzał do gabinetu. Pauli spał jak kamień. Powrócił co żywo do króla.

— Pauli! — zawołał August, widząc go wchodzącego.

— N. panie! — wyjąknął Brühl. — Radca Pauli... radca Pauli...

— Jest tu?

— Jest, n. panie.

— Czemuż nie przychodzi?

— Radca Pauli — spuszczać oczy, dodał paż — jest nieco niedysponowany.

— Gdyby był konającym, to mi go tu przyprowadź! — krzyknął król. — Niech obowiązek spełnia, potem skona, kiedy chce!

Brühl wybiegł, znowu wpadł do gabinetu, popatrzał na śpiącego, uśmiechnął się i wrócił do króla. Augusta oczy pały rosnącym gniewem, zaczynał blednąć, co było najgorszym znakiem; gdy się stawał biały, wówczas ludzie na widok jego drżeli.

Brühl niemy, wyprostowany u drzwi się zatrzymał.

— Pauli! — zawołał król, tupiąc nogą.

— Radca Pauli jest w tym stanie...

— Pijany? — podchwycił August. — A, stary wieprz obrzydły! Gdyby się choć na tych kilka godzin umiał powstrzymać od picia. Zlećcie go wodą! Zaprowadzić go pod fontannę, dać mu octu; niech doktor da mu lekarstwo, niech mi go na godzinę ocuci, a potem niech bydlę zdycha.

Mówiąc, król nogą tupał.

Brühl wybiegł posłuszny raz jeszcze. Spróbował budzić radcę, ale ten stał się nieruchomą kłodą: żaden lekarz, oprócz czasu, nie mógł go do przytomności przyprowadzić. Wolnym krokiem wracał, myśląc, do pokoju pańskiego, zdawał się walczyć ze sobą, wahać, obawiać i ważyć coś w duszy. Stanąwszy u drzwi, nie potrafił klamki, aż westchnąwszy jakby pobożnie ku niebiosom.

Król w pośrodku gabinetu z papierami w rękę czekał, usta miał zaciśnięte i brwi namarszczone.

— Pauli!

— Niepodobieństwo go ocucić.

— Bodaj go paraliż naruszył! Depesze. Kto mi depesze... słyszysz.

— N. panie — schylając się wpół z rękami złożonemi na piersiach, odezwał się Brühl. — N. panie, wielkie jest zuchwalstwo moje, niemal zbrodnicze. Raczy mi je łaskawość królewska przebaczyć: wiem, że porywam się bezrozumnie, ale miłość moja i cześć dla w. k. mości. Jedno słowo, n. panie, wskazówka... ja spróbuję ułożyć depeszę.

— Ty, młokosie?

Brühl się zaczerwienił.

— N. panie, ukarzesz mnie.

August popatrzał nań długo.

— Chodź, — rzekł, idąc ku oknu — oto list: przeczytaj go, daj odpowiedź odmowną; lecz niech za odmową czuć będzie, że nie jest stanowczą. Daj nadzieję odgadnąć, a nie odsłoń jej wyraźnie. Rozumiesz?

Brühl skłonił się i chciał z listem wybiec.

Srebrny stół stał przed kanapką.

— Gdzie? dokąd? — zawołał król. — Tu, — wskazał ręką — tu siadaj i pisz zaraz.

Paź jeszcze raz uchylił głowę i przysiadł na brzeżku jedwabną materją w kwiaty wybitej kanapki, ruchem ręki odrzucił mankietki, pochylił się nad papierem i pióro poczęło biec po nim z szybkością, która króla zastanowiła.

August II-gi, jak na ciekawe widowisko, spoglądał z uwagą na ładnego chłopca, który przybrał poważną minę kanclerską i tak redagował depeszę, jakby bilet do kochanki.

Myliłby się, toby sądził, że, spełniając tak ważne i mogące na całą przyszłość jego wpłynąć zadanie, paź zapominał o swej postawie.

Siadł niby odniechcenia, jakby nie myśląc, a jednak ułożył zgrabnie nóżki, nadał rękom wdzięczne zgięcia, głowę pochylił umiejętnie. Zimna rozwaga towarzyszyła mu w tej sprawie, napozór z gorączkowym dokonywanej pośpiechem. Król go nie spuszczał z oka, zdał się to czuć. Nie zastanawiając się długo, pisał jakby pod dyktowaniem gotowej myśli, nie przekreślił ni razu, nie stanął na chwilę. Pióro zatrzymało się, gdy depeszy dokończył. Naówczas przebiegł ją jeszcze oczyma szybko i powstał wyprostowany.

Z widoczną ciekawością, gotów być pobłażliwym, król się nieco przysunął.

— Czytaj! — rzekł.

Brühl odkasznął, głos mu się trząsł nieco i był cichy. Któż odgadnie, czy ten dowód trwogi nie był także rachubą? Król, ośmielając go, dodał łagodnie:

— Zwolna, wyraźnie, głośno.

Począł więc czytać depeszę młody paż, a głos, zrazu drżący, stał się wkrótce metalicznie brzmiącym i donośnym. Na twarzy Augusta odmalowało się stopniowo zdumienie, radość, wesołość, podziw razem i jakby niedowierzanie.

Gdy Brühl dokończył, nie śmiał podnieść oczu.

— Jeszcze raz, od początku — odezwał się król.

Tym razem Brühl głośniejsze jeszcze, śmiejeł się czytał i dobitniej.

Królewska twarz rozjaśniła się: uderzył w dłonie.

— Przewybornie! — zawołał. — Pauliby nie potrafił lepiej, ani tak nawet. Pisz na czysto.

Brühl z niskim ukłonem przedstawił swój arkusz, który był tak napisany, iż odrazu mógł być użytym.

August go po ramieniu uderzył.

— Jesteś od dziś dnia moim sekretarzem do depeszy. Pauli żeby mi się nie śmiał pokazywać na oczy. Niech go kaci porwą, niech się zapije i zdechnie.

Zadzwoił król: wszedł służbowy szambelan.

— Hrabio, — rzekł, zwracając się do niego — niech Paulego zawiozą do domu. Oznajmić mu proszę, gdy się wytrzeźwi, moje najwyższe nieukontentowanie. Nigdy mi się nie pokazywać na oczy! Sekretarzem do depeszy od dziś dnia Brühl. Uwolnić go od służby paziowskiej, niech tylko mundur zatrzyma. Zobaczymy.

Szambelan zdala uśmiechnął się stojącemu skromnie na uboczu chłopcu.

— Wybawił mnie z ciężkiego kłopotu — mówił August. — Znam Paulego, będzie do jutra leżał, jak kłoda, a depeszę trzeba wyprawić zaraz.

Poszedł król ją podpisać.

— Kopję spisać — dodał.

— Z pamięci ją do słowa napiszę — rzekł Brühl cicho.

— Otóż to mi sekretarz! — zawołał August. — Proszę mu trzysta talarów kazać wyliczyć.

Zbliżającemu się dla podziękowania król podał rękę do pocałowania. Był to znak łaski niemal.

W chwilę potem nagotowany już kurjer, zabrawszy opieczetowany list, biegł, trąbiąc przez most, galopem. Brühl pokornie wysunął się do przedpokoju. Tu już przez szambelana Friesena rozpovedziana historia depeszy i niespodzianej łaski, jaka spotkała chłopaka, po którym niktby się był nie spodziewał tak nadzwyczajnej zdolności, powszechną budziła zazdrość i ciekawość. Gdy Brühl się ukazał, wszystkich oczy biegły za nim. Nie było znać na tak zaszczyconym łaską królewską najmniejszej dumy, okrył nawet radość swą pokorą taką, jakby się wstydził tego, co dokonał.

Moszyński podbiegł ku niemu.

— Co słysze? — zawołał. — Brühl amanuensem n. pana? Kiedyż? Co? Jak?

— A! Dajcie mi ochłonąć ze zdziwienia i przestachu— cicho odezwał się Brühl. — Jak się to stało, nie wiem. Opatrzność czuwała nade mną, *un pauvre cadet de famille*? Miłość dla króla sprawiła cud... ja nie wiem. Olśniony jestem, nieprzytomny.

Popatrzał nań Moszyński.

— Jeśli tak pójdziesz dalej, wkrótce nas wszystkich wyprzedzisz. Zawczasu łascie się twej trzeba polecić.

— Hrabio, bądźże litościwszym i nie szydź sobie z biedaka.

To mówiąc, Brühl, jakby znudzony i opadający na siłach, otarł pot z czoła i siadł, głowę zanurzwszy w dłoniach, na najbliższym krześle.

— Ktośby rzekł, patrząc nań, — odezwał się Moszyński — że go największe nieszczęście spotkało.

Brühl, zatopiony w myślach, nie słyszał już tego. Po pokoju szeptali wszyscy, patrząc nań, i nowo wchodzącym opowiadali historję szczęśliwego młodzieńca. Wieczorem obiegła po mieście, a gdy Brühl ukazał się skromnie między paziami na operze, Sułkowski, który towarzyszył królewiczowi, przyszedł go pozdrowić i powinszować.

Brühl zdawał się do najwyższego stopnia rozczulonym, nie umiał znaleźć wyrazów na podziękowanie.

— Widzisz, Brühl, — szepnął Sułkowski, poglądając nań z góry — ja ci wróżyłem zawsze, że się na tobie poznają; nie omyliłem się: orle oko naszego pana umiało cię wyróżnić.

Zaczęto bić brawa tenorowi, który śpiewał Solimana; Sułkowski klasnął, ale zwracając się do przyjaciela, rzekł:

— Ja tobie biję brawo!

Z pokorą wielką paż się uklonił zarumieniony.

Po teatrze pozwolono mu zniknąć; miano mu to nawet za zasługę, że się nie szedł popisywać i chwalić szczęściem swoim. Towarzysze, którzy go w zamku w mieszkaniu jego szukali, i tam go nie znaleźli; pokój był zamknięty, służący zapewniał ich, że oddawna wyszedł na miasto.

W istocie po operze, osłonięty płaszczem, przekradł się Brühl na zamkową ulicę, a z niej na wiodącą ku pałacowi na Taschenbergu, gdzie niegdyś jaśniała Cosel, a teraz panowała młodemu swojemu dworowi córka cesarów, Józefina.

Ktoby go tu był spotkał popod murami przesuwającego się ostrożnie, posadziłby pewnie, iż idzie u nóg jakiegoś uróżowanego bóstwa złożyć laury zdobyte. Było do tego wszelkie podobieństwo. Miał lat dwadzieścia kilka, twarz cherubinka, a kobiety, popsute przez Augusta II-go, tak były zalotne. Widocznem było, iż pilno się starał, aby go nie postrzeżono i nie poznano. Płaszczem miał zasłoniętą twarz, a ile razy usłyszał kroki, tulił się do murów i przyspieszał

pochód. Już był prawie przed pałacem królewiczowskim, gdy do przytykającej doń kamienicy wszedł szybko. Spojrzał tylko wprzód na okna pierwszego piętra, w których się przez gęste zasłony świeciło. Pocichu wbiegł po znajomych śnać wschodach i, stanawszy u drzwi, zapukał do nich trzy razy.

Nie było na to odpowiedzi. Wyczekawszy jeszcze chwilę, puknął leciuchno w ten sam sposób.

Wewnątrz dały się słyszeć kroki powolne, drzwi uchylono, i pokazała się w nich głowa starego człowieka z nisko postrzyżonym włosiem. Brühl wsunął się prędko.

Pokój, do którego wszedł, oświecony jedną w rękach sługi stojącego u drzwi świecą, zastawiony był szafami, ponury i smutny. Stary, na zapytanie niezrozumiale, coś szepnął, ręką wskazując. Brühl zrzucił płaszcz i, na palcach idąc, zbliżył się ku drzwiom, do których zlekka zapukał.

Głos dosyć żywy odpowiedział mu prędko: — *Favorisca!*

Pokój, do którego wsunął się cicho młody paź, oświecony był dwiema pod umbrellką na stoliku pałacemi się świecami. Obszerny był i dziwnie jakoś przystrojony.

Szafka z książkami napół otwarta, kilka stolików zarzuconych papierami; między oknami duży krucyfiks z figurą Zbawiciela; na kanapce, wśród sukni, w nieładzie rzucona gitara.

U stołu, oparty jedną ręką, jakby tylko co wstał na powitanie gościa, czekał nań niemłody człowiek, nieco przygarbiony, z twarzą żółtą, przeciągniętą, długą, z brodą wystającą, z oczyma czarnymi. Poznać w nim było łatwo Włocha po typie i kroju rysów. W ustach wąskich, białych, kryło się coś nieodgadnionego, ale twarz wogóle żartobliwą raczej wyglądała, niż zagadkową. Było w niej coś razem dobrodusznego i ironicznego. Duży nos orli spadał mu, kryjąc niemal wierzchnią wargę.

Na krótko obciętych włosach miał czarną jedwabną czapkę; na sobie suknię ciemną i długą, która duchownego zdawała się oznaczać, na nogach czarne pończochy i trzewiki z wielkimi klamrami.

Zobaczywszy Brühla, otworzył ręce.

— Al! to ty, moje dziecko! Jakże się cieszę! Niech cię Bóg błogosławi!

Z wielką pokorą przysunął się młodzieniec do niego i, schyliwszy się, w rękę go pocałował.

Gospodarz siadł prędko, usuwając książki i suknie nagromadzone na kanapce, a bliskie krzesło wskazał Brühlowi, który, trzymając w ręku kapelusz, raczej się przysiadł, niż usiadł.

— *Ecco! ecco!* — szepnął siedzący na kanapie. — Myślisz, że mi nowinę przynosisz? Wiem ja już! Wszystko wiem i cieszę się. Widzisz, Opatrzność nagradza, Bóg swoim wiernym pomaga.

Westchnął.

— Jemu też ja składam tylko dzięki—odezwał się Brühl cicho.

— I pozostań wiernym wierze, ku której serce się twe łaską oświecone skłoniło, a zobaczysz. — Podniósł rękę w górę. — Pójdiesz wysoko! wysoko! Niewidzialne ręce dźwigać cię będą; ja ci to mówię, ja. Jam ubożuchny i maleńki, alem wielkiego Pana sługa.

Oczyrna błyszczącemi zmierzyl siedzącego skromnie paza i uśmiechnął się, i jakby już pobożnego dopełniwszy obowiązku, dodał wesoło:

— Byłeś na operze? Jak śpiewała Celesta? Patrzył na nią król? Był królewicz?

Posypały się gradem pytania.

Padre Guarini — tak się zwał ten, którego Brühl odwiedzał, spowiednik królewicza, powiernik królowej, duchowny ojciec młodego dworu — zdawał się co najmniej tyle zajmować operą, ile nawracaniem grzesznika, którego miał przed sobą.

Pytał o tenora, o kapele, o gości, a wreszcie, czy za kulisy paż nie chodził.

— Ja? — z pewnem zdziwieniem zawołał Brühl.

— Nic złego! Nic złego nie myślę: dla muzyki, dla sztuki, dlatego, żeby zobaczyć, jak te anioły wydają się, gdy prostymi ludźmi być muszą. Celesta śpiewa jak anioł, ale brzydka jak szatan. Nazwali ją chyba dla głosu! Niema obawy, aby się w niej król zakochał.

I śmiać się począł padre Guarini.

— A któż nad królem króluje? — zapytał. I, nie czekając odpowiedzi, sam rzekł: — Pono, jak w Polsce, elekcja dopiero ma nastąpić.

Śmiał się znowu stary.

— Powiedzże mi choć co nowego, oprócz tego, żeś sekretarzem został.

— Chyba, że żadne szczęście serca mojego i uczuć nie zmieni.

— Tak, tak, to ci radzę: bądź dobrym, choć potajemnym katolikiem. Po naszym teraźniejszym królu nie możemy ani wymagać, ani się spodziewać wielkiej gorliwości. Dobrze, iż takim choć jest, jakim się stał, ale młody będzie inny; święta nasza pani Józefa nie da mu zniść z drogi prawej. Pobożny jest, małżonek wierny, katolik gorliwy. Za jego panowania i nasze się począć powinno. Nie rozpaczamy, zjedliby nas protestanci, gdyby mogli, ale twardzi jesteśmy i paszcza ich za mała... *chi va piano, va sano... qui va sano, va lontano!*

Powtórzywszy kilka razy *lontano! lontano!* westchnął.

— Na pamiątkę tego dnia — dodał — chcę ci dać z błogosławieństwem coś, co ci szczęście przyniesie. Czekaj.

Padre Guarini wysunął szufladę i, rękę w nią zanurzywszy, dobył mały różaniec czarny z medalem i krzyżkiem.

— Ojciec święty sam własną ręką go błogosławił, odpust do niego przywiązany wielki, ale go codzień odprawiać potrzeba.

Brühl, niewyraźnie coś powiedziawszy na podziękowanie, w rękę pocałował i wstał.

Guarini pochylił mu się do ucha i coś szeptać zaczął, na co paż tylko potwierdzająco schyliwszy głowę kilka razy, znowu rękę chudą ucałował i wysunął się pocichu. We drzwiach czekał nań stary ze świecą. Temu wsunawszy talar, osłoniony znowu płaszczem, spuścił się ze schodów. Doszedłszy do drzwi, wyjrzał ostrożnie w ulicę, a nie widząc w niej nikogo, wybiegł prędko. O kilka kroków dopiero zatrzymał się, zdając namyślać. Podbiegł i stanął, i zawrócił się, i znowu siedł, i wrócił raz jeszcze, jakby nie wiedząc, co pocnie. Różaniec, który miał obwinięty około ręki, schował śpiesznie do bocznej kieszeni, a sam, podniósłszy głowę, szukał znanego domu około kościoła św. Zofji.

Obejrzał się raz za siebie...

Drzwi kamienicy, do której dążył, stały otworem. Na poręczy wschodów mała lampka, przytwierdzona na słupku, zaledwie mrok pod sklepieniami nieco rozjaśniała. W obszernej sieni o gotyckich łukach cicho było i pusto. Na niskie pierwsze piętro wszedłszy, Brühl zadzwonił.

Służąca wyszła mu otworzyć.

— Jest ksiądz pastor w domu? — zapytał.

— Jest i ma gości, z którymi się rozmową zabawia.

— Goście? — wahając się, podchwycił Brühl, jakby go to od wnijscia zniechęciło. — Któż taki?

— Młodzieź z Lipska, łakoma słowa Bożego i światła.

Brühl jeszcze stał w progu, gdy poważna postać średnich lat człowieka ukazała się ze drzwi pobliskich.

— Nie chcę być natrętnym — rzekł paż, kłaniając się.

— Nigdy nim pan nie byłeś i nie jesteś — odparł suchym głosem, zimnym i wyraźnym gospodarz. — Na to ja teraz narażony nie jestem, by mi się do drzwi ludzie ciśnęli. Chodź pan, proszę. Wchodzi się w protestanckim kraju do duchownego pokryjomu, jako pierwsi chrześcijanie do katakumb wchodzili. Chwała tym, co mają odwagę próg nasz przestąpić.

To mówiąc, wprowadził Brühla do obszernej izby, skromnie przybranej, ale z kwiatami na oknach. Szpynecik otwarty stał przy ścianie. Nie było tu nikogo oprócz dwóch młodzieży, z których słuszniejszy wzrostem zdał się Brühlowi znajomym. Przypomnieć sobie tylko nie mógł, gdzie i kiedy go widział. Pięknej postawy młodzian patrzył też z uwagą na gościa, a po chwili przystąpił doń.

— Jeśli się nie mylę, — rzekł — drugi to raz spotykamy się w życiu. Winieniem panu, że na drogę wprowadzony nie popadł w ręce królewskich pacholków, jak włóczęga.

— Hrabia Zinzendorf...

— Brat w Chrystusie — odparł młodzieniec. — A chociażbyście byli katolikiem, arjaninem, wiklefiścią czy kimkolwiek bądź, byleście w Zbawiciela wierzyli i ufali Mu, pozdrowię was zawsze tym wyrazem: brat w Chrystusie.

Gospodarz, który miał twarz surową i brwi ściągnięte dziwnie a zrosłe, co mu wyraz nadawało ostry, jęknął:

— Dajcie pokój marzeniom, hrabio, plewy od ziarna odlecieć powinny, choć na jednej wyrosły lodydze...

Brühl milczał.

— Cóż na dworze słyhać? — spytał gospodarz. — Myślę, że nic innego jak z rana litanję, a wieczorem operę; ale zmilczę. Siadźcie, mój gościu.

Posiadali wszyscy, Brühlowi widocznie przytomność obcych zamykała usta. Zinzendorf długo i z zajęciem mu się przypatrywał, niby w duszy jego czytał pragnąco, lecz te okna, któremi zajrzeć mógł do wnętrza, oczy piękne Brühla, zamykały się przed nim: zdawał się unikać spojrzeń i lękać się ich przenikliwości.

— Prawdąż to, że kościół katolicki budować myślą? — zapytał gospodarz.

— Nie słyszałem o tem, tylko jak o projekcie dalekim — odpowiedział Brühl. — A wątpię bardzo, ażeby król, pan nasz, który tyle pozaczynał gmachów, mógł nam o nowym pomyśleć.

— Zgrozaby była! — wyjąknął pastor.

— Dlaczego, czcigodny panie? — przerwał mu Zinzendorf. — Zarzucamy im nietolerancję, a mielibyśmy się nią sami posługiwać? Niech się mnoży we wszelkich językach i na wszelki sposób chwała Zbawiciela, czyli ją katolicy śpiewać będą, czy my.

Brühl żywo skłonił głowę, potakując, ale w chwili, gdy to czynił, spotkał surowe wejrzenie pastora i ruch ten, jakby nagle powściągniony, dwuznaczny, się zmienił uśmiechem: rumieniec wystąpił mu na twarz.

— Hrabio, — odezwał się pastor, obracając się ku niemu — to są myśli młodzieńcze bardzo piękne w ustach waszych, ale w życiu niemożliwe. Na dwu ramionach płaszcza nosić nie można, ani dwom Bogom służyć, ani dwu wiar kochać, boby się żadnej nie miało, jak... jak to się dziś wielu i najwyżej położonym zdarza.

Westchnął pastor, zrozumieli wszyscy, do kogo pił. Brühl udał, że nie słyszy, żałował nawet może, iż wszedł w towarzystwo tak drażliwemi zajmujące się zagadnieniami. Przeciwnie Zinzendorf zdawał się uszczęśliwiony i z poszanowaniem chwycił rękę pastora.

— Czcigodny panie, — zawołał — a jakżebyśmy nawracali i prawdę krzewić mogli, gdybyśmy się nie zbliżyli i nie zbratali z innowiercami? Chrystus nie stronił od faryzeuszów i niewiernych, a łagodnością i miłością ich nawracał.

— Młody jesteś i marzysz — westchnął pastor. — Hrabio, a gdy ci przyjdzie walczyć i z poezyj twych przejść do czynu...

— A! za tem gonię, tego pragnę — odezwał się młody entuzjasta, podnosząc ręce do góry. — Gdybym siebie tylko miłował, poszedłbym Zbawiciela szukać na pustyni i w rozmyślaniu; ale kocham braci, kocham wszystkich i zbłąkanych nawet, dlatego rzucam się pośród tych fal, choćby mnie pożreć miały.

Pastor, Brühl i młody towarzysz słuchali każdy z innem usposobieniem mówiącego. Pierwszy stał chmurny i rozdrażniony, drugi zafrasowany, choć się uśmiechał, trzeci z uwielbieniem chwytał słowa.

— Myślę, że ta gorącość wasza, miły panie, — odezwał się nieco żartobliwie pastor — ostygnie na dworze.

— Na dworze? — zapytał Brühl cicho. — Na dworze, hrabio, będziemy mieli szczęście posiadać go!

— A! nie, nie, nigdy w świecie! — odstępując krok, zawołał Zinzendorf. — Ja na dworze? Żadna siła w świecie nie potrafi mnie tam zapędzić. Mój dwór to ubogie na duchu i na ciele dziatki Boże, moja przyszłość to zastosowanie nauki Chrystusa do życia i wlanie miłości Zbawiciela w społeczność naszą strupieszalą. Chrystus raz umarłych wskrzeszał, dwa razy umierających nikt nie potrafi do życia przywrócić, a takimi są ci, co na chrzcie życie otrzymali i dobrowolnie je zabili w sobie. Ja pójdę do tych, w których żyje duch, aby go rozdmuchać i rozplomienić; na dworze byłbym wysmianym: tam spełnię, do czego powołanym się czuję.

— Rodzina jednak wasza, panie hrabio — dodał pastor.

— Ojciec mój w niebiesiech, — prędko dokończył Zinzendorf — temum winien posłuszeństwo.

Brühl po krótkiej chwili przekonał się, że tu nie miał co czynić dłużej. Zinzendorf ze swą mową dziwną napelniał go strachem; odwiódł na stronę pastora ku oknu i, szybko rozmowę z nim cichą poprowadziwszy, pożegnał go uprzejmie, śpiesząc zpowrotem. Młodemu apostołowi skłonił się tylko zdaleka, z prawdziwie dworską grzecznością, i zniknął. Czy u ojca jezuity, czy u pastora był szczerzym przyjaciелеm i gościem, o tem wyrokować nie umiemy, i to pewna, że obu odwiedzał gorliwie i o łaski ich się starał, nadskakując więcej Guariniemu, niż Knöflowi, choć publicznie ani ojciec jezuita jego, ani on Włocha nie zdał się znać wcale.

W ulicy namyślił się Brühl znowu. Tuż był pałac kró-

lewicza. Przed bramą jego dwóch gwardzistów straż trzymało. Po chwili młody paż wsunął się w podwórze i na prawo pobiegł do oficyny. Otwarte jeszcze drzwi i oświecone okna dozwalały spróbować szczęścia na młodym dworze. Tu mieszkała wielka óchmistrzyni dworu królewiczowej, hrabina Kołowrath-Krakowska, osoba wielce poważna, lat średnich, ulubiona królewiczowej Józefie, a łaskawem spoglądająca okiem na młodego paza, który jej wszystkie plotki z zamku przynosił, za co wszelkiego rodzaju łakociami był karmiony.

Miał on tu dozwolone wniknięcie o wszelkiej dnia godzinie, a korzystał z niego rozumnie, tak aby ludzie ani go widzieli zbyt, ani nadto się mogli stosunków domyślać.

W przedpokoju w wielkiej liberji dworu stał w peruce kamerdyner w. ochmistrzyni, który, kłaniając się i nie mówiąc nic, drzwi mu otworzył. Brühl wszedł na palcach. Salon był prawie ciemny, kilka świec woskowych z długimi knotami paliło się same sobie na stoliku i w mdłym świetle ich wiszące na ścianach poczerniałe obrazy dziwną mieszaniną światła i cieni, jak widma jakie, majaczyły. Cicho było i w dalszych pokojach.

W prawo tylko przez półotwarte podwoje struga żywego światła przelewała się do sali i stamtąd dał się słyszeć jakby szmer życia; gdy na posadzce skrzypienie trzewików Brühla słyszeć się dało, z za drzwi pokazała się nisko główka dziecięca.

Brühl zbliżał się ostrożnie.

— A! to wy, panie Henryku — ozwał się głosik dziecięcy i świeży. — A! to wy! Czekaj pan.

Znikła główka, ale wkrótce potem podwoje otwarły się szeroko i weszła dziewczynka ośmioletnia. Możnaż ją było tak nazwać, albo raczej ośmioletnią hrabiną, czy lalką? W atlasowej sukience z koronkami, w jedwabnych à jour pończoszkach, w trzewiczkach na korkach wysokich, z główką ufryzowaną i wypudrowaną wystąpiła zachwycająca pаниenka, już nie dziecko, niestety, już dama, i uśmieszkiem witając Brühla, dygnęła mu tak, jak na dworze było we zwyczaju, i jak ją *Maitre des ballets*, sam p. Favier, wyuczył; tak jak dygała, rozpoczynając menueta, przed królem Augustem. A minę miała tak śmiesznie poważną, tak niewysłowienie surową, jak owe figuрынki porcelanowe aniołków we frakach, które w Meisen wyrabiano.

Dygnęła Brühlowi, Brühl oddał jej ukłon jakby starszemu. Wielkiemi, czarnemi oczyma spojrzała nań dziecięcą, jakby szukając należytej czci i hołdu za swój cudowny ukłon; ale w tej chwili powaga jej nie wystarczyła i parsknęła śmiechem. Komedja była skończona.

— A! to wy, panie Henryku?

— A jej ekscelencja?

— Mamina ekscelencja na pacierzach u królewiczowej. Padre Guarini czyta litanję i rozmyślanie... a ja, ja się nudzę! Tylko piesek Filidorek, pani Braun została i ja, sierotka. Sluchaj, Brühl, ty mógłbyś się pójść ze mną we dwór zabawić: ja będę grała królowę, a ty wielkiego ochmistrza, a Filidorek kogo?

— Panno Franciszko, bawilibym się z wami w cobyscie kazali, ale ja do króla muszę, nie bawić się, ale służyć.

— Toś niegrzeczny dla dam! — odpowiedziała hrabianka z minką starej jejmości, która ją niezrównanie uczyniła śmieszną. — Ja waćpana kochać nie będę, i jeśli się kiedy we mnie zakochasz...

— A! pewnie! I to bardzo prędko — zawołał Brühl, śmiejąc się.

— Zobaczysz wówczas, jakie będę robiła miny i jaka będę okrutna — dodała Frania.

To mówiąc, zwróciła się do niego prawie plecami, chwyciła z krzesła leżący na nim wachlarzyk. Główkę pochyliła wtył, usta podniosła do góry i spojrzała na Brühla z niewysłowioną pogardą. W oczach ośmioletniej dziewczynki odbijał się już, niestety, cały dwór, cały świat, całe zepsucie i lekkomyślność wieku!

Brühl stał zachwycony, a scena ta byłaby może trwała długo, gdyby szelest atlasowej sukni nie dał się słyszeć i śmiech.

— Francesca! Brühl, córkę mi bałamucisz...

Osoba, która to wymówiła, była słusznego wzrostu, majestatycznej postawy, piękna jeszcze bardzo, a nadewszystko arystokratycznie i pańsko wyglądająca. Była to matka Frani, hrabina Kolowrath-Krakowska, wielka ochmistrzyni dworu królewiczowej. Zobaczywszy matkę, niezmieszana Frania odnowiła ceremonjalne dygnięcie według p. Favier i dopiero przybiegła do jej ręki. Brühl, napół zgięty naprzód, odprostawawszy się, patrzył z zachwytem w czarne oczy hrabiny.

Pierwsza, może nawet druga jej młodość już była odbiegła, ale obie zostawiły po sobie rysy nietknięte, jakby wyrzeźbione z białego alabastru, które pożyczany żywy krasił rumieniec. Białosc tę poci podnosił kruczcy włos, tego dnia bez pudru, ale ze staraniem związany. Postać zdawała się, mimo pełnych form kształtu, zarazem i silną. Zmrużonemi nieco oczyma popatrzała na pazia.

— Franiu! — rzekła. — Idź do pani Braun, ja mam coś do mówienia z panem Henrykiem.

Figlarnie spojrzało dziewczę na matkę, pokiwało główką i znikło. W. ochmistrzyni, poruszając żywo wachlarzem, zaczęła chodzić po sali i, pochyliwszy się ku Brühlowi, rozmawiać z nim poufale.

Brühl, z rękami wtył założonemi, szedł za nią raczej, niż obok niej, okazując wielkie uszanowanie, chociaż parę razy przybliżył się aż nadto może blisko. Tej rozmowy tajemnej nawet obrazy, wiszące na ścianach, słyszeć nie mogły. W pół godziny po niej paż siedział w przedpokoju króla na krześle i drzemać się zdawał.

III.

Dziesięć lat upłynęło od tego prologu życia Brühla, od tych scen pierwszych drugiego dramatu. Brühl był zawsze jeszcze tym świetnym, miłym, grzecznym, czarującym młodzieńcem, którego urokowi nawet nieprzyjaciele jego oprzeć się nie mogli; ale Brühl już daleko zaszedł od pazia, sekretarza dó depeszy j. k. mości.

Na wspaniałym zawsze dworze tego Ludwika XIV Północy, którego pochlebcy często równali z królem Słońcem, tamtemu Apollina cześć, temu Herkulesową oddając, zmieniały się postacie, ludzie, ulubieńcy, faworyty. W kilka lat po owem pogrzebaniu radcy Paulego, którego miejsce tak szczęśliwie zająć się udało Brühlowi, ulubieniec króla Augusta został jego kamerjunkerem.

Po śmierci starego Fleminga odziedziczył tajną kancelarję j. k. mości. Pokorny i niezrównanie greczny, a ustępujący wszystkim Brühl, jakimś cudownym sposobem, szepłano sobie na dworze, potrafił obalić dwóch ministrów, nieprzyjaznych sobie: Fleurego i Manteuffla, ale gdy mu to przyznawano, rumienił się, zaklinał i wypierał.

Wkrótce potem dostało mu się szambelaństwo i klucz do fraka, bo klucz serca, pokojów i szkatułki j. k. mości miał już dawniej; naostatku rychło jakoś wielkie podkomorstwo go spotkało i stworzony dla niego urząd i dostojęństwo nowe, *Grand Maître de la garde-robe*. Do garderoby tej należały galerje, zbiory sztuki i różne wydziały domowego zarządu Augusta II, który bez tego niezrównanego Brühla obejść się nie mógł. Nie mogło się bezeń też obejść wiele innych osób... a on, jakby też wszystkich potrzebował, jakby się obawiał każdego, kłaniał się, uśmiechał, czcił i wielbił zawsze, nawet odźwiernym u bramy zamkowej.

Król August Mocny od owych czasów, gdy tak dzielnie dokazywał z kielichem, koniem i szablą, znacznie się postarzał. Herkulesową, wspaniałą zawsze miał postać, lecz już nie jego siłę: nie baził się łamaniem podków, ani ścinaniem łbów koni. Strojný, uśmiechnięty, chodził o lasce, a gdy, dworując przy damach, dłużej nieco stać musiał, szukał oczyma taburetu i przypominało mu się w nodze to miejsce, od którego, ocalając życie panu, Weiss, lejb-chirurg króla, odciął palec Herkulesowi, stawiając w zakład głowę za pa-

lec. Głowa ocalała, palca nie było, a stać długo na tej nodze król nie mógł. Złoty to czasów było wspomnienie, owego turnieju, gdy zdobył serce księżnej Lubomirskiej. Miłości królewskie wszystkie, jedna po drugiej, złotymi skrzydełkami rozleciały się po świecie. Nawet ostatnia... Orzelska, teraz księżna Holstein-Beck, była już poważną matką rodziny... i właśnie w tym roku (1732) w karnawale dała życie przyszej głowie rodziny książęcej.

Królby się nudził śmiertelnie, gdyby z Włoch sprowadzona, dla odśpiewania głównej roli w operze *Cleofida o Alessandro nelle Indie*, przepiękna Faustina Bordoni ze słowiczym głosem nie rozpraszała czarnych jego myśli. Wydano Włoszkę za słynnego mistrza Hasse, ale żeby się mógł w sztuce kształcić, a żonie dystrykcji nie uczynił, wyprawiono go do Włoch, aż do... dalszych rozkazów. Hasse tworzył z tęsknoty arcydzieła.

W tym roku także karnawał obiecywał się być świetnym. Brakło cokolwiek pieniędzy, czego król jegomość cierpieć nie mógł; ten Brühl, który wszystko tak dzielnie sprawić umiał, uznany został jako jedyny człowiek, mogący n. panu spokojność zapewnić. W karnawale więc, i to w tłusty poniedziałek, król zaszczyconemu już mnóstwem urzędów dworskich, skromnemu Brühlowi oddał uroczyście dyrektorstwo główne akcyzy i podatków.

Napróżno skromny a obarczony ciężkimi nader obowiązками młodzieniec wypraszał się od zaszczytu tego, uznawał go niegodnym; król August II nie znosił przeciwności, nie lubił wymówek i zmusił go do stania na straży u kasy. Brühl odtąd miał pilnować, aby Paktol płynął złotem bez przerwy, choćby pot i lzy razem z nim sączyć się miały.

Nie był to już ów paź cichy, lecz mąż, z którym najsilniejsi rachować się musieli. Król nie dawał nań słowa powiedzieć, marszczył się groźnie. W nim jednym znajdował to, czego dawniej w dziesięciu szukać musiał. Brühl znał się na obrazach, lubił muzykę, rozumiał, jak się grosz wyciąga stamtąd, gdzie go niema, jak się może być głuchym, gdy trzeba, ślepym, gdy z tem lepiej, posłusznym zawsze.

Brühl miał już naówczas z łaski pańskiej kamieniczkę niedaleko od zamku i zrobił z niej pieścidelko.

Właśnie przed wieczorem ostatniego wtorku, który świetnie miał być obchodzony na zamku, nowy dyrektor akcyzy, bo wczoraj dopiero mianowany, we własnym domu (pałacem tego jeszcze nazwać nie było można) spoczywał w krześle zadumany i zdawał się na kogoś oczekiwać.

Pokój, w którym przysiadł na chwilę, mógł być gabinetem najwybredniejszej z kobiet popsutych zbytkiem dworu. W kwiecistych ramkach złożonych świeciły zwierciadła, ściany blado-liljowa okrywała materja jedwabna, na kominię, gerydonach, stolikach porcelany było pełno i bronzów,

posadzkę okrywał miękki kobierzec. Brühl z nogami wyciągnionymi, sparty wygodnie na miękkiej poręczy krzesła, z rękami złożonemi, które z bogatych mankietów pięknemi kształty się dobywały i świeciły kilkoma pierścieniami, zdawał się zatopiony w myślach i rachubach. Niekiedy tylko, gdy wewnątrz domu drzwi jakie skrzypnęły, podnosił się i nasłuchiwał, a gdy nikt się nie zbliżał, wracał do swych dumań i zamyślenia. Wzrok czasem padł na zegar, stojący na kominie, bo tyłu obarczony obowiązками pan musiał obliczać się z czasem, tak jak się liczył z ludźmi i pieniędzmi.

Od paziowskich lat, mimo pracy i wzruszeń, twarz młoda nie straciła świeżości, ani oczy żywego połysku; czuć w nim było zachowanego dla przyszłości człowieka, który miał więcej nadziei, niż wspomnień.

W głębi domu jedne po drugich pocichu zaczęły się drzwi odmykać. Brühl nastawił ucha, kroki się ku drzwiom zbliżały. Chód dawał poznać człowieka, był ostrożny, miękki, służbisty, kogoś takiego, co zwykł był przychodzić, ale do którego jeszcze nie przychodzili drudzy.

— To on — szepnął Brühl i podniósł się w krześle. — To on...

Puknięcie do drzwi było tak lekkie i poszanowania pełne, jakby bawełnianemi palcami dotknął ktoś tylko aksamitnej opony. Brühl cicho odezwał się: *Herein* — i drzwi uniosły się na zawiasach, tak że skrzypnąć nie mogły, a zamknęły się, nie wydając głosu. U drzwi stał człowiek z rodzaju tych, co się po dworach tylko znajdują, bo tylko do dworów się rodzą, i choć kolebka ich stała w stajni, trumna pewnie w pałacu się znajdzie. Postać miał słuszną i zręczną a silną, giętką i wyrobioną do wszelkiego ruchu, jak dziecię kuglarza; lecz niczem ona była przy twarzy. Na pierwszy rzut oka na tej masce, hieroglifami startemi zapisanej, nie widać było nic. Nieznaczące rysy, zimne oblicze, pospolita całość, coś ani pięknego, ani brzydkiego, a jednak niezwyčajnego. W marszczkach, które nikły, gdy milczał, chowały się wszystkie sprężyny, co twarzą władały. Spokojny, wypogodzony, z ustami tak ściętymi, że ich prawie widać nie było, pokorny, stał u drzwi przybyły i czekał, aby z niego słowo dobyło.

Strój nie zdradzał stanu. Nie był wytworny, ani bijący w oczy: suknia ciemna, guziki stalowe, kamizela skromnie szyta, reszta ubioru czarna; u trzewików klamry szmelcowane, prawie niewidoczne, u boku szpadka z rękojeścią stalową, na głowie peruka, która starała się być więcej urzędową i poważną, niż zalotną. Pod pachą czarny kapelusik bez galonów, na jednej ręce rękawiczka ciemna, mankiety nawet karbowane z batystu zapomniiał obszyć koronką.

Brühl, zobaczywszy wchodzącego, wstał tak żywo, jakby go sprężyna rzuciła, i przeszedł się po pokoju.

— Hans, — odezwał się — mamy pół godziny czasu; wezwalem cię dla ważnej rozmowy. Otwórz, proszę, drzwi, czy w przedpokoju nie ma nikogo.

Posłuszny Hans, którego drugie imię było Chrystjan, a nazwisko Hennicke, drzwi cicho przytknął, rzucił okiem i dał znak ręką, że są sami.

— O tem wiesz, — rzekł Brühl — że n. pan wczoraj mnie mianować raczył dyrektorem akcyzy i wicedyrektorem podatków.

— Chciałem mu właśnie powinszować — rzekł Hennicke z ukłonem.

— Nie masz czego — odwracając się nagle z miną dobrze odgrywającą zafrasowanie, przerwał Brühl. — Jest to nowy, wielki ciężar na słabe moje ramiona.

— Które mu podolają — dodał z nowym ukłonem stojący u drzwi.

— Hans, — zawołał Brühl — w dwóch słowach: chcesz mi być pomocą, ręką prawą, chcesz poprzysiąc mi wierność i posłuszeństwo bez granic, niezłomne; chcesz na złamanie karku bodaj iść ze mną? Mów...

— Ale my we dwóch karku nie możemy skrócić — z cichym, zimnym uśmiechem szepnął Hennicke i potrząsł głową.

— Potężniejsi od nas je kręcili.

— Tak, ale od nas dwu, ekscelencjo, zręczniejszych nie było. Siła i potęgą, to jeszcze nic, kto ich użyć nie umie. Ja wam ręczę, potrafimy.

— Ale ważysz się dzielić moje losy i iść ślepo, z zawiązanymi oczyma?

— Byłem rąk nie miał związanych, — odparł Hennicke — zgoda.

— Pamiętaj tylko, — chłodno rzekł Brühl — to nie płoche słowa, to uroczysta ma być przysięga.

Z jakimś szyderskim wyrazem Hennicke podniósł rękę z dwoma palcami do góry i rzekł:

— Przysięgam... ale na co, mistrzu i panie?

— W obliczu Boga — odezwał się Brühl, schylając głowę pobożnie i składając ręce na piersiach. — Hennicke, ty wiesz, żem szczerze pobożny i żadnych żartów...

— Ekscelencjo, ja z nikogo i z niczego nie żartuję nigdy. Żarty to droga rzecz, niejedni je życiem przypłacili.

— Jeżeli pójdziesz ze mną, — dodał Brühl — ja ze swej strony ci przyrzekam, że cię wyniosę i zbogacę, dam ci władzę, znaczenie, fortunę...

— Nadewszystko ostatnie, — rzekł Hennicke — bo to w sobie zamyka resztę... fortuna...

— Zapomniałeś o losie tego, co z fortuną poszedł do Königsteinu.

— A wiecie dlaczego? — spytał stojący u drzwi.

— Nielaska pana, nielaska Boga.

— E! i lekceważenie pantofla — dodał Hennicke. — Rozumny człowiek na ołtarzu powinien postawić pantofel i do niego się modlić: kobiety wszystko robią.

— Przecież same padają: A Cosel? Cosel w Stolpen.

— A kto Cosel wywrócił? — spytał Hennicke. — Przypatrzcie się, jasny panie, przez szkiełko, a zobaczycie tam białe paluszki Denhoffowej i małeńki pantofelek, pod którym wielki król siedział.

Brühl zmilczał i westchnął.

— Wasza ekscelencja od wczoraj rozpoczynacie nowe życie, winniście sobie zapisać dla nieustającej pamięci: kobiety...

— Pamiętam o tem, — chmurno odparł Brühl — ale... nie czas o tem mówić, Hennicke. Jesteś więc ze mną?

— Na śmierć i życie — odparł Hans. — Jestem człowiek mały, ale mam dużo doświadczenia, i uwierzcie mi, że moja mądrość, czerpana w przedpokojach, nie gorsza jest od tej, którą się na srebrnych blatach w salach podaje. Przed wami się tać nie potrzebuję, a dla was to nie tajemnica; Hennicke, którego widzicie przed sobą, wyszedł z nędznej skorupki, która gdzieś roztluczona w Zeitz leży. Długom drugim jako lokaj drzwi otwierał, nim się one przede mną rozwarły. Na akcyzie w Lützen pierwszą moją szermierkę odbyłem.

— Dlatego w sprawie tej akcyzy i podatków, Hennicke, tyś mi potrzebny, nieodzownie, koniecznie. Król potrzebuje pieniędzy, a kraj jest wyczerpany: stękają, jęczą, skarżą się.

— Ktoby ich tam słuchał — odparł zimno Hennicke. — Oni nigdy nie będą kontenci, oni wiecznie pisać muszą; dusić ich trzeba jak cytrynę, żeby sok wydali.

— Ale czem i jak?

— E! e! znajdziemy środki...

— Skarżyć się będą.

— Komu? — roześmiał się Hennicke. — Alboż to my dróg szablami nie możemy pozamykać, a tych, co za głośno się odezwą, nie mamy prawa, dla spokoju pana, wsadzić do Königsteinu, posłać na Sonnenstein i zamurować w Pleissenburgu?

— Tak, to prawda — rzekł Brühl zamyślony. — Ale to nie da pieniędzy.

— Owszem, to nam je ściągnie: trzeba surowości. Powoli puszczono cugle wszystkiemu. Szlachta się zaczęła odzywać, mieszczanie skowyceć, aż i chłopci sobie w lamenty.

Brühl słuchał z wielką uwagą.

— Pieniądzy potrzebujemy ogromnie wiele, oto i terazniejszy karnawał, myślisz, że darmo przyjdzie?

— Tak jest, i wszystko, co dwór puści, spłynie na lud, w ziemię nie wsiąknie, mają więc czem płacić. Pieniądzy — dodał, spoglądając na Brühla — potrzebujemy dla pana,

a zdalyby się i nam. I waszej ekscelencji, i jego pokornemu słudze.

Uśmiechnął się zagadnięty.

— To się rozumie, zacóżbyśmy pracowali w pocie czoła.

— I tyle przekleństw brali na dusze.

— No, gdzie idzie o posłuszeństwo, tam Bóg tych mizernych głosów nie słucha. Król musi mieć, co mu trzeba.

— A my, co nam należy — dorzucił Hennicke. — Co Bogu to Bogu, co panu to panu, a co poborcy to poborcy.

Brühl stanął przed nim zamyślony i po krótkim milczeniu rzekł cicho:

— Więc oko miej otwarte, ucho pilne, donoś mi wszystko, pracuj za mnie i dla siebie razem, donoś mi co trzeba; ja mam już tyle na głowie, że bez ciebie nie wydołam.

— Spuśćcie się na mnie — odezwał się Hennicke. — Rozumiem to dobrze, że, pracując dla was, dla siebie też pracuję. Nie przyrzekam wam miłości platonicznej, bo to podobno tak nazywają, gdy kto rękawiczki całuje, ręki się wyrzekając: co interesem jest, to trzeba czysto i jasno postawić. Będę o sobie pamiętał, o was pamiętał i o królu nie zapomniał.

Skłonił się. Brühl po ramieniu go poklepał.

— Hennicke... wyprowadzę cię wysoko.

— Byle niezbyt, i nie na nowym rynku — szepnął Hans.

— A! o to bądź spokojny. A teraz tyś rozumny, jaką dajesz mi radę? Jak to się utrzymać na dworze? Wyjść na wschody to jeszcze nic, ale z nich na łeb nie zlecieć to sztuka.

— Ja mam tylko jedną radę, ekscelencjo — począł były lokaj. — Wszystko się robi przez kobiety, bez kobiet nic się nie dzieje.

— O! o! — odparł Brühl. — Są inne drogi.

— Ale ja wiem, że wasza ekscelencja macie za sobą padre Guariniego i ojca.

— Tst! Hennicke.

— Milczę, a jednak dodam: czas waszej ekscelencji o tem pomyśleć, co potęga kobieca znaczy. Mieć zapaśną strunę nie zawadzi.

Brühl westchnął.

— Skorzystam z rady, zostaw to mnie.

Milczeli chwilę.

— Jakże wasza ekscelencja jest z hr. Sułkowskim? — pocichu szepnął Hennicke. — Nie trzeba zapominać, że słońce zachodzi, że ludzie są śmiertelni i że synowie po ojcach następują, a Sułkowscy po Brühlach.

— O! — uśmiechnął się Brühl. — To mój przyjaciel.

— Wolalbym, żeby jego żona była waszą przyjaciółką — wtrącił Hans. — Na tobym więcej mógł rachować.

— Sułkowski ma serce szlachetne.

— Któż przeczy, ale najlepsze serce woli tę pierś, w której bije, od każdej innej.

— A hr. Moszyński! — wtrącił Hennicke.

Brühl drgnął i zarumieniał się, spojrział na mówiącego bystro, jakby chciał dojść, czy to nazwisko wspomniał z myślą podstępna.

Hennicke miał twarz niewinną i spokojną.

— Hr. Moszyński nic nie znaczy — syknął Brühl. — Nie znaczy nic i znaczyć nigdy nie będzie.

— N. Pan oddał mu własną córkę — rzekł Hennicke powoli.

Brühl zamilkł.

— Ludzie mają złe języki — począł, odpocząwszy nieco, Hennicke. — Na pannę Cosel mówiono, że wolałaby była kogo innego nad hr. Moszyńskiego.

Spojrzał mu w oczy: Brühl stał dumnie milczący.

— Tak! — wykrzyknął z niecierpliwością. — Tak, wziął mi ją, wyzebrał, wyintrygował.

— I zrobił waszej ekscelencji największą łaskę w świecie — rozśmiał się Hennicke. — Stara miłość nie rdzewieje, powiada nasze przysłowie. Zamiast jednej sprężyny, dwie mieć możecie.

Spojrzeli sobie w oczy, ale znać było na twarzy Brühla chmurę, która po niej przeciągnęła.

— Dosyć o tem — dodał. — A więc, Hennicke, tyś mój, rachuj na mnie. Codzień o szóstej, tylnymi drzwiami... mieć będziesz biuro tu u mnie: jutro dostaniesz pierwszą nominację.

Hennicke się skłonił: — I pierwszą pensję do podniesionej pracy stosowną.

— Tak, jeśli pomyślisz o tem, aby ją było czem zapłacić.

— To moja rzecz.

— Godzina późna i bądź zdów.

Hennicke pocałował go w ramię i położył rękę na sercu, a potem powoli, cicho i nieznacznie się wysunął.

Brühl targał dzwonek.

Wpadł kamerdyner przestraszony.

— Na zamku gospodarstwo (*Wirtschaft*) za pół godziny się rozpoczyna: lektyka?

— Stoi na dole.

— Domino? Maski?

— Wszystko gotowe. — To mówiąc, kamerdyner otworzył drzwi i przez obszerny przedpokój przeprowadził Brühla do garderoby.

Już naówczas pokój, który ją zawierał, mógł się liczyć do osobliwości stolicy. Dokoła otaczały go wielkie szafy rzeźbione, które w tej chwili wszystkie stały otworem. Po między dwoma oknami, na które spuszczone były zasłony, stał stół okryty, na nogach brązowych, na nim wielkie

zwierciadło w porcelanowych ramach z kwiatów i aniołów. Dokola tej szyby srebrzystej kwitły zimą i latem róże, zwieszały się powoje, chyliły konwalje omdlałe, a z zielonych gniazdek, wystrzyganych w tysiące form listków, wyglądały śmiejące się nieśmiertelnem weselem głowy tych istot stworzonych przez ludzką sztukę, które nie wiedzieć jak nazwać: aniołami czy amorkami, płaszkami czy kwiatkami? U góry w wiązance siedziało ich dwoje, biednych, nagich, jak ich Pan Bóg stworzył, i ściskali się serdecznie, aby o swej nędzy zapomnieć. Choć mieli skrzydelka na ramionach, ale się im już latać nie chciało. Na tym stole u zwierciadła stał cały przybór do stroju jakby dla kobiety. W szatach widać było w wielkim porządku każdy strój z całym garniturem, począwszy od trzewików i kapelusza, nawet zegarki i szpady. Moda i zwyczaj wymagały, aby się wszystko zmieniło i schodziło z sobą, jakby się urodziło z jednego tchnienia czarnoksiężnika.

Na dzisiejszy wieczór nietyle strój, ile domino było potrzebnem. W osobnej szafie leżały maskaradowe przybory, wisiały płaszcze, kapelusze, kapiszony i okrycia. Brühl stanął i zamyślił się nad wyborem. Ważnym był krok ten stanowczy. Król lubił, aby się poznać nie dawano. Brühl może poznanym rychło być nie chciał.

Kamerdyner, chodzący za nim z dwiema świecami w rękach, czekał skinienia.

Odwrócił się szybko pan dyrektor.

— Gdzie jest ten strój weneckiego szlachcica, którego nie miał czasu użyć w grudniu?

Służący rzucił się do szafy, stojącej w kącie, zasłoniętej skrzydłem otwartem drugiej, która przy niej stała. Brühla oko wnet padło na aksamity czarne.

Rozkaz był wydany, zaczęło się szybko ubieranie. Suknie leżały wybornie i nadawały postać szlachetną i zręczną pięknemu panu. Wszystko było czarne, aż do pióra przy kapeluszu i szpady szmelcowanej u boku. Na piersi tylko spadał ciężki, przepyszny łańcuch złoty, na którym Brühl zawiesił medal z wizerunkiem Augusta Mocnego. Tak przybrany przejrzał się w zwierciadło i nałożył pół maseczki. Dla niepoznaki zaś na brodzie ogolonej świeżo przyklepił zręcznie plasterkiem bródkę hiszpańską, która zdawała się prawdziwą i mogła obalamucić znajomych.

Zmienił na palcach pierścienie, okręcił się kilka razy, i szybko schodzić począł.

Porte-chaise, jak naówczas zwano lektykę, stała w sieni domu. Dwaj tragarze przebrani byli wprzód po wenecku z czerwonemi, wełnianemi czapkami na głowach i płaszczykach aksamitnych, oliwkowych, na ramionach; oba też mieli maski na twarzach. Zaledwie z przodu zamknęła się lektyka,

której zasłonki zielone pospuszczane były, tragarze unieśli ją w górę i pobiegli z nią ku zamkowi.

W głównych wrotach stały strojne strażę gwardyj, nie wpuszczano nikogo oprócz pańskich powozów i lektyki bogatych. Lud cisnął się ciekawy tłumnie, ale odźwierni stawiali zębate halabardy i odpychali go od wnijscia.

Jedne po drugich wjeżdżały z pochodniami powozy, lektyka po lektyce; w dziedzińcach służby już było pełno. Rzęsistem światłem gorzał zamek cały, bo dwa dwory i dwa gospodarstwa przyjmować miały gości dnia tego: sam król u jednego stołu, u innych królewicz z żoną.

Z sali królewskiej do królewiczowskiej wiodły oświetlone rzędy pokojów, w których już przez okna widać było kręcące się masek cienie. Lektyka Brühla zatrzymała się u ganku, otwarto wnijscie i wenecki szlachcic z powagą syna doży wybiegł z tej kryjówki. W chwili, gdy miał wstępować na wschody kamienne, dywanami okryte, nie wiedzieć skąd, zjawiała się obok niego postać drugiego Włocha, ale wcale inna. Był to mężczyzna zamaskowany, o głowę od niego wyższy, barczysty, silny, po żołniersku wyprostowany, z piersią wydatną, ubrany jako zbir i niby zdjęty ze starego obrazu Salvatora Rosy. W stroju tym ślicznie mu było, jakby się do niego rodził. Na głowie miał lekki szyszak żelazny bez przyłbicy, na piersi pół zbroiczki, po której biegały żyłki złote w misterne desenie, krótki płaszczyk na ramionach, szpadę u boku, puginał u pasa. W rękę trzymał rękawiczki wonne, a na białych palcach błyskało kilka pierścieni. Całą jego twarz okrywała maska dziwna, marsowa, skrzywiona, sroga i straszna, z długimi wąsami i kosmykiem na brodzie. Brwi jej w dwa esy pogieęte zbiegały się w środku i dwiema prostemi marszczkami przedłużać się zdawały po czole. Brühl spojrzał tylko na tę maskę niemiłą i szedł dalej ku górze, lecz zbir widocznie go chciał dognać i zaczepić.

— *Ignore!* — wołał syczącym głosem — *come sta? va bene?*

Brühl głową tylko mu odpowiedział. Ten mu się pod sam bok cisnął, nachylił do ucha i szepnął coś, aż Brühl widocznie gniewny odskoczył. Śmiech się dobył z pod maski: zbir palcem wytknął go i stał.

— *A rivedersi, carissimo... a rivedersi!*

I powoli za nim pociągnął. Słysząc już było muzykę z sali królewskiej. Zbirowi nie było widać pilno, szedł powolutenku, ręka w bok, nogami długimi ledwie dźwigając leniwie.

Gdy ostatnie przestępował wschody, Brühl już mu z oczu w tłumie zginął. W salach i pokojach było pełno. Od blasku światła, od krasy strojów bogatych, od lśniących diamentami kobiet oczy ślepy. Wszystko to zwijało się, kłębiło, mru-

czało, piszczało, śmiało się, podskakiwało i uchodziło, za ledwie ukazawszy chwilę.

We wspaniałych strojach polskich z szablami, sadzonymi w drogie kamienie, przechadzało się kilku łatwych do poznania senatorów, na których twarzach, tylko dla zachowania rozkazu króla, wąski pasek czarny niby maski przedstawiał. Mnóstwo Turków, Maurów, Hiszpanów, kilku mnichów zakapturzonych, kilka nietoperzy żeńskich, kilka bóstw mitologicznych niewieścich z odsłoniętymi wdziękiami a zasłoniętymi twarzami, mnóstwo weneccjan podobnych do Brühla wyróżniało się w tym tłumie, w którym i na pulcynelu i na arlekinie nie zbywało. Nawet wyrostki z kołczanami na plecach i skrzydłami przyprowadzonymi kręciły się, niby grożąc bezsilnymi strzałami, ale się ich jeszcze nikt nie obawiał.

Królowa Elżbieta, Marja Stuart, Henryk IV... kogoż tam nie było? Król o lasce ze złotą galką powoli przechadzał się, zaczepiając kobiety i usiłując je poznawać. Nie było mu to trudnem, znał je wszystkie dobrze, te przynajmniej, które poznania godne były.

Na innych maskaradach byłby mógł się spotkać z nieznaną pięknością miejską, nie mającą przystępu do dworu; tego dnia na zamek nie wpuszczano tylko powozy pańskie, lektyki bogate i maski, których powierzchowność ręczyła, że do plebejuszów się nie liczyły.

W salach piękne panie były gospodyniami, przy stołach i bufetach urządzone były gospodarstwa: chińskie, japońskie, tureckie i t. p. Każda z pań na ten wieczór musiała być szynkarką i gosposią dla dostojnych gości.

Poza salami królewskimi, także same stoły trzymały królewiczówna Józefa ze swym dworem.

Świetniała przy jednym z nich hrabianka Franciszka Kolowrath, owa swawolna Frania, która ośmioletnia umiała już tak dobrze grać rolę dojrzałej panny dworu... Teraz była to świeża, zalotna, wesola, dumnie zgóry patrząca dziewczeczka, cała brylantami okryta, której pasterski strój nie przeszkadzał chwalić się z macierzystymi klejnoty.

Inne piękności dworu kryły się pod mniej więcej przezroczystymi maskami. Zdradzał je chód, rączka, plamka na białej szyi, albo nawet zbyt kunsztowne przebranie. Królewiczówna Józefa mało w tej zabawie brała udziału, znajdowała się tu tylko dla przypodobania teściowi i mężowi. Duma jej postawa, twarz surowa i niepiękna, obejście się zimne nie przyciągały ludzi. Wiedzieli wszyscy, że nie lubiła płochych zabaw, że wołała życie rodzinne, modlitwy i... plotki. Surowa dla siebie i dla drugich, poglądała bacznie na tych, co się około niej obracali. W atmosferze, która ją otaczała, panował chłód i sztywność. Nie śmiał tu sobie nikt swobodnego pozwolić żarciku, bo go karmił wzrok pani. Na-

wet wśród maskarady ostatniego wtorku Józefa nie zapomniała, że była córką cezara.

Uprzejmy, grzeczny, milczący stał tu też królewicz Fryderyk, dość piękny i postawy okazalej, ale posągowo chłodny i ceremonjalny. Bawiło go to, że się zabawiali drudzy, sam on nie brał udziału w niczem. Zapraszał tylko po pańsku, a czasem do poufalego otoczenia krótkie słowo rzucił. Znać w nim było, mimo młodości, pewną ociężałość ciała i ducha, ostatniego więcej jeszcze, niż pierwszego.

Strojny i pańsko wyglądający Sułkowski, pierwszy faworyt następcy, stał poza nim, gotowy ciągle na rozkazy. Królewicz odwracał się ku niemu często, porozumiewał z nim wzrokiem, pytał i, otrzymawszy odpowiedź, z zadowoleniem głową potrząsał.

Widząc ich obu razem z sobą, dawał się odgadnąć stosunek, który ich łączył; pierwszy sługa więcej był panem, niż sam pan, który tylko reprezentował swą godność, ale jej nie czuł. Sułkowski, przeciwnie, przybierał tony wielkie i z arystokratyczną pychą na wirujące dokoła figury poglądał.

Wdziękiem też twarzy przewyższał króla, który mimo młodości, mimo zdrowia i czerstwości do pospolitego Niemca był podobny.

Przy stołach Augusta Mocnego, dokoła jego osoby gromadziło się najweselsze towarzystwo. Wygorsowane maseczki zaczepiały j. k. mość, zgóry pogładającą okiem rozczarowanym na wdzięki, które już dlań uroku żadnego nie miały.

Brühl wszedł, jak mu się zdawało, nie poznany, unikał odzywania się, szukał kogoś oczyma chciwemi, chciał odgadnąć pod przebraniem. Przesunął się niepostrzeżony po salach za stołami, aby się przekonać, czy ci, których szukał, nie znajdują się przy gospodarstwach. Nie uważał, że zbir szedł za nim zdala.

Piękna budowa tej herkulesowej postaci i swoboda, z jaką się posuwała, wcale tego, co spotkała, nie zdając się być ani ciekawą, ani tem onieśmiałoną, ścigała oczy kobiet. Parę maseczek zabiegło drogę zbirowi, który zgóry na nie obojętnie popatrzywszy, szedł dalej. Jedna czy dwie chciały go intrygować, szepnął im, śmiejąc się, ich nazwiska na ucho... i pierzchnęły.

Król na przesuwającego się popatrzał i rzekł do Friesena:

— Gdyby tu był który z pruskich książąt, odkradliby mi go do grenadjerów. Kto to taki?

Nikt jakoś na pewno odpowiedzieć nie umiał. Zbir znikł za kolumnami.

Tymczasem Brühlowi drogę zastąpiła Cyganka. Stara, słusznego wzrostu kobieta, o kiju, okryta szeroką jedwabną zasłoną i cała obwieszona paciorkami, koralami, świecidła-

mi. Pół-maseczki przedstawiało żółty, okryty marszczkami profil czarownicy. Wyciągnęła rękę i, piszcząc, zażądała dłoni do wrózenia.

Brühl nie miał najmniejszej ochoty dowiadywania się przyszłości; chciał się cofnąć, ale Cyganka domagała się ręki koniecznie.

— *Non abbiate paura!* — szepnęła. — Ja wam dobrą wywróżę...

Brühl z rękawiczką dłoń wyciągnął.

— Ja nie wróżę ze skóry, tylko z ręki — śmiejąc się, zawołała Cyganka. — Zdejm...

U kolumny, za którą stali, palił się w górze sześciornamienny świecznik, Cyganka podniosła białą dłoń, obejrzawszy rękę, i zaczęła głową potrząsać.

— Wielkie losy, świetne losy — rzekła. — Powodzenie cudowne, a szczęścia mało...

— To zagadka? — przerwał Brühl. — Jakże powodzenie mieć, a nie mieć szczęścia?...

— A! to tak łatwo, jak być szczęśliwym mimo niedoli i losu! — zawołała zmienionym głosem stara. — A wiesz, dlaczego szczęścia ci zabraknie? Bo serca nie masz...

Brühl szyderczo się uśmiechnął.

— Ty nie kochasz nikogo.

Zmilczał, potrząsając głową.

— Cóż dalej, maseczko; co dalej?

— Jesteś niewdzięczny — szepnęła mu na ucho. — Jesteś ślepy, gonisz tylko za wielkością.

— Cieszy mnie to, — piszcząco rzekł Brühl — iż widocznie bierzecie mnie za kogo innego.

Maska na dłoni napisała mu: Brühl. Wyrwał rękę co prędzej i sam wbok się rzucił, Cyganka go zatrzymać chciała: zniknął. Być może, iż miło mu było odetchnąć swobodniej w tym tłumie, niepoznanym, niezaczepianym. Błądził więc, aż póki nie ukazała się maska, która całą jego zwróciła uwagę.

Fantastyczny jej strój, niby wschodni, jakąś musiał oznaczać królowę... Semiramis czy Kleopatrze, tego nikt łatwo nie odkrył, bo fantazja naówczas w ubiorach większą grała rolę od prawdy historycznej. Szło o to, ażeby być pięknie i wspaniale ubraną, nie o to, aby umarłe wieki wskrzesić ze ścisłością archeologa. Królowa też Semiramis chciała tylko być majestatyczną władczynią, czego postawą i strojem dopiąć jej było łatwo. Ubrana w suknię z długim ogonem, z łamy złotej, na którą przejrzysta od korony na głowie spadała zasłona, z naszyjnikiem ogromnych ametystów na białej szyi, z berłem w ręku, z pasem sadzonym naprzemiany ametystami i diamentami; królowa przytem miała figurę, ruch i chód prawdziwej władczyni serc i ludów.

Na utoczonej szyi ciemne pukle włosów, lekko złotym

pułdrem posypanych, wily się wdzięcznie, a niższa część twarzy, młoda, nieposzlakowanego owalu, miała coś w sobie rozkazującego i wspaniałej, dającej się domyślać, fizjognomji. U małych, różowych uszu wisiały dwie gruszki perłowe na brylantach, a największa z nich pod koroną błyszcziała.

Przechodzącej z wolna ustępowali wszyscy, nikt nie śmiał słowem zagadnąć. Szła, obojętnie spoglądając. Brühl stał pod kolumną, wahał się krótko i pozdrowił ją, rękę przykładając do kapelusza. Zatrzymała się nieco: weneccjanin wyciągnął rękę, podała mu małą, piękną dłoń odniechcenia... szybko nakreślił na niej dwie litery.

Spojrzała nań z uwagą, ale jakby ją to nie obchodziło wcale, że ktoś mógł odgadnąć królowę. Postawszy chwilę, szła dalej, Brühl, jakby nie mogąc się oprzeć, pociągnął za nią powoli. Kilka razy zwróciła głowę ku niemu i, widząc go uparcie idącego za sobą, stanęła. Wśród zielonych krzewów tuż była niezajęta ławka, salon ten udawał ogród i wiosnę; królowa usiadła. Weneccjanin stanął. Popatrzała nań długo i skinęła, aby podał jej dłoń. Posłuszny wyciągnął ją i poczuł, jak H. B. paluszkami na niej nakreśliła i rozśmiała się.

Zatrzymał się więc przed nią i postąpił krok za pomańczę drzewo.

— Że ja was poznałem, — szepnął — hrabino, to nie dziwnego, poznałbym was wszędzie i nie za królowę przebraną. W królewskim stroju tak wam naturalnie; lecz że wy mogliście mnie poznać...

— W stroju jednego z Rady Dziesięciu — odezwał się głos z pod maski, — a komuż on stosowniejszy, jak wam?

— Hrabina jesteś zachwycającą!

Kobieta przyjęła to obojętnie.

— Lecz piękna jak bóstwo starożytne z marmuru, jak marmur jesteś zimną... jak marmur bezduszną.

— Cóż dalej? — zapytała maseczka. — Mówcie co zabawniejszego: słyszałam to tyle razy.

— A cóż ja wam, hrabino, innego powiedzieć mogę! — zawołał Brühl głosem drżącym. — Ile razy spojrzę na was, wre we mnie zemsta, kipi gniew, burzy się zazdrość, a na usta leci przekleństwo.

— Bardzo poetycznie! — szepnęła kobieta. — Cóż dalej?

— Gdybym śmiał, przeklinałbym was i dzień, i godzinę, w której widziałem was po raz pierwszy — mówił czule Brühl. — Ale spojrzę i jestem złamany. Macie nade mną władzę.

— Ale czy ja mam? — odwracając się i spoglądając ku niemu, chłodno odezwała się kobieta.

— Potrzebuję przysięgać i na co się zdała moja przysięga wam, gdy innemu przysięgał przed ołtarzem.

— Ja nie potrzebuję przysięgi — odparła spokojnie kobieta. — Ja chcę przekonania, a tego często i przysięga nie daje.

Patrzyła nań długo.

— Moja miłość...

Kobieta przerwała mu uśmiechem.

— Brühl, — rzekła — wierzę, że kochałeś się we mnie. Cóż dziwnego, miałam młodość, imię i przyszłość dla tego, któremu dostać się miała ręka moja; ale to mogła być taka miłość, jakie widzimy co dnia, rozplamienione o świetle, a gasnące wieczorem. Ja takiej nie chcę.

— Moja dała wam dowody trwałości — mówił Brühl żywo. — Zaczęła się w dzieciństwie, a nie skończyła, gdy jej odebrałaś nadzieję; odpychana wracała, wzgardzona trwa.

— Miłość to, czy ambicja? — spytała kobieta. — W tobie, Brühl, ambicja wszystkiem włada.

Zamilkł nieco Brühl i potrząsł głową.

— Nie przeczę, że, nie mogąc być szczęśliwym, chcę teraz być choćby strasznym i silnym.

Maska nań popatrzała, wsparła się na łokciu i powoli mówić zaczęła:

— Nie wiemy, co przyszłość chowa. Czekaj, bądź mi wiernym. Będę z tobą szczerą: miałam słabość do ciebie, z tobą bym była szczęśliwą; jedno mamy myśli i charakter, ale tak lepiej... mąż i żona, to pojedynkujący się na śmierć wrogowie: my możemy być sobie przyjaciółmi wiernymi.

— Przyjaciółmi! — podchwycił weneccjanin. — Jakże to straszny całun śmiertelny to nazwisko przyjaciela.

Maseczka podniosła głowę, aż w koronie jej zaigrały światłami brylanty, i pokiwała nią ironicznie.

Rączką uderzyła po ręce Brühla, spartej na poręczy.

— Mąż będzie kochankiem, a ja przyjacielem; więc służę wzgardzonym.

— Mąż kochankiem? — rozśmiała się maska. — Gdzież to slyszal? Dwa te wyrazy klóć się z sobą. Mój mąż! mój mąż! ale ja go nienawidzę, ja się nim brzydzę, ja go nie cierpię!

— A poszłaś za niego?

— Król-ojciec wydał mnie, ale się dobrze stało... wierz mi. Jestem swobodna z nim, jestem sobą i całą zachowam się dla przyszłości. Ja wierzę w przyszłość i gwiazdę moją.

— A spotkają się kiedy gwiazdy nasze?

— Jeśli są sobie przeznaczone, powinny.

— Mówisz to, hrabino, tak zimno, tak obojętnie.

— Bo ja zawsze jestem panią siebie, czy kocham, czy nienawidzę. Uczucie, które się zdradza, idzie na łup ludzi.

— Lecz jakże w nie uwierzyć, nie widząc?

— A czemże wiara? — rozśmiała się piękna pani, jak-gdyby chciała przypomnieć Brühlowi przysłowie łacińskie:

„Kto kocha, ten czuć powinien i przeczuwać, a kto nie odgadnie serca kobiety, ten go niewart“.

Kończąc te słowa, wstała nagle, szybko, i nim Brühl się opamiętał, znikła mu z oczów. Jeszcze stał przybity i szczęśliwy razem, rozmyślając, gdy poliszynel do niego przyskoczył, osobliwszy zaprawdę, bo mimo stroju pulcynela, guzy u sukni mający z rubinów perłami osadzanych. Zdawał się biec tu szukać kogoś, a zastawszy tylko wenecjanina w kątku, zatrzymał się, badając go z wielką ciekawością. Pochylił się aż na ziemię prawie, chcąc mu zajrzeć pod maskę, ale Brühl ją przycisnął ręką. Zwijać się począł koło niego z udaną trzpiotowością.

— *Cavaliere nero!* Cóż ci powiedziała królowa? Znasz ją? he, słówko.

— *Sono un forestiero...* Addio — syknął mu Brühl nad uchem i uszedł, ale *pulcinello*, nie goniąc go, śledził. Zbir także nie spuszczał go z oka. Wkrótce obaj się zeszli pod kolumnami.

Pulcinello wspiał się do ucha zbirowi.

— Kto to był?

— Brühl.

— A! a! — wyrwało się z piersi poliszynela. — Odga-dłem go po nienawiści, jaką wzbudził we mnie... Jesteś pewnym?

— Ja, co go więcej od was, panie hrabio, nie cierpię i brzydzę się nim? Jabym go w piekle poznał.

Pulcinello wyrwał się nagle i pobiegł, zobaczywszy królową zdaleka, którą zdawał się śledzić namiętnie. Zbir zadumany błdził bez celu. Towarzystwo ożywiało się coraz bardziej, a ci, co, jak poliszynel, szukali i gonili kogoś, już z trudnością przez tłum i zamęt przecisnąć się mogli. Piski i śmiechy głużyły muzykę. Brühl już był znikł, przesunąwszy się do gospodarstwa królewiczowej. W przejściu spotkał go mnich zakapturzony.

Uczuł się pochwyconym za rękę.

— Jeżeli chciałeś być niepoznany, — odezwał się po włosku — toś się wcale nieosobliwie zamaskował. Któżby cię nie poznał, panie dyrektorze akcyzy?

I począł się śmiać.

— Po czym? — zapytał Brühl.

— Po chodzie, po nodze, po ruchu i po smaku.

Brühl nie mógł poznać maski, rzucił się ku niej: znikła.

Byłby przysiągł, że to padre Guarini, ale cóżby jezuita robił na maskaradzie?

Trochę zmieszany tem, że go poznano, znalazł się w pokoju słabo lampami w alabastrowych urnach oświeconym. Tu go kobieta słusznego wzrostu zatrzymała uderzeniem wachlarza. Nie wątpił, że i ona poznać go musiała, on od-

gadł ją na pierwszy rzut oka; lecz chciał być grzecznym i udał, że się nie domyśla.

— Należy się wam powinszowanie... Brühl.

— O! niema mi czego winszować.

— Wiem, sięgacie wyżej myślą i ambicją, ale po wschodach iść trzeba, inaczej *non si va sano*. Dosięgnęłeś już bardzo wysoko, a jeszcze się nie sparł na ramieniu kobiety, która czasem jak skrzydło podnosi.

Brühl westchnął.

— O! wiem, do kogo westchnienie, i co się w sercu twem dzieje. Lecz niewdzięczną królowę trzeba zapomnieć i szukać innej — mówiła wyniosłego wzrostu pani.

— Szukać, aby, znalazłszy, być znowu odepchniętym i wzgardzonym?

— Wzgardziłaby chyba taka, co by się na tobie nie znała, a tej i żałować nie powinien.

Pochyliła się do jego ucha i, szepnąwszy mu coś, znikła w tłumie.

Szedł dalej. Naprzeciw niego był już stół Frani Kolowrath, otoczony młodzieżą. Dzieweczka zalotna, śmiejąc się, pustując, wyszczerzając ząbki, podawała wszystkim, co kto zażądał. Przypatrywał się jej zdaleka. Była nęcącą i wdzięczną, w oczach jej błyskał dowcip, ale z tą żywością swą zimną, równą dla wszystkich, niewyczerpaną, wydała mu się może straszną. Długo w nią oczy trzymał wlepione, zadumał się i, nie mieszając w tłum, co ją otaczał, uszedł na stronę.

Zaledwie rzucił się na krzesło nieco znużony, chcąc spocząć i skupić myśli, gdy zbir znalazł się tuż i przysiadł do niego. Popatrzał nań zgóry.

— Nieprawda, — spytał — smakowała ci przedtem królowa, teraz myślisz, czyby z szynkarką nie poszło lepiej? Przyznaj się!

Brühl, nie chcąc wdawać się w rozmowę, potrząsł głową.

— To posażna dziewczyna i w fartuszkach komuś dużo brylantów przyniesie... Dla ciebieby się zdała... Wszak je lubisz?

Ani słowa nie odzywał się Brühl i niecierpliwie, ręce skrzyżowawszy na piersiach, nie chciał zważać, co doń mówiono, bo głowę odwrócił w stronę przeciwną. Zbir wszakże wiedzieć musiał, że żadne jego słowo nie pójdzie marnie, i półgłosem mruczał ciągle:

— Patrz, co to za rączki białe, jakie ramionka utoczone, co za twarzyczka brzoskwini, której puszkę nawet ptaszek nie tknął skrzydłem. Kasek ministerjalny, jeśli nie królewski; ale August II już stary, a królewicz za pobożny... sięgnij ręką a weźmiesz. Co potem nastąpi, nie wiem... Patrz, jak się do dwudziestu śmieje, a co oczy jej mówią, aż strach! Takiej żony trzeba takiemu, jak ty, człowiekowi. Hassego,

wielkiego muzyka, ożenili z Faustyną; taki artysta, jak ty, musi się z taką aktorką poślubić. Dziś już doskonale śpiewa swą partję naiwną, cóż to będzie, gdy obejmie *les grandes coquettes*?

Po ruchach tylko mimowolnych Brühla poznać było można, iż to szpilkowanie bezlitośne dotykało go; nie tracił jednak ani głowy, ani postawy zmienił, udał głuchego i, nie patrząc na zbira, wstał i odszedł. Szukał go później niecierpliwie prześladowca, ale weneccjanina nigdzie na salach nie było.

Muzyka brzmiała i maski skoki poczęły, które trwały do rana.

Jeszcze na salach kręciły się ostatnie pary, gdy w kaplicy na Taschenbergu padre Guarini królewiczowej, następcy i katolickiemu dworowi ich głowy posypywał popiołem.

IV.

Pomimo karnawału, mimo olbrzymich budowli, któremi król bawić się próbował, mimo wspaniałości, jaka go otaczała, August II nudzić się zdawał. Chciano go dla roztargnienia ożenić: ziewnął i rozśmiał się; nie życzył sobie sprawać wesela: czasy były ciężkie, a królewskie gody, takiego pana godne, musiały być kosztowne. Noga go trochę bolała; był smutny. Świat już mu nic nie miał do dania; złego i dobrego kosztował tyle, że na dnie czary życia zostały same męty. Najpiękniejsza dziewczyna była dlań powszednim obrazem: w pamięci jego przesuwiał się cały szereg tych istot promieniejących chwilę, a tak rychło uwiedłych. Lubomirska była stara, Cosel zamknięta, inne się rozleciały po świecie. Nie mogąc być szczęśliwym, chciał być wielkim. Słał więc do Afryki uczonych i budowlań.

Wznosiły się koszary olbrzymie na Nowem-Mieście, przeobionem świeżo jego rozkazem ze starego, zakładano kościoły, budowano piramidy i pałace.

Król jechał do Königsteinu nowe mury oglądać i ziewał, przejeżdżał do Hubertsburga i nudził się; kazał się wieźć do Moritzburga i znajdował, że mu spowszechniał, a Dreźnie nawet było nieznośne. Gdyby mu kto tę myśl poddał, możeby był spalić kazał miasto w czasie koncertu, aby je na nowo olbrzymio z ciosu odbudować; ale pomysł był już zużyty.

W Polsce zdawało mu się, że Dreźnie kocha, w Dreźnie tęsknił za Warszawą: nigdzie nie było dobrze. Drugiego listopada przypadło święto patrona łowów, Huberta, którego obchodzono zawsze świetnie; cały dwór królewski i królewiczowski do Hubertsburga się udał; ciągnęły psiarnie i oba

obozy myśliwskie, saski i polski, a nie było mało tej dworni, począwszy od paziów łowieckich aż do łowczego od trufli. Wielkim łowczym dworu był von Leibnitz, wielkim sokolniczym Moszyński i były myśliwskie wojska j. k. mości, które tylko przeciw niedźwiedziom i dzikom służyły.

Ale król znajdował św. Huberta zużyłym i myślistwo zbyt jednostajnem. Niepokój jakiś go ogarniał. Na Nowy Rok zwabił go jarmark do Lipska, na który handlarze mieli cudne przyprowadzić konie, a znalazł, że to były szkapy szkaradne. Aktorki, z Belgji przywiezione, wszystkie miały zęby tak podrabiane, jak konie.

Na otwarciu karnawału wrócił August do Drezna dnia 6 stycznia i na pierwszym balu spostrzegł, iż wszystkie niewieście twarze były powiędłe, oczy pogasłe, usta pobladłe. Sądził, że się zrywaniem sejm w Warszawie lepiej zabawi. Karnawał został na opiece królewicza i padre Guariniego, a królewskie powozy sposobiono do Polski.

Brühl nieodstępnie był przy nim. Inni padali, nikli, odchodzili, mieniali się; ten z pazia już był ministrem, a król się bez niego obejść nie mógł. Akcyza płynęła do skarbu i podatek zasyczał nigdy nie dające się napelnić kasy.

Szlachta sykała; na to był jeden sposób i tego użyto. Dwór zaludnił się obcymi. Włosi, Francuzi, Holendrzy, Duńczycy, Prusacy, Bawarowie powyrastali na dworze, a szlachta saska poszła robić pieniądze dla króla na roli.

Brühl znajdował, że n. pan miał słuszość i że najlepszymi sługami byli ci, których cały los zawisł od króla.

Dnia 10 stycznia dziedzińce zamkowe pełne były koni, powozów i ludzi. Dwór saski i polski gromadził się do podróży. Sale pełne były tych, którzy królowi towarzyszyć mieli. August II żegnał się z synem i jego żoną. Na twarzy jego niecierpliwosć i znużenie zastępowały dawną jasność majestatu. Z wielką czułością cisnął się królewicz do ojca; z powagą żegnała go królewiczówna Józefa. Fryderyk przybył po rozkazy, patrzył w oczy i uśmiechał się, wdzięcząc. Wtem wszedł Brühl, były jeszcze papiery do podpisania i pieniądze do zabrania w drogę; czekano na sto tysięcy talarów, które nadpłynąć miały.

Na wchodzącego dyrektora akcyzy bystro spojrzał król i postąpił ku niemu kroków parę.

— Brühl... pieniądze?

— Są, n. panie! — rzekł, kłaniając się, zagadnięty. — Rozkaz w. k. mości spełniony.

Rozjaśniło się oblicze pańskie.

— Patrz, — zawołał do syna — patrz, polecam ci go... to sługa, który mi odjął trosk wiele, a wiele spokoju przyczynił... pamiętaj! Jemum winien ład, karność i porządek w domu.

Fryderyk, z posłuszeństwem syna wpatrzony w twarz

ojca, chwycił każde jego słowo i okazywał postawą całą, że mu ślubuje być posłusznym.

— Gdybym w Polsce miał takich kilku, jednego choćby, dawnoby już w łeb wzięła ich bałamutna Rzeczpospolita i zaprowadziłbym tam taki ład, jak w Saksonji — dodał król. — Ci wielcy moi przyjaciele i wierni słudzy: Lipski, Hozjusz, cała czereda ich, wszystko się to szlachty boi, a mnie zwodzi. Lecz cierpliwości, koniec temu położę... kilka, kilkadziesiąt głów padnie i będzie cicho. Nie zniosę tego gminu, co mi śmie mruczeć, gdy rozkazuję... Dość tego.

Syn okazywał ciągle najwyższe uwielbienie dla ojca. Pożegnanie rozpoczęte, przerwane, znowu się powtarzało: Fryderyk całował rękę ojcowską. Kamerdynerzy, paziowie, służba czekała już w przedpokoju. Stali urzędnicy, duchowieństwo i w kątku zaszyty ostrożnie, przygarbiony padre Guarini. Król wdzięcznie zegnał wszystkich. Łowczemu polecił jeszcze przywiezione z Białowieży dwanaście żubrów i żubrzyc, które się pasły w Krejern pod Moritzburgiem, i zszedł do gotowych powozów.

Pocztyljonowie siedzieli na koniach, dwór śpieszył na wyznaczone miejsca, w dziedzińcu z odkrytymi głowami stali panowie, rada miasta i mieszczenie, na których król spojrział tylko i kazał im powiedzieć, aby podatki płacili, a w chwilę pusto i cicho było na zamku i w Dreźnie.

Wszyscy czas mieli spoczywać, dopóki by znów król nie wrócił i pańszczyzna bawienia nierozbawionego niczem nie rozpoczęła się na nowo.

W chwili, gdy cały orszak z towarzyszącym mu oddziałem gwardji z zamku na most wyciągał, powóz, który miał wieźć Brühla i jego fortunę, stał jeszcze sam jeden w dziedzińcu zamkowym. Ulubieniec pański, świeżo okryty pochwałą, zszedł na dwór zamyślony słodko, gdy ujrzał przed sobą z chmurną twarzą stojącego Sułkowskiego. Rozjaśniło mu się oblicze, chwycił szybko rękę przyjaciela i obadwaj weszli do dolnej sali.

Twarz Brühla wyrażała już najgorętsze współczucie, najzarliwszą miłość, najserdeczniejsze przywiązanie; Sułkowski dosyć był zimny.

— Jakżem szczęśliwy, że was raz jeszcze pożegnać, jeszcze raz się pamięci i sercu waszemu polecić mogę — zawołał odjeżdżający z zapalem: słodycz głosu dorównywała wyrazom.

— Słuchaj, Brühl — przerwał Sułkowski. — Ja także przypominam ci nasze *Pacta Conventa*! W złej i dobrej doli jesteście i pozostaniemy przyjaciółmi.

— Czyż wy to mnie przypominać potrzebujecie — zawołał Brühl. — Mnie, który dla was mam miłość, przyjaźń, szacunek i wdzięczność?

— Dajże mi ich dowody.

— Pragnę tylko zręczności, nastęrczcie mi ją, do nóg wam padnę! — przerwał Brühl. — Proszę, błagam; ale hrabio! kochany hrabio! jam wasz! wy nie zapominajcie o mnie. Wiecie, co mam na sercu.

— Kolowrathównę! — rzekł, śmiejąc się, Sulkowski. — *Grand bien vous fasse*, będziesz ją miał! Masz matkę za sobą.

— Ale ona?

— O! nie lękaj się, nikt ci jej tu nie zbalamuci. Trzeba tak wielkiego męstwa, jak twoje, aby się ważyć na takie szczęście.

— Jedno i większe od tego mnie minęło — westchnął Brühl.

Sulkowski poklepał go, śmiejąc się, po ramieniu.

— Niegodziwce, — parsknął — albo się co we dworze ukryje? Ty to nazywasz stratą, co jest czystym zyskiem. Moszyński cię nienawidzi nie bez przyczyny.

Brühl zaprotestował gorąco, ręce podjął.

— Ale, mój hrabio!

— O! nie mówże mi tego — przerwał mu Sulkowski. — Znacie się z Moszyńską i w lepszej jesteście zgodzie, niż gdybyście się byli pobrali.

Brühl, nic nie mówiąc, ramionami ruszał.

— Serce moje ma Frania Kolowrathówna.

— A ręka na ciebie czeka i nic, nic, nic! Stara ci ją sama wciśnie. I czas też Frani pod czepek, bo jej się strasznie oczy świecą.

— Jak gwiazdy! — krzyknął Brühl.

— Cóż powie Moszyńska na to?

Wtem Brühl, jakby się ocknął, pochwycił znowu Sulkowskiego rękę.

— Hrabio, — rzekł — nie zapominajcie o mnie u królewicza. Lękam się, czym mu dosyć okazał moją cześć i przywiązanie do niego, moje uwielbienie dla naszej świętej i czystej królewiczowej. Powiedzcie mu...

— Wy o nas nie zapominajcie u króla — dodał Sulkowski. — Ja o was nie zapomnę u mojego pana. Zresztą, mój Brühl, nie tak to ty jesteś tam bez opieki, jak mówisz. O. Guarini cię nawraca, Kolowrathowa cię na zięcia sposobi; nie zaręczam, żebyś tam jeszcze nie miał kogo.

— A wszystko to niczem, jeśli was mieć nie będę — dodał Brühl. — Oddam Guariniego i Kolowrathową i jeszcze coś w dodatku za jedną łaskę waszą.

— Tylko nie Moszyńską! — zawołał Sulkowski i śmiać się począł. — A teraz jedź, szczęśliwco, i kłaniaj się w Polsce wszystkim moim kompatriotom niedźwiedziom.

— A kompatriotkom? — zapytał Brühl.

— Jesliby tam która o Sulkowskiego spytała... ale wątpię... Niemki wolę.

— I ja — dodał Brühl.

Byli już u drzwi. Sułkowski go przeprowadzał.

— *Eh bien, à la vie et à la mort!*

Ścisnęli się za ręce. Brühl już biegł do powozu. Zdała widać było stojącego w dziedzińcu padre Guariniego, po świecku ubranego, w szaraczkowym, długim surducie, który, zakrywwszy prawą rękę lewą, żegnał nią na drogę. I ruszył Brühl za panem swoim do Warszawy.

V.

Było to w pierwszych dniach lutego 1733 roku. Z rana powrócił Fryderyk z łowów w Hubertsburgu, a z nim nieodstępny Sułkowski. Na wieczór przypadało przedstawienie w operze, i nieporównana Faustyna śpiewać miała. Królewicz, jak ojciec, był wielbicielem jej głosu i wdzięków. Czarodziejka trzęsła dworem, tyranizowała swe współzawodniczki, wypędzała tych, co się nie mieli szczęścia jej podobać, a gdy raczyła podnieść głos, w sali było ciszej, niż w kościele, i kto by kichnął, mógł być pewien, że w niej śmiertelnego mieć będzie nieprzyjaciela. Grać miano *Cleofidę*. Fryderyk królewicz cieszył się zawczasu.

Godzina była poobiednia. Odziany jedwabnym, przepyszny szlafrokiem, królewicz, w fotelu z fajką siedząc, trawił z uczuciem tem błogiem, jakie daje posłuszny żołądek i wytworna kuchnia.

Naprzeciw niego stał Sułkowski. Kiedy niekiedy królewicz spojrzał na przyjaciela, uśmiechnął się mu i, nie mówiąc słowa, znowu dym wonny ciągnął.

Przyjaciela a sługa patrzył z pociechą na ubłogosławionego pana, w milczeniu dzieląc się szczęściem jego.

Twarz młodego królewicza była rozpromieniona, ale z obyczaju i usposobienia, gdy był najszczęśliwszym, mówił jak najmniej: dumał. Nikt nigdy nie dowiedział się o czem. Czasami spuszczone głowa podnosiła się. Spoglądał w Sułkowskiego, jak w tęczę wlepiając oczy, Sułkowski odpowiadał mu wzrokiem, i odzywał się.

— Hm! Sułkowski?

— Jestem.

Kiwnął głową i na tem się kończyło. Kwadrans upłynął, królewicz odmienił pytanie i wołał go po imieniu, po włosku, pieszcząco. Hrabia odzywał się, świadcząc o sobie, i znowu następowało wymowne milczenie.

Mówił bardzo rzadko i to, gdy był zmuszonym, nie lubił nic niespodzianego. Życie powinno dlań było płynąć cichem korytem, jednostajnie, nieprzerwanie równem.

Poobiednie godziny, gdy nikogo nie przyjmował, lub tylko poufałe i najulubieńsze osoby, najmilsze mu były.

Z rana musiał przyjmować, słuchać, stać, kłaniać się, podpisywać, czasem się dziwić, a niekiedy trochę pogniewać. Po tych wysileniach spoczynek popołudniowy rozkosznem był wytchnieniem. Jeśli nie było teatru, wieczorem szedł do Józefiny, słuchał muzyki, marząc błogo, i wieczorzą dzień się kończył.

Nigdy mniej trudnego do zabawienia pana nie mieli dworacy. Starczyło mu, byle dzień jeden do drugiego był jak dwie krople podobny.

Właśnie poobiednia rozpoczynała się siesta i królewicz fajkę palił już drugą, gdy Sułkowski, przez okno coś spostrzegłszy, chwilę się zawahał i powoli się skierował ku drzwiom. Oczy królewicza poszły za nim.

— Sułkowski! — odezwał się cicho.

— Natychmiast wracam — odparł, biorąc za klamkę, hrabia, i wysunął się. W przedpokoju dwaj paziowie i służba czekała.

— Nikogo nie wpuszczać beze mnie — odezwał się Sułkowski.

Wszystkie głowy się skłoniły.

Sułkowski wyszedł, przebiegł prędko wschody i w drzwiach stanął zdziwiony.

— Brühl! ty tu?

Okreśniony futrem, w czapce na uszach, śniegiem obsypany, zziębły, zmęczony stanął przed nim w istocie ulubieniec Augusta II, blady nieco i pomieszany. W dziedzińcu widać było powóz, którego konie okrywała buchająca z nich para; pocztyljoni zmęczeni posiadali z nich i stali jak rozbici, ledwie się trzymając na nogach.

Na zapytanie Brühl nie odpowiedział nic, oczyma wskazywał tylko, że co najrychlej chce wniknąć i spocząć. Przybycie to tak coś tajemniczego miało w sobie, tak dziwnego, iż Sułkowski, mocno poruszony, co prędzej ku sali dolnej pośpieszył. Służba dworska, zobaczywszy Brühla, cisnęła się do niego, odprawiała ją skinieniem ręki; on tylko sam i Sułkowski weszli do gabinetu. Brühl szybko począł z siebie zrzucać ubranie. Hrabia stał, czekając choć słowa.

— Brühl, na miłość Boską... z czem przybyłeś?

Jakby nie słyszał pytania, wszedł roztargniony Brühl do gabinetu i na pierwsze krzesło się rzucił, rękę sparł na stole, twarz była ułożona, aby wyrazić smutek i przerażenie. Przed nim stał ulubieniec królewicza z widocznym niepokojem i trochę niecierpliwością.

Duma nie dozwalała mu nalegać... Czekał, podparłszy się, obok.

Brühl wstał i westchnął, obejrzał się wkoło, jakby z rozpaczą, załamał ręce i zawołał:

— Król a pan mój najmiłosierniejszy nie żyje!

Po twarzy Sułkowskiego jak błyskawica przeleciało

wrażenie do określenia trudne, trwoga i radość zarazem; ruszył się, jakgdyby chciał już biec, i wstrzymał.

— Nie przybył przede mną żaden kurjer z Warszawy?

— Nikt.

— Nie wiecie więc nic? Królewicz?

— Nie domyśla się, ani przeczuwa — rzekł Sułkowski i powtórnie ruszył się, jakby iść chciał, a po namyśle zawrócił.

— Należy natychmiast oznajmić o tem królewiczowi — odezwał się. — Lecz jakże się to stało? Król był zdrow...

Brühl wzdychał ciężko.

— Szesnastego przybyliśmy do Warszawy — rzekł cicho. — Drogę mieliśmy niegodziwą, miejscami śniegi, to znowu roztopy i błoto. Król był znużony, zniecierpliwiony, ale zobaczywszy Warszawę, wyjaśniła mu się twarz nieco. Przodem wysłaliśmy kurjerów, przyjęcie było świetne, mimo szkaradnej pory, działa grzmiały, regiment wielkich muszkieterów wystąpił. Wyglądał wspaniale. Karetą zatrzymała się przed gankiem pałacu saskiego. W chwili, gdy król wysiadał, uderzył się o stopień w toż samo miejsce, które go zawsze dolegało, gdzie Weiss odjął mu wielki palec. Ujrzelśmy go zbladłym i opierającym się na lasce, dwóch paziów poskoczyło podać mu ręce, i tak przyprowadziliśmy go do pokojów, w których go oczekiwało duchowieństwo, senatorowie i panie.

Król musiał natychmiast usiąść i żądał od marszałka, aby skrócono przyjęcie, gdyż czuje się znużonym.

Zaledwieśmy z nim weszli do sypialni, kazał natychmiast przywołać Weissa i lekarza, skarżąc się, że czuje jakby ogień i wilgoć w nodze. Rozcięto but: pełen już był krwi. Weiss pobladł, noga nabrzmiała była i sina. Pomimo to...

— Skrcaj! — zawołał Sułkowski. — Królewiczowi donieść kto może o twem przybyciu.

Brühl zbliżył się do niego.

— Hrabio, — rzekł — zdaje mi się, że nim cokolwiek przedsięwzięmiemy, rozmówić się powinniśmy. Królewicz czule był przywiązany do ojca... To wrażenie, jakiego dozna... Czyż nie należałoby go przygotować?

— Przygotować? jak?

— Jestem tego zdania, — wyszeptał Brühl cicho — iż bez porady o. Guariniego i królewiczowej nic przedsiębrać nie należy.

Sułkowski spojrzał nań ze źle ukrytem nieukontentowaniem.

— Ale zdaje mi się, — odparł — że królewicz w tem nie potrzebuje ani pomocy najjaśniejszej królewiczowej, ani duchownej pociechy spowiednika.

— Jabym sądził... — rzekł zmieszany Brühl i spojrzał na drzwi.

Otwierały się one właśnie i o. Guarini wchodził. Skąd się dowiedział tak rychło o przybyciu Brühla, trudno się było domysleć. Szedł ku niemu milczący, z twarzą smutną, mimo zwykłego jej wyrazu, który mu trudno było pokryć: otworzył ręce szeroko, jakby go chciał uścisnąć. Brühl byłby może jedną z tych rąk ucałował, gdyby nie świadek niepotrzebny. Postąpił krok tylko i, skłaniając głowę, rzekł:

— Król nie żyje!

— *Evviva il Re!* — odpowiedział cicho Guarini, podnosząc oczy do góry. — Wyroki Boskie są niezbadane.

— Wie już królewicz?

— Nie jeszcze — rzekł sucho Sulkowski, który na księdza rzucił wzrokiem niezbyt przyjaznym, ani nawet tak pokornym, jak Brühl i drudzy. Guarini też jakby z umysłu nie zwracał się ku niemu.

— Życzeniem mojem jest, oszczędzając, o ile możliwości, królewicza czułość, — dodał Brühl — naradzić się z n. królewiczką.

Guarini skłonił głowę, a Sulkowski nieznacznie ramionami ruszył i na Brühla rzucił przelotne wejrzenie, wyrażające niezadowolenie.

— Idźmy więc wszyscy do pani, — rzekł sucho — bo chwili niema do stracenia.

Brühl spojrział na swój ubiór podróżny.

— Nie mogę się tak przedstawić — odparł. — Idźcie wy, panie hrabio, z ojcem Guarinim; ja suknie każę przynieść do zamku i przebrać się muszę.

Sulkowski w milczeniu przyjął ten wniosek o. Guariniego, potwierdzając go skinieniem, i zwrócił się ku drzwiom. Brühl padł na krzesło, jakby się na nogach utrzymać nie mógł.

Dosyć niechętnie wysunął się za jezuitą Sulkowski, zostawiając za sobą Brühla, który się sparł na rękę i zadumał.

Dumanie to i spoczynek wszakże nie trwały tylko tyle czasu, ile potrzeba było, ażeby oba wysłańcy znikli w ciemnych przejściach pałacu; Brühl podniósł się żywo, prędko podbiegł ku drzwiom, otworzył je i okiem rzucił po sieni.

Kamerdyner stał, jakby na rozkazy czekając.

— Proszę wezwać pazia Berlepscha do mnie, a żywo...

Ruszył się posłuszny sługa, a w pięć minut z pośpiechem wielkim i zadyszany wbiegł młody chłopak w mundurze paziów królewicza.

Brühl, stojący u drzwi, położył mu rękę na ramieniu.

— Berlepsch, ufasz mi, spodziewam się; nie pytaj jak i dlaczego, dostań się do pokoju królewicza i na własną odpowiedzialność, rozumiesz mnie: na własną odpowiedzialność, wypapłaj się, że Brühl przyjechał. Ale prędko! Jeśli co przeszkodzi ci, to się już na nic nie zdało.

Roztropny chłopiec spojrział w oczy mówiącemu, kłamki nie puszczając z dłoni, nie odpowiedział słowa i wyszedł. Brühl na wszelki wypadek znać siadł u stołu i w rękach głowę zanurzył.

Cicho było dookoła, lecz najmniejszy szelest wywoływał w nim drgnienie. Na górze poruszyło się żywiej, po wschodach słychać było żywe kroki: zbliżyły się one do drzwi i mężczyzna młody jeszcze, pięknej twarzy, na której szyderstwo i ironja się wypiętnowały wyraźnie, ukazał się w progu. Zobaczył Brühla i, powitawszy go dziwnie jakoś satyryczną ekscelencją, odezwał się:

— N. królewicz, przypadkiem uwiadomiony o przybyciu waszem, żąda, abyście natychmiast przynieśli mu depeszę.

Brühl udawał zmieszanego.

— Nie jestem ubrany.

— Jak stoicie.

— Czy takie są rozkazy.

— Co do słowa.

Spojrzawszy jeszcze na swój strój, Brühl ruszył się jakby zmuszony, nie mogąc utaić w twarzy się malującego pewnego zadowolenia.

W milczeniu szli oba na górę.

Otworzono drzwi, Brühl wszedł powoli ze smutkiem tak wyraźnym na licu i postawie, że królewicz, który jeszcze fajkę palił w fotelu, upuścił ją z rąk i powstał.

W tej chwili zamknęły się drzwi i Brühl padł na kolana.

— Przynoszę w. k. m. najsmutniejszą nowinę i pierwszy składam hołd u stóp nowego monarchy. Król, a pan nasz najmiłościwszy nie żyje...

Fryderyk stał przez chwilę, jak osłupiały. Zakrył sobie oczy.

Chwila milczenia była z obu stron. Brühl klęczał, Fryderyk dał mu rękę do pocałowania i wskazał, aby się podniósł.

— Brühl, kiedy się to stało? Jak się to stało?

— Dnia 1 lutego skonał król August Wielki na rękach moich, mnie powierzył ostatnią swą wolę, mnie oddał klejnoty koronne i papiery sekretne. Korony i precjoza i droższe nad nie akta przywożę sam i składam u nóg w. k. miłości.

Fryderyk podał mu rękę do pocałowania, Brühl schylił się, o mało nie pokłękł znowu i udał, że płacze: chustką okrywając oczy, zanosił się. Królewicz sięgnął także po chustkę i naprawdę po ojcu, którego kochał i czcił, rzewnie łzy lać zaczął.

— Mów mi, Brühl, jak się to nieszczęście stało! — zawołał cicho.

Cichym głosem, przemagając wzruszenie, począł opowiadać przybyły: przyczynę choroby, przebieg jej cały, przytomność króla, stoicyzm i spokój, z jakim umierał. Na-ostatek dobył z wielką pieczęcią list ostatni i złożył go na kolanach królewicza, który skwapliwie rozerwał kopertę. Był on pisany obcą ręką, podpis nawet widoczny cierpienie zmieniło, ale królewicz do ust go przyłożył.

Pismo zawierało pożegnanie, błogosławieństwo i polecenie synowi najwierniejszego, najlepszego ze sług, oddawcę ostatniej woli. Królewicz spojrział na Brühla i westchnął.

— Stanie się zadosyć żądaniu i radzie niezapomnianego rodzica!

I ręce podniósł do góry.

List jeszcze na kolanach leżał rozarty, Brühl stał w progu jeszcze, gdy wewnętrzne drzwi, do komnat królewiczowej prowadzące, otwarły się i czarno ubrana Józefa, Sulkowski, ojciec Guarini procesjonalnie weszli.

Jakież było zdziwienie ich, widząc królewicza we łzach, u drzwi Brühla w ubraniu podróżnem, a na kolanach ów list ostatni rozpieczętowany.

Fryderyk, łkając jeszcze, rzucił się w objęcia żony, która płakała, ale wedle prawideł hiszpańsko-austrjackiej etykiety, która i formę żalu, i wyraz boleści przepisywała panującym i ich otoczeniu.

Sulkowski rzutem głowy dał poznać Brühlowi swe nieukontentowanie, zbliżył się doń i szepnął:

— Mielście czekać na nas.

— Królowi ktoś zdradził tajemnicę mojego przybycia; zawołano mnie: musiałem być posłusznym.

— Kto?

— Watzdorf.

Sulkowski zdawał się sobie notować to imię w pamięci.

Ciekawy obraz stanowiły zgromadzone tu osoby, wśród których prawdziwy żal tylko rysy królewicza wyrażały. Nawykły czcić ojca, przywiązany do niego, przejęty jeszcze i stratą, i jakąś obawą ciężaru, jaki nań spadał, Fryderyk miał twarz zmienioną. Zwykle wypogodzona i spokojna, wykrzywiona była płaczem i bólem, który tać się nie myślał. Żal królewiczowej Józefiny był przybrany więcej, niż rzeczywisty, a wiele uczuć i myśli z nim się mieszało. Na chwilę nie opuściła ją pamięć na swą godność i etykietę; Sulkowski był zadumany ponuro, jak ten, który przychodzi do władzy i rachuje, jak z nią ma poczynać. Wielka pewność siebie nie opuściła go nawet wobec pani, której winien był poszanowanie. O. Guarini załamane trzymał pobożnie ręce pod brodą, głowę spuszczoną, oczy przymknięte, twarz skrzywioną wyrazem, który nadto dobrze odpowiadał chwili, aby nie był nieco wystudjowany. Brühl, nie zapominając o tem, iż powinien był być pogrążonym w boleści,

nie mógł się wstrzymać od biegania ukradkiem oczyma po twarzach, a najczęściej spoglądał na Sułkowskiego. Zdawał się mierzyć oczyma współzawodnika.

Gdy królewiczówna kilku słowami pociechę starała się wlać w męża, pogrążonego jeszcze w żalu, Sułkowski, nie wyczekując dłużej, ośmielił się, zbliżywszy, podać radę, aby zwołać najwyższych dostojników i dać znać uderzeniem we dzwony miastu i krajowi, że straciły Wielkiego Augusta.

Józefa spojrzała na natrętnego doradcę z pewnym wstrętem, szepnęła mężowi coś, podała rękę i z całym majestatem swym skierowała się ku drzwiom z o. Guarinim, idącym za nią w tej samej postawie, w jakiej go przed chwilą widzieliśmy.

Miedzy pozostałymi panowało milczenie. Brühl na rozkazy czekał, królewicz dawać ich nie śmiał; Sułkowski, najśmielszy, poruszał się z pewną niecierpliwością. Fryderyk miał jeszcze twarz zakrytą chustką. Korzystając z tej bezwładności jego, Sułkowski wskazał Brühlowi, by wyszedł. Oczy jego padły już były na list Augusta i odgadły go więcej, niż przeczytały.

Zawahał się zrazu przybyły, lecz wprędce chwycił za klamkę. Wyjścia jego nie posłyszał Fryderyk. Zostali sam na sam z Sułkowskim. Jakby przeczuwszy to, odjął chustkę od oczu królewicz i obejrzał się po pokoju.

Gdzie Brühl?

— Wyszedł.

— Niech nie odchodzi. Każ mu być tu, proszę!

Sułkowski chciał się sprzeciwić, ale nie śmiał; wychylił się za drzwi, szepnął coś i powrócił.

— Trzeba po królewsku i po męsku znieść, co Bóg zesłał — odezwał się w tonie poufałym. — Królowie nie mają czasu oddawać się smutom.

Fryderyk ręką rzucił tylko.

— Tajna rada zbierze się natychmiast...

— Więc idź i przewodnicz jej, ja nie mogę — rzekł królewicz. — I niech tu przyjdzie Brühl.

— Ale do czegoż tu Brühl potrzebny? — szepnął z wymówką Sułkowski.

— On? Na jego rękach skonał król mój i ojciec, ostatnie tchnienie jego on przyjął. Ojciec mi go polecił, ja chcę go mieć: niech przyjdzie.

— Posłano już po niego — poruszając ramionami, odezwał się Sułkowski, nie tając niecierpliwości.

— Ale nie gniewajże się, Józku — płaczliwie dodał Fryderyk.

W chwili, gdy to mówił, dzwony kościołów stolicy saskiej ozwały się wszystkie językiem żalobnym. Królewicz

padł na kolana i modlić się zaczął, Sułkowski poszedł za jego przykładem. Jedne po drugich odzywały się dzwony i zlewały w ponury chór, któremu szmer i wrzawa miasta rozbudzonego żalobną nowiną towarzyszyła.

VI.

Właśnie, gdy się to działo w pałacu królewicza, za kulisami opery przygotowywano przeznaczoną na ten dzień i niecierpliwie oczekiwaną, choć tylekroć powtarzaną, *Cleofidę*. Przepych, z jakim odegrywano te świetne sztuki, w których nieraz występowało po sto koni, wielbłądy i niezliczone tłumy komparsów w świetnych strojach Wschodu, czarowna maszynierja teatru zwabiały doń przynajmniej tylu widzów, co zachwycający głos signory Faustyny Bordoni.

Faustyna, pierwsza śpiewaczka swego czasu, słynna zwycięstwem nad równie znakomitą Cuzzoni, była tu primadonną w całym znaczeniu tego wyrazu: na scenie, za kulisami i daleko dalej, niżeli one sięgały. Signora Bordoni, choć nosiła imię wielkiego pierwszego kompozytora owej epoki, Jana A. Hasse, mogła była o nim zapomnieć. Małżeństwo to nazajutrz po ślubie rozzerwał rozkaz króla, który muzyka wyprawił na studia w klasycznej Włoch ziemi.

Gdy powóz, wiozący Brühla i smutną wieść o zgonie Augusta Mocnego, zbliżał się do zamku, Faustyna siedziała w swym saloniku, urządzonym dla niej przy scenie i, zrzućciwszy z siebie kosztowne futro, ziewając, zabierała się wydawać rozkazy.

Primadonna nie była pierwszej młodości, ale mimo swej włoskiej krwi, która tak prędko wykwita i przekwita, umiała zachować całą siłę głosu, cały wdzięk postaci i piękność rysów twarzy Junony, jaką ją obdarzyła natura.

Nie było to wdzięczne a delikatne stworzenie, ani eteryczne zjawisko, co, zdaje się, jak mara powietrzna rozlatpiał w mgłach i blaskach, ale silna, wspaniała, majestatyczna postać o posagowych kształtach, jakby energicznem dółtem Michała Anioła wykutych z jednej bryły.

Nieposzlakowana piękność równała głosu potędze. Wszystko w niej było z jej charakterem zgodne i harmonijnie równe: głowa bogini, co skinieniem brwi Olimpem wstrząsa, popiersie nimfy, ręka bachantki, postawa amazonki, nóżka i rączka księżniczki, włos czarny bujny, jak grzywa arabskiego konia... W twarzy, mimo klasycznej piękności rysów, więcej było grozy i siły, niż niewieściej słodyczy. Czarne brwi, nieco za wyraziście zarysowane, marszczyły się często, nosek rozdymał gniewem i usta różowe błyskały ząbkami, jak groźbą. W całej niej znać było nawykłą

do panowania, do hołdów, do rozkazywania istotę, która się nie lękała oczów królewskich i pioruny ciskała nawet na koronowane głowy.

Salonik był strojny wykwintnie, cały biały ze złotem, sprzęty niebieskim pokryte atlasem, a koronkową zasłoną obwieszona tualeta świeciła porcelaną i srebrem. Szafy do strojów okryte były bronzami, od sufitu porcelanowy pajak wisiał, jak kosz kwiatów.

Dwie służki stały u drzwi gotowe na rozkazy. Po rysach ich poznać było łatwo Włoszki, które nawet malowniczego swego opięcia włosów nie porzuciły, srebrnymi iglicami ujętych. Faustyna spojrzała na zegar, stojący w kącie... rzuciła się na sofę, napół leżąc, pół siedząc i bawiąc się jedwabnymi sznurami domowej swej sukni szerokiej, w kwiaty, w której przenieść się kazała do teatru.

Służki stały milczące.

Zapukano do drzwi. Faustyna nie poruszyła się, spojrzała tylko i półśmiejchem powitała ukazującą się w nich twarz pięknego, młodego mężczyzny.

Był to sopran Angelo Monticelli, który przybywał pokłon i cześć oddać królowej. W nim także typ włoski łatwym był do poznania na pierwszy rzut oka; lecz o ile Faustyna energję włoską i żywość wcieliła w siebie, o tyle on przedstawiał wdzięk prawie niewieści. Młody, dziwnie piękny, z włosami czarnymi, długimi, spadającymi na ramiona, przeznaczonym się zdawał na rolę *inamoratic*, na bogów i kochanków. Żaden starożytny Apollo, w zachwycie grający na lirze, nie mógł być nad niego piękniejszym. Tylko dumy i śmiałości bożka mu brakło: pokornym był i uniżonym do zbytku.

Złamał się wpół, oddając pokłon obojętnej Faustynie, która nie przestawała bawić się sznurami swej sukni i ledwie mu główką skinęła. Nogi jego, wylamane jak do tańca, nawet za kulisami nie zapomniały o swych obowiązkach.

— Angelo! — zawołała Faustyna. — Biegasz za temi obrzydliwemi Niemkami... wiem, wiem. Stracisz głos i młodość. Pfe! jak można w Niemce widzieć kobietę. Spójrzże na ich ręce i nogi.

— *Signora!* — rękę kładąc na piersi, odparł prostujący się Angelo, rzucając wzrok w zwierciadło, bo trochę kochał się w sobie. — *Signora, non è vero!*

— Tak, powiesz mi dla wymówki, — śmiejąc się, prze-rwała Faustyna — że one biegają za tobą.

— I to nie: ja tęsknię za włoskiem niebem, włoskimi twarzami i sercem Włoszki... ja tu usycham.

Faustyna spojrzała nań, a ręką dała znać dziewczętom służebnym, ażeby odeszły.

— *Ingrato!* — szepnęła cicho. — Pieścimy cię wszyscy i jeszcze ci źle.

Potem oczy zwróciła na sufit, ziewnęła i zdawała się nie chcieć widzieć pożerającego ją wzrokiem Monticellego.

— Jest już Albuzzi? — spytała.

— Nie wiem.

— Żebyś ty o Albuzzi nie wiedział, cha! cha!

— Wcale mnie ona nie obchodzi.

— Gdy mówisz ze mną! Ale ja o nią nie jestem wcale zazdrosna, ani o twoją apollinową piękność; tylko, tylko jej niecierpię i ciebie, Angelo, nienawidzę...

— Za co?

— Za to, że jesteś nienawiści godny, żeś lalka, żeś ba-lamut. Spójrz na zegar i idź się ubierać.

We drzwiach ukazała się nowa twarz. Był to otyły, silnie zbudowany, wesołego oblicza, ruchów żywych Puttini.

— Moje najgłębsze uszanowanie ekscelencji — zawołał. — Ale przepraszam, może przerywam duet...

Spojrzał na Angela.

Faustyna się rozśmiała, ruszając ramionami.

— My tylko na scenie śpiewamy duety, — dodała — ale wy wszyscy dziś myślicie się spóźniać! Do ubierania!

I ruszyła się z sofy. Angelo także posunął się ku drzwiom, Puttini stał i śmiał się.

— Ja się nie opóźnię: trykoty moje leżą gotowe, a reszta stroju nie zabawi.

Drzwi się rozpadły z łoskotem i mężczyzna w czarnej sukni, w trzewikach i w pończochach, w peruce gładkiej, twarzy pucolowatej, małego nosa, czoła niskiego, wbiegł, jakby przestraszony.

Sama postać jego już zwiastowała coś niezwyčajnego; Faustyna, która się ognia lękała zawsze, krzyknęła przeraźliwie:

— Matko Najświętsza, ratuj! gore! gore!

— Gdzie? gdzie?

Tymczasem ów poseł stał niemy i jakby osłupiały. Był to Klein, jeden z muzyków orkiestry, wielki Faustyny głosu wielbiciel, przyjaciel Włochów i zapalony meloman.

Imię mu było Jan, jak większej części Niemców. Faustyna go na Giovaniego przerobiła i dała mu przezwisko *Piccolo*.

— *Piccolo*? Czyś oszalał! Co tobie? — zawołała.

— Król umarł! Król August Wielki umarł w Warszawi!

Na te słowa Faustyna krzyknęła przeraźliwie, zasłaniając oczy, a wszyscy stanęli niemi. Drzwi za wchodzącym Kleinem zostały otwarte i tuż wtaczać się zaczęło, co żyło w teatrze. Większa część artystów, mających grać w *Cleofidzie*, już napół była ubrana. Albuzzi wbiegła, nie mając czasu zasłonić odkrytego popiersia, ani narzucić nic na najpierwsze ubranie. Piękność jej uderzała nawet przy Fau-

stynie, lecz wszystko w niej było zdrobniałe, a żywość tylko tem większa.

Za nią z jasnym włosom Catharina Piluja i cała czere-
da Włochów i Francuzów, w sukniach ponarzucanych le-
dwie, z twarzami przestraszonymi, których połowę róż,
a pół jeszcze bladość okrywała. Wszyscy się cisnęli do Fau-
styny, zbijali w kupę i powtarzali na wszelkie możliwe gło-
sy: — *Il re e morto!*

Nie można było się zrozumieć, ni usłyszeć w tym gwa-
rze słów i wykrzyków. Na twarzach widać było przeraże-
nie więcej, niż boleść. Mówili razem wszyscy, tylko Fausty-
na milczała, wcale się nie zdając tak bardzo rażoną tą wiadomością.

Ku niej, jako ku wyroczni, zwracały się oczy i uszy,
czekano, co powie; lecz Bordoni znać w tym tłumie nie
chciała się wydać z tem, co myślała.

Dzwony odzywały się w całym mieście.

— Teatru nie będzie, wszyscy do domów! — zawołała
rozkazująco.

Ale jej nie posłuchano, stali jak wkuci przybyli, smutni
i przerażeni.

— Wszyscy do domów! — powtórzyła Faustyna. — Nie
mamy tu co robić, a pewno nierychło grać będziemy.

Sama też zbliżyła się do sofę i zdawała chcieć ubierać
do wyjścia. Jeszcze raz zwróciła się z twarzą rozkazującą
i ręką ukazała drzwi. Smutny tłum poczynął się rozplýwać
i wychodzić szmerząc. Albuzzi zamyślona stała przed zwier-
ciadłem chwilę, spojrzała przez ramię na Faustynę i zwol-
na wyszła z innemi.

Jak tylko drzwi się zamknęły za ostatnim z tych nie-
proszonych gości. Bordoni rzuciła się na sofę. Zdawała się
nie widzieć podżylego mężczyzny, który stał na uboczu i po-
glądał przez okno na ciemność.

Kaszlnięcie dało jej znać o nim.

— A! to wy?

Był to Hasse, z imienia mąż Faustyny.

— Tak — rzekł obojętnie Niemiec czystą i piękną
włoszczyzną.

— O czem myślicie? Czy już żałobne *Requiem* piszecie
dla nieboszczyka?

— Prawieście odgadli. — rzekł, poprawiając peruki,
kompozytor. — Myślałem, czy msza, którą ułożyłem dawno,
Sulla morte d'un eroe, przypadnie dla naszego pana. Mu-
zyk jestem i wszystko u mnie, nawet żal w muzykę się
obraca.

— A w co my się teraz obrócimy! — westchnęła Fau-
styna.

— *Chi lo sa?*

Milczeli. Hasse chodził, ręce włożywszy w kieszenie, z głową spuszczoną. Stał potem przed żoną.

— Nie mamy się czego lękać — rzekł spokojnie. — Hassego niełatwo kto zastąpi, choćby i Porpora. Faustyny — nikt.

— Pochlebco — rzekła Włoszka. — Hasse stary będzie śpiewać lepiej, jak zamłodu a Faustyny głos, jak wypalona świeca, co wielkim płomieniem gorzała... jednego ranka zgaśnie.

— Nie tak prędko — odpowiedział zamyślony Niemiec. — Wy to lepiej wiecie ode mnie.

— Ale nowy pan, ten cichy, spokojny, pobożny, skromny, zawojowany przez cesarzównę pan nasz, czy zechce...

Hasse się roześmiał.

— *E un fanatico per la musica, e fanatico per la Faustina.*

— *Chi lo sa!* — szepnęła zadumana. — Gdyby nim nie był, trzeba go uczynić takim.

Promień myśli jasnej przebiegł po jej czole.

— Biedny stary August nie żyje — rzekła, zniżając głos. — Radabym mu piękną powiedzieć mowę pogrzebową, a nie potrafię.

Hasse ramionami ruszył.

— Mów pogrzebowych mu nie zbraknie, — rzekł głosem prawie niedosłyszczanym — ale przyszłość inny o nim wyrok wyda. Wspaniałym był tyranem i żył dla samego siebie. Saksonja odetchnie może.

— Jesteś niesprawiedliwym! — zawołała Faustyna.

Mogła być kiedyś szczęśliwszą świetniejszą, słynniejszą?... Blask od tego bohatera padał na nią.

Hasse boleśnie się uśmiechał.

— W loży teatru wydawał się bohaterem, gdy do was się uśmiechał, cały brylantami okryty; ale kraj łzami te diamenty oplacał. Radość i śpiewy rozlegały się po Dreźnie, a jęki po Saksonji i Polsce. Tu był przepych, tam nędza.

Faustyna się porwała oburzona.

— Tace, milcz — zawołała. — Nie dam ci nic mówić na niego. Brzydka zazdrość odzywa się z ciebie.

— Nie — rzekł Hasse spokojnie, patrząc na nią. — Całą moją miłość pochłonęła muzyka, a piękną Faustynę ukochałem w jej głosie i starczyło mi, gdy go słyszał lub nawet marzył o nim. Faustyna nie mogła widzieć króla inaczej i ja milczę.

Hasse poczał się przechadzać zamyślony, gdy drzwi uchyliły się i wnet zamknęły. Wchodzący zaledwie się w nich ukazał i cofnął natychmiast, ale Faustyna miała go czas zobaczyć, poznać i zawołała, aby wszedł.

Z pewnem wahaniem usłuchał rozkazu. Był to ten sam Watzdorf, który Brühlowi przyniósł rozkaz królewicza... dziwna twarz dworaka, przenikająca oczyma, śmiejąca się

ironją, nielitościwa szyderskim wyrazem; ruchami i postawą przypominał zbira na maskaradzie.

— Myślałem, — odezwał się, wchodząc i uśmiechając do Faustyny — że jeszcze nie wiecie nic?

— Dzwony przecież obwieściły to miastu i światu — mówiła Włoszka, zbliżając się do niego z ciekawością.

— Tak, ale dzwony zupełnie jednakowo jęczą i radują się na pogrzeb i wesele; mogliście więc sądzić, że która z księżniczek urodziła się i że się nam radować każą.

Ruszył ramionami.

— Biedny król! — westchnęła Faustyna.

— A! — podchwycił złośliwie Watzdorf. — Żył dużo, miał trzysta co najmniej kochanek, rozsypał miliony, wypił rzekę wina, nałamał podków i naścinał głów dosyć... czyż nie czas było odpocząć?

Nikt nie śmiał mu przerwać, Hasse tylko nań spojrzał ukradkiem.

— Cóż teraz będzie? — spytała Włoszka.

— Mieliśmy operę *Il Re Augusto*, wystąpi może inna z nowym tytułem i nielepszą. Pierwsze w niej role grać będą: córka cesarów, padre Guarini, padre Salerno, padre Vogler i padre Kopper, a w dodatku jaki frate... nazwiska nie zgadnę. Faustyna śpiewać im będzie, jak śpiewała; Hasse pisać, jak pisał opery. Gorzej z nami, komparsami dworu, gdy pierwsze role obejmą pазie z całego świata i lokaje ze wszystkich dworów.

Hasse, który słuchał, skłonił się i cicho szepnął:

— Dosyć dosyć a nuż kto pode drzwiami. Nam tego nawet słuchać niebezpieczno.

Watzdorf ruszył ramionami.

— Gdzież pan był w marcu przeszłego roku? — zapytała niby roztargniona Faustyna.

— Ja? w marcu? czekajcie... No, nie wiem.

— Znać chyba, żeście nie byli w Nowym-Rynku, gdy na nim prezentowano smutny dramat majora d'Argelles.

Watzdorf milczał, nie przerywając.

— Wiecie ten d'Argelles, co to tak ostrą mówił prawdę, czy potwarz, nie oszczędzając nikogo, co je pisał i rozsiewał. Ja miałam oko naówczas i patrzyłam. Żal mi było biedaka: wydali go Francuzi, bo niegdyś służył on u nas. Postawili go pod pręgierzem wysoko wśród tłumów ludu. Kat nad głową złamał mu szpadę i rzucił pod nogi, dał mu dwa policzki, aż krew się ustami rzuciła i garść paszkwilów wetknął mu w gębę. Plakałam, patrząc na biednego człowieka. Siedzi w Kaspelhaucie w Gdańsku z ogoloną głową, aż się śmierć nad nim zlituje.

— W istocie to ciekawa historia, signora Faustyna — odezwał się szydersko Watzdorf. — Ale wiecie kogo ja wię-

cej żałuję, niż majora d'Argelles? Tego, który się tak okrutnie i niehumanie mścił na nim.

To mówiąc, Watzdorf spojrział na Włoszkę nieulekły wcale.

— Signora Faustyna, — rzekł — teraz następuje żałoba, będziecie mieli czas odetchnąć i głos nastroić tak, aby nowego pana oczarować, a królować mu, jakście nad nieboszczykiem królowali. A wiecie, co ja wam powiem?... To będzie daleko łatwiejsze. August Wielki był największym z balamutów; ten lubi spokój i pali zawsze z jednej fajki. Gdy mu podają nową, głową wstrząsa, i gdyby mógł a chciał, toby się gotów rozgniewać.

Rozśmiał się Watzdorf.

— Więc — dodał — jam tu niepotrzebny, wy już o wszystkim wiecie, a mnie czas myśleć na jutro o żałobie. Jeśli nie może w niej chodzić serce, niech się ubierze ciało: nikt głęboko nie zajrzy.

— Zapomniałem, — rzekł nagle, zwracając się od drzwi do Faustyny — jakże jesteście z Sulkowskim? Jutro on na tron wstępuje i jutro Brühl albo pojedzie do Turyngji, albo przystanie do niego za lokaja, ażeby mu, dobrawszy godziny, nogę podstawić... Brühl z ojcem Guarinim są w najczulszych stosunkach.

Hasse syknął. Watzdorf nagle dłonią zakrył usta.

— Czy nie wolno, milczę.

Faustyna była zmieszana.

— Signore, — rzekła, zbliżając się do niego — jesteście niepoprawni. Tu, z nami, nic wam nie grozi.

Palec położyła na ustach.

— Ja się nie lękam grózb żadnych — westchnął Watzdorf. — Ambicji innej nie mam, oprócz, bym został zawsze uczciwym człowiekiem, a jeśli mnie wsadzą do Königsteinu, nie będę narażony na pokuszenie. A i to coś znaczy.

— O! bogdajbyś nie był prorokiem! — rzekł Hasse, składając ręce. — Myślcie, co chcecie, lecz mówić...

— Cóżbym miał za zasługę z myśli, gdybym jej między ludzi nie rzucił... — odpowiedział już we drzwiach Watzdorf. — A zatem dobrej i najlepszej nocy państwu!

I zniknął.

— Niema wątpliwości, — odezwał się Hasse — że skończy tam gdzie powiedział; może tylko, jeśli celi niema wolnej w Königsteinie, dostanie się do Sonnensteinu lub Pleissenburga.

I westchnął, a Faustyna mu odpowiedziała westchnieniem.

Nazajutrz, ktoby się był wpatrzył w fizjognomję miasta, na które od dnia wczorajszego spadła żaloba, zaledwieby w niej dostrzegł oznaki żalu, ale niepokój był wielki i ciekawość silnie rozbudzona.

Okolo zamku i pałacu na Taschenbergu krążyły ostrożnie kupki ludzi, usiłując odgadnąć, co się wewnątrz działo. Widać było ruch niezwykły, ale porządek w zaciąganiu wart, gwardji i szwajcarów pozostał niezmienny. Karety z zapuszczonemi oknami i zakryte lektyki przebiegały miasto w różnych kierunkach. Ruch ten był cichy jakiś i jakby stłumiony. Uroczyste i urzędowe oznaki żaloby jeszcze się były nie rozpoczęły, a serdecznego smutku na twarzach znać nie było. Na każdego wyjeżdżającego kurjera spoglądał tłum z ciekawością i domysłami, gonil go oczyma i szeptano sobie, dokąd i poco mógł być posłanym. Nie śmiano jednak mówić głośno... Königstein był blisko i u steru, jak się zdawało, pozostać mieli ciż sami ludzie, myśl ta sama, bo królewicz, a dzisiejszy kurfirst, nadto czcił ojca, ażeby chciał co odmieniać; nadto mu był posłusznym nawet po zgonie, aby się wazył coś począć z siebie, i nadto był przyjacielem spokoju, żeby zmianami chciał sobie ściągać kłopoty. Domyślano się tylko, że Brühl padnie, a Sulkowski się podniesie nad wszystkich, a jakie będą rządy nowe — tego nikt odgadnąć nie umiał.

Brühl już naówczas zamieszkiwał kamienicę w Nowym-Rynku. Koło niej było cicho. Wiedzano tylko, że on wczoraj odwiózł klejnoty, korony, precjoza i całą tajną królewską kancelarję. Co się działo na zamku i w pałacu na Taschenbergu, o tem z ulicy tylko po przebiegających i przejeżdżających sądzić było można. Powozy zajeżdżały i odchodziły, lektyki się mijały, posłańcy krzyżowali.

Cały dzień spłynął tak w zagadkowej ciszy i pozornym spokoju. Pomniejsi urzędnicy wypatrywali znaków na ziemi i niebie komu się kłaniać, a na kogo pluć mieli.

Hennicke, powiernik Brühla, były ów lokaj, którego i teraz, gdy już się radcą zwał, pocichu jeszcze tem imieniem mianowano, siedział z rana w swoim domu, przytykającym do brühlowskiego na Nowym-Rynku.

Za owych czasów, gdy jeszcze ani marzył do jak wysokich dojdzie zaszczytów. Hennicke ożenił się był z prostą dziewczyną słuźebną, która naówczas nie miała za sobą nic, oprócz trochę młodości i wdzięku. Dziś, gdy oboje znikło, pani radczyni Hennicke, dobra zresztą kobieta, była utrapieniem dla męża, bo się z nią pokazać nie mógł, tak jawne nosiła w ruchach i obejściu się całem ślady pierwotnego pochodzenia. Mimo przywiązania swego do męża i pana, męczyła go gadatliwością i drobnostkami. Właśnie się jej pozbywszy,

ziewał podparty na łokciu, gdy do jego mieszkania wszedł, nie oznajmując się wcale, szybko i niespodzianie mężczyzna dosyć przystojny, śmiały, znać dworak, ubrany wykwinie, choć już cały w czerni, średniego wieku, i żywych i roztropnych oczów.

Z twarzy nic wnioskować nie było można, oprócz, że mu na bystrości nie zbywało i na przebiegłości, jakiej wymaga życie wśród wiecznie krzyżujących się intryg, które, jak koła mijających się wozów, pochwycić i zgnieść mogą człowieka. Wchodzący rzucił kapelusz na krzesło, dobył tabakierczkę z kieszeni i załzył z niej szczyptę, podając ją na przywitanie Hennickemu, który nań ciekawie spojrzał.

— No, jak e myślisz; co będzie? — zapytał przybyły, zamykając tabakierczkę i wsuwając ją do kamizeli.

— Nic nie myślę, czekam i patrzę — odparł Hennicke zupełnie spokojnie.

— Brühl, jak ci się zdaje?

Spojrzeni sobie w oczy.

— Co mówią? — spytał Hennicke.

— Każdy mówi to, czegoby sobie życzył: jedni, że Brühla wypędzą, a bodaj do kalkulacji pociągną i wsadzą; drudzy, że Brühl innych wygoni, pozasadza i zdusi. A wam, jak się zdaje?

— Ja wam mówiłem, że mnie się nic a nic nie zdaje — odparł Hennicke. — Jeśli Brühla wsadzą, ja pomogę popychać, jeśli Brühl ich zdusi, pomogę dusić. Dzięki Bogu, nie stoje jeszcze tak wysoko, abym, padając, kark skręcił.

Przybyły rozśmiał się.

— To rzeczywiście jedyna rozumna polityka wyczekiwania, a jak najmniej się mieszać do rzeczy i stać sobie na boku.

— Tak, tak! panie radco Globig — z półuśmiechem dodał Hennicke, wstając z krzesła. — Naprzód się wyrwać niedobrze, wtyle zostawać niebezpiecznie, środka się trzymać i na wszystkie strony patrzeć: to rozum.

— Ale, — rzekł ciszej — między nami powiedziawszy, idę z waćpanem o zakład... o co się podoba... stawić nawet jestem gotów moją żonę przeciw młodszej innej, bo mnie dziś okrutnie zmęczyła gadanina, że... (zbliżył się do ucha), że Brühl się utrzyma, a gdy się utrzyma, stawię znowu, co chcecie, że z nim nie wytrzyma nikt i że oto dzisiejszego dnia inaugurujemy panowanie j. k. mości Brühla I-go, które, aby jak najdłużej trwało, Boga błagajmy. Obu nam, panie radco, będzie z tem bardzo dobrze... Ale wy pewnie z zamku? Na Boga, co w zamku? Co słychać?

— Nic, cicho jak w grobie; sposobi się żałoba. Ojciec Guarini przemyka się od kurfirsta do kurfirstowej, Sulkowski na straży stoi od rana, a Brühl nie wiem nawet, co z nim się dzieje...

— Znajdzie się! — szepnął Hennicke.

— Królewiczowa, zszedłszy na kurfirsta żonę i pozbawiona królewskiej korony, podobno temu nierada.

— To ją Brühl robi królową... — rozśmiał się Hennicke.

W tej chwili coś zatętniało pod oknem, obaj rzucili się patrzeć; oddział gwardji, już z krepami na rękawach i pookrywanymi krepą zbrojami, pędził ku zamkowi. Kamerdyner dworski w liberji wielkiej wchodził do kamienicy. Hennicke rzucił się ku drzwiom. Globig wziął za kapelusz. Puknięto, wszedł ogromny mężczyzna z małym biletem w rękę. Hennicke rzucił nań okiem, a Globig z za niego utopił także wzrok ciekawy w karteczce; nie mógł jej jednak przeczytać, bo ją gospodarz zaraz wetknął do kieszeni: zbliżył się do kamerdynera i odprawił go kilku cichymi słowami.

Zostali znowu sami.

— Niema w tem tajemnicy — odezwał się Hennicke z uśmiechem. — Potrzeba wiele pieniędzy, musimy powymiać zasięki. Niema ich, ale muszą być.

Globig i on wzięli za kapelusze obaj.

— Hennicke... spodziewam się że my z sobą zawsze.

— Nawet gdyby padać przyszło? — rzekł u drzwi stojący gospodarz, krzywiąc twarz ironicznie.

— A pocóż, — odparł szybko Globig — owszem, gdy jeden pada, drugi powinien zostać i twardo stać, aby go podnieść. Gdy się przyjdzie do góry piąć to razem.

— A gdy padać, to kulakiem w kark? — spytał Hennicke.

— Nie, tego nie wymagajmy od siebie, cha! cha!

Podali sobie ręce.

Hennicke już wychodził, gdy w przedpokoju ukazał się nowy przybylec: postać wysoka, długa chuda. ręce cienkie, nogi jak laski, twarz przeciągła, niepiękna, ale pełna życia i pojętności.

— Patrzcie! i ten tu! — rozśmiał się Hennicke.

Globig uderzył ręką po boku.

Długi mężczyzna wszedł, klaniając się.

— No, panowie! Cóż się dzieje? Co? Padamy, czy idziemy w górę?

— A niecierpliwi! — krzyknął gospodarz. — Czekajcie.

— Gdy idzie o skórę — odparł przybyły.

— Panie radco Loss, nasze skóry, wszystkie trzy razem zszyte, jeszcze wygodnego siedzeniaby nie pokryły. Na szerszych plecach się tam wszystko rozstrzyna. Słyszeliście coś?

— Co? to, co wszyscy przewidywali: Sułkowski pierwszym ministrem.

— Ciekawa rzecz! — syknął Hennicke szydersko. — Sułkowski katolik w protestanckiej Saksonji nie może być prezydentem rady, chybaby się nawrócił na lutra, a gdyby to

uczynił, królby mu w oczy napluł i dał kolanem... nie mówiąc już o królowej.

— A wiesz, że masz słuszość. — przerwał Globig. — Mnie to na myśl nie przyszło.

— Zapomnieliście o tem, — zawołał Loss, pokazując długie zęby w uśmiechu — że n. pan może zmienić prawo.

— Bez zwolania sejm? — spytał Hennicke.

— Chociażby... jest tu panem — mówił Loss. — To przecież nie Rzeczpospolita Polska, gdzie szlachta robi, co chce, a król się kłaniać jej musi.

Hennicke chrząknął, bo chód szybki dał się słyszeć u drzwi i w tejże chwili wchodził już, szeroko je otwierając, słuszny, barczysty, otyły mężczyzna, który zrazu stanawszy, kapelusza nawet nie zrzuciwszy i nie witając nikogo, przypatrywał się zgromadzeniu.

Był to trzeci radca, Stammer.

— Cóż to, sejm? — zapytał zwolna, obnażając głowę.

— Niespodziany — przerwał trochę markotno Hennicke. — Doprawdy, gotowi pomyśleć, że my tu konspirujemy.

— Kto dziś na co patrzy i o czem myśli? to się dopiero zacznie jutro — rzekł Stammer. — Dziś każdy o sobie дума i rozlicza się z sumieniem, czy przeciwko wschodzącemu słońcu nie zgrzeszył, kłaniając się zachodzącemu; bo to wiadoma rzecz, że, stanawszy twarzą do zachodu, czemś innem musi się człek obrócić na wschód.

Rozśmiali się pp. radcy.

— Stammer, ty, co wiesz wszystko, — zawołał Globig — co słyhać?

— Dzwony, dzwony, dzwony! — rzekł Stammer. — Gdybym co innego i posłyszał nawet, bądźcie pewni, że strzegłbym się cokolwiek mówić: kto dziś z nas wie, co wróg a co przyjaciel? Milczeć należy, jednym okiem płakać a drugim się śmiać i cicho, cicho, cicho! Hennicke z kapeluszem... — rzekł po małym przestanku — wychodzisz?

— Muszę... — przepraszając oczyma przytomnych, odezwał się gospodarz. — Służba.

— Tak, tak, najważniejsza — dodał Stammer. — Każdy służy dziś sobie... niema więcej wymagającego pana.

— W istocie, nie wiecie nowego nic? — zcichą rzekł Globig, zbliżając się do Stammera.

— Owszem, wiem mnóstwo rzeczy, ale ich nie powiem, z wyjątkiem jednej wiadomości.

Wszyscy się zbliżyli.

— My Sasi dołem, Polacy górą! Nasze kurfirstostwo już w kieszeni, więc o nas się nikt nie zatroszczy; ale korony polskiej nam trzeba, więc Sapiehowie, Lipsy, Czartoryscy, Lubomirski, Moszyński, Sułkowski na przodzie.

— Sulkowskiego położyliście na ostatku? — spytał sztydersko Loss. — Ho! ho!

— Dlatego, że on powinien być na początku — rzekł Stammer. — A teraz, ponieważ czas gorący, choć na dworze zimno, żegnaj panów.

Włożył kapelusz na głowę i wysunął się pierwszy. Za nim powoli wyszli drudzy. Na ostatku został gospodarz, który znać osobno iść chciał, bo się przypóźnił, wydając jakieś rozkazy.

Z bramy domu każdy z nich, obejrzawszy się ostrożnie, pociągnął w inną stronę.

W rynku tylko kupki ludu i żołnierzy przemaszerowujących widać było. Z równą ciekawością rozpytywano, badano dowiadywano się po innych domach saskiej stolicy, ale do wieczora nikt nic pewnego powiedzieć nie umiał.

Już zmierzchało, gdy lektyka zatrzymała się przed domem, w którym mieszkał o. Guarini. Pokój ten, gdzieśmy go widzieli z Brühlem, był jego gabinetem. Tu tylko przyjmował poufale gości spowiednik królewicza i królewiczowej, najmniej widoczna a największa owa potęga na dworze. Skromnych bardzo obyczajów i wymagań staruszek, nie potrzebował dla siebie rozległego pomieszczenia, ale go przyjęcie licznych, dostojnych nieraz gości wymagało. Całe też piętro zajmował padre, a wedle tego, kogo miał u siebie, obchodziło się pokojem, w którym na kanapie leżała gitara, lub salonem w surowym stylu umeblowanym, albo pokojami, w których mieściła się jego biblioteczka, obrazy i inne zbiory.

Z lektyki wysiadł słusznego wzrostu mężczyzna w ciemnym stroju świeckiego człowieka, ze szpadą u boku. Twarz to była cudzoziemskiego typu, wielce arystokratycznego pokroju, rysów delikatnych i pięknych, ale blada i zwiędła. Uśmiech nadzwyczajnej słodczy i łagodności ją okraszał. Wysokie czoło białe, oczy ciemne wypukłe, nos rzym ki, wąskie usta, twarz ogolona starannie nadawały mu cechę kawalera większego świata. Na ramionach miał płaszcz czarny, a u sukni koronki tylko białe i żadnych świecidełek.

Śmiałym krokiem przebiegłszy wschody, nieznajomy zadzwonił do drzwi, a gdy mu stary sługa Guariniego otworzył, nie pytając i nie oznajmiając się wcale, wszedł w głąb sieni. Co widząc, sługa podążył co prędzej otworzyć mu drzwi, nie już gabinetu, ale salki gościnnej o. jezuitę.

Była ona ciemną, przybraną skromnie i pełną pobożnych godel i obrazów. Trochę pyłu na sprzętach dawało się domyślać, że tu mało kto gościł zwyczajnie.

W pokoju tym i teraz nie było nikogo, ale o. Guarini w tejże chwili wyszedł z gabinetu, usłyszawszy bieganie i zobaczwszy przybyłego; nieco zdumiony, z największą pokorą zniżył przed nim głowę, założywszy ręce na piersiach.

Przybyły zbliżył się doń i obaj pocałowali się w ramiona, ale Guarini zniżył się prawie do ręki.

— Nie spodziewaliście się mnie — rzekł prędko stłumionym głosem gość. — Ja sam nie wiedziałem, że tu dziś będę. Domyślicie się co mnie tu sprowadza... chwila obecna jest najwyższej wagi.

— Wysłałem już wczoraj po instrukcje — odparł cicho gospodarz.

— Ja wam je przywożę. Każcie zamknąć drzwi wasze. Musimy być sam na sam.

— Na to nie potrzeba rozkazu — odezwał się Guarini. — Jesteśmy tu zupełnie bezpieczni.

— Nie traćmy więc czasu! Jak rzeczy stoją? co się święci? obawiacie się czego? potrzeba wam pomocy? mówcie a radźmy zawczasu.

Guarini się zamyślił, ważąc, co powie.

Chociaż przybyły ubrany był po świecku, jak mówiliśmy, odezwał się doń potem cicho:

— Najprzewielebniejszy ojczu! Stan dworu jest wam tak dobrze jak mnie wiadomy. Królewicz gorliwym jest katolikiem, królewiczowa jeśli być może, żarliwszą jeszcze. Ulu-bieniec pierwszy Sulkowski, katolik tak też. Wszystko niemal, co ich otacza, wyznaje świętą wiarę naszą.

— Ale Sulkowski! Słyszę, że na nim ma spocząć cała waga przyszłości. Królewicz dobry, słaby leniwy powodujący się i pracy nie lubi; za niego więc ktoś rządzić musi. Jeśli Sulkowski, możemyż mu zaufać?

Guarini zamyślił się, spojrzał w oczy przybyłemu, rękę jedną do ust przyłożył i głową potrząsł.

— Katolik jest, — rzekł po chwili — lecz chłodny. ambicja u niego więcej wiary; wpływ jego dłuższy byłby nam, katolicyzmowi, sprawie nawrócenia zgubnym. Niema wątpliwości...

— A jednak ominąć go, obalić go. o ile wiem, niepodobieństwo — zawołał gość. — Królewiczowa ma li dosyć siły?

— Z jej twarzą i z jej charakterem? — szepnął padre. — Myślicież, że w tej spokojnej, dobrej znacznej naturze królewicza nie odezwie się krew Augusta Mocnego i namiętności jego? Czyż to możliwe? Cóż będzie znaczyć królowa? Sulkowski podda mu inne. aby przez nie rządził.

Przybyły zmarszczył brwi i ręce zalał.

— Kreślicie mi obraz nadto smutny! — zawołał. — Na to bądź co bądź należy szukać rady.

— Wcześniej o tem myślałem — począł Guarini, sadzając gościa na kanapie, a sam zajmując krzesło obok niego. — Nam przy królewiczu potrzeba człowieka, któryby całkiem był naszym, nam służył, od nas zawisł. Fryderyk jest gnuśny, jemu usłać miękkie łoże, urządzić mu jego uciechy ulu-

bione, dać mu operę, polowanie i obrazy. Któż wie, — westchnął — może coś więcej jeszcze...

Przybyły brew namarszczył.

— Smutna to rzecz — przerwał — gdy w wielkiej sprawie do małych i wstrętliwych środków się uciekać należy; smutna...

— *Cum finis est licitus, etiam media sunt licita* — zcichaczycywał padre Guarini. — Środków nie można ograniczać: każdy wypadek innych wymaga.

— Rozumiem, — rzekł gość — sprawa jest zbyt wielkiej wagi, abyśmy nie mieli dla niej narazić się choćby na potwarze. Idzie o odzyskanie dusz, o utrzymanie się na stanowisku w tem dawnym ognisku ohydnej herezji Lutra. Mamy narzędzia, puścić je z rąk dla skrupułów byłoby grzechem; raczej jedną zgubić duszę, niż poświęcić ich tysiące...

Guarini słuchał z pokorą.

— Mój ojczcie — rzekł zcichaczycy. — To wszystko stokroć powiedziałem sobie, dlatego ja w sukni tej oplwanej i bez sukni służyć jako umiem nie zawsze jako przewodnik sumienia, często jako *pulcinello* u królewicza, jako *impressario* za kulisami, jako doradca o mroku tam, gdzie rada potrzebna. Gdy idzie o wzięcie twierdzy, a nie można jej zdobyć siłą, opanowyywa się ją podstępem: *Media sunt licita*.

— My tego, mój ojczcie mówić sobie nie potrzebujemy — odezwał się gość. — Odkryjcie mi plany swoje.

— Postępować musimy ostrożnie — począł Guarini. — Nie gorszcie się nami; nieraz wam tu przyjdzie westchnąć nad przewrotnością naszą, ale ze słabymi ludźmi jakże iść, nie wiodąc ich na pasku ich własnych namiętności... Królewiczowej jesteście pewni, ją osłonić i jej wpływ umocnić, gdyby było podobna, to pierwsze zadanie. Ale najświętobliwsza ta pani jest — przebaczcie mi, ojczcie — najnieznajniejsza w pożyciu, a król potrzebuje rozrywki i bez niej nie wyżyje. Jeśli my mu jej nie damy, chwyci najzakazańszą, gotów...

Nie dokończył o. Guarini, a po chwili mówił dalej:

— Sulkowski nikogo słuchać nie będzie poświęci wszystko sobie, aby króla utrzymać pod panowaniem swem: da mu, co zechce. My nigdy pewni jego być nie możemy: musimy go obalić.

— Jakim sposobem?

— Przyjdziemy do tego: narzędzia wyborne dała nam Opatrzność. Mamy człowieka. Tym jest Brühl.

— Protestant? — podchwycił gość.

— W Saksonji i jawnie będzie nim, w Polsce i w domu jest katolikiem. Musimy na to dozwolić, wiecie, co powiada Maldonatus nasz: *Quando vobis dissimulantibus religio vera aliquod detrimentum acceptura esse, aut aliqua religio falsa confirmaretur. Alias illam dissimulare licet, aliqua causa le-*

gitima interveniente. Brühl będzie, a raczej jest katolikiem. Damy mu żonę katoliczkę, którą mieć będzie z ręki królewiczowej i naszej; pomożemy mu do obalenia Sulковского: z nim jesteśmy tu panami. Nikt nas nie posądzi o udział w tej sprawie, bo jawnie za protestantem nie moglibyśmy obstawiać przeciwko katolikowi.

— Lecz jesteścież go pewni?

O. Guarini się uśmiechnął.

— Będzie w mocy naszej, zależnym od nas; gdyby pomyślał o zdradzie, padnie jutro: na to aż nadto mamy środków.

— Plan jest wyborny, nie przeczę, — po chwili namysłu przemówił nieznajomy — ale wykonanie jego zdaje mi się wątpliwem.

— Z dziś na jutro niemożliwemby było, — rzekł o. Guarini — rok, może dwa, może więcej pracować będziemy musieli, poruszyć wszystkie sprężyny; ale zwycięstwo tak pewne, przy łasce Bożej, jak tylko w ludzkich sprawach rachuba pewną być może.

— Opieracie wszystko na charakterze kurfirsta?

— Tak jest — odpowiedział Guarini. — Ale ja z nim, przy nim, mogę rzec w nim, jako spowiednik jestem od lat wielu; znam go jak dziecię którebym wykołysał na rękach.

— Królewiczowa? — spytał gość.

— Święta i zacna niewiasta, lecz Bóg nie dał jej nic niewieściego i uroku żadnego, władzy żadnej. Dla takiego pana ona nie starczy.

— Na Boga! Przecież nie dopuścicie, aby po ojcowsku szalał i siał zgorszenie i puścił się na rozkielznaną rozpustę.

— My nie potrzebujemy go wstrzymywać nawet — rzekł Guarini. — Jego natura powściągnie go od jawnego zgorszenia, ale nie od okielznanania namiętności. Będą one skryte, nałogowe, niewidoczne, a uparte. Musimy wiele znieść i na wiele zamknąć oczy, aby go przy wierze utrzymać.

Przybyły ręce złożył i głową poruszał smutnie.

— O' biadaż tym, co dla świętej sprawy w kale pracować muszą! I jak się tu nie zwać? I jak czystym pozostać?

— Kogoś potrzeba przecież, coby był kozłem ofiarnym, jak ja nieszczęśliwy — westchnął, żartobliwą minę przybierając, Guarini. — Zazdroszczą mi ludzie...

— Nie ja — odparł, kłaniając się, gość. — A! nie ja...

— Plany więc nasze? — spytał ojciec.

— Pójdą pod rozpatrzenie rady — odparł przybyły. — Nie przestawajcie działać, nie wstrzymujcie wykonania. Damy znać coś najbliższego!

— Brühl utrzyma się. Królewicz, płacząc to przysięgił żonie, to była wola ojca jego. Sulkowski będzie pozornym władcą, ów istotnym, a potem...

— Sądzicie, że go obalić potraficie? — spytał gość.

— Jesteśmy tego pewni, działamy wszyscy przeciwko człowiekowi, który nie ma nawet przeczucia, nawet idei niebezpieczeństwa, a ambicja Brühla jest dla nas najskuteczniejszym narzędziem.

— A ten człowiek? — spytał nieznajomy.

— Jest to szatan w ludzkim ciele, ale szatan, który, krzyżem leżąc, się modli, a jutro nieprzyjaciela zgniecie, jak muchę, i nie będzie miał zgryzoty najmniejszej. Przytem słodki, miły i ujmujący do najwyższego stopnia.

Zamilkli. Przybyły gość zasunął się w głąb kanapy i zadumał.

— Mogę wam czem służyć? — zapytał o. Guarini.

Pytanie to przeszło niedosłyszane, tak ten, do którego się zwracał, zatopionym był w myślach.

— Jakże idzie z nawracaniem? — zapytał po milczeniu, które o. Guarini uszanował.

— Z nawracaniem? Tu? W samem gnieździe herezji, — rzekł ojciec — tu, gdzie katolicka kaplica dzwonami odezwać się nie może, gdzie protestantyzm panuje, wre i pożera, jak rdza? Postępy są małe, a dusze, które nasze sieci rybaczce wyciągają na brzeg, niewiele przez się warte. Potomstwo ich opłaci chyba trud apostolski. Do innych herezji nowa nam jeszcze przybywa, z którą walka będzie trudniejszą, niż ze wszystkimi innymi.

— Cóż to jest znowu?

— Jak wszystkie herezje, nie nowa, ale ten, co apostołuje, człek moźny, człek dobrej wiary, natchniony, wyegzaltowany, ofiarny. Jest z dogmatem walczyć mamy, bo u niego dogmat podrzędną sprawą, ale z nową społecznością, jaką chce zbudować. Fałsz przybiera tu blask i jasność prawdy. W lasach, wdali od miasta, na wykarczowanych nowinach, gmina braci morawskich, coś nakształt zakonu ścisłą regułą objętego, już się stworzyła i żyje.

— Cóż to jest? Mówcie — z zajęciem podchwycił gość. — Nie słyszałem nic.

— Dziwny zagorzalec, reformator nie wiary, ale społeczeństwa i życia, w imię Zbawiciela i miłości Jego, tworzy świat nowy. Królem tej rzeczypospolitej Chrystus. Osobno rozdzielone, ale w jednym miejscu, żyją chóry niewiast, chóry dziewic, chóry mężczyzn, chóry dzieci. Łączy ich tylko nabożeństwo wspólne i agapy skromne, wieczerze ubłogosławione modlitwą. Moźny pan hrabia Zinzendorf nadał gminie grunta i sam jest jej kapłanem i kaznodzieją. Praca i modlitwa, ścisła karność i miłość braterska są prawidłami życia nowej braci morawskiej, a raczej Herrnhutów.

Gość słuchał z nateżoną uwagą.

— I dopuściliście, aby się to gniazdo herezji niebezpiecznej rozsiało tu, gdzie już ona panuje?

— Staralem się przeszkodzić, dotąd napróżno — rzekł

Guarini. — Zjeżdżały komisje, były badania: Zinzendorf będzie wygnanym...

— Ale tam dźiać się muszą szkarady? — odparł gość.

— Najściślejsze badanie nic nie wykryło zdrożnego. Ludzie różnych nawet wyznań, związani w jedną tę dziwną społeczność, która ma majątność wspólną, w której niema ubogich, w której sierot niema, gdzie jest jedna rodzina pod jednym ojcem Chrystusem...

Wykrzyk podziwu i oburzenia wyrwał się z piersi słuchającego.

— Horrendum! — zawołał. — A małżeństwa...

— Jak najostrzej zachowywane, lecz przy ich wierze w bezpośredni rząd Zbawiciela i natchnienie Jego wiecie, jak się one zawiązują? Młodzieńcy ciągną losem małżonki, a stadła są przykładne.

— Cóż to za dziwne prawicie mi rzeczy; lecz to są zdala pochwycone wieści, to niemożliwe...

— Sam tam byłem — odparł Guarini — sam patrzałem na idące modlić się chóry, na dziewice z ponsowemi wstążkami, na zamężne w niebieskich, na wdowy w białych.

Gość westchnął.

— Spodziewam się, że nie ścierpicie, aby się to pod bokiem waszym rozrastało.

— Musimy im odciąć głowę — szepnął Guarini. — Zinzendorf zostanie wygnanym, gmina się rozpierzchnie.

— Najlepiejbyście uczynili, nasadzając przeciwko nim duchowieństwo luterskie.

— Ono w tem nic zdrożnego widzieć nie chce.

— A Zinzendorf, zetknęliście się z nim?

— Tak jest i nieraz, bo nie unika ani katolików, ani duchownych; owzem, rad dysputować, tylko nie o teologji, ale o pierwszych chrześcijanach ich żywocie i miłości Zbawiciela, jako osi, na której świat chrześcijański obracać się powinien.

Mówili jeszcze, gdy staruszek przez półotwarte drzwi poczał ręką domagać się aby o. Guarini wyszedł. Ten pośpieszył do sieni, poprosiwszy wejrzeniem gościa o pozwolenie.

W sieniach stał kamerdyner królewski. Królewicz wzywał do siebie spowiednika swojego.

Trzeba więc było pożegnać gościa, któremu podano światło, papier i co było potrzeba do pisania, i rozgospodarował się tu jak we własnym domu. Tymczasem padre Guarini wkładał suknię swą czarną i, pożegnawszy nieznanomego, szybko już, poprzedzany przez kamerdynera, śpieszył do królewicza.

W tej samej salce, w której go wiadomość o śmierci ojca zastała, siedział Fryderyk w krześle z nieodstępną faj-

ką, z głową spuszczoną i tak milczący, jak zwykle. Pomarszczone czoło tylko świadczyło, że umysł pracować musiał.

Gdy o. Guarini wszedł, królewicz podniósł się szybko; ale jezuita go uprzedził i zlekka na krześle przytrzymał, całując jego rękę. W pewnem oddaleniu stał Sulkowski, który na chwilę nie odstępował pana swojego. Twarz jego promieniała triumfem i niecierpliwością drgała, ale się nastrajał do obowiązkowej żaloby.

Guariniemu daleko więcej było wolno, pomimo urzędowego smutku, wiedział, iż trocha roztargnienia będzie pożądaną; przybrał więc minę niemal wesołą i przysiadł na niskim tabureciku przy królewiczu; patrząc mu w oczy, mówił po włosku i z żywością Włocha.

— Pomodlić się trzeba za naszego wielkiego zmarłego, ale zagryzać się tem, co jest losem nieuchronnym wszystkich śmiertelnych co naturalne i konieczne, nie godzi się. Zbyt natę ony smutek zdrowiu szkodzi, a w. k. mość i czasu nie masz. Trzeba panować, rządzić, a dla nas się zdrowo i czerstwo, i wesoło chować.

Królewicz się napół uśmiechnął i głową pokiwał.

— Widziałem w przedpokoju Froscha (był to nadworny błazen królewicza), ten teraz jakby go kto w occie namoczył, skulony płacze, że się śmiać nie może i że ze Storchem (drugi trefniś) figlów mu płać nie wolno. Jeden w jednym, drugi w przeciwnym kącie patrzą na siebie i języki sobie tylko pokazują.

— A to musi być pocieszne! — szepnął królewicz. — Ale mnie tego widzieć nie wypada; nawet jutro przy obiedzie; nie, nie wypada: żaloba!

Guarini zmilczał.

— Frosch jest bardzo pocieszny, ja go lubię — odezwał się królewicz i spojrzał na Sulkowskiego, który się przecha-dzał pocichu. Padre usiłował coś z twarzy odgadnąć, ale oprócz dumy i zadowolenia w Sulkowskim nic nie dostrzegł. Królewicz wskazał na niego palcem Guariniemu i krótko szepnął:

— Dobry przyjaciel... w nim nadzieja... gdyby nie on, nie byłoby spokoju.

Książd głową tylko sklonił potakując.

Wtem Sulkowski, który wiedział, jak królewiczowi długa rozmowa była uciążliwą, przystąpił do Guariniego:

— Pana naszego niczem rozerwać, — rzekł — a tu trosk tyle...

— Ja sędzę. — ozwał się jezuita — że przy waszej chętnej pomocy wszystko się ulatwi.

— Tu, w Saksonji, zapewne — odparł Sulkowski. na którego królewicz patrzył i dawał znaki zgody — tu, w Saksonji, ale w Polsce...

— Świętej pamięci król zostawił tam przyjaciół i sługi

wierne. Ks. biskup Lipski. Cóż mówi Brühl? — zapytał Guarini.

Królewicz spojrział na Sułkowskiego, jakby mu wzrokiem dawał pełnomocnictwo do opowiadania. Sułkowski, na wspomnienie Brühla, chwilę się krótką zawahał, lecz natychmiast dodał:

— I Brühl, i listy z Polski świadczą, że nasi adherenci wiernie i gorliwie około elekcji pracować będą. Ale któż wie, czy nam w drogę nie wejdzie Leszczyński, pomoc Francji, intrygi? Na to potrzeba pieniędzy.

Królewicz uderzył zlekka po rękę Sułkowskiego.

— To Brühl musi dostarczyć: on do tego jedyny.

Sułkowski zamilkł.

— Będziemy się o nie wszyscy starali, a królewską koronę włożyć musimy na skronie pana naszego...

— I Józefiny — dodał Fryderyk prędko. — Józefinie się to należy. Ona nie może kurfirstową pozostać.

Obaj przytomni milcząco sklonili głowy, królewicz zadumany fajkę palił. Zdawało się, że dalej mówić będzie w tym przedmiocie, gdy, pochyliwszy się do ucha o. Guariniemu, szepnął:

— Frosch w kątku na pokucie musi być paradny? Mówicie, że oni sobie języki pokazywali?

— Albo sobie albo mnie, ale to pewna, że dwa czerwone jęzory ich widziałem.

Zapomniawszy się, królewicz głośno się rozśmiał, rękę do ust przyłożył i, zawstydzony, zamilkł nagle. Sułkowski stał zamyślony i nieco zgorszony spojrział na księdza.

Upłynął moment jakiś, gdy Fryderyk pochylił się znowu do ucha ojca, zasłaniając ręką.

— Widzieliście Faustynę? — zapytał.

— Nie — rzekł Guarini.

— A? nie? dlaczego? Powiedzcie jej, zapewnijcie ją, niech tylko głos szanuje. Ja ją szacuję wysoko, wysoko. *E una diva!* Głos anielski, żadna jej nie zrówna. Jak mi będzie tęskno za jej głosem! Ale musi teraz śpiewać w kościele: niech ją choć tam usłyszę.

Sułkowskiemu ten szept był jakoś niemiły; odszedł kroków kilka na bok, lecz się wprędce wrócił, stając znowu przed królewiczem. Fryderyk wskazał na niego księdzu.

— On będzie pierwszym moim ministrem... prawa ręka moja.

Guarini cicho uderzył w dłonie.

— Z rozkoszą tę wiadomość szczęśliwą przyjmuję! — zawołał. — Bogdaj doczekała tego Saksonja, aby w niej tacy ludzie, jak hrabia, i tacy katolicy wszyscy stali na czele rządu.

Królewicz obejrzał się.

— Jeśli mu nie dadzą moje Sasy, jako katolikowi, mi-

nistrować, znajdę na to sposób: pocciwy Brühl zrobi, co mu każe...

— Nie ujmuję bynajmniej Brühlowi, — odpowiedział Guarini — ale to zapamiętały heretyk.

Na to królewicz jednym tylko, ee! odpowiedział i ręką w powietrzu zamachnął. — Ee!

Sułkowski niedowierzająco spojrzał na Guariniego, który postawę ułożył skromną i spokojną.

Wśród tej rozmowy oznajmiono Moszyńskiego, którego król wpuścić kazał. Wszedł pan podskarbi i zbliżył się do ręki królewskiej. Cały był ubrany żałobno, smutek też miał na twarzy.

— Chciałem pożegnać w. królewiczowską mość — odezwał się. — Jadę natychmiast do Warszawy: sprawy elekcji przyszłej zasypiać nie można.

— A jedź, jedź, owszem, — rzekł, wzdychając, królewicz — chociaż Brühl mi ręczy...

— Brühl ani Polski, ani Polaków nie zna — żywo odezwał się podskarbi. — To nasza sprawa i nasza rzecz.

Nagle, jakby sobie co przypomniał, Fryderyk wstał bardzo ożywiony.

— Al! dobrze, jedzcie do Warszawy: zmiłuj się, te gończe psy, które w Wilanowie zostały... Ja je chcę mieć! Kaźcie mi je przywieźć pocztą. Nie znam psów lepszych nad te. Wiecie...

— Wiem, czarne — rzekł Moszyński.

— Jupiter, Diana, Merkury, Pijawka — począł liczyć królewicz. — Co się stanie z myślistwem! Dojrzyjcie, proszę, żeby to całe wróciło.

— Ja sądzę, że trzebaby to tam zostawić, — odezwał się podskarbi — gdy królewicz jako król tam powróci...

— Mój drogi, i z pałacu saskiego w bawelnę mi ją obwiń, Magdalene, a przywieź. Nuż jej się tam co stanie. To dzieło nieoszacowane.

Moszyński się kłaniał.

— Może jeszcze są jakie rozkazy? — zapytał.

— Kłaniaj się muszkietierom: ojciec mój tak ich lubił.

Westchnął.

Pamięć ojca chmurą osłoniła znowu czoło. Królewicz usiadł. Sułkowski pilny o to, aby mu nie zbywało na tem, co lubił, poszedł skinąć na Czybuckiego, kamerdynera, który fajkę nową podał i fidibus zapalony. Królewicz pochwycił chciwie w usta tę pocieszycielkę i, żwawo pykając, dym puszczając począł.

Milczenie panowało w salce.

O. Guarini przypatrywał się bacznie Fryderykowi. Moszyński zdawał się czekać, ale napróżno: fajka i zaduma tak zajęły dostojnego pana, że o nim i o wszystkich zapomniał. Niekiedy tylko dym puszczał silniej i wzdychał.

Naostatek podskarbi zbliżył się ku ręce pańskiej i pożegnał. Fryderyk z powagą i przyjacielskim wyrazem z nim się rozstał, ale więcej wzrokiem niż mową go żegnał.

Sulkowski przeprowadzał go do przedpokoju, zostali więc sami z ojcem Guarinim. Zaledwie drzwi się zamknęły, gdy królewicz zwrócił się do siedzącego ojca.

— To jeszcze nic, — szepnął — jak oni sobie pokazują języki; ale gdy się zaczną bić, gdy Frosch pocznie łać Storch, a ten go kopać, a wpadną pod stół i zwiną się w kłębek, a to ci powiadam umierać trzeba ze śmiechu.

Guarini zdawał się zupełnie podzielać przekonanie królewicza o niezmiernej komiczności opisanej sceny i sam zrobił minę tak pocieszna, tak wesołą, iż biedny, osierocony syn znowu zapomniał trochę o swej żalobie.

— Nie, jutro do stołu puszczać ich nie można, ale później... — rzekł cicho — później, byle tylko tych doskonałych figlów nie pozapominali.

Guarini wstał: pilno mu snąć było do pozostawionego w domu gościa. Widząc ten ruch, królewicz zmienił ton, nachylił mu się do ucha i rzekł:

— Nie gniewajcie się, że ja tego Brühla, choć lutra, zrobię ministrem. On się pocichu nawróci! To człowiek rozumny i ja mu każę: zobaczycie.

Guarini nie odpowiedział nic, pokłonił się tylko i wyszedł pocichu.

VIII.

Nie zbywało Dreznu za czasów Augusta Mocnego na pięknych paniach. Mimo smutnych doświadczeń niestałości królewskiej, każda z nich pochlebiała sobie, że choć na chwilę zwróci na siebie oko, choć wszystkie wiedziały, iż się ono na żadnej długo nie zatrzyma. Z dorastających panien nie było wszakże piękniejszej, zalotniejszej, żywszej i więcej umiejacej się podobać nad pannę hrabiankę Franciszkę Kolowrath, tę małą Franię, która przyjmowała Brühla niegdys w pałacu na Taschenbergu, którą widzieliśmy już gospodarzącą w czasie karnawału przy jednym z królewskich stołów. Wysokie stanowisko matki, która, będąc wielką ochmistrzą dworu królewiczowej, nie ustępowała przed nikim kroku, tylko przed książętami krwi; łaski królowej, nadzieje świetnej przyszłości, imię, które nosiła, czyniły dziewczę dumne i samowolne. Im bardziej dorastała, tem matce trudniej ją było prowadzić. Jedynaczką i ulubienicą, mimo surowego wejrzenia królewiczowej, umiała się wyswobadzać z więzów etykiety i wśród dworu zawiązywać liczne stosunki i zabawne miłosne intryżki. Przyszłość nie zdawała się jej tak dalece obchodzić, ani przestraszać. Mał-

żeństwo uważała za oswobodzenie od jarzma, które jej wielce ciążyło.

W kilka dni po przyjściu wiadomości o śmierci króla, gdy dwór ciężką jeszcze okryty był żałobą i wszelkie zabawy wstrzymane być musiały, panna Franciszka nudziła się więcej, niż zwykle. Czarne suknie, które włożyć musiała, jako frejlina królewiczowej, były jej wielce do twarzy, lecz nie do smaku. Właśnie pod wieczór w pokoiku swoim stała w nich przed zwierciadłem i rozpatrywała się w swej pięknej figurze i twarzy.

Przez okna wpadał mrok szary i zamgloną tylko postać swą widziała odbitą. Zadzwonila o światło, lecz wchodzący kamerdyner, który się domyślił żądania, niósł już w obu rękach srebrne ciężkie lichtarze, które na stole postawił. Frania była sama, hrabina matka pełniła swą służbę przy królewiczowej, ona zaś była wolną aż do wieczery i niedobrze wiedziała, co zrobić z czasem tak długim. Zakręciła się po pokoju, oko jej padło na szkatuleczkę bronzami okutą; wzięła ją z małego stoliczka i, przeniósłszy na stojący przed kanapą, otworzyła kluczykiem, który znalazła przy sobie.

Wewnątrz pełno było drobnych klejnotów i pomiętych papierków. Hrabianka drobnemi paluszkami poczęła je przebierać odniechcenia. Z powierzchowności odgadnąć było łatwo, iż liściki te nic bardzo pobożnego nie zawierały, były to modlitwy do tego bóstwa, co je teraz z dziwnem uczuciem dumy i pogardy rozpatrywało.

Niektóre z nich odrzucała z uśmiechem, nie czytając, inne, rzuciwszy na nie okiem, szczęśliwsze odczytywała oczyma błyszczącemi i zamyśliła się nieco. Tak przetrząsała szkatułkę do dna, ręką niecierpliwą wcisnęła papierki wszystkie nazad do niej i zamknęła ją nagle, a sama rzuciła się na kanapę zamyślona. Na paluszkach jej błyskał tylko wyjęty mały pierścionek, na który patrzyła okiem smętnem. Była to obrączka, czarno szmelcowana, stara, nieładna, ale złotemi głoskami stało na niej niezgrabnie po hiszpańsku: *A hora y siempre*.

W pokoiku panny Franciszki oprócz drzwi głównych, wiodących do mieszkania z matką wspólnego, były małe, ukryte i nieznaczące w ścianie, które wychodziły do małej sionki i na boczne jakieś schodki. W chwili, gdy się nad tym pierścieniem zadumała, cicho się otworzyły: ostrożnie ktoś wejrzał niemi... Nie słysząc go, odgadła hrabianka, zwróciła głowę, postrzegła... i ze stłumionym okrzykiem wstała z kanapki. Drzwi uchyliły się zwolna i piękny, młody Watzdorf stał przed nią. Widzieliśmy go u Faustyny, pozwalającego sobie zbyt śmiałych sądów i sarkazmów. Dziś ta twarz, zwykle szyderska, miała wyraz inny, była pra-

wie smutną i zadumaną; lekki odcień ironji, którą przesiałą, zaledwie na niej pozostał.

Piękna Frania, jakby przestraszona przyjściem jego, stała milcząca, nie poruszając się z miejsca.

Watzdorf oczyma ją błagał o przebaczenie.

— A! czy się to godzi, Krystjanie?! — zawołała wreszcie głosem rzeczywiście lub sztucznie poruszonym. — Jak można się ważyć, ludzi pełno. Ktoś może zobaczyć, donieść. Królewiczowa tak jest surową, moja matka...

— Nikt mnie widzieć nie mógł — odparł, zbliżając się, Watzdorf. — Franiu, bóstwo moje! siedziałem, wypatrując godziny, skurczony pod wschodami, nie wiem już jak długo, ażeby choć chwileczkę widzieć ciebie, pomówić z tobą. W. ochmistrzyni czyta lub modli się z naszą panią: niema nikogo.

— A! te wiecznie kradzione chwile! — zawołała Frania. — Ja takiego złodziejskiego szczęścia nie lubię.

— Cierpliwości, nim inne przyjdzie, cierpliwości — rzekł Watzdorf, zbliżając się i biorąc ją za rękę. — Mam nadzieję...

— A ja żadnej — przerwała hrabianka. — Mną rozporządza, czy zechcę, czy nie, jak bezwładnym sprzętem. Królewiczowa, królewicz, matka, padre Guarini; któż wie... jam niewolnica!

— Więc uciekajmy stąd!

— Tak? dokąd? — śmiejąc się, zawołała Frania. — Do Austrii, gdzie nas złapią cesarscy, do Prus, gdzie pochwyca Brandenburczycy. Uciekajmy? to dobrze! z czem? jak? Ty, Krystjanie, nie masz nic oprócz swojego miejsca na dworze, a ja nic oprócz łaski cesarza i królewiczowej.

Watzdorf zamyślił się.

— Ależ serce twej matki...

— Tak! ale to serce szukać będzie dla mnie szczęścia z brylantami, a innego nie zrozumie.

— Franiu, bóstwo moje! co mówisz? jaką dziś dla mnie jesteś? potoż przyszedłem, abyś mi odbierała nadzieję?

— Mogę ci ją dać, gdy sama jej nie mam? — odezwała się hrabianka jakoś smutnie i zimno.

— Bo nie kochasz mnie?

Piękna Frania z wymówką spojrzała na niego.

— Nikogo nie kochałam nigdy prócz ciebie! — rzekła. — Nikogo kochać nie potrafię i dlatego, że ku tobie mam miłość, chcę z tobą mówić otwarcie.

Watzdorf wsparł się jedną ręką na kanapie i oczy w ziemię spuścił.

— Rozumiem, — mruknął — zechcesz mi dowieść, iż dlatego, żeś mnie kochała, nie możesz być moją, a ja się ciębie wyrzec powinienem. Taką bywa logika miłości na królewskich dworach. Dlatego, że ja cię kocham, że ty mnie kochasz, musisz pójść za innego...

— Tak jest, muszę za pierwszego lepszego, którego mi dadzą; ale ten serca mojego mieć nie będzie, tylko zimną rękę...

— To ohydne, — przerwał Watzdorf — to obrzydliwe: nie masz nic dla mnie poświęcić.

— Bobym cię zgubiła! — zawołała Frania. — Jutro w ucieczce pochwycenoby nas i tybyś poszedł na Königstein, a mnie danoby temu, komu ich fantazja przeznaczy.

— Ja, zdaje mi się, bądź co bądź, na Königstein się dostanę! — zawołał Watzdorf. — Nie mogę wstrzymać ust, patrząc na to potworne życie, na ten despotyzm lokajów. Mówię, co myślę, a to jest, jak wiecie, doskonały środek dostania się tam, gdzie się już nie mówi, chyba do czterech zimnych ścian więzienia.

— Słuchaj, Krystjanie, zamiast mówić, milczeć powinniśmy, — odezwała się Franciszka — zamiast chcieć ich poprawiać, gardzić nimi i panować im.

— Poddając się ich fantazjom i kłamiąc całe życie, oszukując ich, a brucząc siebie — rzekł Watzdorf. — To śliczne życie!

— Więc lepiej wyrzec się wszystkiego? — rozśmiała się Frania. — Ja, kobieta, nie jestem tak tragiczną, biorę życie, jak ono jest.

— Ja niem gardzę — mruknął Watzdorf.

Hrabianka podała mu rękę.

— Biedny ty zapaleńcze! — westchnęła. — A! jak mi żal ciebie i siebie: żadnej przyszłości, żadnej nadziei... a jeśli nam błysnie chwila szczęścia, to wśród fałszu i oszukaństwa.

Powoli zbliżyła się ku niemu, położyła rękę na jego ramieniu, a drugą objęła go za szyję.

— O! to życie — szepnęła. — To życie, aby je znieść, pijanym być trzeba...

— I oszustem! — dodał Watzdorf, który rękę jej pochwycił i namiętnie ją do ust przyciskał. — Franiu! nie, ty mnie nie kochasz, ty kochasz więcej życie nade mnie: świat i złote pęta twoje.

Hrabianka milczała smutnie.

— Któż to wie — poczęła cicho. — Ja sama nie znam siebie, mnie wychowano, kołysząc fałszem i ucząc kłamstwa, a budząc pragnienie wrażeń, roztargnień, rozkoszy, zabawy. Ja mojego serca nawet nie jestem pewną, byłam zepsuta, nim żyć zaczęłam.

— Miłość nas oboje powinna była poprawić — patrząc w jej oczy, począł Watzdorf namiętnie. — I jam był dworakiem, póki nie kochałem ciebie... przez tę miłość stałem się człowiekiem, w jej ogniu oczyściłem się.

Cichym szeptem odpowiedziała mu hrabianka, sparla się na jego ramieniu, głowę pochylała ku niemu; Watzdorf zdawał się zapominać o całym świecie, ona także. Oczy ich

rozmawiały z sobą więcej, niż usta, i ręce, które się spotkały i splotły.

Zapomnieli się tak oboje, że ich nawet ostrożnie otwierające się drzwi, któremi Watzdorf wszedł, nie rozbudziły, gdy w nich groźna, ponura, blada i gniewna pokazała się twarz matki. Weszła ona i stanęła jak osłupiała, widząc córkę z mężczyzną, którego poznać nie mogła... Gniew słowa jej wyrzec nie dawał; z osłupienia wychodząc, posunęła się krok i, nim ją postrzeżono, szarpnęła za rękę Watzdorfa. Wzrok jej straszny był, usta drżały; Frania, podnosząc oczy, zobaczyła to piorunujące oblicze matki przed sobą. Nie przerażona niem jednak, zwolna cofnęła się krok tylko, gdy Watzdorf machinalnie ręką szukał szpady, jeszcze nie widząc, kto ich naszedł.

Dopiero zwróciwszy się, gdy ujrzał hrabinę, stanął blady i milczący, jak winowajca na uczynku pochwycony.

W. ochmistrzyni w gniewie odezwać się nie mogła, chwyciła powietrze, cisnęła pierś ręką, a drugą wskazywała nakazująco drzwi.

Watzdorf wprzód jednak, nim spełnił ten rozkaz, schylił się do ręki Frani, która się wyciągnęła ku niemu, i przyłożył ją do ust w chwili, gdy matka mu ją wydarła, stanęła, zasłaniając córkę i, cała trzęsąc się, wciąż drzwi pokazywała. Krystjan spojrział na bladą hrabiankę i wyszedł powoli. Ochmistrzyni padła na kanapę... Frania pozostała jak posąg zimna i obojętna, twarzyczka jej tylko bladeścią się okryła. Hrabinie z gniewu łzy spłynęły po twarzy.

— Bezwstydna! — zawołała. — Do tego więc doszło, że w swoim mieszkaniu pozwalasz sobie dawać schadzki mężczyznom! w obliczu całego dworu!

— Bo go kocham! — odpowiedziała chłodno córka. — Tak, kocham go!

— I śmiesz mi to mówić! wyrodna!

— Dlaczegożbym nie miała mówić, co czuję?

Hrabina łkała, milcząc.

— I myślisz, że ja na to dozwolę? że dla tej głupiej miłości, dla takiego chlYSTKA, który jest ledwie cierpiany na dworze, twoją przyszłość poświęcę? Nigdy w świecie!

— Jam się wcale tego nie spodziewała, ażebym być mogła szczęśliwą i uczciwą — odpowiedziała zimno hrabianka. — Los mój mogłam przewidzieć zgóry.

— Tyś oszalała! — zawrzała matka.

Frانيا usiadła w krześle naprzeciw niej, ze stojącego na stole bukietu wzięła machinalnie jeden kwiat i do ust go poniosła.

Zimna, szyderska rezygnacja biła z jej twarzy, spojrzenie matki spodziewało się innego wrażenia i cofnęło przełękę.

— Szczęściem, mógł wyjść niewidziany — poczęła jak-

by sama do siebie. — Jutro te drzwi zabić każe, a ciebie zamknę, jak niewolnicę... Mogłażem się spodziewać dożyć tego?...

Frania, wciąż kwiatek gryząc, zdawała się gotową na wysłuchanie wszelkich wyrzutów, jakie się matce czynić jej podobało.

To milczenie prawie pogardliwe dziecka gniew jeszcze większy wzniewało w hrabinie. Zerwała się z siedzenia i wielkimi krokami chodzić zaczęła po pokoju.

— Jeśli Watzdorf waży się jeszcze raz zbliżyć, przemówić, spojrzeć na ciebie, biada mu! Padnę do nóg pani, po-wiem Sułkowskiemu, zamkną go na wieki!

— Nie spodziewam się, ażeby się na to naraził — odezwiała się hrabianka. — Właściem mu dziś wszelką odjęła nadzieję; powiedziałam mu, że sobą nie władnę, że mną jak niewolnicą rozporządzają, że pójdę za kogo mi każą, ale jego kochać będę...

— Mnie to śmiesz mówić?...

— Jeszcze raz mamie powtórzę, jestem otwartą, mówię, co myślę. Ten, co się ze mną ożeni, będzie wiedział, czego się ma po mnie spodziewać.

Hrabina matka rzucała na córkę dziwne wejrzenie, groźby pełne, ale zmilczała.

Nagle z załamanemi rękoma stanęła przed Franią.

— Niewdzięczna! niewdzięczna! — poczęła głosem czul-szym. — Właśnie w chwili, gdy ja ci z panią naszą naj-świetniejszy los starałam się przygotować... ty...

— Ofiary w złotogłów ubranej — śmiejąc się gorzko, odpowiedziała Frania. — Tego losu jam dawno miała prze-czucie. Los ten mnie minąć nie mógł.

— I nie minie cię, bo wiesz, że woli pani twej opierać się nie możesz, ani woli matki, ani woli pana.

— Który żadnej woli nie ma — szepnęła hrabianka szy-dersko.

— Milcz! — przerwała groźnie hrabina. — Szłam ci o szczęściu oznajmić, a znalazłam wstyd i hańbę!

— Mnie nawet oznajmywać nie potrzeba o tem, o czem wiem dobrze. Sułkowski żonaty, więc zapewne przeznaczo-ną jestem za żonę drugiemu ministrowi króla, Brühlowi. Tegom się oddawna spodziewała. Rzeczywiście szczęście to wielkie!

— Większe, niżeliś zasłużyła — odpowiedziała matka. — Cóż możesz mieć przeciw temu najmiłszemu, najrozumniej-szemu z ludzi?

— Nic a nic, jest mi tak obojętnym, jak najgłupszy i naj-obrzydliwszy. On, inny, wszystko mi jedno, jak tylko nie ten, którego kocham.

— Nie mów mi nawet, nie waż mi się wspomnieć jego

imienia: ja go nienawidzę. Jeśli się ośmieli krok uczynić, zginie!

— Przestrzegę go — zimno odparła Frania. — Nie chcę, by ginął; chcę, by się za mnie pomścił.

— Nie waż się zbliżyć ani mówić do niego: zakazuję... Frania zamilkła.

Rozmowa przerywana w tym tonie trwała jeszcze z pół godziny. Wielka ochmistrzyni, nawykła do porządku dworu, postrzegła z przerażeniem, iż pięć minut upłynęło, jak powinna była być u królewiczowej, i rzuciła się do zwierciadła.

— Idziesz ze mną — odezwała się rozkazująco do córki. — Królewiczowa każe ci przyjść. Wiesz, jak powinnaś się znaleźć.

Była to godzina wieczery. Wkrótce potem, obejrzawszy córki ubranie, ochmistrzyni wyprowadziła ją z sobą.

Ścisła i nienaruszalna etykieta dworu, której królewiczowa Józefa strzegła pilnie i którą zaprowadziła na wzór dworu austriackiego, nie dopuszczała nikomu zasiadać do stołu pańskiego, oprócz pierwszych ministrów. I tych nawet Józefina widziała okiem dosyć niechętnem. Ochmistrzyni, marszałkowie, wyżsi dostojnicy, którzy się znajdowali w chwili wieczery, odchodzili do osobnego stołu marszałkowskiego w drugiej sali. Tego dnia królewicz sam jadał z królową. Ojciec Guarini, który wieczery nie jadał, opodal siedział na taburecie, dla czynienia towarzystwa. W zwykłych dniach, mniej żałobnych, zabawiał on Fryderyka wesołemi żarcikami, równie jak dwaj jego trefnisie, Frosch i Storch. Najczęściej bili się oni i wygadywali błazeństwa, a królewicz śmiał się, podjudzał ich i był naówczas w najlepszym humorze. Żałoba świeża nie dopuszczała teraz, aby trefnisie wrócili już do swych obowiązków, ze względu jednak na potrzebę rozerwania Fryderyka i rozchmurzenia posępnego czoła Guarini dozwolił, aby Frosch i Storch znajdowali się w kącie sali, nie dopuszczając się zwykłych figlów. Postawiono ich tak, aby królewicz zaraz mógł zobaczyć. Stół zastawiony był paradnie, oświecony rzeźnię. Fryderyk wszedł, podając rękę żonie, której twarz dziwnie pospolita i niepiękna odbijała przy wypogodzonej i wspaniałej, rysów regularnych, ale jakby zastygłej twarzy męża. Typ habsburski w Józefinie wyraził się, jak mógł, najniekorzystniej. Młoda jeszcze, nie miała wdzięku młodości: obwisła wargą, chmurne oblicze, coś surowego a gminnego odstręczało od niej.

W czasie, gdy o. Guarini odmawiał *Benedicite*, oboje królewiczostwo ze złożonemi stali pobożnie rękami, służba czekała. Fryderyk usiadł roztargniony, ale w tym samym momencie wzrok jego, błądząc po sali, padł na stojących w kącie Froscha i Storcha, którzy obaj zrobili miny tak po-

ważne, tak nadęte, że się przez to śmieszniejszymi stali, niż kiedykolwiek.

Frosch był prawie karłowaty. Storch niepomiernie wysoki a chudy, z długim nosem, oba jednakowo ubrani; choć cały dwór przywdział żałobę, mieli na sobie fraki ponsowe i pluszowe spodenki niebieskie. Na głowie Froscha siedziała peruczka w drobne loczki fryzowana pocieszenie, jak skórka barania, u Storch'a była ona złożona z płasko spadających włosów, ztyłu ujętych w haarbeutel. Frosch stał, jak kolos rodyjski, rozkraczony, z rękami na plecach założonemi, a oczy wypukłe i twarz mopsowata istotnie coś mu żabiego nadawały. Storch, wyprostowany, jak świeca, nogi obie ściśnięte, jak u grenadjera na straży, ręce wzdłuż boków obwisłe, głowa do góry zadarta, usta podniesione, bardzo też był zabawny.

Królewicz, zobaczywszy ich, uśmiechnął się, ale im pogroziwszy zdala, aby się zachowali spokojnie. Storch, nie poruszając się, odpowiedział, oczy tylko znacząco zwracając na Froscha, a Frosch tak samo na Storch'a.

Z wielkim apetytem pijąc i jedząc zapamiętałe i chciwie, królewicz ciągle spoglądał na swych dwóch faworytów; bolało go to, że im cugli nie mógł popuścić, ale wrzawaby się stała nieprzyzwoita, bo Frosch i Storch czasu obiadu dopuszczali się takich swawoli, iż nieraz, w kłębek się zwinawszy, toczyli aż pod stół pański.

Sam ich widok już wprowadził królewicza w humor nieco weselszy. Oprócz tego cieszyło go to, iż Brühl i Sułkowski tak się z sobą doskonale godzili, Brühl bowiem dobrowolnie, heroicznie bardzo, złożył wysoki urząd wielkiego ochmistrza dworu, aby król mógł nim przyoblec Sułkowskiego, a sam ograniczył się prezydencją rady ministrów, akcyzą, cłami, podatkami i czuwaniem nad skarbem państwa. Miało to być tylko formalnem. Sułkowski się spodziewał, iż wszystko trzymać będzie we wszechwładnej dłoni.

Lecz przyszłość była zakrytą.

Brühl oświadczał się z jak najczulszą przyjaźnią dla towarzysza swych trudów, a hrabia też, będąc serca pana swojego pewnym, wcale się rywala nie spodziewał.

Zdawszy wszelkie troski na tych dwóch ludzi, królewicz jakby zrzucił brzemię z ramion, czuł się spokojnym, mógł powrócić do ulubionego, jednostajnego życia. Brak mu tylko było jeszcze opery i ulubionej, równie jak ojcu, Faustyny, brak było łowów i ciążyła żałoba. Ale to wszystko przyjsć miało wkrótce do porządku. W Polsce Moszyński, biskup Lipski i mnodzy inni zwolennicy mieli sami postarać się o elekcję, a Brühl też z nią zaręczał.

Zaraz w kilka dni po odebraniu wiadomości o śmierci ojca oświadczył Fryderyk, iż wszystko, co ubóstwiony przez niego August Wielki uczynił, rozpoczął, postanowił, pozosta-

nie w swej sile i w niczem się zmieniać nie będzie. Kraj, który się spodziewał odetchnąć, wkrótce też nabrał smutnego przekonania, iż dlań nic się nie zmieni. Podatki tylko żywo bardzo ściagać zaczęto. Tego wieczora królewicz zaraz po kolacji odszedł z Sulkowskim do swoich pokojów, Brühl za nimi pociągnął.

W drugiej sali zebrane było szczupłe gronko osób dworu Józefiny, a między niemi, żartobliwie rzucając słówkami, przechadzał się o. Guarini. Przemówiwszy zaledwie słów kilka do przytomnych, królewiczowa dała znak ochmistrzyni i weszła do swojego gabinetu. Za nią wślada hrabina Kolowrath udała się, rozkazując córce, aby jej towarzyszyła.

Józefina stała, jakby przygotowana do czegoś, w środku salki. Frania weszła za matką, nie okazując ani trwogi, ani niepokoju. Królewiczowa dała jej znak, ażeby się zbliżyła.

— Moje dziecko, — rzekła głosem suchym i niemiłym — czas pomyśleć o twym losie... ja się chcę nim zająć.

Lękając się odpowiedzi niewłaściwej, matka podchwyciła:

— Wieczną wdzięczność winniśmy majestatowi.

— Wiem, że jesteś gorliwą katoliczką — dodała królewiczowa — i dlatego cię naprzód zapewnić muszę, że przyszły twój mąż, chociaż mu się los nieszczęśliwy nie dał urodzić w świętej wierze katolickiej, przyjmie ją. Będziesz więc miała tę pociechę, że jedną duszę zyszczesz Bogu.

Frانيا słuchała obojętnie. Zdało się, że pociecha ta małe na niej czyniła wrażenie.

Królewiczowa spojrzała i nie mogła wyczytać nic z młodej tej twarzy zastygłej.

— Mogę ci powinszować wyboru, — dodała — wyboru, który matka i ja uczyniłyśmy; człowiek, przeznaczony dla ciebie, jest znakomity pobożnością, charakterem i rozumem: jest to minister Brühl.

Znowu spojrzała Józefina, Frania stała niema.

— Trzeba, abyś mu się dozwoliła zbliżyć do siebie, abyście się wzajem poznali lepiej i ocenili, a mam nadzieję, że będziesz szczęśliwą.

Matka popchnęła córkę do ucałowania ręki Józefiny. Frania dała się posunąć, pochyliła głowę i odeszła, nie rzekłszy słowa. Nie mogło to być za złe wziętem młodemu dziewczęciu.

Na tem skończył się ten dzień pamiętny w życiu kobiety, która z obojętnością na przyszłość patrzała.

Nazajutrz, zapewne z natchnienia matki i za jej wiedzą, Brühl rano, gdy hrabianka była samą, kazał się jej zameldować. Po namyśle odpowiedziała, że go przyjmie. Przyjęła go nawet w tym samym pokoju swoim, w którym wczoraj, wsparta na ramieniu Watzdorfa, żegnała się ze szczęścia nadzieją.

W żałobnym stroju było jej do twarzy, piękność jej świetniejsza jeszcze wychodziła na tle tych czarnych sukni i zasłony. Oprócz bladości nie miała na sobie żadnej oznaki cierpienia; chłodna, zuchwała rezygnacja nadawała rysom coś rozkazującego i przejmującego.

Brühl, który był jednym z najwybredniejszych elegantów swojego czasu i przywłazywał wielkie znaczenie do stroju, tego dnia, choć w grubej żałobie, ubrany był z troskliwością szczególną. Wdzięczna jego twarz i postać aż do zbytku niewieście i wypieszczono się wydawały. Uśmiech, który z ust jego nie schodził, towarzyszył mu od progu. O ile Frania była poważną i zamyśloną, o tyle on chciał być wesółym i szczęśliwym.

Pośpiesznym krokiem zbliżył się do stołu, za którym siedząc, hrabianka zlekka głową go przywitała i wskazała mu oddalone nieco krzesło.

— Widzę, że pani dla harmonji do żałoby, jaką nosimy, — rzekł Brühl — i twarz dziś przybrałaś smutniejszą, niż kiedy, a ja... ja...

— Pan jesteś dziś weselszy, niż kiedy — przerwała Frania. — Cóż to go czyni tak szczęśliwym?

— Spodziewam się, że pani już jesteś o tem uwiadomioną — podchwycił Brühl, podnosząc ręce ku piersi.

— Nie grajmy komedji! — zawołała Frania. — Ani pan mnie, ani jabym go nie oszukała. Każą mi iść za pana, gdy ja kocham innego; każą się panu żenić ze mną, choć kochasz inną. Nie są to rzeczy wesole.

— Ja! kocham inną! — niby zdziwiony odparł, cofając się, Brühl.

— Pan kochasz oddawna i zapamiętałe Moszyńską: o tem wie, zdaje mi się, ona, mąż i cały świat, a chcesz pan, żebym ja, żyjąc na dworze, nie wiedziała o tem?

— Jeśli hrabianka chcesz, abym wyznał, że ją kochałem... — odezwał się Brühl.

— O! stara miłość nie rdzewieje — dodała Frania.

— Pani się przyznałaś także.

— Tak, ja się nie taję, że kocham innego.

— Kogo?

— Nie potrzebuję zdradzać jego i mojej tajemnicy... Dusić, żem szczerza i oznajmuję mu o tem.

— To dla mnie smutne bardzo! — zawołał Brühl.

— Ale nieskończenie smutniejsze dla mnie — dodała hrabianka. — Nie mógłbyś pan znaleźć sobie innej, którąbyś uszczęśliwił?

Spojrzała nań, Brühl się zmieszał.

— To wola królewicza, królewiczowej.

— Ojca Guariniego i tym podobnie — podchwyciła hrabianka. — Rozumiem, więc to nieodwołalne?

— Pani — rzekł, przysuwając się z krzesłem, Brühl. — Ja mam nadzieję, że zasłużę na jej względy... ja...

— Ja nie mam najmniejszej nadziei — poczęła Frania. — Lecz gdy małżeństwo jest tak w górze postanowione i ma być nieuchronnem... dobrze, byśmy się zgóry przygotowali do tego, co nas czeka.

— Będę się starał o jej szczęście.

— Dziękuję panu, ja się będę musiała sama starać o nie. Co się tyczy waszego, myślcie o niem. Ja panu nie bronie kochać Moszyńskiej, bo gdybym nawet chciała mu tego zakazać, wiem, że się to na nic nie przyda. Córka Cosel odziedziczyła po niej wdzięk jej i potęgę, ja ich nie mam... niestety!

— Pani jesteś okrutną.

— Jestem szczerą.

Brühl, mimo nadzwyczajnej łatwości rozmowy i przytomności, poczuł, że mu się wyczerpuje wątek. Położenie jego stawało się przykrem, spojrzał na Franię: bawiła się chusteczką, nie okazując najmniejszego pomieszania.

— Bądź co bądź, ja nie odejdę zrozpaczony — dorzucił po krótkim milczeniu. — Znam panią od dzieciństwa, jestem jej wielbicielem oddawna; to, co mi pani przypisujesz dla hr. Moszyńskiej, było chwilową fantazją, która przeszła i minęła. Moje serce wolne, a pani, spodziewam się, potrafi się pozbyć dla mnie wstrętu i uprzedzenia.

— Wstrętu nie mam do pana, boś mi najzupełniej obojętny — przerwała hrabianka.

— I to już coś znaczy — rzekł Brühl.

— W istocie to znaczy, że pan się wstrętu możesz dorobić, chcąc na miłość zasłużyć... To być bardzo może.

Brühl wstał, twarz mu pałała.

— Nigdy może pretendent do ręki gorszego nie doznał przyjęcia — odezwał się z westchnieniem. — Potrafię jednak stłumić w sobie wrażenie.

— Nie skarż się pan przed królewiczową! — zawołała Frania. — Nasza pani za złe mi mieć nie będzie tego, co za skromność weźmie dziewczą. Oszczędź mi przykrości z matką i z drugimi. Jeśli nie zmieni się nic, jeśli się pan uprzesz, jeśli pani nasza rozkaże, jeśli ja mam zostać ofiarą, pójdę do ołtarza, bo muszę; ale pan wiesz, kogo bierzesz i co cię czeka.

To mówiąc, wstała; Brühl, słodką nad wszelki wyraz przybrawszy fizjognomję, zbliżył się, chcąc sięgnąć po jej rękę, ale mu ją cofnęła i rzekła:

— Żegnam pana!

Nie przedłużając rozmowy, minister wysunął się z pokoju. Twarz jego, na chwilę zachmurzona, w progu odżyła pogodę, wesołość i uprzejmość zwyczajną. Niktby był po nim nie poznał, iż zjadł świeżo tak gorzko przyprawne

oświadczenie. Zdawało mu się to obojętnem, lubo panował tak nad sobą, iż nie okazał wcale, że go to obchodziło.

Krokiem lekkim przebiegł puste pokoje i wychodził już, gdy u progu ostatniego spotkał matkę.

Hrabina Kólowrath, nim przemówiła, badała go pilnie oczyma... nie odkryła nic. Pomyślała nawet, że córka umiała ukryć swe uczucia, co jej było bardzo przyjemnem.

— Widziałeś się z Franią?

— Wracam od niej.

— Jakże cię przyjęła?

Brühl trochę się opóźnił z odpowiedzią.

— Tak, jak się przyjmuje kogoś narzuconego, komu się chce dać uczuć, że powinien to wynagrodzić.

— A! macie czas... Ze wszystkich względów nie chciałabym przyspieszać wesela.

— Ja przeciwnie, dlatego, że najlepiej starać się o serce, gdy się jest pewnym ręki — rzekł Brühl. — Małżeństwo zbliża, daje poznać, a mam nadzieję, że hrabianka, poznawszy mnie lepiej i moje przywiązanie...

Lekki uśmieszek przesunął się po ustach hrabiny.

— Dziś dość — rzekła — *cela viendra!* Frania jest tak piękna, że jej nie można nie ubóstwiać, ale ma dumę i energję bogini, do której jest podobną. Gdyby stary król nasz żył, obawiałabym się go była także, na nim nawet czylna wrażenie.

Brühl, przemówiwszy jeszcze słów kilka, odszedł z grzeczne pożegnaniem. Gdy siadł do swojej *porte-chaise*, która nań czekała u ganku, i znalazł się na chwilę sam, twarz mu się zmieniła i sposepniała.

— Radbym wiedzieć jednak, kogo kocha! — rzekł do siebie w duchu. — Miała zawsze tylu adoratorów, a wszystkich tak hojnie obdzielała wejrzeniami i słówkami, iż istotnie trudno odgadnąć, któremu się udało serce jej pochwycić. A! do serca nie mogę mieć pretensji... piękność Frani jest mi potrzebną. Któż wiel! królewicz nie wytrwa wiernym swej pani... a w takim razie...

Brühl nie dokończył, tylko uśmiechem.

— Może mnie nie kochać, ale wspólne interesa uczynią nas dobrymi przyjaciółmi. O Moszyńskiej więc wiedzą wszyscy; miłość i kaszel nie dają się utaić, a to miłość dawna i nigdy nie była zmuszoną się ukrywać.

Pograżony w dumaniach Brühl nie spostrzegł się, jak lektyka jego stanęła w sieniach domu.

Liczna służba czekała tu na niego: kamerdynerowie, lokaje, sekretarze, klienci. W chwili, gdy odsłonięto wyjście, Brühl już miał swą piękną twarz ułożoną wybornie do ludzi, rozlał po niej uśmiechy i wdzięk, co serca zyskiwał.

Witał uprzejmie i biegł na wschody... Na górze czekał nań już Hennieke.

Wierny sługa ten od kilku dni też wyglądał zdrowszy i weselszy. W fałdach jego twarzy śmiało się szyderstwo zimne. Globig, Stammer i Loss stali w kancelarji, do której Brühl wszedł, jakby go siła jaka obca rzuciła. Wszyscy powstali na powitanie j. ekscelencji, za którą powoli i niedbale ciągnął Hennicke.

Już miał minister zasiąść do pobieżnego przejrzenia papierów, gdy zausznik wierny mu szepnął:

— Czekają na was.

I pokazał drzwi salonu.

Po nim przechadzał się w szaraczkowym surducie z czarnemi guziczkami do niepoznania przebrany padre Guarini.

IX.

Królewicz mógł bezpiecznie odpoczywać: czuwali zań w Polsce liczni zwolennicy, a w Dreźnie pracowali Sułkowski i Brühl.

Równie ambitny, jak jego współzawodnik, Sułkowski pewniejszym był swojego stanowiska. Miał serce królewicza, a co stokroć więcej ważyło — jego nałóg. Fryderyk od najmłodszych lat miał go przy sobie. Z nim razem przebywali najdziwniejsze zmiany, przeżyli pierwsze wrażenia, urosli on ludzi. Sułkowski znał pana swego, bo patrzył, jak się on wyrabiał na to, czem został wkońcu; Brühl więcej się go domyslał i odgadywał.

Po nawróceniu na katolicyzm Augusta II dla tronu polskiego, nawróceniu, które było zupełnie dla króla obojętnem, gdyż najmniejszej nie miał wiary, papież Klemens XI począł starać się pilnie, ażeby syn nie poszedł za matką, żarliwą protestantką, ale wstąpił w ślady ojca. Dla Augusta Mocnego było to zadanie nadzwyczaj drażliwe.

Elekcyjny tron polski nie był pewnym; w Saksonji protestanckiej wiara była przeszkodą i niebezpieczeństwem. Zresztą matka, królowa Eberhardyna (z domu Beireuth), i babka, Anna Zofja (księżniczka duńska), czuwały nad tem, ażeby syn i wnuk nie poszedł za ojcem. Obie te panie były nietylko żarliwe, ale nieubłagane przywiązane do swojego wyznania. August II, co nie jest rzeczą wątpliwą, starał się z Polski uczynić monarchję dziedziczną, choćby część jej miał poświęcić; w nadziei tej mógł syna wychować na katolika... inaczej było mu to obojętnem. Na nagłace breve papieskie August Mocny odpowiedział 4 września 1701 roku, zaprzysięgając papieżowi, iż syn będzie katolikiem, a 8 lutego 1702 zapewnił stany saskie, że syn będzie lutrem. W istocie nie wiedział jeszcze, co lepiej, co dogodniej i co polityka doradzi.

Młodziuchnemu Fryderykowi dano zrazu do dozoru wychowania jego z ręki babki p. Aleksandra von Miltitz, człowieka wcale niezdolnego do zajęcia się tak ważną sprawą. Babka zaś, jak świadczą współcześni, sama przez się niewiele miała sądu; rządziły nią protestanckie tartufy, a po obiedzie zwykle mniej jeszcze wiedziała, co robiła, niż z rana. Małego Fryderyka odebrano królowej Eberhardynie, babka miała go przy sobie. Miltitz, pedant, skąpiec, nudziarz i leniwiec, niewiele mógł dobrego zrobić swem wychowaniem. W rzeczach wiary obojętny, nie przywiązywał do nich zbytnej wagi, zato protestanci duchowni dworu królowej matki aż do zbytku młodego księcia obsiadali. Katolika nie przypuszczano ani jednego do małego wychowania. Doniesiono o tem do Rzymu (Fürstenberg), a z Rzymu przyszło napomnienie nowe.

Dwunastoletniego Fryderyka odebrano nareszcie z rąk kobiet i wysłano z nauczycielem w pierwszą podróż, ale z tej powrócił wkrótce. Obie królowe niespokojne, aby go nie uczyniono katolikiem, w czternastym roku publicznie kazały mu złożyć wyznanie wiary luterskiej i razem według obrzędów protestanckich poleciły go bierzmować (*confirmatio*). Król, który podówczas był w Gdańsku, doniósł o tem sam papieżowi, pisząc, że gdyby nie pewne okoliczności, okropnieby ukarał tych śmiałków, co się ważyli na krok tak zuchwały bez jego wiedzy.

Składały się okoliczności tak, iż Rzym Augustowi był potrzebny, musiano się mu zasługuwać, postanowiono więc dotrzymać słowa i nawrócić Fryderyka. Sprowadzono z Polski wojewodę inflanckiego, Kosa, i uczyniono go przy księciu ochmistrem. Sułkowski już naówczas przy nim się znajdował.

W 1711 r. zabrał z sobą syna August do Polski, skąd zawiózł do Pragi i tu nastąpiły narady z nuncjuszem Albani. Postanowiono zmienić cały dwór i otoczenie królewicza, dając mu samych katolików. Nie wiedział o tem wcale Fryderyk i za powrotem do Drezna w niedzielę najpierwszą poszedł do luterskiego kościoła na znak wytrwania, przybierając sobie imię Constans. Wkrótce potem we Frankfurcie, przy wyborze cesarza, był także jeszcze na nabożeństwie protestanckiem.

Zaraz potem wojewoda Kos wystąpił z rozkazem króla, pożegnał i odprawił dotychczasowego ochmistrę, barona Miltitz, cały protestancki dwór królewicza, z nim razem, wyjawszy lekarza, kucharza i kasjera, i miejsca ich obsadził katolikami. Dalszym kierunkiem miał się zająć o. Salerno. August II wyprawiał zarazem w podróż syna i rozkazywał mu naprzód jechać na karnawał do Wenecji. Było to pierwsze w świat wystąpienie. Sławne jeszcze podówczas bywały karnawały na placu Św. Marka. W styczniu 1712 r.

wyruszone wprost z Frankfurtu w tę podróż, która, dla oddalenia królewicza od wpływów protestanckich, trwała lat siedem.

Listy wszystkie, które pisywał do rodziny, musiały przechodzić przez ręce Kosa i generała saskiego Lützelburga, człowieka bystrego umysłu, ale obyczajów niezbyt chwalebnych.

Królewicz, zrazu zaniepokojony w sumieniu, znalazł środki udania się o ratunek do Anny, królowej angielskiej, i Fryderyka IV, króla duńskiego. Pierwsza zapraszała go do Anglii, drugi oświadczał, że, jeśli zostanie katolikiem, utraci prawa do spadku duńskiego.

Breve papieskie tegoż roku zapewniło Augusta, iż w razie napaści książąt protestanckich ojciec święty gotów mu pomagać, choćby miał na to sprzedać ostatnią koronę swoją. Królewicz tymczasem w towarzystwie Sulkowskiego, który wkrótce stał się jego powiernikiem, będąc do niego wiekiem zbliżony, podróżował po Włoszech *incognito* pod imieniem hrabiego Miśni lub hrabiego Luzacji. Dwór jego składali, oprócz Sulkowskiego, wojewoda Kos, generał Lützelburg i o. Salerno, ale ubrany po świecku, jako dworak, a oprócz tego Sas, jezuita o. Vogler. Sekretarzem był także jezuita Kopper, pod nazwiskiem pana Weddernoy i w ubraniu świeckiem. Wpływ więc na księcia był codzienny i nieustanny, któremu w ciągu lat tylu oprzeć się było niepodobieństwem. Z Wenecji udali się do innych miast włoskich, do Bolonji, gdzie władze papieskie uroczyście przyjmowały księcia. Tu o. Salerno nareszcie nawrócenia dokonał. Wyznanie wiary złożył w największej tajemnicy królewicz w ręce legata papieskiego, kardynała Cassoni. Później i Albani i Salerno w nagrodę otrzymali kapelusze kardynalskie.

Nawrócenie długi czas pozostało tajemnicą, a że stany saskie domagały się powrotu i August nie chciał ich drażnić, wstrzymano zamierzoną już podróż księcia do Rzymu. W 1713 r. wracał do kraju wraz z o. Salerno, który z Weroni, pożegnawszy się, pojechał do Rzymu, ale pozostał w ciągłej korespondencji ze swym wychowawcą.

Wprost jednak nie kazano jechać księciu do Drezna, ale naprzód do Düsseldorfu, gdzie jakiś czas mieszkał u kurfirsta Pfalzu, gorliwego katolika; później udał się na dwór Ludwika XIV, który przez papieża był o nawróceniu uwiadomiony. W tej podróży było jakieś posądzenie o spisek na porwanie księcia przez jego krewnych protestanckich, ale cała ta sprawa nie jest wyjaśnioną. Obawiano się ciągle, ażeby książę nie wyrzekł się przyjętej wiary. W Paryżu przyjęto gościa bardzo uprzejmie, jak widać z listów starej księżnej orleańskiej, znajdowano go nawet miłym,

choć bardzo mało mównym (i takim na całe życie pozostał).

Wojewoda Kos był najdoskonalszym z dworaków, podobał się też wielce. O zmianie religii mało kto wiedział jeszcze, a sam królewicz własnej matce się do tego nie przyznawał. Z Francji zamiast do Anglii, jak zrazu mówiono, powieziono księcia na Lion i Marsylję do Włoch i do Wenecji znowu, gdzie signoria i szlachta wysadzała się na zabawienie go i przyjęcia. Maskarady, regaty, komedje, bale następowały jedne po drugich.

Z porady Klemensa papieża nakoniec postanowiono, dla zapewnienia się o księcia, ożenić go z gorliwą katoliczką. Rozpoczęto o to starania w Wiedniu przez o. Salerno; minister Starhemberg i książę Eugenjusz dopomogli do tego tak skutecznie, iż arcyksiężniczka przyrzeczona została. Zawieziono królewicza do Wiednia, gdyż najmniejszego kroku bez rozkazu ojca uczynić nie mógł i nie chciał.

Nawrócenie zawsze jeszcze było tajemnicą, chociaż względy na królowę matkę ustały, bo ta właśnie życie była skończyła. W październiku 1717 roku, jednego poranku hrabia Lützelburg nakazał całemu dworowi księcia stawić się o godzinie dziesiątej rano w jego przedpokoju. Około jedenastej zaszła przed pałac kareta nuncjusza m-ra Spinoli, na przeciw któremu wybiegła część dworu, dla wprowadzenia go na pokoje. Wkrótce potem wszedł małeńki człowiek ze skrzyneczką zakrytą, a p. Lützelburg wysunął się z pokoju księcia i odezwał do dworaków, że w apartamencie królewicza coś się odbywać ma (*etwas passiren*), czemu panowie protestanci mogą, jak chcą, być lub nie być przytomni. Otwarły się drzwi narożnice. Nuncjusz przy stoliku czytał mszę, której książę, będąc chory, słuchał w łóżku, ale z pobożnością wielką.

Po mszy oddalił się nuncjusz, a książę odezwał się do dworaków swych, protestantów:

— Teraz panowie już wiecie, czem ja jestem, a zatem wkrótce proszę za mną.

Na co generał Kospoth odparł:

— Jeszcze się o tem nie myślało, trudno się tak nagle decydować...

A książę dodał:

— Masz w. mość słuszność, trzeba wprzód zostać dobrym chrześcijaninem, nim katolikiem...

Tajemnica została odkryta, w niedzielę następną królewicz poszedł na mszę do jezuitów i komunikował. Radość stąd wielka była w Rzymie.

Saksonji dano zapewnienie nowe, iż wiara protestancka poszanowaną zostanie, ale starania o nawracanie były rzeczą nieuchronną i przewidywaną. Królewicza nie puszczono z Wiednia przez siedemnaście miesięcy. August dostarczał

obficie pieniędzy na świetny dwór i dawane bale. Tu też odbyły się zaślubiny z Marją Józefiną w roku 1719.

Sulkowski cały ten czas najbliższym był osoby królewicza i nieodstępny. Z nim razem tegoż roku przy dworze młodej pary powrócił do Drezna, które z największym przepychem przyjmowało córkę cesarów. Sulkowski z nałogu i z potrzeby podzielał wszystkie ulubione zabawy i zajęcia królewicza, jego myślistwa, konne łowy, zamięlowanie w teatrze i w sztuce. W podróży po Niemczech, Włoszech, Francji, w towarzystwie pana, widział wiele i wykształcił się znakomicie; nauczył się znać świat, a co najwięcej, poznał dobrze słabości Fryderyka, umiał z nich korzystać, dogadzać im, rządzić niemi i czuł się tak potrzebnym, że mniemał się niezwalczone. Sam na sam królewicz był z nim w największej poufalości, a lata ten stosunek wzmacniały. Stosunki, związane na dworach austriackim, francuskim, papieskim, ubezpieczały także Sulkowskiego, który wszędzie mnogich liczył przyjaciół.

Nie obawiał się więc ani współzawodnictwa Brühla, ani żadnego podstęp. Przez żonę, niegdy frejlinę królewiczkę, pannę von Stein-Jettingen, miał też ucho i poparcie u Józefiny, którego zdawał się pewnym.

Dworak daleko wytrawniejszy od Brühla, ale daleko od niego mniej pokorny i śmielszy, „kawaler“, jak naówczas mówiono, najlepszego tonu, pięknej postawy, układny, Sulkowski nie miał zdolności pierwszego ministra, ale dumę i ambicję wielką. Mniej oswojony ze sprawami bieżącemi kraju, niż Brühl, który oddawna przy Augustcie w kancelarji jego pracował, rozumiał to dobrze, ale miał pod ręką człowieka, którym spodziewał się wyręczyć. Siegał więc po władzę w przekonaniu, że ją utrzyma i że jej podola. Życie jego było skromniejsze od Brühla, który pod rozmaitemi pozorami lubił coraz świetniej występować i kochał się w zbytku. Sulkowskiego dwór nader był szczupły, służba niewytworna, ekwipaże niewykwintne.

Objęcie ministerjum i zarządu państwa właśnie oddaniem mu być miało, gdy jednego poranku, nim się udał do królewicza, Sulkowski posłał po swojego powiernika. Siedział z książką francuską w ręku w gabinecie, czekając nań, gdy powołany radca Ludovici nadbiegł zdyszany.

Przy osobie ministra pełnił on te same obowiązki, co Hennicke przy Brühl; był to jego *factorum*, zastępca, naczelnik kancelarji, wyręczyciel i poradnik. Sulkowski, sam mało wprawny w interesach, posługiwał się nim we wszystkim.

Jedno spojrzenie na tę figurę dostatecznie ją poznać dawało. Charakterystyczniejszej twarzy trudno było spotkać, ani łatwiej umiejacej się zmieniać i przybierać wszelki wyraz, jakiego położenie wymagało. Lat przeszło trzydzieści

Ludovici starszym się wydawał, niż był. Twarz cała w fałdach, bystre oczy czarne, usta ruchome, o których trudno było powiedzieć nawet jak rzeczywiście natura je stworzyła, bo i wąskimi, i szerokimi być umiały; cała postać wylamana i kuglarsko się wyginająca, nieustannie w ruchu, czyniły radcę Ludovici zjawiskiem nieprzyjemnem i niespokojnem. Trzeba się doń było przyzwyczaić, aby go móc znieść. Nieustannie patrzył w oczy, badał, wyrывał z ust niedokończone wyrazy. Sułkowski szczęściem był doń nawykły i powaga swą niecierpliwość jego trzymał na wodzy. Ludovici pełne miał wszystkie kieszenie papierów, wszedłszy, skłonił się i, sparsłszy na poręczy najbliższego krzesła, czekał, co mu pan minister powiedzieć raczy.

— Dokumenty mam z sobą, — rzekł nakoniec, uderzając się po boku, z którego kieszeni papiery wyglądały — jeżeli w. ekscelencja pozwoli.

— Nie o tem się z w. panem radzić chciałem dzisiaj — odezwał się Sułkowski. — Mamy o czem innem do mówienia.

Ludovici pochylił się z niecierpliwą ciekawością, oczy mu się iskrzyły.

— O czemże, o czem? w. ekscelencja raczy.

Sułkowski zdawał się namyślać jeszcze, czy ma się zwierzyć zupełnie; ta chwila wyczekiwania i niepewności podniosła jeszcze żywą już ciekawość pana radcy. Ścigał go oczyma, nachylał się, jakby wylatujące z ust słowa chciał co najprędzej pochwycić.

Sułkowski zapatrzył się w okno. Wstał, potem powoli w bok się biorąc.

— Jest to dosyć nieprzyjemna rzecz, — rzekł — że, żyjąc na dworze, nawet tak nieograniczonym, będąc zaszczyconym zaufaniem kurfirsta, jak ja... mimo to pewne środki ostrożności przeciw zachciankom władzy zachować należy.

Ludovici uśmiechnął się, oczy roztworzył i ręką dziwnie w powietrzu poruszać zaczął, ale przerywać nie śmiał.

— Mogę śmiało powiedzieć, — kończył Sułkowski — że się tu nie obawiam nikogo, ale też nikomu wierzyć nie mogę.

— Słusznie, pięknie, sprawiedliwie — dorzucił Ludovici. — Wierzyć nigdy nikomu nie trzeba. Mówił mi to jeden bardzo rozumny człowiek, że z przyjaciółmi zawsze obchodzić się należy tak, jakby jutro naszymi wrogami być mieli.

— Nie o to idzie, mój Ludovici, mogą się stać wrogami, a nic mi nie robią; ale o ich ruchach, zamiarach i myślach chcę być uwiadomionym.

— Słusznie, pięknie, sprawiedliwie — wtórował Ludovici.

— Dotąd nie miałem potrzeby, dziś mi się zdaje to koniecznem.

— Słusznie, pięknem i sprawiedliwym — powtórzył radca. — Tak, tak! musimy mieć ludzi, którzyby oko mieli na wszystkich...

— Tak jest, nawet na osoby wysoko położone — z przyciskiem dorzucił Sułkowski.

Ludovici spojrzał i, nie będąc pewnym znaczenia tych wyrazów, wyczekującą przybrał postawę. Nie wiedział, jak wysoko ma prawo sięgnąć myślą i domysłem.

Sułkowski niebardzo się chciał jasno tłumaczyć.

— Ja — dodał z pewnem zakłopotaniem — we wszystkie urzędowe czynności moich współkolegów wglądać nie mogę...

— Urzędowe czynności... — rozśmiał się Ludovici. — Ale to nic jest, ekscelencji prywatne ich czynności częstokroć nierównie więcej znaczą...

— Radbym więc mieć o tem...

— Słusznie, pięknie, sprawiedliwie, raporcik — wtrącił Ludovici — każdego dnia, regularnie. Tak, pisany, ustny?

Zawahali się obaj.

— Ustny mi starczy — rzekł minister. — Waćpan mi go sam przynosić możesz, zebrawszy materiały właściwe.

— Ale słusznie, tak! ja... i zapewniam w. ekscelencji, że wierniejszego sługi mieć nie może.

Tu skłonił się i w tejże chwili głowa, która była opadła aż na poręcz krzesła, podleciała znowu szparko do góry.

— Pozwolę sobie tu uczynić kilka uwag — szepnął Ludovici ciszej. — Posłowie obcy, rezydujący przy dworze, powinni ścisłemu podlegać nadzorowi, coż to są bowiem, jeśli nie urzędowe państw swych szpiegi, hm? Nie wyjmuję nawet, z przeproszeniem, hrabiego Wallensteina, choć jest zarazem wielkim ochmistrem dworu... A coż dopiero mówić o Waldburgu pruskim? o margrabim de Monti, o rezydencie Woodward, o hrabi Weissbach... i baronie Zülich.

— A! mój Ludovici, obce państwa nietyłe częstokroć grożą, co wewnętrzne intrygi.

— Słusznie, pięknie — podchwycił Ludovici. — Tak! tak! tak! Nikt nade mnie wyżej nie szacuje i nie ceni ministra Brühla...

W tej chwili Sułkowski bystro spojrzał na radcę, radca na niego i rozśmiał się szeroko, rękę do góry podniósł, głowę pochylił: zamilkł. Znaczyło to: zrozumieliśmy się, trafiłem we ćwieczek.

— Jest to mój dawny przyjaciel — poczał Sułkowski. — Człowiek, którego niepospolite talenta szacuję.

— Talenta... wielkie, niepospolite, ogromne, straszne! — z gestykulacją żywą potakiwał Ludovici. — A tak.

— Radca masz wiedzieć, że zmarły król silnie go polecił najjaśniejszemu królewiczowi, że ma się żenić z hr. Kolowrath, że królewiczowa pani bardzo mu sprzyja. Pomimo

to wszystko źlebyś sobie tłumaczył to, co mówię, gdybyś sądził, iż mu nie ufam, że się go lękać mogę....

— Tak, ale ostrożność jest nakazana, a nadzór konieczny... Tamtędy płynie strumień złoty i rzeka srebra...

Sułkowski nakazał milczenie.

— Skarżą mi się niektórzy na język ostry Watzdorfa.

— Młodsze — przerwał Ludovici. — Tak, tak, niepowściągliwy, ale to młyn, który miele własne kamienie: nikomu to nie szkodzi, oprócz jemu, a jak niema być zły, kiedy...

Nie dokończył, gdy wielki hałas dał się słyszeć w bliskiej sieni domu, z której drzwi wiodły do pokojów gościnnych, piskliwy głos, szamotanie się ludzi, chodzenie. Sułkowski nadstawił ucha. Ludovici zamilkł i cała twarz i postawa jego przyoblekła się inaczej; zmieniony do niepoznania, stał się poważnym urzędnikiem z dworaka. Ściągnięte usta wyrażały zadumanie głębokie. Pisk, przerywany śmiechem kobiecym, rozlegał się ciągle w sieni. Ktoś widocznie domagał się wniścia i chciał je zdobyć przebojem.

Sułkowski dał znak radcy, że na ten raz konferencja była skończona, i postąpił ku drzwiom. Zaledwie się one otwały, gdy ten śmiech suchy i dziwno brzmiący wzleciał z przedpokoju, a nim gospodarz mógł wynieść na spotkanie, dama, najpocieszniej przybrana w żałobę, wpadła do gabinetu.

Podobne jej figurki chyba na parawanach i z porcelany lepienie się trafiają. Niezmiernie strojna i nadzwyczaj brzydka, chuda, żółta, woniejąca węgierską wodą (*La Reine d'Hongrie*, larendogłą, zastępującą wówczas kolońską), w wysokiej fryzurze, na korkach wysokich, maleńka kobiecina wpadła, szastając suknią i mizdrząc się do Sułkowskiego oczkami zmrużonemi, buzią wysznurowaną, w której już połowy niegdyś perłowych ząbków nie było.

W chwili, gdy ten niespodziewany gość brał szturmem gabinet, Ludovici nawpół zgięty wysuwał się z niego, a przybyła, pomimo iż była bardzo zajęta, oczyma za nim powiodła.

— *A, ce cher comte!* — zawołała. — Widzisz, widzisz, niewdzięczny hrabio! Nim mogłeś się dowiedzieć, że ja tu jestem, ledwie ucałowawszy kolana mojej najjaśniejszej wychowawicy, przybiegłam do ciebie. *N'est-ce pas joli de ma part?*

Sułkowski się skłonił i chciał jej rękę ucałować, ale go klapnęła po ramieniu czarnym wachlarzem.

— Daj pokój... stara jestem, to ci smakować nie będzie; ale daj mi gdzie sięść.

Obejrzała się i na pierwszym krześle upadła.

— Muszę odetchnąć: chciałam z wami pomówić na cztery oczy.

Sułkowski stanął przed nią w gotowości do rozmowy. Podniosła ku niemu głowę.

— No, cóż? Straciliśmy tego wielkiego, wspaniałego, nieodżałowanego Augusta naszego!

Westchnęła, Sułkowski wtórował.

— Szkoda go, ale, między nami powiedziawszy, żyl dosyć i użył wiele i nadużył... Ja o tem mówić nie mogę: *des horreurs!* Cóż teraz będzie z wami, sierotami biednymi? Królewicz? prawda? nieutulony w żalu? tak? Ja od mojego dworu przybyłam z kondolencją do niego i mojej drogiej najjaśniejszej wychowanki.

Pochyliła się nieco i sparła niby wdzięcznie na poręczy krzesła, do ust przykładając wachlarz.

— Cóż słyhać, mój hrabio, drogi hrabio? Co słyhać? Już wiem, że wy należne wam otrzymaliście stanowisko. Cieszym się z tego wszyscy, bo wiemy, że dwór nasz na was rachować może we wszelkim wypadku?

Sułkowski się skłonił.

Z tych wyrazów łatwo odgadnąć, iż przybyła była posłanniczką dworu austriackiego. Była to sławna niegdyś nauczycielka królewiczowej Józefiny, później frejlina, panna Kling, którą posyłano tam, gdzie męskie poselstwo byłoby zbyt nieoczywiście. Panna Kling była jednym z najrzęczniejszych ówczesnych dyplomatów na posługach cesarza.

— Pani już o wszystkim od najjaśniejszej królewiczowej wiedzieć musi.

— Ale o niczem w świecie nie wiem, drogi hrabio; wiem tylko, — prędko mówiła panna Kling — że wam należy pierwsze dostojęństwo, że macie kurfirsta serce, że Brühl ma wam dopomagać. Ale mówże mi, hrabio, co to jest ten Brühl?

Sułkowski się zamyślił.

— Jest to mój przyjaciel — rzekł wkońcu.

— A! teraz... to rozumiem. Wiecie, że królewiczowa mu przyrzekła Kolowrathównę i że ona podobno niebardzo sobie życzy. Wszak Brühl szalał za Moszyńską?

Wszystko to tak prędko biegło z ust panny Kling, że Sułkowski na odpowiedź namyśleć się nie miał czasu.

— Tak — rzekł krótko. — Brühl podobno się żeni...

— Ale luter jest?

— Ma przyjąć wiarę katolicką.

— Byle nie tak, jak, z przeproszeniem nieboszczyka, ten wspaniały wielki August II, który swoim ulubionym wyłom kładł różańce na szyję.

Sułkowski zmilczał.

— Cóż więcej? Królewicza nie widziałam jeszcze... zmienił się? posmutniał? Żal mi go! Żaloba... opery tak długo nie posłyszysz. A Faustyna? cóż? czy ją kto zastąpi?

— Najjaśniejszy królewicz pragnie wszystko utrzymać w takim stanie, jak było za rodzica jego, ś. p. Augusta... Faustyny niktby zastąpić nie potrafił.

— Ale to stara kobieta i głos ma tylko piękny.

— To też ten w niej tylko zachwyca — odezwał się Sułkowski.

Panna Kling zakryła się wachlarzem i pokiwała głową.

— Prawdziwie — rzekła cicho — dla mnie kobiety nader drażliwe pytanie; ale jestem ciekawą i muszę wiedzieć. Mój Sułkowski! czy on dotąd jest wierny żonie? Ja ją tak kocham, moją najjaśniejszą wychowanicę.

Hrabia aż się cofnął.

— To nie ulega najmniejszej wątpliwości! — zawołał żywo. — Najjaśniejsza królewiczowa nie opuszcza go ani na chwilę: jeździ z nim na łowy do Hubertsburga i Dianenburga nawet.

— Ażeby ją sobie zbrzydził i aby się prędzej naprzykrzyła, — szepnęła Kling — to niedobra rachuba. Ja się zawsze lękam tego bałamuctwa, które jest we krwi...

Spojrzała na hrabiego, który głową potrząsał.

— Królewicz jest tak pobożny...

Kling pokryła uśmiech wachlarzem. Okna pokoju, w którym się toczyła ta rozmowa, zwrócone były ku rynkowi. Pomimo że mówiono dosyć głośno, wrzawa, śmiechy i hałas jakiś uliczny pod samemi oknami stał się tak silny, że Sułkowski, namarszczywszy brwi, nie mógł się powstrzymać, aby się nieco ku oknu nie zbliżyć i nie wyjrzeć, jaka tego była przyczyna.

W owych czasach uliczny hałas i rozpasanie pospólstwa były bardzo rzadkie. Jeśli się co podobnego trafiało, musiało być spowodowane wypadkiem ważniejszym i niejako urzędowym: wyrokiem jakim sądowym, wykonaniem jego, lub tym podobnie. W istocie przez okno widać było nagromadzone tłumy, w sąsiednich kamienicach pełno głów we drzwiach i szybach. W pośrodku ciżby, która się cisnęła i falowała, jakiś pochód niezrozumiały się odbywał...

Panna Kling, niezmiernie ciekawa, porwała się z siedzenia, podbiegła do okna i, rozsunięwszy firanki, starała się widowisku, które jej badanie przerwało, przypatrzeć. Sułkowski spoglądał także.

Tłum właśnie pod samemi przeciągał oknami, a ogromna kupa dzieci i starszych obdartusów goniła za dziwną figurą w ciemnej sukni, siedzącą na osiołku twarzą do ogona. Osła prowadził pacholek czerwono ubrany. Smutno było spojrzeć na tego nieszczęśliwego winowajcę, człowieka niemłodego, ze spuszczoną głową, przygarbionego, przybitego wstydem i męczarnią na lata jego ciężką. Chwilami oczy sobie zakrywał... to znowu chwycił się osła, aby nie spaść, to opierał się na szyi, to na grzbiecie.

Z okna można było rozpoznać dobrze zbladłą, zbolalą, żółtą twarz ukaranego przestępcy, który, wnosząc z sukni, do lepszego stanu należał. Z kieszeni jego wystawały papie-

ry. Z nóg zwieszonych pospadały trzewiki, suknie miał poszarpane i rozpięte. Jakiś rodzaj osłupienia nastąpił widać po doznaniem upokorzenia; machinalnie tylko bronił się od upadku, nie patrząc na to, co się koło niego działo. Pomimo że dookoła osła szli z halabardami pacholćkowie miejscy, tłum nielitościwy zawsze i okrutny, wypatrzywszy chwilę, ciskał błotem i kamykami na starca. Cała jego suknia okryta już była plamami, a z twarzy ściekało także błoto. Pacholćkowie się śmiali, dzieci biegły, schylały się, goniły i zażarcie dopełniały bezmyślnego okrucieństwa.

— Ale cóż to jest? — zawołała panna Kling. — Co się tu u was dzieje? Nie rozumiem!

— A! nic, nic! — obojętnie zawołał Sulkowski. — Bardzo prosta rzecz. Nie można beżkarnie dozwolić, aby ta hałastra, gryzipiórki jakieś, co papier zasmarowują, śmieli się porywać na sądzenie ludzi klas wyższych i mówienie o nich bez należnego uszanowania.

— Ale naturalnie — odparła p. Kling. — A cóżby to było, gdyby im dozwolono tykać najświętszych rzeczy...

— Wiem, co to za jegomość: to wydawca jakiegoś piśmka, które gazetami albo nowinami nazywamy, niejaki Erell. Dawnośmy uważali, że sobie za wiele pozwala. Naostatkiem przeszkrobał coś w swoich *Dresdner Merkwürdigkeiten* i kazano go przeprowadzić po mieście na takim osle, jakim on sam jest.

— *Et c'est justice!* — zawołała panna Kling. — To bardzo dobrze: z tymi ludźmi dosyć surowymi być nie można. Wyborny przykład, radabym, aby go w Wiedniu naśladowano i żeby się nam dostali w ręce ci, co w Hamburgu i Hadze pozwalają sobie odkrywać najskrytsze dworów tajniki!

Patrzali oknem jeszcze, tłum się, wrzeszcząc, tłoczył. Stary ów Erell, śnać wycieńczony, chylił się na prawo i lewo, jakby co chwila z osła się miał zsunąć. Ale pacholćkowie uważni chwyтали go pod pachy i umocowywali znowu, a że ich to niecierpliwiło, nie obeszło się bez poprawiania pięścią niezdarnego pismaka, który pozwalał sobie, popełniwszy taką zbrodnię, udawać jeszcze delikacika.

Na zawrocie ulicy widowisko to wreszcie wraz z tłumem, który wiodło za sobą, zniknęło za murem, a panna Kling powróciła do swojego fotelu.

Któżby się był naówczas domyślił, że ten, którego na pośmiewisko wystawiano tak nielitościwie, przedstawiał sobą jedną z tych potęg nieznanych, do jakiej miało dorosnąć dziennikarstwo?

Nie popsuło to widowisko humoru ani szczebiotliwej pannie Kling, ani Sulkowskiemu. Znikło z pamięci, znikłszy z oczów; poczęły się szept i dopytywania. Gospodarz jednak dosyć zimno i ostrożnie odpowiadał na rzucane mu do rozwiązania zagadki.

— Mój drogi hrabio, — dodała wkońcu posłanka — winienesz rozumieć to dobrze, iż dworowi mojemu idzie o to, aby zdrowy wpływ tylko miał przystęp do umysłu kurfirsta, a nawet mojej najjaśniejszej wychowanki. Wprawdzie aktem urzędowym zrzekliście się wszelkich roszczeń i przyjęli sankcję pragmatyczną, lecz... łacnoby ktoś mógł was wprowadzić na pokuszenie. Dwór mój ufa ci, kochany hrabio, — dodała ciszej — i możesz nań rachować, bo wdzięcznym być umie.

— Liczę się do najwierniejszych sług j. cesarskiej mości — rzekł Sułkowski.

Panna Kling wstała i otrząsała suknią na rogówce, gdyż, pomimo twarzy i wieku, dbała wielce o swój strój. Przejrzała się w wiszącym zwierciadle, uśmiechnęła, dygnęła; Sułkowski podał jej rękę i wychodzącą przeprowadził do oczekującej na nią dworskiej *porte-chaise*, do której zaprzężeni dwaj hajducy w kanarkowej liberji unieśli zaraz kłaniającą się długo i wdzięcznie baronównę.

X.

Wkrótce po opisanych tu scenach, w godzinie obiadowej, która naówczas była tak wczesną, że na zamku o drugiej zwykle od stołu wstawano, Brühl niezmiernie zmęczony wpadł do swojego domu.

Na twarzy jego, zwykle tak rozpromienionej, znać było rozdrażnienie wielkie. Spojrzał na zegar i, nie dając sobie tak potrzebnego wypoczynku, pobiegł do znanej nam garderoby. Czterech lokajów czekało tu na jego ekscelencję, piątym był Hennicke z nadzwyczaj kwaśną twarzą, stojący w progu i zdający się domagać posłuchania.

Zobaczywszy go w zwierciadle, Brühl odwrócił się niecierpliw.

— Czego chcesz? — zapytał.

— Rzecz niezmiernie pilna! — ponurym głosem zawołał Hennicke.

— Ale i mnie też niezmiernie jest pilno... — rzekł niecierpliwie Brühl.

— A mnie pilniej jeszcze, niż waszej ekscelencji — mruknął zausznik.

Widząc, że się go nie pozbędzie, minister pobiegł do progu. Cekał na to, co mu miał powiedzieć Hennicke. Lecz radca potrząsł głową i wskazał wyraźnie, że tu przy świadkach rozpocząć nie może. Minister szybkim krokiem napowrót przebiegł do gabinetu. Zamknęto drzwi.

— Mów prędko!

Hennicke zapuścił ręce z palcami długimi i kościstymi w głąb kieszeni swej kamizeli, dobył z niej powoli coś błyszczącego i milcząc podał Brühlowi.

Była to moneta, czy medal wielkości talara. Brühl poszedł z nią do okna, bo dzień był pochmurny. Oczywiście jego pilnie zatrzymały się na medalu, którego jedna strona wyobrażała tron z siedzącą na nim figurą z fajką w szlafroku, a poznać w niej było łatwo, lub domysleć się raczej kurfirsta młodego; trzy figury podpierały tron jego, dwie w paziowskich strojach, a jedna w lokajskiej liberji. Odwróciwszy medal, mógł przeczytać na nim dystych szyderski, stosujący się do Sułkowskiego, do niego i do Hennickego:

Jest nas tu trzech razem:
Dwóch paziów i lokaj.
(*Wir sind unserer drei:
Zwei Pagen und ein Lackei*).

Popatrzywszy chwilę, Brühl cisnął medalem o ziemię; ten się potoczył, a Hennicke schylił po niego troskliwie, goniąc toczący się aż pod kanapkę. Podniósł się wreszcie. Brühl stał zamyślony i gniewny.

— Cóż w. ekscelejncja na to?

— Co? dajcie mi tego, co to zrobił... zobaczycie! — zawołał Brühl.

— Co to zrobił — podchwycił gniewnie Hennicke. — To odbito w Holandji, tam, gdzie nasze ręce nie sięgają, ale poddyktowane z Saksonji. Któż tam się o to troszczy, czy ja byłem lokajem, a wasze obiedwie ekscelejncje paziami? Holendrom to zupełnie wszystko jedno. To wyszło stąd, z Saksonji.

— A zatem trzeba dojść sprawcy — zawołał Brühl. — Nie potrzeba żałować na to wydatku... nasłać ludzi.

Hennicke ruszył ramionami.

— Piękna byśmy mieli policję i dobrych szpiegów, gdybyśmy tego dojść nie mogli! Ten medal daj mnie, — dodał Brühl — ja go potrzebuję mieć. Skąd go masz?

— Mnie go niewidzialna podrzuciła ręka. Znalazłem go w domu na stoliku. Znajdziecie może i wy u siebie.

— Potrzeba surowości do ostatecznych posuniętej granic, do Königsteinu na całe... — krzyknął minister. — Niedawno Erella trzeba było przewietrzyć, oprowadzając po ulicach; ale tego jegomościa bezpieczniej zamknąć, aby się nauczył szanować ludzi.

— Naprzód go trzeba znaleźć! — mruknął Hennicke. — Postaramy się o to... Mnie w tak dobrem towarzystwie — rzekł z tajonym gniewem — wcale nie wstyd. Ekscelejncjom może być przykro stać obok eks-lokaja.

Spojrzał bystro na Brühla.

— Ha! ale ten lokaj potrzebny... bez niego obejśćby się było trudno... dużo rzeczy widział, wiele słyszał, niemało ich przez ręce przepuścił; gdyby się go pozbywać chciano...

— Cicho, milcz, Hennicke — przerwał minister. — Nie-

potrzebne czynisz przypuszczenia. Medal wykupimy i zniszczymy, a sprawcę ty znajdziesz. Za kilka tysięcy talarów wiele zrobić można. Wyprawić człowieka rozumnego do Holandji na miejsce.

— Ja sam pojadę... — rzekł Hennicke. — Nie dziś, to jutro namacam tego jegomościa. Nie byłby człowiekiem, żeby coś tak dowcipnego wymyśliwszy, nie pochwalił się z tem przed kimkolwiek. Trochę cierpliwości... będziemy go mieli.

Brühlowi było pilno, skinął na konfidenta i wyszedł. Hennicke znikł. Chmurniejszy nieco pobiegł się przestroić, oblać wonną wodą, dobrać sobie do stroju tabakierkę, szpadę, perukę i kapelusz. Spojrzał na zegarek i kazał zajeżdżać karecie. Konie stały w gotowości. Zaledwie siadł, uniosły go ku przedmiesciu Wildsrufskiemu. Dzień był piękny, wiosenny, ciepły, słoneczny. U bramy minister stanąć kazał, lekki płaszczyk narzucił na ramiona, wysiadł z powozu i, odprawiawszy go do domu, stał, póki mu z oczu nie zniknął. Obejrzał się potem bacznie, a że wśród przechodzących nikogo, oprócz ludzi z gminu, nie było, posunął się żywo za bramę, gdzie się poczynały ogrody. Ścieżką sobie znajomą dostał się do furtki, od której miał klucz w kieszeni, i jeszcze raz obejrzawszy się na wszystkie strony, wbiegł do ogródka, którego rozkwitłe jabłonie okryły go strzęsionemi z gałęzi różowych kwiatów listkami.

W głębi widać było skromny bardzo domek wiejski, cały w bżowych krzakach utulony. Ptaszki świergotały na gałęziach, cicho było i pusto; Brühl szedł ulicą wysadzaną drzewy, powoli, zamyślony, z głową spuszczoną. Trzask otwierającego się okna zbudził go. W oknie stała wspaniałej postaci kobieta, zdająca się oczekiwać na niego. Spostrzegł ją i lice mu się rozjaśniło. Zdjął kapelusz i pozdrowił ją, rękę przykładając do serca.

Ci, co niegdyś znali w całym blasku jej niezrównanej piękności, dziś zamkniętą w pustym zamku i zestarzałą w tęsknocie i boleści Cosel, byliby w rysach młodej pani, stojącej w oknie, znaleźli do niej choć dalekie podobieństwo. Nie miała ona blasku matki ani tych rysów rzeźbionych, które do późnej starości zachowały się niestarte nawet łzami, ale miała majestat i powagę, i potęgę jej wejrzenia.

Stojąca w oknie była to hrabina Moszyńska, której mąż w Warszawie przygotowywał elekcję królewicza. Ona wolała pozostać w Dreźnie. Kilku krokami śpiesznemi Brühl znalazł się w progu domku. Ona wyszła naprzeciw niego. Wnętrze chatki daleko ozdobniejsze, niżby się po jej skromnej powierzchowności spodziewać było można, strojne było w zwierciadła, w wytworne sprzęty i wonne od wiosennych kwiatów. W pierwszym dosyć dużym pokoju stał nakryty do obiadu stoliczek na dwie osoby, świecący od sreber, kry-

ształów i porcelany. Nie było nikogo, oprócz hrabiny i pta-
szków, które w brązowych klatkach świergotały, idąc w za-
pasy ze swemi braćmi na swobodzie.

— Tak późno! — szepnęła Moszyńska, którą Brühl w rę-
kę całował.

— Prawda, późno, — odparł minister, dobywając bry-
lantami kameryzowany zegarek — ale mnie wstrzymano
interesem niemiłym a ważnym.

— Niemiłym? cóż takiego?

— Dziś nie mówmy o tem, radbym zapomnieć...

— A ja chciałabym wiedzieć...

— Dowiedzie się, kochana hrabino, zawsze za wcześnie
o rzeczy nieprzyjemnej — rzekł Brühl, siadając naprzeciw
niej i głowę opierając na dłoni. — Cóż zresztą dziwnego, że
człowiek, co, jak ja, po stopniach iść musiał i doszedł tro-
chę wyżej, ma nieprzyjaciół w tych, co za nim pozostali
i którzy się mszczą bezsilnemi szyderstwami.

Hrabina, która słuchała z uwagą natężoną, poruszyła
się żywo i z uśmiechem lekceważenia piękną rączką uderzy-
ła po stole.

— Szyderstwa! potwarzami! słowy! — zawołała. — I wy
jesteście tak słabi, że na to zważacie? że was to obchodzi?
że boli? Musiałabym wątpić o was, kochany Henryku, gdy-
byście być mieli tak słabi. Kto chce wielką w świecie ode-
grać rolę, ten na sykanie widzów wcale zważać nie powin-
nien, ani się powodować oklaskami. Jedno i drugie niewie-
le warto. Jeżeli cię boli posłyszane słówko, żal mi cię: ni-
gdy nie dojdiesz do niczego. Nad to trzeba umieć być
wyższym...

— Nikczemne uraganie — wrzucił Brühl.

— Cóż cię to tak może obchodzić, że pies z za płotu
szczeka? — spytała piękna hrabina.

— Drażni mnie.

— Nie spodziewałam się tego. Wstydź się!

— Nie wiecie, o co idzie.

To mówiąc, Brühl dobył z kamizelki medal, który wziął
z sobą, i posunął ku hrabinie. Ta obojętnie nań rzuciła zra-
zu okiem, przypatrzyła się rysunkowi jednej strony, po-
woli odwróciła go na drugą; przeczytała napis, uśmiechnę-
ła się, ruszyła ramionami i chciała wyrzucić przez okno, gdy
Brühl rękę jej wstrzymał.

— Potrzebny mi — rzekł.

— Naco?

— Nie puszcze tego płazem — odparł minister. — Kon-
cept wyszedł z Saksonji. Jeśli dozwolimy nicować nasze
czynności i nie ukarzymy zuchwalca...

— Znajdźcie go najprzód, — szepnęła hrabina — a po-
tem dobrze się zastanówcie, czy, mszcząc się, nie podniesie-
cie dzieciństwa do ważności, której ono nie ma.

— Zanadto sobie pozwalają! — zawołał Brühl. — Niedawno Erella trzeba było na osle wodzić po ulicach, a autora medalu wypadnie zaprosić do Königsteinu.

Moszyńska ruszyła ramionami pogardliwie.

— Zemstę, wierz mi, zostaw Sułkowskiemu — rzekła. — A wogóle dopóki musicie panowanie dzielić z nim, starajcie się, aby na jego ramiona spadało wszystko, co drugich boli, na siebie bierzcie, co mile. Spodziewam się wszakże, iż długo tej spółki z nim nie będzie — dodała ciszej.

— Jak długo ona potrwa, nie wiem — odezwał się Brühl. — Mojem zdaniem, należy mu dać czas, aby on sam zbytkiem ufności w sobie i jaką omyłką się zgubił.

— Masz słuszność i to nieochybnie nastąpi. Sułkowski ma dumę i zarozumiałość ogromną, jest pewnym, że zrobi z królem, co zechce. Należy mu dać plac i pole, na którymby koziołka przewrócił. Tymczasem *il tirera les marrons du feu* — rozśmiała się hrabina, ale Brühla rozweselić nie mogła: siedział chmurny i zamyślony.

Wdzięcznie ubrana i figlarnie wyglądająca służąca, w trzewiczkach na korkach, w czepeczku białym nakształt owej sławnej czekoladniczki wiedeńskiej Liotarda, z podpiętym fartuszkim, z rączkami do łokcia obnażonymi i dowodzącymi, że się nie zapracowywała, bo były białe i delikatne, wniosła w tej chwili wazkę srebrną. Uśmieżkiem i wejrzeniem powitała nieznacznie Brühla, a wazkę postawiwszy na stole, wybiegła prędko z pokoju.

Obiad we dwoje począł się przy rozmowie ożywionej. Moszyńska dopytywała o wszystko: o pannę Kling, o jej poselstwo, nawet o projektowane małżeństwo Brühla, o którym mówiąc, westchnęła i namarszczyła brwi.

— Nie spodziewam się, żeby mi ono odebrało serce wasze, Henryku — odezwała się cicho. — Panna cię nie kocha, ona ci jest obojętną... żenisz się pono więcej dla królewiczowej, dla starej Kolowrathowej i dla stosunków, niż dla siebie; ja to wiem i dlatego jestem spokojną.

— Możecie nią być — rzekł minister. — Serca drugiego nie mam, a to, którem miał, oddałem dawno. Żenię się tak samo, jak dziełę władzę z Sułkowskim, bo to jest koniecznością położenia.

— Królowi, królowi nadskakuj; stań mu się potrzebnym: baw go, siedź, nie odchodź, poluj, choć cię polowanie nudzi. Sułkowski, jeśli się nie mylę, zechce odpoczywać, zapragnie grać rolę wielkiego pana, ty się stań nieodzownym. Król — nazywam go już tak, bom elekcji pewna i korony — potrzebuje kogoś i zawsze przy sobie dlatego, aby mu się choć uśmiechać, jest słaby, łatwo nabiera nałogu twarzy i ludzi. O tem wszystkiem trzeba pamiętać.

— A! droga hrabino! — chwytając ją za rękę, zawołał

Brühl. — Bądźcie moją opiekunką, moją Egerją, moją opatrzącością, a o przyszłość mogę być spokojny...

Rozmawiali tak, gdy głosy jakieś dały się słyszeć u furtki i wnijsia. Służąca wbiegła przestraszona. Hrabina porwała się od stołu z brwią namarszczoną, gniewna.

— Co to jest? — zawołała.

— Jakiś... ja nie wiem, ktoś ze dworu. Z listem czy zaproszeniem, domaga się gwałtem, by był wpuszczony.

— Tu? tu? ale któż mu mógł powiedzieć, że ja tu jestem? Mnie tu dla nikogo niema.

Domawiała tych wyrazów, gdy pomiędzy drzwiami w ogródku pokazał się mundur szambelański. Ogrodnik zapierał mu drogę, szambelan, nie zważając nań, szedł powoli. Brühl schylił się, spojrział przez okno, poznał Watzdorfa i, na znak hrabiny, cofnął się do drugiego pokoju, drzwi zamykając za sobą. Pozostał stół nakryty na dwie osoby. Hrabina rozkazała prędko sprzątnąć drugi talerz, a zręczna subretka uniosła nakrycie, zapomniawszy tylko o szklance i kieliszku. Nikt na to nie uważał. Hrabina po chwilce siadła do stolika, chociaż bardzo niespokojnym okiem spoglądała ku ogródkowi; brew jej marszczyła się i ręka drżała z gniewu.

Watzdorf tymczasem przebojem szedł aż do domku, zbliżył się do otwartych drzwi od ogródka i, stanąwszy w nich naprzeciw hrabiny, zwrócił się do goniącego ogrodnika:

— A widzisz... Jej ekscelencja jest, wiedziałem o tem dobrze.

To mówiąc, z szyderskim skłonił się wyrazem, ciekawie i nieprzyzwoicie rozglądając się dokoła, jakby jeszcze kogoś szukał oczyma.

Gdy stanął naprzeciw niej, Moszyńska przybrała bardzo surową fizjognomję.

— Co pan tu robisz? — zawołała groźnie.

— Po stokroć panią hrabinę przepraszam, jestem najnieszczęśliwszym z szambelanów i najniezręczniejszym z ludzi. Królewicz dał mi bilet, pojechałem do jej pałacu, odprawiono mnie z niczem. Bilet królewicza a pana to zawsze rzecz pilna. Puściłem się w pogoń za w. ekscelencją, szedłem tropem i doszedłem aż tu.

— Że waćpan chcesz naśladować wyżyły i gończe, to mnie nie dziwi, panie szambelanie — syknęła, wstając, hrabina. — Ale ja zwierzyną być nie lubię. Nigdzie więc ukryć się i odetchnąć spokojnie od szambelanów nie można...

Watzdorf zdawał się nasycać tym gniewem. Spoglądał na stół: stało przy nim jeszcze krzesło Brühla z zawieszoną na poręczu serwetą. Hrabina widziała, jak się uśmiechał, przypatrując się tym sprzętom zdradzieckim. Nie mieszała się wcale, ale gniew jej tylko wzrósł do najwyższego stopnia.

— Gdzież ten bilet? — zawołała.

— Ja poczekam. Kiedym już raz miał szczęście znaleźć w. ekscelencję, będę cierpliwym.

— Ale mnie waćpan do niecierpliwości przyprowadzisz, bo ja, patrząc nań, nic do ust wziąć nie będę mogła — odezwiała się Moszyńska.

— Pani mi przebaczy, ale ta cudna woń wiosny... rad-bym nią tu odetchnąć.

— Wiosna w polu jest jeszcze daleko wonniejszą i piękniejszą; oddaj mi pan bilet i zostaw mnie w samotności.

Watzdorf uśmiechał się szydersko i powoli po wszystkich kieszeniach szukał biletu.

— W istocie samotność w tym kątku, we dwoje... a! jak-by była rozkoszną — mrucał impertynencko.

— Ja i moja *suivante* tak jesteśmy we dwie, a ogrodnik, który tak nieroztropnie waćpana wpuścił, za co dostanie odprawę, trzeci... Gdzież ten bilet królewicza?

Watzdorf szukał go powoli i dobywał różnych rzeczy z kieszeni, między innymi, jakby przypadkiem, natrafił na medal i odezwiał się:

— Proszę hrabiny, co to za zuchwali i nikczemni są paszkwilanci. Ktoby się to czego podobnego spodziewał?

Położył medal na stole, a sam dalej kieszenie przebie-rał. Hrabina spojrzała, poznała medal, udała, że go wcale nie zna, zaczęła rozpatrywać i, z najzimniejszą krwią odrzu-ciwszy go, rzekła:

— Wcale lichy koncept! Ale cóż on komu szkodzi?

Szambelan popatrzył na nią.

— Może królewiczowi poddać myśli niepotrzebne.

— Jakże? — spytała hrabina.

— Dobrania sobie innych podpór do tronu — rzekł Watzdorf.

— Kogoż? Waćpana, panie szambelanie, Froscha i Storcha?

Watzdorf zakąsił wargi.

— Pani hrabina jesteś złośliwą...

— Pan mnie nietylko do niecierpliwości, ale do złości istotnie doprowadzić możesz. Gdzież ten bilet?

— Właśnie jestem w rozpacz... Zdaje mi się, że go zgubiłem.

— Biegnąc za mną, aby mi przykrość wyrządzić, — mruknęła hrabina — aby mnie tu ścigać, gdy pragnę być samą.

— Samą!! — powtórzył Watzdorf z szyderskim śmie-szkiem i popatrzał na zdradzieckie krzesło.

— Rozumiem — wybuchnęła Moszyńska. — Wejrzenie waćpana zwraca się ku temu krzesłu, więc jeszcze posą-dzasz mnie? Czy hrabia Moszyński polecił mu straż nade mną?

Mówiła wciąż z gniewem największym i lice jej zapalało się, co ją piękniejszą jeszcze czyniło, gdy zaszeleściła suknią kobieca, i osoba, która już przez kilka chwil wprzód, wszedłszy pocichu, stała ukryta za chińskim parawanem z laki, który w niej niejedno osłaniał, wyszła powolnym krokiem, poważnie na środek pokoju.

Watzdorf osłupiał.

Było coś tak dziwnego w tem zjawisku, że nawet hrabina zadrżała, ujrzawszy je.

Wchodząca powoli kobieta, słusznego dosyć wzrostu, niemłoda, z dziwnie przejmującym wejrzeniem i królewską postawą, z twarzą, na której wiek nie śmiał zniszczyć nadzwyczajnej piękności śladów, była ubrana tak dziwacznie, iż ją prędzej za oblakana, niż za zdrową na umyśle, wziąć było można. Miała na sobie rodzaj szerokiej togi czarnej, obszywanej galonami, ze szkaplerzem dziwacznie w litery jakieś sztytm na piersiach. Pas, którym druga suknia spodnia była przepasana, miał na sobie czarno na złocie malowane znaki kabalistyczne i zodiakalne. Na głowie, na czarnych, bujnych włosach rodzaj zawoju, przepleciony pergaminowym szlakiem w hebrajskie zgłoski, z dwoma długimi końcami, spadającymi na ramiona, mało co białe i piękne okrywał czoło. Piękne swe, wyraziste oczy zwróciła na natręta, brwi ściągnęła, wzgardliwie popatrzała nań i odezwała się głosem surowym:

— Czego tu waćpan chcesz? Pocoś tu przyszedł? Abyś córkę i mnie szpiegował, a potem zabawiał królewicza opowiadaniem, jak wygląda stara Cosel? Nicodrodney synu „chłopa z Mansfeldu” i bufona, czy i ty mnie prześladować będziesz?... Idź precz! idź mi zaraz precz... precz stąd! Ani mi się waż. Daj mi być z córką samą...

Ręką wypreżoną wskazała drzwi. Watzdorf, pomieszany, cofnął się. Błysnęły mu oczy, nie rzekł słowa... wyszedł.

Cosel przeprowadziła go oczyma aż na ścieżkę i zwróciła się do córki.

Nie były to pierwsze jej odwiedziny ze Stolpen w Dreźnie, ale tym razem Moszyńska się jej nie spodziewała nawet: weszła, aby ją uratować od posądzenia. Hrabina wstała na matki przyjęcie. Przyszło jej na myśl, że Brühl, który się cofnął do gabinetu, zobaczywszy odchodzącego Watzdorfa, wniknąć może i niepotrzebnie ją zdradzić przed matką.

Zmieszała się. Tymczasem Cosel zasiadła spokojnie miejsce Brühla.

Wypędziwszy natręta, zamyślona, zdawała się już prawie nieprzytomną. Ręką wychudłą, ale białą i piękną jeszcze, uderzała po stole machinalnie, oczy jej biegały po pokoju.

— Weszłam tu niespodzianie — szepnęła wkrótce, nie patrząc na córkę. — Ale pozwoliłaś mi w tym domku przyj-

mować tych, z którymi ja się widzieć potrzebuję: dałam znak pastorowi, aby tu przyszedł.

Moszyńska okazała zdziwienie.

— Nie lękaj się, on nadejdzie dopiero wieczorem — dodała Cosel. — Ale któż tu był z tobą? Dlaczego się skrył?

Moszyńska milczała chwilę, namyślała się. Matka patrzyła na nią jak w tęczę, z pewnem politowaniem.

— Rozumiem, — rzekła z pogardliwym uśmiechem — dworskie intrygi. Nowy pan, nowi ludzie, musicie się na tym śliskim lodzie trzymać jak można, by nie upaść.

To, czego się obawiała Moszyńska, stało się w tej chwili: Brühl zjawił się w otwartych drzwiach drugiego pokoju i, ujrzawszy tę postać, której nigdy jeszcze nie widział, ale się jej znaczenia domyślał łatwo, osłupiał, nie wiedząc, co począć ze sobą.

Moszyńska, zwrócona plecami, nie widziała go, ale po oczach matki domyśliła się; rumieniec okrył jej twarz na krótko, zbladła i ośmieliła się wprędce.

Cosel oczy miała wlepione w pięknego mężczyznę i z chłodną krwią tak mu się przyglądała, jakby ciekawemu jakiemuś stworzeniu, którego charakter odgadnąć pragnęła.

— A więc to on jest? — rzekła, uśmiechając się.

Moszyńska zwróciła się nagle. Brühl stał w progu.

— Kto on? — zapytała Cosel.

— Minister Brühl — cicho odpowiedziała Moszyńska.

— Wszystko nowe u was! oprócz potomstwa chłopca... Brühl! o nikim podobnym nie przypominam sobie. Postęp waćpan, — rzekła, po królewsku dając mu znak ręką — nie lękaj się. Widzisz przed sobą kapłana wiary nowej... arcykapłana... arcykapłankę... Słyszałeś o mnie? Jestem wdową po królu Augustcie Mocnym... byłam jego żoną... hrabinę Cosel widzisz przed sobą, słynną na cały świat ze szczęścia i nieszczęść swoich. U moich nóg leżeli mocarze świata, rozkazywałam milionom. August mnie kochał jedną...

Mówiła powoli. Na twarzy córki znać było przykre wrażenie, jakie na niej ta mowa czyniła, ale jej przerwać nie mogła. Brühl stał zdziwiony i niemy, lecz przybrał tę swą słodką i ujmującą, grzeczną i uprzedzającą postać, z którą się zawsze obcy przedstawiał. Pochylony nieco, zdawał się słuchać z nadzwyczajnem zajęciem.

— Masz waćpan szczęście widzieć królowę, przybyłą z tamtego świata... umarłą, pogrzebioną, a żyjącą tylko, aby niewiernych nawracać na wiarę prawdziwą w jedynego Boga, który się Mojżeszowi objawił w krzaku ognistym.

Moszyńska, oczy spuściwszy, poruszona, to drżała, to ukradkowem wejrzeniem matkę błagać się zdawała, aby zamilkła.

Czy Cosel to rozumiała, czy milczenie Brühla, widocznie zmieszanego, zamknęło jej usta, dość, że wstała z krzesła.

— Pójdę spocząć — rzekła. — Nie będę przerywała wam konferencji. Córką Coseli powinna Saksonja rządzić. Rozumiem...

To mówiąc, tym samym krokiem majestatycznym, patrząc w górę, powoli przeszła poza stołem i, doszedłszy do drzwi, któremi Brühl przed chwilą wszedł do pokoju, znikła im z oczów.

W progu drugich już po kilkakroć napróżno ukazywało się dziewczę z półmiskiem srebrnym w rękę.

— Ja idę — szepnął cicho Brühl, porywając za kapełusz. — Nie chcę wam być zawadą. Dzień to nieszczęśliwy, lecz niepoczciwy Watzdorf, który chciał mnie tu niewątpliwie pochwyć, odszedł z niczem. To mnie cieszy.

— Watzdorf miał medal — szepnęła Moszyńska. — Cieszył się nim; widzę w nim zajadłego nieprzyjaciela. Coś mu przewinił?

— Ja? nie! chyba, żem nadto był dla niego grzeczny.

— To zjadliwa żmija, ja go znam — szepnęła Moszyńska.

— To bufon tylko, jak ojciec — rzekł pogardliwie Brühl, ruszając ramionami. — Ale jeśli mi wejdzie w drogę...

— Ten wiersz na medalu nie jestże podobnym do jego niesmacznych ucinków?

Brühl tylko spojrzał na hrabinę, myśl ta zdawała się go uderzać.

— Każę go szpiegować — rzekł krótko. — W takim razie niedługo swobodnie chodzić będzie po świecie.

To mówiąc, przycisnął rękę hrabiny do ust, chwycił swój płaszczyk, rzucony u drzwi, który, w cieniu leżąc, mógł ujść oczu Watzdorfa, i wybiegł do ogrodu.

Taż samą ścieżką, którą szedł w nadziei długiej, swobodnej rozmowy, wracał nazad, myśląc już tylko, jak się stąd dostanie do domu, nie będąc postrzeżonym.

Furtka, od której miał klucz, zatrzaśniwała się wewnątrz; nie potrzebował jej otwierać, wyszedł, zaniedbawszy wyrzec wprzód, i całej swej przytomności umysłu potrzebował, ażeby nie dać poznać po sobie, jak go obeszło, gdy stojący na straży Watzdorf przywitał go nadzwyczaj grzecznym, szyderskim pokłonem.

Brühl oddał mu go z taką uprzejmością i wesołością swobodną, jakgdyby nie został pochwycony na uczynku.

— A! to wy, panie szambelanie! — zawołał. — Jakżem szczęśliwy!

— Ja to się nazwać mogę tym szczęśliwym, — począł Watzdorf — bo nigdy się nie spodziewałem, przyszedłszy tu napawać się wonią rozkwitłych jabłoni, iż mi los pomyślny zdarzy spotkać pod jabłoniami waszą ekscelencję. Jeśli się nie mylę, — dodał — to owoc jabłoni zwie się podobno zakazanym owocem?

— Tak jest! — zawołał Brühl, śmiejąc się. — Cha! cha!

Ale ja tu nie po owoc, a tem mniej po zakazany, przyszedłem. Hrabina Cosel miała prośbę do królewicza pana naszego i kazała mi się stawić.

W nadanym zwrocie rozmowie tyle było prawdopodobieństwa, iż Wätzdorf trochę się zmieszał.

— A pan, panie szambelanie, co tu robisz w tem sielskim zaciszu? — zapytał minister.

— Szukam szczęścia, którego nigdzie znaleźć nie mogę — mruknął szambelan.

— Pod jabłoniami?

— Trafia się ono i tam — mówił Wätzdorf — i chyba prędzej, niż na dworze...

— Widzę, że panu nie smakuje to życie?

— Nie mam talentu do niego — odparł Wätzdorf, idąc powoli z Brühlem.

— Ale masz pan dowcip, ostre narzędzie, w które zbrojny niczego się możesz nie lękać...

— Tak, doskonałe narzędzie do robienia sobie nieprzyjaciół — dodał Wätzdorf.

Chwilkę szli milczący, szambelan zdawał się namyślać.

— Nie miałem jeszcze sposobności powinszować waszej ekscelencji — odezwał się nagle.

— Czego? — odparł Brühl.

— Powszechnie mówią, że najgenjalniejszemu z ministrów przeznaczono najpiękniejszą pannę z naszego dworu?

Głos, którym to mówił, zdradzał takie uczucie, iż Brühl spojrzał na mówiącego, nagle wpadając na myśl, że Wätzdorf mógłby być tym, któremu piękna Frania serce oddała. Był to domysł, a raczej przecucie. Drgnął.

— Jeśli tak, — rzekł w duchu — twórca medalu i kochanek przyszłej mojej żony powinien dostać się w miejsce bezpieczne.

Lecz ani medal, ani pochwyczone serce dowiedzionemi jeszcze nie były. Patrzeli na siebie, uśmiechając się, ale z nienawiścią w oczach. Brühl, im więcej wstrętu miał do kogo, tem dlań czuł się w obowiązku być grzeczniejszym: niedarmo był ze szkoły Augusta Mocnego.

— W. ekscelencja zbyt królewicza samym zostawiasz — odezwał się Wätzdorf. — Hrabia Sułkowski ma wiele zajęć, a Frosch, Storch i o. Guarini nie starczą...

Brühl znowu przybrał jak najwdzięczniejszy uśmiech.

— Pan szambelan masz może słusność, człowiekby chciał, dla zasłużenia się tak dobremu panu, iść na wyprzodki choćby z Froschem i Storchem, ale trzeba też starać się i o pozyskanie serca swej narzeczonej, o której pan wspomniałeś.

— Zdaje mi się, że to zbyt cenna troska — rzekł Wätzdorf. — Poco temu serce, kto będzie miał rękę i resztę... to jest całą panią. Serce może zostawić komu innemu. Masz

w. ekszelencja doskonały przykład na hr. Moszyńskim, który się o serce hrabiny nie troszczy wcale.

Brühlowi rumieniec wytrysnął na twarz, stanął, uśmiechał się jeszcze, ale cierpliwości mu brakło z tą szczypawką, która go kąsała.

— Panie szambelanie — odezwał się. — Mówmy serjo: czy zgrzeszyłem czem przeciw wam, że mnie pragniecie żarcikami swemi dojmować; czy to tylko przywyknienie do kłaniania, którego nie chcesz się pozbyć?

— I jedno, i drugie może — odparł Watzdorf. — Ale nie spodziewałem się, ażeby takiemu olbrzymowi, jak w. ekszelencja, ukąszenie takiej pchły, jak ja, ból sprawić mogło.

— Nie boli mnie też to — przerwał Brühl. — Ale nieprzyjemnie swędzi. Czy nie bezpieczniejby było mieć we mnie przyjaciela?

Watzdorf wybuchnął śmiechem.

— Ministrowie nie mają przyjaciół! — zawołał. — To stoi przecie w elementarnym katechizmie polityków.

— Zato na nieprzyjaciółach nigdy im nie zbywa.

Watzdorf uklonił się, jakby do niego pito, zdjął kapelusz i poszedł, nie oglądając się, w boczną ulicę.

Było to jakby wypowiedzeniem wojny. Brühl osłupiał prawie.

— On? mnie? wojnę i przyjaźń wypowiadać? Cóż? oszalał chyba? Co to jest? Zawsze mi był nieznośnym, skąd nagle taka złość do mnie? To potrzebuje rozjaśnienia.

Szybszym krokiem, zasłoniwszy się płaszczykiem, poszedł wprost ku domowi. Po drodze miał właśnie dom, w którym pracował Hennicke, i wsunął się doń. Przy kancelarji osobny pokój przeznaczony dla ministra, stykający się z tym, w którym radca zasiadał, był pod kluczem jego. Wszedł więc niepostrzeżony i zastukał do kancelarji, w której żywe głosy słyhać było. Stuknięcie to uciszyło je natychmiast. Hennicke wszedł z piórem za uchem, zdziwiony nieco. Brühl siedział w krześle.

— Każ mi pilnować szambelana Watzdorfa — rzekł. — Daj mu aniola stróża, niech krok w krok chodzi za nim. Lecz że Watzdorf ma przebiegłości wiele, musisz dobrać człowieka, któryby potrafił uczynić się niewidzialnym, a umiał wcisnąć się wszędzie. Trzeba przekupić sługę i przetrząsnąć jego papiery.

— Watzdorfa? — powtórzył zausznik w zadumaniu. — Watzdorfa? Czy jest nań jakie podejrzenie?

— Wszystkie, jakie tylko najgorsze być mogą.

— Czy musi paść? — spytał Hennicke.

Brühl, zamyślony, nie odpowiedział zrazu.

— Zobaczmy — rzekł. — Nie chcę sobie robić nieprzyjaciół, rosną oni sami; lecz jeśli rzecz się okaże potrzebną...

— Czy zawadza? — pytał znowu pomocnik.

— Nie lubię go.

— Wina, gdy będzie potrzebna, znajdzie się zawsze.

— Mieście ją w zapasie — mruknął pośepnie Brühl. — Staralem się i stąram być miłym dla wszystkich, dobrym, uprzejmym; potrzeba się pokazać, że strasznym być mogę. I wstał z krzesła.

Sługa wiódł za nim wzrokiem z wyrazem ironicznym. Brühl, nie oglądając się nań, wyszedł z pokoju.

Watzdorf, który na zakręcie ulicy rozstał się z Brühlem, śpiesznie z początku uszedłszy kilkanaście kroków, zwolnił chodu i włókł się jakby bez myśli i celu. Twarz jego okryła się chmurą: czuł pono wewnątrz, iż, dogadzając rozdrażnieniu jakimś, popełnił kilka niedorzeczności, które mógł opłacić drogo. Gniew przeciw Brühlowi zbyt go palił, aby się mógł powstrzymać. Watzdorf, wychowany przy dworze, nawykły od dzieciństwa do tego wszystkiego, co się na nim widzi i spotyka, syn tego, którego przezwano „trefnisiem“, wyrósł wśród tych wpływów, co go popsuć mogły jak innych, na człowieka, rażącego swą nieubłaganą prawdomównością i szyderstwem. Wszystko, co go otaczało, działało nań, jak często na pewne wybrane organizacje działa zło, odrażając od siebie. Atmosfera, wśród której żył, napelniała go oburzeniem i wstrętem.

Miłość dla Frani Kolowrathówny, której piękność zawróciła mu głowę, przyczyniała się także do obudzenia w nim ohydy dla świata, co ten śliczny kwiat wychował na tak zepsutą wcześniej istotę. Widział on w niej wszystkie jej wady, zalotność, płochosć, dumę i egoizm, chłód serca; a pomimo to, od szalu dla niej powstrzymać się nie mógł i płakał nad nią i nad sobą. Nie przypisywał jej przywar naturze, ale wychowaniu, dworowi, jego obyczajom, powietrzu, którem oddychała.

Rodzaj rozpaczy go ogarniał... Uważali wszyscy w ostatnich czasach to usposobienie Watzdorfa do najwyższego stopnia wzmożone i spotęgowane. Czuć w nim było tę złość, jaka w nim wrzała. Gdyby był mógł, pomściłby się był na kimkolwiek bądź; a że Brühl był narzeczonym Frani, na niego zlewał całą złość, jaką serce miał przejęte.

Dworacy i dawni przyjaciele stronili teraz od Watzdorfa, niektórzy z nich mówili otwarcie, że czuć go było trupem.

Nie mając co zrobić z sobą, prawie machinalnie nie-szczęśliwy szambelan posunął się do przyjacielskiego dotąd domu Faustyny. Pierwsza część żaloby już była upłynęła, mówiono o rozpoczęciu opery. Sułkowski zarówno i Brühl skłonni byli namówić króla do tego, wiedząc, jak namiętnie lubił muzykę i Faustynę.

Chociaż Hasse liczył się jako mąż divy, nie mieszkali jednak razem: *il divino Sassone*, jak go przezwali Włosi,

zapamiętały muzyk, zajmował osobną kamieniczkę, w której była na dole sala do prób dla muzyki. Faustyna po pańsku miała urządzone apartamenty. Od niej płynęły rozkazy, do niej teatralni szli z prośbami klienci.

Watzdorf w przedpokoju spytał lokaja o panią i otrzymał odpowiedź, że jest w domu. Mógł się tego domyślić po głośniejszej rozmowie, na sposób włoski i w języku włoskim prowadzonej, która aż do przedpokoju dochodziła. Gdy oznajmiony wszedł, zastał piękną Włoszkę w ubiorze dosyć zaniedbanym, z twarzą gniewną i zapędrzoną, co jej nie dodawało wdzięku, stojącą naprzeciw o. Guariniego, który spokojnie wśród salki po cywilnemu ubrany się przechadzał.

Twarz jego śmiała się z politowaniem. Faustyna ścigała go z pięściami zaciśniętymi.

Guarini, zobaczywszy szambelana, wskazał mu Włoszkę obu rękami.

— Patrz, patrz! co ta kobieta ze mną wyrabia — śmiał się. — Z najspokojniejszym człowiekiem w świecie, który w imię spokoju i zgody do niej przychodzi. *Furioso! diavolo! furioso!* Żebyż zamiast krzyczeć śpiewała...

Faustyna odwróciła się do Watzdorfa:

— Biorę was za sędziego! — zakrzyczała. — Chcę mnie uczynić malowaną lalką, chce, abym się kłaniała wszystkim, abym nie miała woli. Jutro mi jego protegowani teatr do góry nogami obrócą. Nie! musi iść precz, pójdzie precz!

— Za co? za co? — cicho i wysuwając z kołnierza głowę, jak żółw ze skorupy, szepnął Guarini. — Dlatego, że piękny młodzian nie pali ofiar przed tobą? że mu niebieskie oczy Francuzki wdzięczniej świecą, niż twoje?

Faustyna plasnęła w dłonie.

— Słyszysz go, tego *prete* obrzydłego! — krzyknęła, rękami poczynając mu wywijać przed samą twarzą. — Alboż to ja potrzebuję hołdów? albo mi ich mało? albo mi nie miały czasu obrzydnąć?

— O! kobiecie kadzidło! — zaśmiał się Guarini.

— Ale o kogoż idzie? — spytał Watzdorf.

— *Un poverino*, — odezwał się jezuita — którego ta nielitościwie chce wypędzić z teatru.

— *Un assassino! un traditore! una spia!* — wołała Faustyna.

Watzdorf, jakkolwiek zmartwiony, tą pocieszną kłótnią, codziennie się odnawiającą pomiędzy aktorką a księdzem, pobudzony był do śmiechu.

— Ja państwa pogodzę! — zawołał. — Czekaście!

Zwrócono nań oczy, gdyż zgoda była bardzo pożądana.

— Niech winowajca idzie precz — rzekł Watzdorf. — A na jego miejsce, skoro aktora dobrego potrzeba, weźcie

jednego z ministrów. Niema lepszych nad nich! A że Faustyna z ministrem nie zechce się kłócić, będzie zgoda.

Guarini pokiwał głową. Faustyna umilkła, jakby zrozpaczona, i poszła się rzucić na sofę. Jezuita wziął pod rękę szambelana i odprowadził go do okna.

— *Carissimo*, — rzekł łagodnie — jeszcze do kanikuly daleko, a wy coś zdajecie się jakby rażeni od upału.

— Nie, jeszcze się nie wściekł — rzekł Watzdorf. — Nie zaręczam jednak, czy do tego nie przyjdzie.

— E! cóż ci jest? Spowiadaj się.

— Chyba kolana Faustyny za konfesjonał będą służyły...

— Poganin jakiś! — zaśmiał się jezuita. — Co ci jest? pytam.

— Ale nic mi, mój ojczy, świat mi się wydaje głupim i po wszystkim.

— *Carissimo, perdona* — rzekł jezuita. — Głupim to ty mi się wydajesz, plotąc rzeczy niezdrowe. Wiesz, ja ci dam jedną radę. Gdy cię taki humor napadnie, idź w pole, gdzie nikogo niema, w las, gdzie tylko sarny możesz popłoszyć; wyklnij się, wylaj, wykrzycz i powracaj do miasta uspokojony. Wiesz, że tego środka już w starożytności używali ci, co języka wstrzymać nie umieli.

Śluchał Watzdorf obojętnie.

— Żal mi waćpana — dodał o. Guarini.

— Żebyś, ojczy, wiedział, jak mnie żal was wszystkich — westchnął Watzdorf. — Ale któż tu nas rozsądzi, przy kim prawda i czyj żal lepszy?

— Dajmyż sobie pokój — odezwał się jezuita i pochwycił za kapelusz.

Faustyna jeszcze swą włoską furję wydychiwała na sofie. Guarini podszedł do niej i skłonił się pokornie.

— Raz jeszcze ośmielam się prosić waszej ekscelencji za tym *poverinem*: uczynicie to dla mnie.

— Wy uczynicie beze mnie, co się wam podoba — odparła Faustyna. — Ale jeśli mnie zmusicie do znajdowania się z nim na scenie, daję słowo, że mu publicznie dam policzek.

Guarini na obie strony pokiwał głową, ukłonił się i poszedł z raportem do królewicza.

Była to ta godzina miłego spoczynku, którego Fryderyk używał z rozkoszą po całodziennem próżnowaniu: godzina jego fajki, szlafroka, Froscha i Storcha, Sulkowskiego, Brühla i o. Guariniego; gdyż oprócz nich nikt do niego wówczas przystępu nie miał.

Guarini wchodził, gdy mu się podobało. Nie było też mniej zawadnego, a miłszego towarzysza. Król lubił się śmiać — śmieszył go; chciał milczeć — pomagał do zachowania milczenia; zapytywany, odpowiadał wesoło, a nigdy w niczem się nie sprzeciwiał.

W pokoju kurfirsta nie było nikogo, oprócz Brühla.

Stał naprzeciw krzesła pańskiego w postawie przymilenia pełnej i coś szeptał. Królewicz słuchał pilnie i głową znacząco potrząsał.

— Słyszycie, mój ojczy, co mówi? — rzekł do wchodzącego jezuitę.

Ten zbliżył się.

— Mów dalej — odezwał się Fryderyk.

Brühl posłuszny poczał, mierząc znaczącym wzrokiem o. Guarinięgo:

— Umysł niespokojny, szyderski i od niejakiego czasu z niewiadomych powodów stał się tak ostrym i nieznośnym...

— O! o! — szepnął królewicz — to źle...

— O kim mowa? — cicho spytał jezuita.

— Ośmieliłem się zwrócić uwagę najjaśniejszego pana na szambelana Watzdorfa.

Guariniemu na myśl przyszło spotkanie z nim przed chwilą.

— W istocie — rzekł — i ja go znajduję w usposobieniu szczególnem.

— Tem gorzem, — dodał Brühl — że to jest na dworze choroba zaraźliwa i czepiająca się drugich...

Królewicz westchnął. Widocznie już go to nudziło. Nie odpowiedział nic.

— Gdzie ten błazen Frosch? — zawołał nagle. — Pewnie już śpi gdzie w kącie.

Jezuita pośpieszył do drzwi i skinął. Frosch i Storch poczęli, wyprzedzając się, biec do królewskiego pokoju i wpadli tak, że Storch się wywrócił, a Frosch siadł mu zaraz na grzbiecie. Królewicz poczał się śmiać serdecznie, biorąc za boki.

Rozstąpili się widzowie.

Storch, upokorzony, natychmiast szukał pomsty nad nieprzyjacielem, podniósł się, sądząc, że nagle poruszeniem wywróci go, ale ostrożny malec zsunął się po nim i drapnął do kąta, chowając za krzesła.

Trzeba było widzieć, z jaką pociechą oczy Fryderyka poszły za zapaśnikami, ciekawe końca tej walki. Za krzesłami obaj trefnisie, kwicząc i piszcząc, poczęli zwykłą, rozweselającą królewicza w najsmutniejszych życia godzinach bitwę na słowa i pięście. Oboje sypało się gradem... Fryderyk śmiał się, zapomniawszy już o wszystkim, co dnia tego słyszał. Nie wiem, jakby to długo było trwało, gdyby o. Guarini nie szepnął na ucho n. panu, że godzina wieczornego nabożeństwa w kaplicy nadeszła, i wprost od pajaców swych nagle spoważniały wielce królewicz udał się wraz z jezuitą do zamkowej kaplicy, gdzie nań już żona czekała.

POWIEŚCI HISTORYCZNE Tom LXVIII

J. I. KRASZEWSKI

BRÜHL

CZASY SASKIE

CZĘŚĆ II



1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225

ODBITO NA PAPIERZE KRAJOWYM Z FABRYKI PAPIERU I TEKSTUR „PILICA“

I.

W mieszkaniu Sulkowskiego, pod wieczór wiosennego dnia, siedzieli naprzeciw siebie dwaj wszechwładni ministrowie w długim milczeniu, jakgdyby obadwa zbadać się pragnęli, a nie mogli. Od kwadransa już prawie Sułkowski ze swą pańską dumą przechadzał się po salonie, stając niekiedy w oknach i patrząc w ogród. Przez otwarte jedno z nich słychać było śpiew wesoły kosów i szczyglów. Zdaleka dołatywał odgłos wozów i karet, toczących się po bruku.

Twarze dwóch współzawodników, napozór niewiele różniące się charakterem, przedstawiały nadzwyczaj wybitną sprzeczność dla baczного spostrzegacza. Ktoby był się przypatrzył Brühlowi, gdy ten sądził, iż go nikt nie widzi, dostrzegłby pod jego uśmiechem, prawie dobrodusznym i pełnym uprzejmości, chłodną przewrotność, której głębiny przerazić mogły. W oczach jego błyszczała żywa pojętność, spryt ten światowego człowieka, który nie potrzebuje nic się uczyć, a zgaduje wszystko i rozumie; który jasnowidzeniem sprężyny ruchów społecznych przenika i nie zawaha się nigdy żadnej z nich pochwycić, gdy bezpiecznie może, a dla własnej tego potrzebuje korzyści.

Sulkowski był w dumę wbitym podpankiem, który, urosłszy na pana, sądził się tak bezpiecznym na wysokim stanowisku, iż mniemał, jakoby mu wszystko już było wolno. Z pewnem lekceważeniem, za rodzaj *malum necessarium* uważał Brühla i zgóry nań spoglądał, z tą wyższością pewną siebie, która najbliższego nawet nie dostrzega niebezpieczeństwa. Nie zbywało mu na myślach, lecz leniwo one krążyły w głowie, która bardzo się silić nie widziała potrzeby.

Patrząc na nich, można było i odgadnąć walkę nierówną, i lękać się o jej wypadek łatwo przewidziany. Nigdy piękniejsza i miłsza twarz więcej chytrości i fałszu nie kryła pod swą maską. Brühl wszakże, gdy wiedział, że nań patrzano, przybierał tak niemal łatwowierną, naiwną, dziecinną fizjognomję, że się zdawał zupełnie niewinnem stworzeniem.

Dwaj tacy ludzie, postawieni przy sobie i zmuszeni do współzawodnictwa, nie mogli długo wytrwać bez walki. Tu

jej wcale jeszcze nie było, owszem, najczulsza zawsze panowała przyjaźń. Instynkt czasem jakiś sprawiał, że Sułkowski czuł, domyślał się w Brühlu antagonisty, ale sam się śmiał z tego. Brühl doskonale wiedział, że do panowania absolutnego nad królem nie dojdzie, nie obaliwszy Sułkowskiego. Sam on poniekąd dawał oręż przeciwko sobie. Jakkolwiek umiejący dysymulować i czekać, Sułkowski się czasem z tem wydawał, że mu panowanie duchownych i jezuitów na dworze ciążyło, że przewaga królowej mu zawadzała.

Nie zwierzał się z tego Brühlowi, ale nie ukrywał przed nim tak dalece, aby się nie dał odgadnąć. Gdy Brühl z o. Guarinim był w najściślejszych stosunkach, Sułkowski nigdy go z sobą do poufaleści nie dopuścił. Dla królowej był z najgłębszym szacunkiem, nie uchybił jej pewnie, ale ani się bardzo nabijał do łask, ani nadszakał jej otoczeniu, ani dosyć służył. Czasami wyrывało mu się jakie słówko o tem, że za Augusta II dogodniej było z faworytami, niż teraz z jedną i to tak surową królewiczową.

O. Guarini, wiedząc, jak był w łaskach u króla, kłaniał mu się, lecz zdaleka.

Sam na sam z Brühlem tak swobodnie, jak dziś, spotykali się rzadko; jeden z nich prawie zawsze przy panu być musiał na służbie, aby mu się nie dać nudzić samemu.

Snać wszystko, o czem mówić mieli, wyczerpali, gdyż Sułkowski milczał, a Brühl mu nie przerywał, nie odchodził jednak, jakby coś jeszcze na koniec zostawił.

Po długiej dosyć przechadzce hrabia zwrócił się do siedzącego i rzekł cicho:

— Wszystko to niech pozostanie między nami. Dom habsburski się kończy, saskiego wielkość rozpocząć powinna. Wiem to doskonale, żeśmy zrzekli się wszelkich praw do spadku, że sankcję pragmatyczną przyjmujemy, ale ze śmiercią cesarza rzeczy dla nas obrót nowy przybrać musi. Co najmniej powinniśmy wziąć Czechy, a nawet Śląsk, gdzie indziej wynagradzając Prusy. Mówilem wam, żeś skreślił w cichości plan cały. Kazałem go napisać Ludovici'emu.

— Radbym mieć go i rozważyć — odezwał się Brühl. — Plan jest genialny i godny was, a dla przyszłości Saksonji najwyższej wagi. Nie potrzebuje mówić nawet, że do spełnienia jego, najszcześniejszym będę, jeśli się zdołam przyczynić. Masz hrabia we mnie gorącego współzawodnika i sługę. Ale kaźcie też Ludovici'emu ten plan przepisać dla mnie.

— Plan ten podziału Austrii — odparł Sułkowski, któremu pochlebiało uznanie — nie chcę, aby dwa razy przesuwiał się przed oczyma Ludovici'ego, ale ja go dla was w wolnej chwili sam własną ręką przepiszę.

Brühl z najmiłszym uśmiechem podziękował.

— Uczynisz mi, hrabio, największą łaskę — rzekł. — Tak olbrzymi pomysł zawczasu już powinien być opracowany i środki wykonania przedsięwzięte. Możliwy zdaleka i ostrożnie wyznaczać w Berlinie...

— A! — zawołał Sułkowski z uśmiechem. — Tam, nie ma najmniejszej wątpliwości, z otwartymi przyjmą go rękami: o to ja jestem spokojny, znajdziemy łatwego i chętnego sprzymierzeńca.

— I ja się tego spodziewam — dodał minister. — Idzie tylko o to, aby sobie zbyt drogo płacić nie kazał.

— Ale też nie czas jeszcze przystąpić do układów.

— Ale pora się przygotować do nich i strategję całą rozważyć, jakiej nam użyć wypadnie.

To mówiąc, Brühl powstał i, wyciągając się, odniechcienia odezwał:

— Mam prawie pewność, że ten niepożądany medal, to jest pomysł doń, wyszedł z Drezna, a nawet silne nader podejrzenie mam o twórcy.

Szybko odwrócił się ku niemu Sułkowski.

— Któżby był tym śmiałkiem?

— Któż, jeśli nie dworak, ufający w swe położenie — mówił Brühl. — Małeńki człowieczek na tak niebezpieczną rzecz nie ważyłby się: pachnęłaby dlań katem i pręgierzem.

— Tak, a dla dostojniejszego pana może czemś gorszem grozić, bo bezkarnie tego puścić niepodobna.

— A! spodziewam się! — rzekł Brühl. — Po głowachby nam jeździli. Zuchwalstwo już i tak dochodzi do najwyższego stopnia, a dobroć pana i wspaniałomyślność wasza ośmiela do wybryków najswawolniejszych. Czy też hrabia uważałeś, ile sobie Watzdorf młodszy pozwala?

Sułkowski, który był ku oknu zwrócony, posłyszawszy te wyrazy, popatrzał na Brühla, jakgdyby z pewnem politowaniem.

— Wy bo nie lubicie Watzdorfa — rzekł. — Jak ojciec, tak i on bufonuje, ale to tam nie jest niebezpieczne.

— Przepraszam, — podchwycił Brühl żywo — bardzo przepraszam. Kto sobie zwykł ze wszystkiego żartować, nie poszanuje nic. Dostanie się mnie, wam, panie hrabio, a wkońcu i panu naszemu.

— Na to się nie odważy.

Zaczawszy mówić, hrabia przerwał, zwrócił się do Brühla i biorąc go za guzik od fraka, rzekł poufale:

— Wy bo do niego coś macie. Przyznajcie się: zawadza wam?

— Nudzi mnie, — zawołał Brühl — przyznaję, czepia się mnie, żarcikami swojemi dojada...

— Wy sobie pono wyobrażacie, jeśli się nie mylę, —

pocichutku odezwał się, śmiejąc, Sulkowski — że on się kochał w Frani Kolowrathównie.

— Taby był tylko dowód dobrego gustu i tegobym mu za złe mieć nie mógł, — rzekł Brühl, pokrywając rozdrażnienie pozorem obojętności — ale dokucza hrabinie Moszyńskiej, dla której ja mam najwyższy szacunek.

— A! a! — rozśmiał się hrabia.

— Hrabinyby się obroniła sama, szepnąwszy słowo królewiczowi — mówił dalej Brühl. — Ja jej nie potrzebuję w pomoc przychodzić; daleko gorzej jest, że drwi z nas wszystkich, nie wyjmując nikogo.

— Jakto? i ze mnie? — spytał Sulkowski.

— Zdaje mi się, że i tobym mu dowiodł.

— O! toby było nadto śmiało! — rzekł Sulkowski sucho.

— Wierzcie lub nie, powiem otwarcie: ja go mam za twórcę medalu!... — zawołał Brühl i rękę położył na pierśsiach.

Rzuciwszy to słowo razy parę, przeszedł się po salonie.

— To prosty domysł, mój Brühl, to prosty domysł.

— A może i coś więcej, niż domysł — począł minister. — Wiem już na pewno, że trzy, czy cztery medale rozdał.

— Komu?

— Dworskim osobom. Skądże ich ma tyle, i co za osobliwsza ochota do rozpowszechniania rzeczy, którą ja wykupuję i niszczyć?

— Lecz czyż pewno?

— Hennicke da wam spis osób.

— To już wcale co innego — przerwał Sulkowski. — To fakt, i chociaż ja go sobie tłumaczę więcej jego niechęcią dla was, niż dla mnie, zawsze i mnie to dotyka.

— Tak jest — potwierdził Brühl. — Powiem wam szczerze, kazałem w jego mieszkaniu potajemną zrobić rewizję. Jeśli się tam znajdzie zapas medalów, mam go za ich autora i proszę was, aby mu to bezkarnie nie uszło. Wam — dodał, rozgorączkowując się niby, Brühl — obojętną to być może rzeczą, ale dla małego, jak ja, człowieczka...

Sulkowski się zmarszczył.

— Wadzorfa nigdybym nie sądził zdolnym do takiej nikiemności.

— Przekonacie się — kończył minister. — Jeśli dowody będę miał w rękę, w takim razie nie chcę nic u królewicza wyjednywać bez was, nie sam przez się czynić, o nic bez waszej wiedzy prosić; ale zgóry was błagam: tego plazem nie puścimy. Na Königstein...

Zamyślił się Sulkowski.

— Szkodaby mi go było, — rzekł — lecz jeśli się okaże jawnie winnym...

— Ja królewicza o to prosić i mówić mu o tem nie będę, powtarzam. Was proszę, wy czyńcie: jam wasz sługa i pomocnik, ja sam przez się niczem nie jestem i być nie chcę, tylko pomocą Sulkowskiego, jego podręcznym...

Sklonił się Sulkowski wziął go za rękę i rzekł z dumą sobie właściwą:

— Przyjaciela chcę mieć w was, tylko przyjaciela, mój Brühl, a z mej strony służyć wam będę po przyjacielsku. Wy mi jesteście potrzebni, ja wam się też przydam.

Ścisnęli się serdecznie; Brühl z wielkiego wzruszenia, które było znakomicie odegrane, pocałował go w ramię.

— Słuchajże, Brühl, jak przyjaciel ci to mówię: wiele osób wie, że Watzdorf kochał się w Frani; jeśli go dlatego chcesz oddalić, nie na mnie, ale na was krzyczeć będą.

Brühl odskoczył aż z podziwu udanego.

— Ale, mój hrabio! — krzyknął, uderzając się w pierś. — Ja nie jestem nic a nic, a nic zazdrosny, alem o honor pana, o wasz i o mój troskliwy... Dziś — dodał — zaczepiają nas i otarli się o tron, jutro ośmieleni na sam tron się rzucą i na najdroższego nam pana. Trzeba swawoli zapobiec, bo nic świętego nie będzie.

— Masz słuszość, — zimno odparł Sulkowski — ale winy trzeba dowieść.

— Oczywiście — dorzucił Brühl, chwytając za kapelusz, i począł się żegnać.

— Ale spotkamy się przecie...

— Tak, na strzelaniu — rzekł Brühl. — Królewicz potrzebuje rozrywki. Bądź co bądź, należy mu ich dostarczyć... namiętnie strzelać lubi. Przecież to tak niewinna zabawa...

Brühl pośpiesznie zabierał się do wyjścia. Jakoż nadchodziła godzina, w której dwór miał się udać do bażantarni, gdzie tarcze przygotowano. Nie chciano urządzać tego rodzaju zabawy w zamku, aby zachować jeszcze resztkę pozorów żałoby.

W bażantarni, lasku pobliskim Drezna, w którym już stało kilka domków i pałacyk, za Augusta II zbudowany, dwór się bardzo często zabawiał. Przepyszne aleje z lip, ogromne buki i dęby, całe posągów szeregi, stawek wykopany świeżo czyniły to miejsce jednym z najwdzięczniejszych w okolicach Drezna. Niespełna pół godziny drogi dzieliło je od stolicy. Ogród dziki w pośrodku, w którym i amfiteatr był urządzony, opasywał zewsząd gęsty las odwieczny. Wśród niego gdzie niegdzie stojące posągi i ogromne wazy marmurowe, wytwornie rzeźbione, cudnie wyglądały na ciemnej drzew zieleni. Woń świeżo rozkwitłych drzew, cisza dokoła, klomby kwiatów, łąki szmaragdowe ubierały to zacisze.

W amfiteatrze urządzono do strzelania tarcze. O. Guarini, nie kontentując się tem, co tam przygotują łowczy i myśliwski dwór króla, znając charakter Fryderyka, chciał mu tu uczynić niespodziankę i od rana się nad nią krzątał. Trzymano ją w jak najgłębszej tajemnicy. Nieopodal od amfiteatru z tarcie wystawiono szalas, przy którym stała straż, nie dopuszczająca doń nikogo; zawierał w sobie tę tajemnicę ojca Guariniego. Trzy razy tego dnia z rozmaitemi pudłami przyjeżdżał jezuita i za każdym razem on i kilku pomocników siedzieli tam dosyć długo. Twarz ojca nabrała po południu, gdy raz ostatni tu przybył, wyrazu zadowolenia i źle tłumionej uciechy. Próżno okrywał się powagą swojego stanu, oczy mu się śmiały mimowoli. Śnać już wszystko gotowem być musiało, bo pater, założyw-szy ręce wtył, przechadzał się spokojnie po wiodącej do amfiteatru uliczce, gdy na placyku około palacu turkot się dał słyszeć. Ekwipaże dworskie jeden za drugim, poprzędzane laufkami, z hajdukami i lokajami na stopniach z boku i z tyłu, konni kawalerowie, kobiety strojne, wszystko to jedno za drugim przybywać zaczęło. Królewicz wiódł pod rękę żonę, która go, zwłaszcza przy zabawach i gdziekolwiek kobiety znajdować się miały, nigdy nie odstępowała. Kolowrathowa z córką, frejliny, szambelanowie, pазie, dwór cisnął się za królewiczem na wyznaczone sobie miejsca. Sułkowski i Brühl, w wykwintnych myśliwskich strojach, szli tuż przy Fryderyku.

Zawczasu przygotowano sztucce, pазiowie, myśliwcy do nabijania i podawania ich stali w amfiteatrze. Właśnie, gdy Fryderyk zajmował z widoczną niecierpliwością miejsce swe i strzelanie już się miało rozpocząć, na zielonych wschodkach, wiodących z bocznej uliczki do amfiteatru, ukazał się o. Guarini po cywilnemu (bo często bardzo chodził w tym stroju), z łaską w rękę.

Udawał niezmiernie zdziwienie na widok dworu i zbliżył się pokornie do królewicza, choć wesoły żarcik zdawał się ulatywać na jego ustach.

— A! Najjaśniejszy paniel! — zawołał. — Co ja widzę: strzelanie do tarczy. Co za wyśmienita zabawa.

— Hm? prawda? — śmiejąc się, rzekł Fryderyk. — Ale wy strzelacie do dusz tylko...

— Zawsze jednak do celu, i to dosyć nieszczęśliwie... rzadko trafiam — westchnął jezuita. — Postarzałem. Tu zaś świetne pewnie będą wyścigi... ale gdzie nagrody?

— Jakie nagrody? — spytał zdziwiony nieco królewicz.

— Niech mi najjaśniejszy pan daruje — odparł Guarini. — Po ludzku rzeczy biorąc, tym, co najtrafniej strzelać będą, należy się coś w nagrodę i na pamiątkę.

— O tem nie pomyślałem! — zawołał królewicz, obracając się wkoło i szukając kogoś oczyma.

— Jeżeli mi wolno będzie, — przerwał, kłaniając się, Guarini — to ja zaofiaruję nagród pięć. Wiele nie mogę, ubogi jestem, ale na uciechę mojego najdroższego pana składam mój mały dar u stóp jego.

Królewiczowi oczy się rozśmiały.

— No, co? co? — zapytał.

— Al! to moja tajemnica! — zawołał padre. — Tego wydać nie mogę przed czasem.

Wskazał ręką na budkę.

— Nagrody moje tam się mieszczą. Pięć najlepszych strzałów je otrzyma.

Zakrawało to na jakąś farsę zabawną, bo o. Guarini liczył się do najgorliwszych króla zabawiaczy; silił się często na koncepty niekoniecznie świeże i wymuskane, byle dobroduszny uśmiech wyprowadzić na twarz spokojną milczącego pana.

— Tom ciekawy — rzekł Fryderyk.

— Wymawiam sobie tylko, — dorzucił o. Guarini — abyś n. p. nie należał do współubiegających się o te nagrody. Niema wątpliwości, że tu nikt lepiej nie strzela, ale ja dla mojego pana nagrody godnej jego rąk nie mam. Wiec...

Mrugnienie jego oczów dopowiedziało resztę.

Niecierpliwie sam Fryderyk wziął się do strzelania pierwszy. W istocie, od dzieciństwa uprawiając się w użycie broni, strzelał tak, iż mało mu kto mógł zrównać, a gdy w rękę wziął sztuciec, tak już był zajęty i zapalony, że nic w świecie nie widział, nie słyszał, o niczem nie pamiętał, oprócz o strzelbie i kuli. Tarcza była tak urządzona, iż kula, trafiająca w sam jej cel, podnosiła do góry chorągiewkę zielono-białą, z barwami saskimi. Kule, uderzające w tarczę poza kołem pierwszym, oznaczała chorągiew żółto-czarna, barwy miasta; naostatek najdalej padające czarną się oznajmywały.

Gdy Fryderyk zaczął strzelać i raz po raz sadzić kule do celu, oklaski i okrzyki mu towarzyszyły. Strzelił tak razy kilkadziesiąt, nim drudzy z kolei poczęli: Sułkowski, Brühl, posłowie obcych dworów, stary generał Baudissin, hrabia Wackerbarth-Salmour, hrabia Loss, baron Schöenberg, hrabiowie Gersdorf i inni. Liczono strzały chybione i celne każdego ze współubiegających się. Królewicz zdawał się z niecierpliwością wielką wyglądać rozdania nagród o. Guariniego, który stał na boku skromnie, z rękami wtył założonemi.

Trafiło się przy obliczaniu strzałów, iż stary Baudissin, ociężała dobra figura, posłuszna i skromna, wygrał los pierwszy. Królewicz aż wstał z krzesła, szukając oczyma o. Guariniego, który z powagą wielką zawołał, dając znak do budki, po włosku, aby wyniesiono pierwszą nagrodę.

Ciekawość obudzona była do najwyższego stopnia. Drzwi się otworzyły, dwóch w liberji pańskiej pacholków w kanarkowych frakach z granatowymi wyłogami wyniosło wielki kosz, okryty oponą białą, w którym się coś trzępotało.

— Panie generale, — odezwał się Guarini z powagą — nie moja winna, że wy na wasz wiek niestosowną otrzymujecie nagrodę; los tak zrządził: nikt się swojemu przeznaczeniu obronić nie może.

Na dany znak otworzono kosz, podniesiono oponę i na trawniku ukazała się... ogromna gęś, ale nie w tym stroju naturalnym, w jakim przyszła na świat. W rękach znakomitego artysty stała się ona najpociesznieszem w świecie stworzeniem. Na skrzydłach miała rozpiętą z wytwornej materji suknię, jaką naówczas modne damy nosiły, na nogach trzewiczki, na głowie fryzurę i pióra.

Przestraszone stworzenie, którego ukazanie się ogromny śmiech powitał, poczęło kręcić się, chcąc uciec; ale skrzydła pętała suknia, nogi trzewiki, do których gęsi nie nawykły; otwarła więc dziób, jakby wołając o ratunek, i potoczyła się między widzów.

Królewicz, wzięwszy się za boki, śmiał się do łez, śmiali się więc wszyscy, nawet surowa królewiczowa.

— Drugi, drugi numer! — wołał Fryderyk.

— N. panie, — rzekł o. Guarini — ta pierwsza nagroda zowie się *Angela o l'amorosa*.

— Któż bierze drugą nagrodę?

Druga należała Sułkowskiemu, który jakoś kwaśno ten żarcik Guariniego przyjmował.

Wyniesiono kosz drugi i w stroju arlekina włoskiego teatru wyskoczyła z niego małpa, niemniej od gęsi przestraszona; ale ta, mimo stroju, jak tylko się uczuła wolną, poczęła zmykać i, dopadłszy najbliższego drzewa, dosyć zręcznie wdrapała się na nie.

Królewicz, nie namyślając się, pochwycił co prędzej sztuciec i strzelił: małpa, krzycząc, po gałęziach się czepiając, krwawiąc, upadła na ziemię.

Nagrodą trzecią dla Brühla, który jej wcale nie pożytał, był przyniesiony w koszyku ogromny zając, przebrany także za *Crispino*. Królewicz i tę nagrodę ubił kulą. Niezmiernie zdawał się ożywiony i szczęśliwy, ręce mu drgały, oczy połyskiwały, śmiał się i, zaledwie przysiadłszy, zrywał się, gdy przyniesiono nagrodę.

Czwartą był szary królik, ustrojony za *Scaramuccia*, który też chciał zmykać przerażony i padł ofiarą myśliwskiej gorączki Fryderyka.

Ostatnia była jedną z najpociesznieszych, i ta, równie jak gęś, ocalała: z kosza wydobył się ogromny indyk, ubrany za *Dottore* we fraku, peruce, kamizelce i wszystkim,

co do jego urzędowego stroju należało. Tego komiczna powaga ocaliła.

Śmiali się wszyscy.

Królewicz podziękował Guariniemu i zdobył się na przydłużony frazes, w którym go zapewnił, że nie tylko póki życia tej doskonałej farsy nie zapomni, ale ją także naśladować.

Strzelano potem jeszcze dla zabawy, dopóki mrok dozwolił; wieczór był spokojny, piękny i miły, powietrze wonne, widok czarowny. Nikomu się nie chciało wracać z bażantarni. Dwór rozpadł się nieco dokoła.

Los chciał, by w tłumie szambelan Watzdorf stał przy pięknej Frani Kolowrath. Wcześniej to zobaczyła matka, a że za wachlarzem łatwo było rozmowę prowadzić niepostrzeżonym, usiłowała córkę postawić gdzie indziej, nie mogąc odsunąć Watzdorfa. I to się jej wszakże nie udało. Nie chcąc więcej się dać domyślać patrzącym, niż wypadało, musiała ich zostawić z sobą.

Watzdorf nie omieszkiał z tego korzystać. Tego wieczora, zwykle szyderski, był jakoś smutnym i przygnębionym. Nikogo blisko bardzo nie było, mógł więc półgłosem odezwać się do panny Franciszki:

— Prawdziwie jestem wdzięczny losowi za dzień dzisiejszy, a rzadko mi się zdarza być mu wdzięcznym. Winienem mu, że panią moją po raz ostatni pożegnać mogę.

— Jakto po raz ostatni? — podchwyciła Kolowrathówna, nie patrząc na niego.

— Niestety, tak jest. Watzdorfa cień tylko tu stoi; czuję, że nade mną wisi nieubłagana zemsta tego ministra-pazia. Jestem szpiegowany na każdym kroku, być może, iż i sługi moje kupiono. Nie znalazłem wielu papierów, a inne w nieporządku. Domyślam się rewizji tajemnej. Jeśli jej dopełniono, jestem zgubiony.

— Uciekaj! — zawołała hrabianka gwałtownie. — Zaklinam cię na wszystko, na miłość moją, na twoją... uchodź. Tu na ciebie nikt nie patrzy, pierwszy lepszy koń i jesteś w Czechach.

— Tak, i Austriacy mnie jutro tu przywiozą.

— Do Prus, do Holandji, do Francji — mówiła żywo Frania.

— Nie mam ani o czem, ani jak — odparł Watzdorf z zupełną obojętnością. — A co gorzej, straciłem ochotę do życia, do wszystkiego. Cóż mi tam? Dla mnie niema szczęścia... Franiu, — dodał cicho — nie wiem, co się stanie ze mną; ty jedna może nie zapomnisz o mnie, i ty się pomścisz za Watzdorfa. Będiesz żoną tego człowieka: bądź jego katem...

Musieli zamilknąć dla wrzawy, Watzdorf spojrział w jej oczy, które strzeliły ku niemu ogniem.

— Jeżeli jutro nie pokażę się na dworze, zemsta mnie dosięgła — rzekł. — Mam przeczucia, których się pozbyć nie umiem.

— Ale skądże podejrzenia? skąd domysły?

— Przed godziną, wróciwszy do domu, znalazłem wszystko przewrócone; sługa znikł, a z nim to, co mnie mogło najciężej obwinić. Bądź zdrowa! — dodał głosem wzruszonym. — Ty będziesz żyć, ja zagasnę gdzieś między czterema murami, wśród głuchego milczenia. Franiu, zaklinam cię, upuść chustkę, zgub rękawiczkę; położę ją na sercu: ukoj mój ból twojem wspomnieniem.

Wzruszona Kolowrathówna zrécznie upuściła z rąk chustkę, Watzdorf się schylił i niepostrzeżenie wcisnął ją za suknię, na piersi.

— Dziękuję ci — odezwał się. — Jeszcze chwila, zgasną dla mnie oczy twoje i innym będą świeciły. Franiu, bądź zdrowa! addio na wieki!...

Temi wyrazami dokończył, widząc zbliżającą się matkę, która prawie gwałtem już, korzystając z zamiętu i gwaru, odciągnęła córkę. Watzdorf ustąpił nieco wtył. O kilka nacięć kroków tylko od niego, gdy królewicza zabawiał o. Guarini i żona, spotkali się na stronie Brühl z Sułkowskim.

— Słowo — rzekł pierwszy poruszonym głosem. — Nie omyliły mnie moje domysły.

— Jakie? co? — spytał hrabia dosyć obojętnie.

— Zrobiono rewizję u Watzdorfa, przetrzesiono papiery; pełno paszkwilów — mniejsza o to: pięćdziesiąt sztuk medalów i list fabrykanta, który mu się tłumaczy, iż rysunek przysłany jak mógł najlepiej wykonał.

Dowód tak zabijający, iż więcej na zgubienie człowieka nie potrzeba...

Słyszając to, Sułkowski pobladł.

Brühl wsunął mu w rękę papier.

— Weźcie to, proszę; ja sam przez się nic czynić nie chcę — uczynicie, co się wam podoba; lecz jeśli Watzdorfa nie wsadzicie do Königsteinu... Któż wie, czy tam jeden z nas później nie zajmie miejsca dlań przeznaczonego. Zuchwalstwo i bezwstyd wiele mogą... Czyn, hrabio, co chcesz, ja ręce umyвам, osobistej krzywdy bym nie poszukiwał... Królewicz jest dotknięty... To zbrodnia obrażonego majestatu, a za tę karzą śmiercią...

To mówiąc, Brühl szybko się usunął; twarz jego przybrała zwykły uśmiech. O kilka kroków zobaczył hr. Mozyńską i zwolna zwrócił się do niej, witając ją z poszanowaniem i ceremonjalną uniżonością, na co piękna Fryderyka dumnie i zimnie skinieniem głowy odpowiedziała.

Francia Kolowrathówna szła, jakby ciągniona przez matkę, pół martwa, dumna, milcząca, ale bez łzy w oku.

Kilka razy obejrzała się, gdzie stał Watzdorf, który się здаwał też ani słyszeć, co się dokoła niego działo.

Wśród tego zamyślenia gorzkiego zjawiał się przed oczyma Kolowrathówny hrabia Brühl z niskim ukłonem i wdzięcznym uśmiechem. Dumnemu dziewczęciu oczy zajaśniały, wyprostowała się, i zgóry, z pewnym rodzajem wzgardy zmierzyła wzrokiem ministra.

— Nieprawdaż, — odezwał się słodko — że zabawa była nadzwyczaj dowcipna i piękna?

— A panowie strzelaliście do podziwienia trafnie — odparła Frania — i nie wątpię, że równiebyście i do ludzi potrafili...

Brühl spojrział bystro.

— Niewiele w tem mam wprawy, — rzekł zimno — ale gdyby w obronie najjaśniejszego pana przyszło wziąć jakąkolwiek broń w ręce, nie wątpię, że celniebym strzelał i śmiało. Pani się także bawiłaś, jak uważałem, doskonale rozmową z szambelanem Watzdorfem — dodał, spoglądając na nią.

— W istocie — odezwała się Kolowrathówna. — Watzdorf jest niezmiernie dowcipny: strzelał słowami, jak panowie kulami.

— Niebezpieczna to broń, kto się z nią dobrze obchozić nie umie — rzekł Brühl. — Można nieostrożnie zabić się samemu...

Stara ochmistrzyni przerwała tę niemiłą rozmowę, wejście Frani ją zamknęło. Chciała zrazu przemówić do Brühla, duma jej nie dozwoliła; nie była też pewną, czy Watzdorf nie przesadził niebezpieczeństwa i nie tłumaczył fałszywie kradzieży, popełnionej w domu.

Królewiczowa nieco wcześniej wyjechała z damami, Fryderyk w poufałym gronku pozostał. Oddawna już Sułkowski usiłował zbliżyć się do niego. Część drogi chciał królewicz przebyć pieszo. Skorzystał z tego ulubieniec i zajął miejsce przy nim.

Inni szli opodal nieco.

Brühl uparcie towarzyszył ochmistrzyni.

Gdy pozostali sam na sam z królewiczem, który był w bardzo wesołym usposobieniu, Sułkowski nie chciał czekać dłużej ze sprawą Watzdorfa. Ciężyla mu ona, rad się był jej pozbyć co rychlej, a być może, iż lękał się ucieczki szambelana, gdyby postrzegł się zdradzonym.

— Po tak miłej zabawie — odezwał się Sułkowski — co to za niemiły obowiązek być zmuszonym zasmucić w. królewiczowską mość.

Posłyszawszy to, Fryderyk posępną zrobił minę i spojrział z ukosa na ministra, jakgdyby mu się chciał wyprasać, ale ten po małym przestanku mówił dalej:

— Rzec jest niecierpiąca zwłoki: wystawieni jesteśmy, ja i Brühl, a nawet pan nasz najmiłościwszy, na pośmiewisko Europy; nie mówiłem o tem wprzód, chcąc oszczędzić przykrego wrażenia, jakie niewdzięczność obudza... W Holandji wybito medal szyderski... ohydny.

Fryderyk, przestraszony, zżymnął się, stanął; twarz mu zbladła, jak ojcu, gdy w gniew ów straszny wpadał i od pamięci odchodził.

— Nie chciałem wspominać o tem, dopóki nie odkryliśmy sprawcy — kończył Sułkowski. — Ja i Brühl przebaczylibyśmy obrazę naszą, ale obrazy majestatu, jako ministrowie, nie możemy puścić bezkarnie.

— Ale któż? kto? — zapytał Fryderyk.

— Człowiek, okryty łaskami waszemi, którego cała rodzina winna wszystko najjaśniejszego pana ojcu i jemu. Niewdzięczność i zuchwalstwo bezprzykładne...

— Kto? kto? — nalegał królewicz.

— Szambelan Watzdorf...

Królewicz powiódł oczyma osłupiałemi dokoła.

— Macie dowód?

— Przy sobie: w ręku trzymam list, znaleziony u niego, i medale...

— Widzieć nie chcę, nie chcę — odparł królewicz, ręką się zasłaniając — ani ich, ani jego: precz... precz!

— Puścić go bezkarnie? — zapytał Sułkowski. — Nie może być. Poniesie zagranicę potwarze i szerzyć je będzie, kto wie, jakie? Może na ś. p. ojca w. królewskiej mości...

— Szambelan Watzdorf? Watzdorf młodszy? — powtarzał Fryderyk. — Lecz cóż? lecz jakże...

To mówiąc, otarł pot z czoła.

— Königstein — rzekł krótko Sułkowski.

Nastąpiło milczenie... Ze spuszczoną głową siedł zwolna królewicz: była to pierwsza za jego panowania wina i kara tak surowa.

— Gdzie Brühl? — spytał.

— Brühl zostawił to mnie i poruczył — odpowiedział hrabia.

— Watzdorf! Königstein! — powtarzał, wzdychając, Fryderyk; potem stanął, wlepił oczy w Sułkowskiego i rzekł: — Nie chcę o tem słyszeć więcej; dość — nie chcę. Róbcie, co chcecie...

Sułkowski odwrócił się ku idącemu za nimi o. Guarniemu, który królewicza najlepiej umiał rozśmieszać, i skinął nań. Padre przybiegł co prędzej, nie domyślając się więcej nic, oprócz, że był tu na coś potrzebny.

— Jestem w rozpacz! — zawołał. — Gęś moja, *Angela o l'amorosa*, zginęła... uleciała, widząc się pogardzoną przez

Baudissina; musiała się puścić w lasy, szukając śmierci. Biegałem za nią i miałem to nieszczęście, że trzy panie nasze brały z kolei za gęsi: nigdy mi tego nie darują...

Smutna twarz królewicza, w miarę, jak słuchał, rozjaśniać się zaczęła. Jak z posępnego nieba chmury, schodziły z pięknego jej czoła zmarszczki; usta ściśnięte rozchodziły się, na policzkach pierwiosnek uśmiechu zarysował dwie ledwie znaczne fałdy; białe zęby pokazały się z pod warg powoli. Patrzył na jezuicie, jakby w jego pogodnej, naiwnie uśmiechniętej twarzy, trochę przypominającej włoskiego pulcynela, chciał zaczerpnąć potrzebnego mu wesela...

Guarini, przeczuwszy, że coś dlań niezrozumiałego musiało dobrego pana zasmucić, wysilił się z całym swoim dowcipem, aby co rychlej zetrzeć ślady nie milego wrażenia.

Jakoż w miarę, jak się sypały włoskie żarty i przycinki, królewicz zdawał się zapominać o doznanej przykrości i dobroduszenie znowu mu się uśmiechał. Lecz trzeba było wysiłków kilku wesołego ojca, aby całkowicie znieść powracającą chmurę tę, i nie dał spoczynku królewiczowi, aż póki nie posłyszał tego znanego sobie głośnego, szczerego śmiechu, który zwiastował, że n. pan o troskach tego świata zapomniawszy całkowicie.

Nazajutrz znikł radca i szambelan królewski Watzdorf. Nikt się nie śmiał dopytywać zrazu, co się z nim stało: była to pierwsza tego panowania ofiara. W kilka dni pocichu zaczęto szeptać sobie, iż go zawieziono do Königsteinu. Królewicz nigdy więcej imienia jego nie wspominał; Sułkowski i Brühl zdawali się nie chcieć wiedzieć o tem.

Trwoga padła na dwór i nieprzyjaciół skrytych obu ministrów. Brühl, przy zdarzonej okoliczności, o ile mógł głośno, umył ręce od tej sprawy, zarzekając się, iż wcale o niej nie wie i do niczego się nie mieszał.

W Merkurjuszu historycznym, rodzaju gazety francuskiej, wychodzącej naówczas, stały wkrótce potem następujące słowa:

„Ci, którzy znali zbliżonego swawolny i satyryczny sposób myślenia tego młodego pana, który w sprawach, bezpośrednio po śmierci Augusta Mocnego zaszytych, niejedną miał zręczność z kaustycznym swym się popisać dowcipem, nie będą zdziwieni katastrofą, jaką mu oddawna wprzód przepowiadano“.

Watzdorf już się nigdy więcej nie pokazał światu. Po czternastoletnim więzieniu na Königsteinie zmarł, dobitý tęsknotą i niewolą.

W rok po tych wypadkach pałac, w którym Brühl mieszkał, jaśniał rzesistemi światłami. Nigdzie wspanialej, jak w Dreźnie, nie umiano występować przy uroczystościach, nigdzie się nie bawiono z większym przepychem, którego tradycje po sobie August Mocny zostawił. Od dworu zbytek ten przechodził do otaczających pana, potem do zetkniętych z nimi: do mających stosunki z wyższem towarzystwem, w części nawet do zamożnego mieszczaństwa. Bankierowie ówcześni dawali bale dla dworu, mile był widziany każdy, kto się do zabawy przyczyniał, a umiał się czemś niespodziewanem przysłużyć.

Ognie sztuczne, iluminacje, wieńce, kwiaty, muzyki, obrazy występowały, ilekroć najmniejsza nastroczała się sposobność.

Brühl był jednym z najrozrzutniejszych dorobkiewiczów swojego czasu, dziwił on tych nawet, którzy się czemukolwiek dziwować przestali. Oświecenie jego pałacyku wytwornością swą przechodziło oddawna widywane w stolicy. Ogromny tłum ludu w pewnem przyzwroitem oddaleniu przypatrywał się z poszanowaniem należnem kamienicy tak możnego pana, błyszczącej różnokolorowemi lampami, jakby wieńcami drogich kamieni i kwiatów. Na samym szczycie nad bramą w owalnej tarczy, ponad którą spadały dwie girlandy różowe z zielenią, białemi gwiazdy wysadzone, świeciły dwie czule z sobą złączone głoski: *F* i *H*. Trochę niżej dwie w transparentach tarcze herbowe, pochylone ku sobie i sparte, mieściły dwa pola niezrozumiałemi dla gminu hieroglifami heraldycznymi zapisane. Dworacy tłumaczyli ciekawym, że to były nowożeńców rodowe znamiona.

Cizba stała już dość długo przed pałacykiem, gdy od strony zamku z pochodniami, z laufrem, z pocztyljonami przodem nadjechała karetą. Wiozła ona matkę i państwa młodych, którzy po przyjęciu i balu na zamku do własnego powracali domu. Piękna pani pierwszy raz miała jego próg przestąpić.

Chociaż nad nią nie spodziewano się innych gości, od sieni aż na pierwsze piętro wiodące wschody zajęte były po obu stronach całym szeregiem w pyszną liberję postrojonych lokajów; na górze stali kamerdynerowie, marszałek dworu i paze ministra.

Królewsko już urządzony był dom jego na przybycie żony: wyświeżony, odnowiony i powiększony. Świecił cały od porcelany, sreber, bronzów, kobierców i tysiąca fraszek a cacek, któremi wiek ów otaczać się lubił. Brühl tłumaczył się z tej okazałości tem, że panu swojemu honor nią czynił; zaręczał, że ostatni grosz oddawał na nią, aby przepychem swoim saskiemu domowi przyczynić blasku. Gdy powóz za-

trzymał się przede drzwiami palacu i wielka ochmistrzyni wysiadła z niego z pomocą zięcia, dano jej pierwszy krok i sama powoli weszła na górę. Brühl chciał podać rękę żonie, która udała, że tego ruchu nie widzi, i poszła obok niego sama. Piękna twarz panny Franciszki na ten dzień miała wyraz powagi, dumy i smutku, obudzający w świadkach podziwienie. Śladu weselnego szczęścia na tem obliczu pochmurnem nie było. Wszystkie cuda i świecące przystrojenia kosztowne domu obojętnem mierzyła okiem, jakby ich widzieć nie chciała; szła, jak ofiara zrezygnowana, która wie, że się losowi nie oprze, ale się szczęścia nie spodziewa. Snać miała czas ostygnąć, rozmyślić się, oswoić z położeniem swoim, bo i strasznego bólu nie niosła na twarzy, ale chłód tylko przerażający.

Ból, jeśli był, stał się chorobą trawiącą, powolną, która się z życiem spłótła.

W salce na górze, której ściany rześnistymi wiązkami jarzącego światła były okryte i błyszczwały całe lustrami, kryształowemi lzy i iskrzącemi ramami obrazów, zatrzymała się hrabina Kolowrath, obejrzała się, szukając córki, idącej za nią. Frania szła i stanęła przy niej milcząca. Z drugiej strony Brühl, w fioletowym ze złotem fraku aksamitnym ślubnym, w białej ze złotem kamizelce i koronkach, z uśmiechem na ustach, z bukietem u guzika, stał, z pokorą i słodyczą uśmiechając się do matki.

Milcząco przysunęła się ona do córki, pochyliła głowę, przyłożyła usta do jej czoła i długim pocałunkiem zegnała odchodzące dziecko, które nie wzruszyło się tym czułości dowodem. Matce, choć dwór i życie ostudziły ją dawno, lzy się zakręciły w oczach.

— Bądźcież szczęśliwi — szepnęła. — Błogosławie was! Bądźcie szczęśliwi — i rękę przyłożyła do oczów wzruszona. Brühl pochwylił drugą, okrywając ją pocałunkami.

— Potrzebujecie być sami — dodała głosem złamanym. — Moim obowiązkiem było odwieźć tu was i pobłogosławić; nie chcę was męczyć: ja sama muszę spocząć po tych wrażeniach...

Odwróciła się do Brühla.

— Polecam ci żonę, — rzekła — bądź dla niej dobrym, bądź przywiązanym mężem. Frania przywiąże się też do ciebie. Bądźcie szczęśliwi! Szczęście na ziemi płoche i niestale... słodzić sobie należy dnie życia, a nie zatruwać. Franiu, ufam, że będziesz i ty dobrą dla niego...

Zakryła oczy, jakby jakaś myśl dopowiedzieć jej przeszkadzała, co miała w duszy, jakby coś wstrzymywało jej wyrazy na ustach, jakby się byli powinni dorozumieć wiele, czego dotknąć nie mogła.

Jeszcze raz pochyliła się do czoła córki, która stała jak posąg marmurowy. Brühl pocałował ją w rękę, ruszyła się

do powrotu. Zięć podał jej rękę z wdziękiem i nadskakującą grzecznością i prowadził znowu na dół do oczekującego dworskiego powozu, do którego wsiadła, słowa nie mówiąc, w. ochmistrzyni i rzuciła się w głąb jego, ukrywając od oczu ciekawej gawiedzi.

Na górze pozostała sama jedna na chwilę pani młoda. Jeszcze się nie poruszyła z miejsca zadumana, a gdy Brühl powrócił i rękę jej chciał ująć, spojrzała nań niemal zdziwionemi oczyma, jakby zapomniała i gdzie była, i że się stała żoną jego.

— Na miłość Bożą! — szepnął minister. — Tysiące oczu i z ulicy i w domu patrzy na nas: bądźmy choć dla nich szczęśliwi. Na scenie życia wszyscyśmy aktorami (był to ulubiony i często powtarzany aksjomat jego), odegrajmyż dobrze naszą rolę.

To mówiąc, podał jej rękę i obojętną poprowadził przez cały szereg oświeconych pokojów ku jej apartamentom. Wszystko, co roztargnione oczy jej spotykały, było tak wspańiale, bogate i piękne, że w każdym, prócz niej, wywołałoby okrzyk zachwycenia. Ona szła, nie patrząc i nie widząc. Znaleźli się wreszcie w gabinecie toaletowym pani, poprzedzającym wyświeżoną sypialnię, w której dwie alabastrowe na kolumnach lampy blade, tajemnicze światło roztaczały.

Młoda pani, zobaczywszy przed sobą drzwi otwarte, stanęła, oczyma poszukała krzesła i padła na stojące przed gotownią. Wsparła rękę na stole okrytym koronkową oponą i zadumała się milcząca.

Tu byli sami, szmer tylko cizby z ulicy, podziwiającej iluminację, dochodził.

— Pani, — rzekł Brühl głosem słodkim i miękkim — jesteś w swym domu, a pierwszy twój sługa stoi przed tobą.

Chciał przykleknąć przed nią; Frania powstała nagle, westchnęła, jakby z piersi zrzuciła ciężar, i zawołała głosem, w którym smutku nie było:

— Komedji dosyć mamy dzień cały, z sobą jej grać nie potrzebujemy: uwolnij mnie pan od niej i siebie. Musimy być szczerzy i otwarcie bądźmy nimi od pierwszego dnia. Zawarliśmy nie małżeństwo, nie związek serca, ale kontrakt: starajmy się go korzystnym dla obu stron uczynić.

Zaczęła przed gotownią, nie patrząc na stojącego za nią Brühla, zdejmować wieniec z głowy i długą zasłonę. W głosie wzruszenia czuć nie było.

— Jeśli pan nie życzysz sobie, — dodała — aby naszą rozmowę podsłuchiowano, racz się upewnić, żeśmy sami.

— Tego pewien jestem, bo wydałem rozkazy, — zawołał Brühl zimno — a moje rozkazy zwykle są szanowane.

Frانيا nie mówiła nic: z fiaszki, stojącej na gotowni, wzięła dla orzeźwienia się larendogry i odwilżyła nią skroń.

— Szczęśliwą, jak bywają inne kobiety, — mówiła głosem jasnym, stojąc ciągle u gotowalni i rozpinając drobne stroju swego dodatki, Frania — szczęśliwą być nie mogę... Ten, którego kochałam, nie kryję się z tem, leży w więzieniu na słomie wilgotnej i nie ma promyka słońca, ani niebios widoku... Waćpan kochasz inną, jesteśmy sobie obojętni; chociaż nikt mi nie mówił, na jaką jestem przeznaczona ofiarę, rozumiem to dobrze. Ale chcę życia użyć i użyję go... swobodnie, wszystkich jego przyjemności i rozkoszy. Trucizna musi być osłodzoną; to mi się należy... Lubię przepych i mieć go będę około siebie, potrzebuję roztargnienia, aby nie płakać; wrzawy, aby głosu serca nie słyszeć: wszystko to być musi... Pan mi jesteś obcym, ja panu... możemy być dobrymi przyjaciółmi, jeśli zasłużysz na to... Któż wie, mogę mieć fantazję jaką i przez parę dni stać się miłą dla niego, ale niewolnicą niczyją nie będę... nawet...

Odwróciła się ku Brühlowi, który stał niemy i zakłopotany.

— Rozumiesz mnie pan?

Minister milczał.

— Nikt mi o niczem w świecie nie mówił, — ciągnęła dalej — kobiecym instynktem odgadłam wszystko; przeznaczenie moje znam i wiem...

— Pani, — przerwał Brühl — są rzeczy, które przez usta przechodzić nie powinny, które zdradzić jest to skazać się...

— Nie potrzebujesz mi mówić tego, ja wiem wszystko; powtarzam panu nawet to, co się panu zdaje tajemnicą. August II potrzebował sławy i rozgłosu ze swych miłostek, pobożny syn jego nie dopuści nawet podejrzenia na siebie. Dlatego wszystko się musi ułożyć tak, aby ludzkie oko nie widziało, ludzkie nie słyszało ucho.

I sucho śmiać się zaczęła.

— Spodziewam się, że, dając panu władzę, potęgę, łaskę, sama też korzystać z nich muszę, i żądam, aby moje fantazje były poszanowane; a że mieć będę fantazje, to niezawodna. Ciekawą jestem życia, łaknę go, potrzebuję się upić, aby o bólu zapomnieć. Myślisz, — poczęła żywiej — że mi w którejkolwiek życia godzinie zniknie z oczu obraz tego nieszczęśliwego? Widzę mury, któremiście go otoczyli, izdebkę ciemną, tapczan twardy, twarz stróża i oblicze jego zwiedle, w długich, jak wieki, dniach wpatrzone w małe okienko. Ale w tym człowieku mieszka wielki duch, co go trzyma, co go może będzie trzymać tak długo, aż się kiedy drzwi więzienia otworzą. Prawda to, że druga wasza ofiara, biedny Hoym, już się obwiesił w więzieniu?

Brühl patrzył w podłogę.

— Tak, — rzekł sucho — i szkoda niewielka: ja po nim płakać nie będę.

— Ja także nie, — odparła Frania — ale tamtego nie zapomnę. Rozumiesz pan, że ręka, co go tam straciła, choć ją z moją u ołtarza związano... ścisnąć mej dłoni nie może... Jesteśmy i będziemy sobie obcy.

Uśmiechnęła się szydersko.

— Przyjałeś pan katolicką wiarę dla mnie, — rzekła — chociaż i to być ma tajemnicą. To także zaleca mi was niepospoliecie! Co za takt i polityka!! Król polski potrzebuje ministra katolika w Polsce: Brühl jest tam katolikiem; kurfirst saski musi mieć protestanta w Saksonji: Brühl tu będzie gorliwym luteraninem. Gdyby Zinzendorf został królem u morawskich braci, panbyś pewnie należał do herrnhuckiej gminy... *C'est parfait! c'est délicieux!*

— Pani! — zawołał głosem wzruszonym Brühl. — Nie wiedząc, dotknęłaś mnie najboleśniej. Ja jestem chrześcijaninem i pobożnym; wyznanie dla mnie rzeczą podrzędną, ale ewangelja i jej przepisy, miłość Zbawiciela...

Wzniósł oczy w niebo.

— To należy do pańskiej roli, rozumiem, — odezwiała się Frania — a więc usuńmy to. Jabym spocząć pragnęła i być samą.

Spojrzała mu w oczy.

— Lecz cóż powie służba? Co pomyślą ludzie, jeśli pani mnie stąd wypędzisz? To nie może być!

— Ale inaczej być nie może! — zawołała Frania. — Pan możesz tu w gabinecie na sofce, na fotelu, gdzie chcesz, przepędzić noc, ja pójdę do sypialni i zamknę się.

Brühl spojrzał na nią niespokojny.

— Pozwolisz więc pani, abym poszedł się przebrać i powrócił tu. Nikt w świecie stosunku naszego znać ani się go domyślać nie powinien. To pani wiadomo.

— Rozumiem! rozumiem! musi to być wszystko tajemnicą, a my najczulszymi małżonkami. Wyznaj pan, że po białym dniu to platoniczne małżeństwo nasze będzie nadzwyczaj zabawne. Ludzie będą panu zazdrościć, kobiety mnie; bo pan dla innych jesteś niebrzydkim mężczyzną, ale król daleko od was piękniejszy i — król w dodatku! Wolę być tajemną króla kochanką, niż prawdziwą ministra żoną.

Z szyderstwem śmiać się zaczęła.

— Wystawiam sobie, jak n. pan na mnie przy żonie obawiać się będzie rzucić okiem, jaki będzie musiał być chłodny...

— Pani, — łamiąc ręce, przerwał Brühl — ściany mają uszy!

Frانيا ruszyła ramionami.

— Pani wiesz, — szepnął — że gdyby się to nietylko wydać miało, ale gdyby najłżejsze posadzenie, cię tylko prawdy wyszedł na świat, dla mnie i dla wasz wszystko zgubione.

— Szczególniej dla mnie, — odparła kobieta — bobym została z panem *en tête à tête*, bez żadnego widoku pociechy, a toby mi życie struło... Więc — cicho.

Brühl, nic nie mówiąc, wysunął się z pokoju. Salony, które przechodził, jeszcze stały oświecone; przesunął się przez nie wolnym krokiem i na drugim ich końcu wszedł do swojego gabinetu. Kamerdyner i lokaj czekali tu na niego, wiedząc, że przyjdzie się przebierać.

Na stoliczku leżał strój ranny: paradny szlafrok z lionńskiego atlasu niebieskiego w żywo barwione kwiaty i świeża, biała jak śnieg bielizna, i lekkie buciki jedwabne. Wszystko to było niepokalaną świeżością.

Ponieważ przejście przez salony miało być znakiem pogaszenia światel, kamerdyner wziął dwa srebrne lichtarze w ręce i poszedł przodem, świecąc mu do sypialni. U drzwi jej Brühl go skinieniem odprawił i wszedł.

W gabinecie nie było nikogo, oprócz zrzuconej zasłony i wianka pani młodej, jej rękawiczek i chustki. Drzwi dalsze od sypialni były zamknięte.

Nocna lampka paliła się w kątku... w pokoju mrok pannaował i cisza. Zegar w mieście bił późną nocą godzinę. Brühl spojrzał naprzód przez okno: w ulicy już było pusto, iluminacja gasła. Ponad czarnymi kamienicami, stojącymi w mrokach, księżyc się wzbijał wysoko i pływał w bawelnianych chmurach białych.

Noc była ciepła, letnia, milcząca... otworzył zdaleka okno, bo go powietrze dusiło.

W sypialni najmniejszego nie słychać było szelestu.

Mąż pięknej Frani, przeszedłszy kilka razy po pokoju, obejrzał się, szukając miejsca dla spoczynku. Mała sofka i przystawione do niej krzesło musiały mu zastąpić posłanie. Sparł się na rękę i dumał... uśmiech ironiczny przebiegał mu usta, kilka razy spojrzał na drzwi sypialni i wkrótce, wszedłszy w innego rodzaju rozmyślenia o przyszłości, znużony drzemać zaczął.

W snach przed oczyma śniło mu się złoto, świeciły brylanty, przewijały koronki, sunął cały przepych królewski, niemy, bez twarzy ludzkiej, bez serca; potem obłoki białe, na nich cyfra z hrabiowską koroną i mroki.

Gdy oczy znużone otworzył, dzień już był biały, który go nieco przestraszył. Ruszył się co prędzej z improwizowanego, a niewygodnego łóżka swego, krzesło postawił w miejscu, obwinął szlafrokiem i na palcach wyszedł do swoich pokoiów.

Oczy jego szukały naprzód zegara... z przerażeniem ujrzał na jednym z nich godzinę szóstą ranną, o której zwykły był dzień już rozpoczynać. Wchodząc do gabinetu swego, spostrzegł też stojącego już w pośrodku o. Guariniego,

w swym rannym surducie szarym z czarnemi guziczkami, uśmiechającego się dobrodusznie.

Jezuita pozdrowił go milczący uściskiem ręki, którą Brühl ucałował, zarumieniony nieco i zmieszany. Nim przemówili, oczy ich, nawzajem się badając, po kilkakroć spojrzwały na siebie wzajemnie.

Guarini zbliżył się doń z tajemniczą twarzą.

— Ministrowie, jak wy, nawet nazajutrz po ślubie nie mają prawa wysypiać się długo, szczególnież tacy, jak wy, co macie nieprzyjaciół groźnych.

Rękę podniósł do góry.

— Z wami, ojcze, i przy pomocy królowej obawiać się ich nie mam potrzeby — odezwał się Brühl.

— Obawiać się i być ostrożnym potrzeba zawsze... — szepnął o. Guarini. — Zawsze, choćbyście mieli za sobą królowę nawet, bo królowe nie zawsze panują, mój drogi.

— Ale wy, ojcze, — jeszcze ciszej dodał minister — panujecie i panować, spodziewam się, będziecie sumieniu króla, a pana naszego zawsze.

— Moje dziecko, ja też nie jestem nieśmiertelny, jestem stary i czuję, żem grat, który wkrótce pójdzie na śmietnisko.

Chwilkę pomilczeli. Guarini się przeszedł po pokoju z rękami wtył założonemi.

— Księżca Lichtensteina trochę przysposobiłem i ja, i królowa, — rzekł — ale powoli idzie, oględnie i wogóle z tą całą kampanją naszą śpieszyć nie można. Dajmy czas królowi, mnie, okolicznościom, aby naszego pana przysposobiły. Dotąd Sułkowski u niego pierwszym. Sułkowski wszystkim... Wy pamięć ojca macie za sobą; starajcie się mieć coś więcej...

Zamilkł o. Guarini.

— *Piano, piano, pianissimo!* — szeptał. — Do naszego pana trzeba umieć mówić, umieć trafić. *Al canto si conosce l'uccello, ed a parlar il cervello.* (Ze śpiewu poznać ptaka, a z mowy mózgownicę).

I uśmiechał się pocziwy padre, a że lubił włoskie, ludowe pogadanki, dodał:

— *Duro con duro non fan mai muro.* (Twardy z twardym muru nie zlepi). Sułkowski bywa *duro*, waćpan powinien być mięciuchny i giętki. *Ma piano, piano!*

Tu, zbliżywszy się do ucha, począł coś szeptać żywo i, ruchami rąk sobie dopomagając, potem na zegar spojrzawszy, chwycił za kapelusz i wyniósł się pośpiesznie.

Z drugiej strony już pukano.

Żółta, pokrzywiona twarz Hennicke pokazała się ostrożnie we drzwiach napół odemkniętych i cały radca wszedł za nią. Pod pachą dźwigał masę papierów; naprzód zmierzył okiem Brühla, jakby z twarzy się dobadywał termometru humoru.

— Ekscelencjo, — rzekł — naprzód powinszowania moje.

— Naprzód interesa — przerwał minister. — Pieniędzy potrzebujemy, pieniądze i zawsze pieniądze dla dworu, dla spraw w Polsce, dla króla, dla mnie, dla ciebie, nie licząc Sułkowskiego... Hennicke — pieniądze!

Zaciał usta eks-lokaj.

— Piszczą lajdaki, — odezwał się — szlachta się zżyma, miasteczka burczą, odwołują się do przywilejów, do *immunitates*, do uchwał.

— Kto? — zapytał Brühl.

— Prawie wszyscy.

— Ale któż ich prowadzi? Któż najgłośniej gada?

— Jest ich dosyć.

— Trzech lub czterech... posłać szwajcarów, niech wezmą i do Pleissenburga... Tam rozum przychodzi: reszta będzie siedzieć cicho.

— Ale kogo wybrać? — spytał Hennicke.

— Zważyłbym o sobie, gdybyś tego nie rozumiał. Za wysoko nie sięgaj, żeby którego z Sułkowszczyków nie zaczepić. Za nisko nie bierz, bo to się nie zdało na nic. Człowieka, co ma stosunki na dworze, nie ruszaj; ale pokątnych parę...

— A racja? — spytał eks-lokaj.

Brühl się rozśmiał.

— Czy ja ci potrzebuję rację dyktować? Słowo, głośno wyrzeczone, obraza majestatu; rozumiesz, lub... głupis... Hennicke.

— Rozumiem — rzekł Hennicke i westchnął.

Brühl się zaczął przechadzać żywo.

— Nie wiem, czy Globiga dziś zobaczę; trzeba, żebyś mu powiedział ode mnie, że moich rozkazów nie spełniają. Na ostatniem polowaniu o włos mały nie podano petycji królowi... Szlachcie się zaczął w krzaku. Na kilka godzin wprzód przed polowaniem, przejażdżką, wyjściem drogi powinny być oczyszczone, postawione warty: żywej duszy nie można się dać docisnąć... Kto wie, w jakim zamiarze...

— Ja, ekscelencjo, wszystkiego sam dopilnować nie mogę... a Loss, a Stammer, a Globig, a inni, co robią?

— Hennicke powinien mieć rozum za wszystkich, jeśli za nich chce mieć łaski.

Znowu rozmowa w poufały szept się zmieniła, ale ten trwał niedługo. Brühl ziewał znużony. Hennicke zrozumiał to i wysunął się. Przyńiesiono czekoladę. Połknął ją z kilku biszkoptami prędko Brühl, wody się napił i dzwonił już na swojego mistrza garderoby.

W pokoju do ubierania było wszystko gotowem, tak że ranny strój niewiele czasu kosztował. *Porte-chaise* stała u ganku z hajdukami.

Była godzina dziewiąta prawie, gdy minister kazał się

wieźć do mieszkania posła austriackiego, księcia Wacława Lichtensteina. Poselstwo naówczas zajmowało jeden z domów w Starym Rynku; podróż więc długą nie była. O tej godzinie zwykle Brühl bywał już u króla, tego ranku korzystał ze swobody, jaką mu dawał ślub wczorajszy, aby odwiedzić księcia Lichtensteina.

Gdy oznajmiono o Brühlu, książę sam wyszedł naprzeciw niego do sali. Minister nie zapominał o tem, że dziś dla całego świata powinien być mieć twarz najszcześliwszego w świecie człowieka. Chociaż nieco znużenie na niej widać było, promieniała doskonale przybraną radością i swobodą.

Książę Lichtenstein, w całym znaczeniu wyrazu pan i dworak jednego z najstarożytniejszych w Europie domów panujących, miał fizjognomję do swej roli wybornie stworzoną. Słuszny, piękny, rysów szlacheckich, postawy pańskiej, grzeczny, miły, w oczach miał połyski rozumu i przebiegłości dyplomatycznej. Jakkolwiek Brühl niedawno małym był szlachetką, dziś pierwszy minister spokrewnionego z austriackim domem państwa, mąż hrabianki Kolowrath, stał prawie z Lichtensteinem narówni. Miał jednak takt nie okazywać tego po sobie i z grzecznością tylko, ale z uszanowaniem, przywitał posła.

Wymieniwszy słów kilka, wyszli do gabinetu. Książę podał mu krzesło i posadził go naprzeciw siebie.

— Wracam — rzekł — do wczoraj tak nieszczęśliwie przerwanej rozmowy. Mój drogi panie Henryku, zapewniam was, możecie się wszystkiego dobrego spodziewać od mojego dworu: tytułu, majątku, protekcji, opieki w każdym razie, ale musimy z sobą iść ręką w rękę... rozumiecie mnie?

Brühl podał rękę natychmiast.

— Musimy iść ręką w rękę. — rzekł — tak jest; ale rąk naszych nikt nie powinien widzieć... najgłębsza tajemnica: inaczej wszystko to pryśnie jutro. Padnę ja, a ze mną ten, co wam jeden służy tu wiernie.

— Czyż wątpicie? — zapytał książę. — Moje słowo waży, jak cesarskie...

— Pierwszego mi starczy — podchwycił Brühl.

— Jestże to prawdą, możeż to być, ażeby Sułkowski miał jakieś myśli i plany na przyszłość? — spytał książę.

— To nie ulega wątpliwości.

— Ale nic określonego.

— A! — zawołał Brühl — określonego tak dalece, iż wiem, że się tyczy zajęcia Czech... Plan jest osnuty nie w myśli, ale na papierze...

— Wyście go widzieli!

Brühl się uśmiechnął tylko.

— Moglibyście go mieć? — dodał nagłaco książę Lichtenstein.

Uśmiech ministra stał się jeszcze wyrazistszym.

Ksiązę pochylił się doń i pochwycił go za obiedwie ręce.

— Jeśli mi dacie ten plan na piśmie, jeśli mi go dacie... Zawahał się nieco.

— To tak, jakbym głowę moją dał w ręce księciu — odparł cicho Brühl.

— Ale spodziewam się, że moglibyście i ją mi powierzyć — przerwał Lichtenstein.

— Bez wątpienia, — mówił dalej minister — lecz, gdy plan będzie w rękach waszych, naówczas niema innej alternatywy: jeden z nas paść musi. Wiecie ksiązę, jak król jest do niego przywiązany...

Lichtenstein porwał się z siedzenia.

— Ale my mamy królową, my mamy o. Guariniego, my mamy was i o. Voglera, i Faustyne! — zawołał szybko.

Brühl się uśmiechnął.

— Sulkowski ma słabość i serce królewskie.

— Prawda, że ludzie słabi bywają uparci, — odezwał się ksiązę — lecz na słabych zawsze, powolnie i zręcznie działając, wpłynąć można. Nigdy nagle, bo ich słabość, którą czują sami, rodzi upór: należy ich tak brać, aby nie wiedzieli, że są wzięci, aby sądzili, że działają przez się sami. Od czegoż pocziwy o. Guarini!

— Sulkowski jest towarzyszem młodości króla, jest jego powiernikiem w tych sprawach, w których król nie zwierza się nikomu.

— Nie przeczę, że robota trudna; nie uznaję jej jednak niepodobną... — odparł Lichtenstein. — Ale ten plan? na Boga? widzieliście go? czytaliście go?

Niecierpliwą tę natarczywość księcia powstrzymał Brühl zimną twarzą i postawą.

— Pozwolisz ksiązę, abyśmy mówili naprzód o warunkach.

— Z największą chęcią.

— Ubolewam nad tem, bo cenię Sulkowskiego z innych względów — mówił minister. — Jest przywiązany do króla, jest mu wierny; zdaje mu się, że Saksonję uczyni potężną — ale, jeżeli wpływ jego się zwiększy, ambicja może na niebezpieczne poprowadzić drogi. Sulkowski świętej naszej królowej ocenić nie umie, Sulkowski nie dosyć szanuje duchowieństwo...

— A, mój Brühlu kochany — przerwał Lichtenstein. — Ja go znam, jak wy, a może lepiej, bo się przede mną nie maskuje, znam go, gdy był z królem w Wiedniu.

— Sulkowskiego obalić potrzeba — rzekł Brühl stanowczo. — Więcej nie żądam nic, ale tego dla dobra króla i państwa wymagać muszę. Naówczas ja się potrafię utrzymać sam, a we mnie mieć będziecie najwierniejszego sługę cesarskiego domu.

— Ale ten plan? ten plan? — powtarzał Lichtenstein. — Daj mi go, na wszystko się zgadzam.

Brühl jakby odniechcenia rękę prawą założył za suknię, szukając bocznej kieszeni; na ten znak książę drgnął, przysunął się, ręce obie podniósł.

W białych palcach powoli Brühl podniósł do góry papier, trzymając go przed oczyma księcia.

W chwili, gdy z ręki jego miał on się przenieść już do ambasadora, zapukano do drzwi; kamerdyner oznajmiał:

— Hrabia Sułkowski!

W mgnieniu oka papier znikł w kieszeni, a Brühl, rozparty, zażywał tabakę z małej, emaljowanej tabakiereczki, którą już dobył z kamizelki.

Sułkowski, stojąc w progu, mierzył oczyma Lichtensteina i Brühla. Z większą ciekawością, niż na posła, zwracał oczy na swojego towarzysza, który się pochylił i z uśmiechem doń dłoń wyciągał.

— Otóż to ranny ptaszek! Od młodej żony nazajutrz po ślubie już biega po ambasadorach. Sądziłem, — mówił Sułkowski — żeście jeszcze u nóg swej pani.

— Obowiązki przedewszystkiem — odparł. — Powiedziano mi, że książę wyjeżdża do Wiednia, nie mogłem się powstrzymać, aby mu nie złożyć mojego uszanowania.

— Książę wyjeżdża do Wiednia? — zapytał zdumiony Sułkowski, zabierając pierwsze miejsce na kanapie. — Nic o tem nie wiem.

Lichtenstein zdawał się nieco zakłopotany.

— Nie wiem jeszcze, może... może — wyjąknął po chwili. — Wczoraj coś podobnego powiedziałem na dworze, i widzę, że Brühl, który wie wszystko, wie już i o tem dzisiaj.

Zaśmiał się, Sułkowski rąkami ruszył.

— Więc to niepewna jeszcze...

— Nie wiem, ale być może — rzucając znaczące wejście na Brühla, rzekł Lichtenstein. — Czekam na pewne depesze. Jeśli je otrzymam, choć mi żal Drezno opuszczać, pojedę.

Rozmowa zwróciła się ku plotkom miejskim.

III.

Najpoufalsze stosunki łączyły jeszcze dwóch przeciwników, chociaż z obu stron rozpoczynała się walka dla oczu niewtajemniczonych niedostrzeżona. Tego samego poranku Sułkowski z Ludovicim, powiernikiem swym, mówili o zamążpójściu Kolowrathówny.

Ludovici podejrziwszym był daleko od swojego naczelnika.

— Panie hrabio, — rzekł mu — ożenienie to powinno nam dać do myślenia. Hrabia Brühl nie z jedną Kolowratówną się ożenił, ale z dworem austriackim, z o. Guarinim, z wielką ochmistrząnią, a potrosze z królową. Brühl jest jak miód słodki, ale podstawił nogę Fleuremu i Manteflowi, ale wyrócił Wackerbartha i Hoyma; wpakował na Königstein Watzdorfa i Hoym się z jego łaski obwiesił. Ja Brühlowi nie wierzę.

Sułkowski śmiać się zaczął i ramionami ruszył.

— Mój Ludovici, — rzekł z dumą — pamiętaj, kto oni byli, a kto ja? Mnie on razem z o. Guarinim i Austrjakami nie obali... O. Guariniego i cały ten pułk jezuitów wypędzę. Królowej dam dwór inny. Księża ci mi już dokuczili: nie lubię ich. Co się tyczy Watzdorfa i Hoyma, mylisz się; ja sam ich oddaliłem, ja, nie on.

— To jest on rękami w. ekscelencji; *is fecit cui prodest*, jako adwokat, pamiętam prawniczy ten aksjomat. Watzdorf mu pannę bałamucił.

— Już tylko ty w rzeczach dworskich nie ucz mnie rozumu — odezwał się Sułkowski. — Wiem ja, co czynię, a żaden z was nie wie, jak stoję mocno.

— Ja o tem nie wątpię — rzekł sucho, kłaniając się, Ludovici.

Krótką tą rozmową utkwiała jednak w pamięci Sułkowskiego. Chociaż nawet przed najpoufalszym ze swych powierników, jakim był Ludovici, nie wydawał się z tą myślą, hrabia oddawna nie dowierzał Brühlowi. Nadewszystko znaczącem wydawało mu się, iż na wzór jego nieustannie był przy Fryderyku Augustcie, towarzyszył mu wszędzie, i godzinami odbywał milczącą służbę razem z trefnisiemi i o. Guarinim. Król się do jego twarzy przyzwyczajał. Kilka już razy dawała mu się czuć niebytność dłuższa Brühla i zapytywał o niego. Zwolna nabierał doń nałogu.

Sułkowski nie mógł nawet przypuścić, ażeby to zagrażać mu miało, ale rywalów nie chciał, był zazdrosnym, pragnął być sam tylko w łaskach.

— Brühla oddalić należy — rzekł w duchu. — Znajdziemy pozór łatwo...

Króla należy przygotować.

Po obiedzie tegoż dnia, gdy król swoim zwyczajem wrócił do swych pokojów i natychmiast rozebrał się do koszuli, aby wdziać szlafrok, sięść w krzesło i fajkę zapalić, Sułkowski był już na zwykłym stanowisku.

Tym razem nie sam. Do przedpokoju za nim wniesiono tajemniczą paczkę, którą, odebrawszy od służącego, sam wniósł do królewskiego pokoju.

Król w czasie swojej włoskiej podróży karmiony był widokiem arcydzieł malarstwa włoskiego. Pragnąc być podobnym do ojca i przejąwszy jego zamiłowanie w muzyce

i myślistwie, w wystawności, w teatrze, w jarmarkach nawet lipskich, przejął też miłość obrazów i dzieł sztuki. Z wielką namietnością, powiedzieć można, uganiał się za obrazami, lubował w nich i chciał z bogacić niemi już znaczny za Augusta II zawiązek galerji drezdeńskiej.

Chcąc się przypochlebić n. panu, nie było lepszego sposobu, jak nastreczyć mu lub ofiarować piękne dzieło sztuki. Zimny zwykle i flegmatyczny August III na widok pięknego obrazu przeistaczał się, stawał innym człowiekiem, oczy mu się zapalały tak, jak od śpiewu Faustyny... Myśl zdawała żywiej krążyć po głowie, usta nawet, zawsze tak oszczędne w słowa, zdobywały się na wykrzykniki i zdania.

W największym smutku godzina opery lub oznajmienie obrazu rozjaśniały lice króla. Sułkowski niemniej od innych znał tę słabość swego pana.

August III dobywał właśnie pierwszego dymku z fajki, gdy Sułkowski ze szkatułką zjawił się na progu. Spojrzał nań, wyprostował się i, nie mówiąc nic, rękę wyciągnął chciwie. Odgadł snać, co zawierała paczka, którą jego ulubieniec sam się nie wahał mu przynosić.

Oczy pańskie zajaśniały... Nie lubiąc mówić, nie rzucił fajki, ręką tylko i ruchem całego ciała naglił Sułkowskiego o pokazanie.

— N. panie, — odezwał się hrabia cicho — jest to arcydzieło sztuki, to pewna, ale... ale...

— Ale cóż? — bąknął król trochę namarszczony.

— Ale — mówił minister — przedmiot jest trochę za mitologiczny, i gdyby, uchowaj Boże, jej królewiczowska mość nadeszła...

Król sposepniał i przestał nalegać, twarz stała się poważną, poruszył głową znacząco.

Sułkowski w kątku pokoju postawił pudełko: oko Augusta poszło za nim.

— A kto malował? — zapytał.

— Mistrz włoski — rzekł Sułkowski. — Jest to arcydzieło Tycjana; choć drobnego rozmiaru, ale przedziwnego wykonania.

Usłyszawszy nazwisko, król się sklonił, jakby samego Vecellego witał i szepnął:

— *Gran Maestro! Maestro!*

Sułkowski, jakby już o obrazie nie było mowy, stanął i zaczął co innego. Król popatrzał nań, jakby nie rozumiał, słuchał, zamyślił się i sam do siebie rzekł:

— *Troppo mitologico!* hm...

Po chwili, gdy minister mówił już o polowaniu, przerwał:

— Co przedstawia?

Hrabia ręką w powietrzu zamachnął.

— Bardzo nieprzyzwoitą scenę.

— A pfuj! schowaj go! Gdyby królowa nadeszła, albo o. Guarini... a pfuj!

Mimo to nie spuszczał król oka ze skrzyneczki.

— Najlepiej będzie, gdy ja to precz wyniosę — odezwał się Sulkowski, zabierając się do paczki.

Nie śmiał król nic powiedzieć, ale się zmarszczył.

— Przecie co? co reprezentuje...

— Marsa i Wenere w chwili, gdy ich in *flagranti* Wulkan siecią obrzuca.

Król oczy przymknął, ręką potrząsł.

— Pfuj! pfuj! — zawołał.

Sulkowski brał pod pachę obraz.

— No, widzieć dla malowania, — odezwał się król — dla sztuki grzech powszedni, to się wypowiadam o. Guarini... trzy *pater* i po wszystkim...

Rękę wyciągnął. Sulkowski, uśmiechając się nieco, otworzył skrzyneczkę, podniósł wieko, dobrał światło i zbliżył obrazek do kolan królewskich. Fajka wypadła patrzącemu z ręki.

Było to istotnie małe arcydzieło, wykończone jak minjatura, znany typ tej *belli* Tycjana, która mu do jego Wenery i Danai służyła; cudnego wdzięku niewiasta, ale w istocie w nader mitologicznej sytuacji.

Król chciwie patrzył, a znać było, że się ciekawości swej i uwielbienia wstydzil; zarumienil się, niby odpychał od siebie obrazek, a jednak go nie puszczał. Powtarzał *Un gran Maestro!* i lajał razem. Czy jego iskrzyły się. Może zapomniał, że go kto słucha, może nie zważał na Sulkowskiego, i począł szeptać:

— Venus bardzo piękna... kształty klasyczne! co za wdziek! co za śliczna *tavola*.

Nagle coś mu na myśl przyszło. Obejrzał się, odsunął obraz, splunął, przeżegnał się i surowo rzekł:

— Precz z nim! precz z nim! Nie chcę gubić duszy... Co ty mi takie pokazujesz rzeczy...

— Ale malowanie, n. panie.

— Mistrz jest, ale precz z nim, precz z nim!

Sulkowski prędko zamknął skrzyneczkę i myślał ją wynieść, gdy król go za rękę wstrzymał.

— Czekaj, lepiej jest, aby się drudzy nie gorszyli; postaw ją tam w kącie; potem obaczymy... spalimy...

— Takie arcydzieło?

Król, zamyślony, umilkł i fajkę palił. Minister zsunął paczkę za kanapę i wrócił na swe miejsce. Pod wrażeniem obrazu ciągle August mruczał:

— *Diavolo incarnato!* — i ruszał ramionami. — Ale obrazek bardzo piękny... Gdyby nie było tam Marsa i gdyby Venus mogła się przerobić na pokutującą Magdalene, powiesiłbym ją w pokoju.

— N. panie, w rzeczach sztuki niema nic nieprzyzwoitego: ceni się pendzel mistrza.

Król milczał.

— I muszę się spowiadać o. Guariniemu.

— Najj. panie, — rzekł, dosłyszawszy, Sulkowski. — Sam padre z przyjemnościaby popatrzał na to arcydzieło i wcaleby o spowiedzi nie myślał.

— *Siete un birbante!* — mruknął król. — *Tace, basta!*

Skończyła się tedy rozmowa o Wenerze Tycjana, a że Brühla nie było, król kilka razy o niego się upomniął. Sulkowski westchnął. Oczy Augusta podniosły się na niego.

— Brühl, jak widzę, z łaski w. k. mości mnie ruguje — odezwał się hrabia. — Boli to mocno starego sługę wiernego. Przyznam się, że za toż samo jużbym go mógł nie lubić.

Król odchrząknął znacząco.

— Nie przeczę, że pożyteczny człowiek, ale ma swe wady — mówił Sulkowski. — Obawiam się go. Miesza się do wszystkiego, zagarnia wszystko... pieniędzmi rzuca, zbytek lubi...

— O! o! o! — przebaknął król, głową trzęsąc.

— Tak jest, n. panie.

— Mój ojciec go cenil — rzekł krótko August III. — To dosyć.

Sulkowski zamilkł, ale smutnie; królowi się go żal zrobiło.

— Nie lękaj się, Sulkowski — rzekł. — Na was dwa miejsca dosyć, a tyś u mnie zawsze pierwszy.

Po tych wyrazach, które już stanowiły wysilek ze strony milczącego zwykle Augusta, Sulkowski przyszedł do ręki pańskiej i z przejęciem ją ucałował. Król przycisnął go do piersi.

— Ty mój stary przyjaciel, ale Brühl mi potrzebny.

Nie szło też Sulkowskiemu na ten raz o pozbycie się współzawodnika, chciał tylko zagać tę sprawę, obiecując sobie do niej powrócić i powoli działać na króla. Nie mógł się wprawdzie uskarżać na Brühla, ale widział z pewnym niepokojem, że się do niego August przywiązywał coraz więcej.

Król pykał już fajkę, siedząc wyprostowany, zamyślony, mrugając tylko brwiami i oczyma, jak miał zwyczaj, gdy czuł, że mu na świecie wcale dobrze było; wtem puknięto skromnie. Oznaczało to jedną z osób uprzywilejowanych, które do pokoju pańskiego miały przystęp zawsze, bez oznajmienia, i nie mógł to być kto inny, chyba o. Guarini albo Brühl. Wszedł powoli padre ze skromnym uśmiechem i złożonymi rękami. Król go skinieniem głowy przyjacielskiem powitał, chrząknął i fajkę palił, okiem mrugając. Sulkowski stał trochę opodal milczący.

Oko jezuity, sznurkując po pokoju, padło na skrzynecz-

kę za kanapą. Wstał padre i, jakby zdziwiony przytomnością tu sprzętu nieznanego sobie, wybrał się w podróż dla sprawdzenia, co by to było. Na widok tego pochodu, którego cel łatwo było odgadnąć, król mocno się zarumienił i z wymówką spojrzał na Sułkowskiego. Minister poskoczył, zabiegł księdzu drogę i szepnął mu coś na ucho, a August, wcześniej się uniewinniając, mruknął Guariniemu:

— Ja nie widziałem, nie chciałem na to patrzeć: mitologja.

— E! — śmiejąc się, odparł ojciec. — W. k. mości mitologja może być niebezpieczną, ale mnie staremu...

Sułkowski wstrzymywał, ojciec nalegał, król był mocno zawstydzony i zakłopotany, marszczył się na ministra. Guarini nie chciał ustąpić i powtarzał:

— Al! kiedy już tu jest, zobaczyć trzeba.

Położenie Sułkowskiego stawało się przykrem, gdyż obrazem tym niejako króla kompromitował, który chciał uchodzić w oczach ludzi za człowieka surowych obyczajów.

— *Sentite!* — zawołał Guarini do Sułkowskiego. — Jeśli mi nie pokażecie obrazu, mogę sądzić, żeście tu nie wiem jaką przynieśli szkaradę i że, chcąc razem dwom bogom służyć: rządząc państwem i zajmując się sztuką, jedno z dwojga nieciekawie spełniacie, bo: *Chi due lepri caccia, una non piglia e l'altra lascia...* (kto na dwa zajęce poluje, jednego nie złapie, a drugiego wypuści).

Ostatnia przymówka ubodła Sułkowskiego i poszedł do skrzynki, a jezuita za nim. Król ku oknu głowę odwrócił. Uchyłono wieko. O. Guarini przysiadł na ziemi i uderzył w ręce.

— Arcydzieło! — zawołał. — *Miraviglia!* Ale cóż mówicie, że obraz niemoralny. Owszem! Winowajców spotyka zasłużona kara, Wulkan ich łapie, a Wulkan tu *sensu paganorum* wystawia sprawiedliwość Bożą. Co się tyczy Wenerzy, biedaczka, trochę nieubrana, *ma...*

Jezuita ręką machnął. Król nań spojrzał i rozśmiał się uszczęśliwiony z tego wykładu, wołając na Sułkowskiego:

— Pokaż tu! pokaż tu!

Minister niósł obraz znowu. Z widocznem zajęciem przypatrywał się król pięknej Wenerze, gdy co mogło najokropniejszego się stać, czego najbardziej obawiali się wszyscy, to właśnie przyszło, jak nieuchronna kara za niepotrzebną ciekawość.

Wszyscy nachyleni zachwycali się tą nieszczęsną Wenerą Tycjana, gdy drzwi otwarły się, jakby piorun uderzył, drzwi od pokojów królowej. Królowa Józefina, jak widmo mściwe, ze swą dumną twarzą habsburską i niechętnymi rysami, ukazała się w progu.

W mgnieniu oka zapadło wieczko. O. Guarini cofnął się ku oknu, król, wyprostowany, patrzył w sufit, a Sułkowski

z paczką swą uchodził zręcznie, ukryć się ją starając. Lecz przed oczyma podejrzliwej i zazdrosnej kobiety może ujść cokolwiek? Królowa Józefina jednym rzutem oka objęła wszystko, odgadła, zarumieniła się, brwi zmarszczyła i posunęła się żywo ku królowi, który powoli wstawał na jej przyjęcie.

— Mamy dziś operę — rzekł. — Faustyna śpiewa.

— Tak, — odparła królowa, patrząc na Sulkowskiego — ale widzę, że tu mieliście inną zabawę, którejbyś i ja była ciekawa. Cóż to jest, z czem się hrabia tak starannie ukrywa?

Królowa Józefina sama zajmowała się malarstwem i lubiła dosyć sztukę, łatwo jej po formie paczki odgadnąć było, co zawierała. Król, znając jej surowość i nadzwyczajną skromność, dochodzącą do przesady, zmieszał się.

— Dosyć sobie ciekawe malowidélko — rzekł król. — Trochę swawolne, mitologiczne...

Józefina, zarumieniona i gniewna, spojrzała na Sulkowskiego.

— Ja też bardzo cenię sztukę, — rzekła — ale nie tę, która służy najgminniejszym instynktom zwierzęcym człowieka; najpiękniejszy pendzel nie okupi niepocziwej myśli.

Miała królowa przeczucie, że jej nie wypadało nalegać na pokazanie obrazu, lecz wystawiła go sobie może gorszym, niż był, i Sulkowski łatwo odgadł, iż mu miała za złe karmienie króla podobnemi widokami. W istocie brzydkiej królowej zdawało się zawsze, iż ktoś jej męża odbierze, że go dworacy wciągną w podobne miłostki, jak ojca, a drogą do nich uważała następczanie Augustowi tego rodzaju widoków.

O. Guarini bardzo zręcznie rozmowę odwrócił, Sulkowskiego osłonił, króla uratował i zaczął mówić o kłótniach aktorów włoskich, które on zawsze godzić musiał, a te, dziś ledwie uśmierzone, jutro z nową gwałtownością się odradzały.

Królowa Józefina pozostała zamyśloną i posępną. Nie umiała ona uczuć swych tać i nie potrzebowała z niemi się ukrywać. Król wiedział, że w cztery oczy dostanie surową admonicję za dawanie zbyt wielu przywilejów i swobód Sulkowskiemu... westchnął tylko i wyglądał godziny opery, aby zapomnieć w muzykalnym zachwycie o wszystkich troskach nieodłącznych od życia ludzkiego, nawet na takim tronie, na którym przez pół dnia można było fajkę palić w szlafroku, okiem mrugając i uśmiechając się fantazjom powolnie grającej imaginacji.

Sulkowski i o. Guarini wysunęli się zaraz, zostawiając małżeństwo sam na sam z sobą, co było najlepszym sposobem przywrócenia królowej dobrego humoru.

IV.

Jedną z zabaw najulubieńszych i najkosztowniejszych dworu saskiego za panowania obu Augustów była opera i muzyka, nie ustępujące najlepszym ówczesnym w Europie, a z wielu względów przechodzące może najświetniejsze teatru i kapele.

Jeszcze za Augusta Mocnego dobór śpiewaków w operze był znakomity; nie utracił on wcale pod panowaniem syna, który się muzyką zachwycił. Słuchanie jej uwalniało go od mówienia, którego nie lubił, a pozwalało się pogrążyć w tych dumaniach, w których całe niemal spędził życie. Muzycy wokalni francuscy, to jest śpiewacy króla, na których czele stał kompozytor Louis André, składali kompanję z dwudziestu głosów; a wśród nich posilkowo występowali i Niemcy, jak tenor Götz, i Włosi. Annibali, alt, zajmował tu pierwsze miejsce. W orkiestrze nadwornej pod wodzą sławnego Hasse, męża z imienia Faustyny, było osób około pięćdziesięciu, dwóch kompozytorów (jeden Czech Zelenka), koncertmajster, solistów mnóstwo, a polska kapela oprócz tego stała osobno. Tą polską czyli małą kamermuzyką dowodził Schultze, a liczyła osób siedemnaście. Król bierał ją z sobą, gdy dłużej bawił w Warszawie. Naprzemiany grywano opery i komedje francuskie, do których było jedenastu artystów i szesnaście kobiet, a dla urozmaicenia widowisk francuski balet, sześćdziesięciu Francuzów pod panem Favier. Ale któż to wyliczy?... sumy ogromne szły na utrzymanie tych zabaw i ludzi do nich nieodbycie potrzebnych.

Gdy przedstawiać miano operę Hassego *Ezio*, do której Metastasio pisał libretto, w triumfalnym pochodzie Cezara zwycięzcy nad barbarzyńcami występowało na scenie sto koni, cały rzymski senat, rycerstwo, liktorowie, pretorjańskie gwardje, lekka i ciężka jazda, piechota, łupy od srebra i złota ze skarbca królewskiego pożyczone scenie. Zachwycali się widzowie, słupiała orkiestra i pamiętnem jest, że bijący w bęben z zachwyty wybił w nim tego wieczoru dziurę. Dwieście pięćdziesiąt osób było na scenie; operę oświecało 8.000 świec woskowych, a maszynistę sprowadzono umyślnie z Paryża. Był nim Servandoni. Przedstawienie niektórych oper kosztowało po 100.000 talarów. Nadzwyczajny urok wywierała na Augusta III piękna jeszcze postać, a zachwycająca śpiewem Faustyna Bordoni. Powtarzano jedną operę po kilka miesięcy, a nigdy zadumany król nie znużył się tą jedną, powracającą pieśnią, która go do marzeń tak rozkosznie kołysała.

Właśnie w tych czasach, obok Faustyny, rządzącej samowładnie Włochami zakulisowemi, zjawiała się tak zwana „Faustyna druga“, Teresa Albulzi Todeschi, nie młodsza od

niej, piękniejsza może, również śmiała. Głos powszechny przyznawał protektorstwo nad nią szczególne Brühlowi.

Miano tego dnia powtarzać nie wiem po który raz *Cleofidę*. Król już w swej łoży siedział, teatr był pełen, godzina zwykła nadeszła... a zasłona się nie podnosiła.

Było w tem coś nadzwyczajnego. Lecz artyści włoscy, szczególnie *la diva* Faustyna, mieli swe przywileje; czekali cierpliwie...

Tymczasem za kulisami wrzała burza. Faustyna nie chciała śpiewać obok Teresy... Teresa zaklinała się, że z tą niegodną Bordoni nie wyjdzie na scenę.

Ciemnem było i tajemniczem dla wszystkich, o co im szło, co je tak podrażniało. Obie zapalczywie, zajadle, wściekle kłóciły się z sobą, ale nawet puściwszy wodze językom, nie wypowiadały właściwego powodu tego gwałtownego zajścia.

Pilaja, trzecia i nie tak wysoko patrząca śpiewaczka, stała z założonemi rękami, przysłuchując się potokowi najmniej dobranych i strojnych wyrazów ulicznych, i uśmiechała się jako widz na doskonałej komedji.

Z za kulisów dochodziły wykrzykniki niektóre do sali, i Sulkowski, niespokojny, wysłał pazia na zwiady.

Paź wrócił, nie mogąc nic więcej donieść nad to, że Neptuna z trójzębem trzeba było, ażeby rozigrane uśmierzył fale. Szepnął Sulkowski królowi coś na ucho, posłano pazia po jedynego, co umiał zakłąć i ukoić, po o. Guariniego.

Tymczasem Faustyna i Teresa stały naprzeciw siebie, jak do boju, obie ubrane jak na scenę, nie zważając, że gniew niszczył farby, któremi miały pomalowane twarze, i miał bogate szaty, w których występować musiały.

W oddaleniu Indjanie i Grecy w strojach teatralnych, ale niektórzy z fajkami, spokojnie przyglądali się temu duetowi przekleństw i słuchali ich, jak szumu kaskady.

Jużby było może przyszło do pojedynku, gdyby, jak *Deus ex machina*, nie wpadł w swym surducie szaraczkowym o. Guarini. Na widok jego ucichły obie, jakby wspólnemi siły na tego nieproszonego pośrednika rzucić się miały. Padre spojrział na nie, i odciągnął na bok naprzód królową Faustynę. Zdawał się ją spowiadać łagodnemi słowy.

Cisza oczekiwana nastąpiła po walce. Słychać było orkiestrę, strojącą instrumenta. Bordoni wprost od tej spowiedzi poszła do zwierciadła, co było dobrym znakiem, a Guarini wziął Albuzzi na konfesaty, grożąc jej palcem na ogromnym swym nosie. Teresie zabierało się na łyzy. Szeptano długo, padre rozsunął ręce i zawołał:

— *Pace!* — Jeśli się uprzesz, Tereso miła, możesz *cader dalla padella nella brage* (z pieca na łąb upaść). Dość tego. Niech kapela rozpoczyna uwerturę; król czeka.

W tej samej chwili zjawił się i Brühl za sceną. Spojrzał na Faustynę naprzód, pozdrawiając ją, potem na Albuzzi, której dał znak potajemny, i wśród dźwięków muzyki wszyscy na swych miejscach stanęli.

O. Guarini skinął na ministra i wyszli z nim razem przez ciasne przesmyki, w których panowali maszyniści, władający piorunami, burzami, niebiosami, pogodą i bóstwy (spuszczanemi na ziemię na drutach), aż do pustego pokoiku za sceną, którego gotowalnia i porozrzucane resztki kobiecych strojów dawały odgadnąć garderobę jednej z tych pań przed chwilą tak zajadłych, a teraz już rozpoczynających trele pełne pogody i wesela.

Guarini i Brühl obaj byli zmęczeni i milczący, siedli obok siebie, spoglądając wzajem na swe twarze. Jezuita się zaczynał uśmiechać.

— Tu — rzekł — ani nas nikt nie podsłucha, ani podpatrzy. To schówka tej zmiyki Albuzzi, jesteśmy w niej bezpieczni. Mówmy...

Uderzył go szeroką ręką po kolanie.

Brühl nachylił się do ucha ojcu.

— Plan jest w rękach Lichtensteina, jedzie z nim do Wiednia.

— *Va bene* — odparł Guarini. — Ja przysposobiłem królowę. Wiem z pewnością, iż Sulkowski grozi, że nas wszystkich ze dworu wypędzi, że króla oderwie od żony i da mu inną.

Jezuita rozśmiał się i ruszył ramionami.

— O tem trochę za późno pomyślał!

Twarz Brühla przybrała wyraz posępny.

— Z nim, z tą pocziwą naturą naszego pana, trzeba wiedzieć jak postępować — mówił Guarini. — Nie winien on, że po ojcu dostał w spuściźnie jego namiętności i walczyć musi z niemi. Otóż to, co Piśmo nazywa pokutą za ojców grzechy. Dając mu życie, Wielki August przelał w niego naturę swą niepohamowaną. Nie podola jej król pobożny, trzeba przynajmniej od grzechu odjąć zgorszenie, pokryć go tajemnicą, osłonić go, nie dopuścić podejrzenia nawet. Gdybyśmy od niego wymagali zupełnej wstrzemięźliwości, mogłoby przyjść do wybuchu, któryby nas wszystkich w gruzach pogrzebał. *Cosa fatto capo ha*. Co się stało, dobrze się stało... Sulkowski źle rachował i przerachował się nieborak: miejsce zajęte, sprawa skończona, a choć król go lubi, ale przed nim swej tajemnicy nie wyda. Jesteśmy panami sytuacji; a ja cieszę się, bo nie wątpię, że zbawiam duszę... Co tam w tem grzechu, biorę na siebie.

Poczęli szeptać cicho.

— Sulkowski — rzekł Brühl — nudzi się nieco, jest generałem z łaski n. pana, a w pokoju nie może się czynami rycerskimi wsławić. Wspomniał mi, że chętnieby uczynił

wycieczkę wojskową nad Ren, do Węgier. Czyby król sam mu nie poddał tej myśli! Przez ten czas...

Guarini mrugnął, że kończyć nie potrzeba, że rozumie wszystko, i głową potwierdził dobrą radę.

— Powiem królowi, że ten pocziwy Sulkowski powinienby po tak ciężkiej pracy mieć prawo wytechnąć nieco, i robi się.

Włoch szparko mignął palcami, jak kuglarz przed oczyma Brühla, i wstał.

— Idź do króla, — rzekł — poklaskuj Faustynie, abyś mu się podobał. — I cicho szepnął na ucho: — Nie wstrzymuj Sulkowskiego od zbliżenia się do króla, nie przeszkadzaj mu. Z pewnych znaków wnoszę, że ma myśl poddania n. panu pewnych rad, których król nie przyjmie, które odepchnie ze zgrozą, a to się przyda, to się przyda...

Rozśmiał się o. Guarini, szybko głową poruszył, otworzył drzwi i, wysunawszy się w ciemne labirynty zakulisowe, zniknął wśród nich, jak człowiek doskonale z miejscowością obeznany.

Daleko ostroźniej i trudniej było wydobyć się z tych ciemności na światło Brühlowi. Po chwili jednak znalazł się w łoży królewskiej.

Sala opery jaśniała światłami rzesistemi. Dwór również wspaniały, jak za Augusta II, przepelniał wszystkie miejsca. Świeżo przybyli z Polski senatorowie w swych bogatych strojach, lamowych pasach złocistych, ze spinkami z brylantów, guzami z rubinów, zajmowali pierwsze miejsca. Król na nich niekiedy z przyjaznym poglądem uśmiechem.

W rzędach kobiet widać było najświetniejsze gwiazdy dworu: strojną hrabinę Moszyńską, dumną panią Brühl, cichą Sulkowską, żony posłów, frejliny królowej i wszystko, co do dworu przystęp miało.

Król z nadzwyczajną bacznością zwracał się ku scenie, ilekroć na niej zjawiała się piękna Faustyna, a słuchając jej głosu, w błogiem upojeniu przyinikał oczy, jakby śnił o aniołach. Niekiedy przyklaskiwał *divie*, a naówczas klaskali za nim wszyscy i panie wiewały chustkami.

Rzadko bardzo wzrok pański ze sceny zszedł na salę, a jeśli się oczy jego zabłąkały czasem na różnobarwne rzędy piękności, zdawały się przebiegać po nich z trwogą i powracały do Faustyny.

Uwielbienie dla niej tłumaczył głos, niewinna muzyka.

Prawie na przodzie naprzeciwko króla siedziała pani Brühlowa, ubrana wytwornie, podparta odniechcenia na brzeżku swej łoży i zadumana. Piękność jej wyzywająca, śmiała, imponująca wszystkich oczy ścigała ku sobie; jeden tylko król zdawał się jej nie widzieć, albo nie chciał zobaczyć, wymijał ją, unikał, i gdyby August III nie był tym

dobrodusznym człowiekiem, prostoty pełnym, możnaby go było posadzić, iż się z czemś ukryć pragnął.

Tuż obok Brühlowej siedziała skromnie ubrana hr. Sułkowska, frejlika niegdyś królowej jako panna von Stein-Jettingen. Piękna jej twarz spokojna nie miała tego uroku drażniącego, jakim Brühlowa najobojętniejsze oczy wabiła ku sobie. Na parterze siedzący młody Tarło, starosta jasielski, i Działyński poglądali po kobietach, i ostatni szepnął w ucho sąsiadowi:

— Starosto, duszo moja, jesteśmy jak owi młodzieniaszkowie, wrzuceni w piec gorący; nie wie człowiek, gdzie schować oczy. Spojrzę przed się: stoi ta Włoszka, gdyby marmurowy posąg napół obnażony, a wywodzi trele, aż po duszy chodzą; odwróć się w prawo: siedzi jejmość strojna, kotręz, oczy, jak dwie wędki zaprawne; odchyle się w lewo, patrz, starosto, co za cud!

Spojrzał młody Tarło i oczy mu przylgnęły do tego zjawiska, które się po raz pierwszy ukazywało na dworze.

Około hr. Sułkowskiej i pod jej opieką, wprost naprzeciwko króla samego, siedziało dziewczę młode. Nikt go tu nie znał na dworze. Z towarzystwa hrabiny, ze stroju jej i z twarzy można się było domyślać znacznego rodu i znakomitego pochodzenia.

Ówczesne piękności wogóle więcej pełnością wdzięków i kształtów się odznaczały, niż dzisiejsze. Drobne i wątłe dziewczątka mało się komu podobały. Owe słynne ulubienice Augusta II, wszystkie niemal doskonale amazonki, lubiące łąwy, strzelbę i konie, wyglądały jak leśne boginie, nie lękające się spotkać ze zwierzem i z człowiekiem. Nieznajoma dziewczyna, siedząca przy hr. Sułkowskiej, była z rodzaju tych piękności bujno uposażonych i jak zdrowy, silny kwiat wyrosły na krzepkiej łodydze. Biała, różowa, zbudowana jak Diana, czarnooka i czarnobrewa, patrzała śmiało i dumnie. W tej odwadze dziewczęcia czuć jednak było raczej nieświadomą świata niewinność, niż wyzywające go doświadczenie. Oczy jej z dziecinnym zachwytem i śmiałością spoglądały na wszystko, co ją otaczało.

Czarna suknia i koronki, ożywione tylko szkarłatnemi wstęgami i trochę złota, podnosiły jeszcze tę piękność zachwycającą, na którą ze wszech stron teatru zwracały się wejrzenia ciekawe, i jedni drugich zapytywali rozgorączkowani:

— Któż to taki?

Wzrok pani Brühlowej badał ciekawie także nieznaną sąsiadkę. Hr. Moszyńska nie spuszczała z niej oka. Na zwiady poleciała młodzież do służby hrabiny Sułkowskiej, ale z niej nic, nawet datkiem dobyć nie umiała, oprócz, że to była krewna hrabiny, przybyła z Wiednia.

Gdy się to działo na sali, Sulkowski, ujrzawszy, iż Brühl ceremonjalnie poszedł żonę powitać i że reszta służby nieco się oddaliła, schylił się do ucha króla.

— N. panie, — rzekł cicho — dzieła sztuki warte są uwielbienia, ale dzieła Stwórcy godzi się także uczcić wejściem. Chociaż hrabianka Stein jest mojej żony daleką krewną, ośmielałam się zwrócić uwagę w. kr. mości na jej nadzwyczajną piękność. Żaden Tycjan ani Paul Veronese nie podobnego nie stworzył.

Słyszając te słowa, król zwrócił się, jakby przestraszony do ministra, spojrzał nań z pewnym rodzajem wymówki i podziwienia, i natychmiast zagłębił się znowu w kontemplacji wdzięków i uwielbieniu głosu Faustyny.

Sulkowski odstąpił. Znał tyle już pana swego, iż wiedział, że, walcząc z sobą, odegra tu pewnie tę samą scenę, co z obrazem Tycjana i zakazaną Wenerą. Nie omyliła go rachuba. Król, z nadzwyczajną ostrożnością i niby gdzie indziej idąc oczyma, powiódł niemi tak, iż trafiły na twarz pięknej panny Stein.

Jakby przerażone tem zjawiskiem, uciekły.

Po chwili głowa królewska, nie śmiejąc już zwrócić się w tamtą stronę, posłała oczy tylko. August III patrzył głową na scenę, ale źrenice z pod powiek przymkniętych pochyliły się tam, gdzie ta nowa jaśniała gwiazda, i szybciej, niż poszły, wróciły.

W tym pochodzie musiały zacząć o panią Brühl, która, zapewne jakimś przypadkiem, biała paluszek miała jakby z groźbą przytknięty do marmurowego noska.

Król w tymże momencie uderzył w dłonie śpiewaczce, jakgdyby jej tylko słuchał i na nią spoglądał, a za znakiem pańskim idąc, sala biła brawo. Ktoby był bacznie śledził grę oczów, dostrzegłby, jak Faustyny brwi się marszczyły na króla, jak nań spozierała niecierpliwie Brühlowa, jak Moszyńska szpiegowała wejścia męża, ministra i uśmiechała się złośliwie. Krzyżowały się tam i inne w różnych kierunkach wzroki mniej wydatnych, skrytych po kątach osobistości nieznanych, którym odpowiadały błyski oczów przelotne z łóż pańskich.

Nareszcie ostatni chór brzmiał już potęgą wszystkich głosów i rozlewał się w powietrzu, jak fala tęczowa... Wszyscy się poruszali; opera się kończyła. W łóżach podnosiły się panie i piękna Stein, bohaterka tego wieczoru, podniosła się, jakby chciała pokazać śliczną swą postać. Królewskie oko już się w tę stronę skierować nie śmiało.

Król znikł z ostatnimi dźwiękami muzyki.

— Człowiek po tem widowisku — zawołał Działyński do Tarły — prostoby powinien iść do konfesjonahu... My, cośmy nie nawykli do tej rozpusty oczów i uszu, pijani wyjdziemy, a póki się wszystko ukolysze w głowie i piersi, a przyjdzie

do należytego porządku, dobrze się człek namęczy. To, mos-
panie, wodzenie na pokuszenie i po wszystkim.

Tarło się rozśmiało:

— Nie wiem, czy gdzie na świecie tyle pięknych kobiet
razem zobaczyć można.

Działyński pochylił mu się do ucha.

— Syreny są, moja duszo, naprzeciw którym nietylko
uszy, ale i oczyby sobie pozalepiać trzeba i uciekać.

Dwór po widowisku i wieczery, jak powszednich dni,
przed północą się rozchodził. Brühl, wzięwszy rozkazy kró-
la, pojechał do domu; Sułkowski został. O. Guarini, choć
często i wieczorem jeszcze przychodził króla zabawiać, tego
dnia się nie pokazał.

Frosch i Storch już wieczorem spali po kątach. Au-
gust III znowu się dostał do szlafroka i po wieczery u sie-
bie fajkę palił, bo we wspólnych z królową apartamentach
tytuniowi się znajdować nie było wolno. Wszyscy, co go
palili, mieli dlań izby osobne; a kobiety, czując w nim nie-
przyjaciela, cierpieć go naówczas nie mogły.

Król ze swym ulubieńcem znaleźli się więc sam na sam.
Tego wieczora Sułkowski bardzo był ożywiony, August III
zamyślony mocniej, niż kiedykolwiek.

— Najjaśniejszy panie, — odezwał się minister — nie
wiem, czy raczyłeś zwrócić swe królewskie oko na Adelajdę
Stein. Co to za piękność! co to za wdzięk! Gdyby ś. p. pan
nasz miłościwy król August Mocny żył jeszcze, pewien je-
stem, że nie spuściłby z niej wzroku.

Żywo odwrócił się król, popatrzał na Sułkowskiego i za-
milkł, chociaż już był usta otworzył, chcąc coś powiedzieć.

Sułkowski się rozśmiało, przyszedł do ręki pańskiej i po-
całował ją.

— Jam stary sługa w. kr. mości — rzekł. — Wydziwić
się nie mogę cnotcie pańskiej. Królom się coś więcej przecie
niż prostym śmiertelnikom należy, a w. k. mość żyjesz jak
skromny szlachcic, nie śmiejąc podnieść na świat oczów.
W czasie dzisiejszego teatru patrzałem, jak kobiety z uwiel-
bieniem, ukradkowo spoglądały ku słońcu, a słońce na nie
spojrzeć nie chciało. Adelajda Stein przyznała się przed żo-
ną moją, że piękniejszego mężczyzny nad w. kr. mość nie
widziała w życiu.

Umilkł. Król fajkę porcelanową odlewał i nie śmiał nań
spojrzeć, udawał nawet, że kusiciela nie słucha.

— Faustyna śpiewała, jak bogini! — rzekł, zwracając
rozmowę na inny przedmiot.

— Ale Faustyna ze swym śpiewem i wdziękami tylko
na scenie uchodzi. Ona, jeśli się nie mylę, ma lat trzydzieści
kilka, a Włoszki prędko starzeją. Stein to prawdziwy anioł,
ale w. kr. mość nie spojrzaleś nawet na nią.

August, zamiast odpowiedzi, popatrzał na Sulkowskiego i ramionami ruszył.

— Niech mi wolno będzie szczerze wyrazić podziwienie moje: świętym być możesz w. kr. mość, ale szczęśliwym trudno. Mnie prawdziwie żal mojego króla i pana. Wszak to klasztor, nie dwór pański.

August III słuchał, poprawiając szlafrok na sobie, patrząc w sufit, to na podłogę, to spluwając potrosze.

— W. kr. mość pozwolisz, aby moja żona na dworze hr. Stein przedstawiła — mówił nieustraszony milczeniem minister.

— U królowej, u królowej — dorzucił August z pewną niecierpliwością.

— Jest to sierota, która postradała rodziców, familji prawie żadnej; nasza, to jest żony mojej, krewna bardzo daleka. Chcielibyśmy się zająć jej losem. Przy łaskawej protekcji w. k. mości łatwobyśmy tu jej męża znaleźli na dworze, a widzę, że się jej tu wszystko wielce podobało, że radaby pozostać.

Przestał mówić, czekając słowa lub znaku. Milczenie w błąd go wprowadziło, sądził, iż, oszczędzając niememu królowi słowa, powinien był może stać się wyraźniejszym jeszcze.

Zaczął tylko, przystąpiwszy bliżej, mówić ciszej trochę: — Gdyby się Stein w. kr. mości podobać mogła, nikt w świecieby się nie domyślał stosunków żadnych. Przecież w. kr. mość tak zawsze pozostać nie będziesz mógł...

Spojrzał, mówiąc to, na króla, którego twarz pobladła, a oczy zapadały, ręce mu zaczęły drżeć. Sulkowski, przestraszony, umilkł nagle. August wstał z krzesła, rzucając oczyma dokoła, jakgdyby szukał ratunku.

— Sulkowski! — zawołał stłumionym głosem. — Ja, ja się na ciebie gniewać nie chcę... nie chcę, ale ty, ty się zapominasz.

Wielkimi krokami, widocznie mocno wzruszony, król przeszedł się kilka razy po pokoju. Na twarz jego błada zaczęła zwolna powracać rumieniec. Widocznie walczył z sobą, ażeby nie wybuchnąć gniewem; zaciął usta.

Nigdy jeszcze ulubieniec nie widział go tak wzburzonym ze swej przyczyny; uląkł się i, kolano zginając, wyciągnął rękę po dłoń króla. Zawahał się August III, ale mu ją podał wkońcu.

— Proszę cię, ani słowa: to skończone, zapomniane. Stein niech jedzie stąd, proszę.

To mówiąc, odwrócił się żywo.

— Jutro — odezwał się po krótkim milczeniu — do Hubertsburga wyprawić przodem psy i ludzi; nie polowałem dawno. Brühl i wy jedziecie ze mną... królowa, naturalnie.

Zawsze trzy dni chcę tam polować. Pierwszego dnia na jelenie, drugiego *par force*, trzeciego na cietrzewie.

Sułkowski się skłonił.

— Natychmiast wydam rozkazy.

— Niech wszystko będzie gotowem. Jedziemy rano.

I skinieniem głowy pożegnawszy Sułkowskiego, który stał, nie mogąc przyjść do siebie, skierował się August III ku pokojom królowej. Niepokojny minister rzucił się jeszcze raz ku niemu w milczeniu, domagając się ręki królewskiej. August zdawał się już zapominać o tem, co zaszło, podał mu ją chętnie i uśmiechnął się tak obojętnie i dobrodusznie, jak zawsze.

Nazajutrz i dni następnych polowano w Hubertsburgu i sąsiednich lasach. Król był w tak dobrym humorze, jak zwykle, gdy łowy wypadły szczęśliwie. Brühl i Sułkowski mu towarzyszyli. Pierwszego wieczora królowa coś wspomniała, jakby szukała od padre Guarini, który bardzo Sułkowskiego kochał, że hrabia wzdychał do wycieczki rycerskiej nad Ren, albo do Węgier. Przypisywano to jego chęci wprawienia się w wojskowe rzemiosło, aby tem skuteczniej mógł służyć Saksonji. Król wysłuchiwał żony i głową potrząsał.

— On i tak dowódcą jest wyborym, ja się bez niego obejść nie mogę.

Królowa Józefina nie nalegała. Trzeciego dnia z łowów powrócono do Drezna i tegoż wieczora król urządzić kazał strzelanie do celu w dziedzińcu, a bawił się niem dopótna i był bardzo wesołym. Zwykli towarzysze musieli z nim razem próbować zręczności, a Brühl, choć strzelał wybornie, starał się pilnie, ażeby króla ilością trafnych strzałów nie przeszedł.

Ledwie dzień jeden spoczawszy, król wybrał się na nowe łowy do Klappendorf. Drugiego uganiał się za jeleniem pod Grossenheyn, trzeciego pod Stauchitz, a nocował w Moritzburgu.

Następnego rana wrócił do Drezna, bo Faustyna śpiewać miała. W operze nie śmiał prawie podnieść oczu. Też same miejsca zajmowały panie dworu. August patrzył tylko na Faustynę. Dopiero później, gdy spostrzegł przy sobie generała Baudissina, zwracając się ku niemu, powiódł oczyma po łóżach.

Hrabina Sułkowska siedziała w swojej sama, nikogo przy niej nie było. Król swobodniej jakoś odetchnął. Mruknął coś kilka razy do starego dworaka, który mu się kłaniał bardzo nisko, a gdy śpiew znowu się rozpoczął, biegnąc oczyma ku scenie, prześliznął się tylko ponad Brühlową, która siedziała zadumana, strojna, piękna, ale jakby iść świat cały był obojętny, spoglądała nań z jakąś niewysłowioną pogardą.

Wkrótce potem, dnia 7 października, obchodzono urodziny królewskie w ulubionym zamku jego, Hubertsburgu. August III pilnował bardzo starych zwyczajów i dworskiej etykiety, do której nawyknienie królowa też z sobą przywiozła. W Dreźnie zaś, cokolwiek za Augusta II zaprowadzonym było, zachowywało się jak najtroskliwiej. Cały dwór wystąpił przystrojony galowo. Z rana, o godzinie ósmej czekał on w sali na przechodzącego króla, który o tej godzinie na mszę się udawał. Wszyscy wdziali na ten dzień cytrynowe mundury, ale, że polowanie zaraz po śniadaniu nastąpić miało, byli w butach. Wprost ze mszy, korzystając z bardzo pięknego poranku, król, królowa i co żyło, a przypodobać się chciało, ciągnęło do tak zwanego Rubensteińskiego krzyża. Stąd rozpoczęto łowy, i król z zapalem rzucił się za jeleniami, które już osaczone stały. Sulkowski, Brühl, stary generał Baudissin i wszyscy dworscy towarzyszyli panu, który był w jak najlepszym usposobieniu ducha. Z rana królowa jmc uczyniła mu miłą niespodziankę: był to jej własny portret przez nią malowany i ofiarowany na pamiątkę. Z uczuciem ucałowawszy rękę dostojnej artystki, August kazał szacowne malowidło zawiesić w swoim pokoju. Sulkowski sprowadził za pośrednictwem Giurtinianiego z Wenecji bardzo piękny obraz Palmy starego, który złożył u nóg królewskich; Brühl przyniósł mu piękny portret Rembrandta, nabyty w Holandji. Obrazy wprawiały zawsze króla w najlepszy humor. Te, które mu się podobały, kazał naprzód stawić w swoim pokoju, długo się w nie wpatrywał, nic nie mówiąc, i dopiero, gdy się widzeniem ich nasycił, do nowej galerji przenosić je kazał.

Trzy jelenie wzięto dnia tego, co humor pański jeszcze lepszym uczyniło; nie mówił więcej, ale się uśmiechał, okiem mrugał, głowę podnosił do góry i całem obliczem zdradzał wewnętrzne zadowolenie. Sulkowskiemu szczególnie para znaczących uśmiechów się dostała, jakby dla zatarcia wrażeń po owem nieszczęśliwym jego zapomnieniu się.

Wcześniej bardzo szczęśliwe łowy się skończyły; poobijano rogi na pamiątkę zabitym rogowcom i zawieziono je w triumfie do Hubertsburga, gdzie obiad już czekał. Przez cały czas polowania królowa była, jak zwykle, nieodstępna, i choć na posępnej twarzy jej znać było zmęczenie, starała się uśmiechać i być grzeczną dla wszystkich. Sulkowski nawet, zbliżywszy się do niej, słów parę dobrych pozyskał.

Zaledwie obiad się skończył, konie i powozy stały już w gotowości do Dreznia, gdzie na króla opera i trzy balety w międzyaktach oczekiwały, uśmiech Faustyny i kantata, ułożona umyślnie przez Hassego na cześć pana. O piątej w teatrze oświeconym z przepychem, przepelnionym dwo-

rem i ciekawymi w galowych ubiorach, podniosła się kurtyna, i Faustyna, która się na ten dzień z nadzwyczajnem przybrała staraniem, wystąpiła z oczyma wlepionemi w łożę królewską.

Rozpromieniony siedział w niej nowy król, w stanie ubłogosławienia, milczący, spokojny, szczęśliwy tem, że mu płynęło życie według programu, niezamącone niczem, jak w zegarku. Więcej nigdy od losu nie żądał nad to, ani sławy, ani zdobyczy, ani rozgłosu swych czynów, tylko tego spokoju, któryby mu dozwalał zjeść spokojnie, śmiejąc się z Froscha i Storcha, wypalić fajkę, popatrzeć na piękne obrazy, posłuchać gwarzenia patra Guarini, nasycić się śpiewem Faustyny i pójść spać bez troski o jutro.

W międzyaktach przyciemnionych tego życia — co pokrywała tajemnica, tego, oprócz zaufanych, nikt w świecie nie powinien się być ani domyślać. Nikt lepiej nie znał króla i jego charakteru nad Sułkowskiego, został mu tylko zakryty ten tajemniczy zakątek jego, w którym się kryły nieubłagane namiętności, wstydząc świata i ludzi.

Jeden ojciec Guarini, powiernik pański, wiedział, co się tam działo, i on jeden mógł pomóc do zupełnego zawojowania króla, wskazując pewne środki i drogi. Za jego wskazówkami idąc, Brühl z pomocą w. ochmistrzyni i żony swej owdładnął tą twierdzą niezdobytą i był jej panem, nim się Sułkowski o jej posiadanie pokusił. Gdy krok ten nieszczęśliwy przedsięwziął, już było za późno. Miejsce zostało zajętem, nikt więcej przystępu doń mieć nie mógł, nawet najzaufańszy z przyjaciół. Brühl, który doskonale udawał, że nic nie wie i nic wiedzieć nie chce, który nigdy żadną aluzją się nie zdradził, na którego milczenie we własnym jego interesie rachować było można, stał więc mocniej jeszcze od Sułkowskiego, gdy ten, oślepiiony, nie dostrzegł nic i nie przypuszczał nawet, aby ktoś królowi nad niego mógł być potrzebniejszym.

Po owej próbie z p. Stein czuł się jeszcze bezpieczniej-szym, uważając to za dowód, że króla nikt mu w ten sposób odebrać nie może, jeżeli on tego nie dokazał. W chwili właśnie, gdy się tak ubezpieczonym czuł i pewnym siebie, stał u brzegu przepaści niewidocznej. Faustyna wysilała się dnia tego, a fioritury płynęły z jej piersi, jak perły czystej wody. Król, wznosząc oczy ku niebu, z uśmiechem na ustach, zachwycał się. Zdawał się nią tylko zajęty, na nią patrzył tylko, chociaż niekiedy baczne oko byłoby dostrzegło strzelającego ku Brühlowej wejrzenia.

Zachwycającą była dnia tego pani Brühlowa. Dziwili się wszyscy, jak mężowi i jej starczyć mogło na ten przepych niezmierny, który ją otaczał. Chciała snąć być najpiękniejszą Frania, i włożyła białą, złotemi przetykaną deseniami suknię, w której wyglądała dziewiczo... Prześlicznie do

wdzięcznej twarzy zastosowana fryzura, której długie loki spadały na gors śnieżny, brylantowe kolczyki w uszach, lśniące jak dwie gwiazdy, nad czołem strumień diamentów z wielką perłą, która się chwiała w pośrodku, brabanckie koronki, których matowa białość wychodziła malowniczo na połyskującym stroju atlasie, na tle śnieżnym bukiet kwiatów, żywymi barwami młodości śmiejący się, czyniły ją królową tego wieczoru.

Piękna była Moszyńska z surową swą twarzą, przypominającą Cosel, ale z Brühlową walczyć nie mogła. Wszystkich oczy zwracały się ku niej, ona nie patrzyła na nikogo. Wsparta na rękę, zwrócona była ku scenie, ale jej oczy, wlepione w jakiś kątek, steżały bezmyślnym wzrokiem.

Zazdrozczono Brühlowi — on się uśmiechał. Co się w jego sercu działo, któż zgadnie. Strojni, jak żona, na cześć króla przepysznie, wyglądający młodo, świeżo, miał raczej pozór roztargnionego próżniaka, niż najpracowitszego z ministrów, na którego ramionach spoczywały państwa losy. Po pierwszym akcie wystąpił balet francuski, wiedziony przez p. Favier, ze sławnym solistą Desnoyers, z paniami Rottier i Vauriaville, które, w strojach idealnych wieśniaczek, wyglądały jak boginie.

Wybór dworu, najdostojniejsi panowie, najpiękniejsze panie, po operze zaproszeni byli na uroczystą wieczerzę, naśladowaną z tych tradycyjalnych Augusta Mocnego, co się zwykle kończyły maleńką orgią w ciasnym kółku.

Olbrzymią zwaną salą na zamku wcześniej już tysiącami świec była uiluminowana; w pośrodku przepysznie zastawiono stół na osiemdziesiąt osób dla gości, a na podwyższeniu dla króla i królowej, która do swojego stołu mało kogo, nawet z posłów cudzoziemskich, przypuszczała. Wedle etykiety dworu austriackiego, tylko kardynałowie zapraszani doń bywali; uczyniono jednak wyjątek dla pierwszych ministrów. Wprost z opery wszyscy przeszli do sali. Rzadko można było widywać króla w tak słonecznym humorze. Królowa była, jak zazwyczaj, chmurną, niespokojną i smutną. Piękności, co ją otaczały, w których blasku gasł jej majestat, smuciły ją i drażniły, choć król najmniejszego nie dał powodu do zazdrości. Owszem, czułym był i nadskakującym, a na żadną z pań nie wejrzał nawet.

Ceremonjalnie bardzo podawano wieczerzę, przynoszono uroczyście półmiski, a za każdym zdrowiem muzyka na galerji odzywała się trąbami i bębnami, dając znać światu, jaki toast wnoszono, a działa, na Krakowskiem Przedmieściu stojące, biły salwy na cześć królewskiej pary.

Wszyscy w dobrych humorach po dziesiątej wstali od stołów; król z Sułkowskim i Brühlem cofnął się śpiesznym krokiem do swych pokojów. Przechodząc obok rzędem stojących pań, August III miał głowę podniesioną, z pewną

afektacją patrzył przed siebie; jednak, mijając Brühlową, która nań śmiało spoglądała, wymienił z nią niedostrzeżone, błyskawiczne wejrzenie.

Sulkowski ani się go domyślał, ani zobaczył. Miał właśnie zamiar, korzystając z humoru pana, poufale z nim pomówić i życzył sobie odprawić Brühla, nie wiedział tylko jak się miał wziąć do dzieła. August z równą czułością dnia tego patrzył na obu.

Już byli weszli do pokojów, gdzie szatny czekał z szlafrokiem, a kamerdynerowie natychmiast pomogli do zdjęcia stroju. Obaj ministrowie stali przed rozpromienionym panem, gdy wyczekawszy, aby się służba miała czas oddalić, Sulkowski szepnął coś cicho królowi, który się uśmiechnął nieznacznie i Brühla wskazał.

Skinienie to jego baczności nie uszło: zbliżył się.

Sulkowski żywo sypnął mu słowami do ucha. Widać było, jak one nie smakowały Brühlowi, który wzrok zwrócił na pana, zawahał się nieco, jakby mu żal było stanowisko opuścić, ale z uległością, skłoniwszy się, natychmiast się oddalił.

Po odejściu jego, gdy drzwi się zamknęły, August III uśmiechnął się, siadając, wskazał na nie i rzekł ze zwykłym swym lakonizmem:

— Niema, jak ty i Brühl.

Ostatnie nazwisko nie było może do smaku Sulkowskiemu, ale je przelknąć musiał.

Przed królem stały ofiarowane mu dnia tego obrazy, w które się z widoczną radością wpatrywał. Sulkowski śledził wzrok, rad był myśli odgadnąć.

— Brühl w istocie — rzekł po namyśle — jest z wielu względów nieoceniony. I macie z nim dobrze; posłuszny, skromny, daje sobie wytłumaczyć, co potrzeba, nie sprzeciwia się nigdy, kieruję nim jak chcę, jestem z niego kontent.

Król tylko głową pokiwał. Może mu się to trochę dziwnem zdało, że Sulkowski pozwalał sobie być zadowolonym z niego, ale nie okazał tego po sobie.

Minister chodził swobodnie po pokoju.

— Nie mam najmniejszego powodu — mówił dalej — w sprawach powierzonych mi z Brühlem się ścierać. Człowiek pojętny, zdolny, ma jednak wady...

Król bystro spojrzał. Sulkowski kończył niezemieszany:

— Niepomierzenie rozrzutny i żyje na zbyt wielką stopę... będzie nas wiele kosztował.

To mówiąc, stanął hrabia przed królem, jakby czekał, co mu na to powie. Król głośno chrząknął, spojrzał w górę i milczał.

— Dobry człek, dobry człek — szepnął nareszcie, widząc, że hrabia na odpowiedź czeka. Resztę dopełnił mil-

czący pan uderzeniem ręką po krzesła poręczy i zapatrzył się na obrazy.

— Gdyby pan mój miłościwy pozwolił mi wypowiedzieć całą myśl moją — ciągnął Sulkowski.

Głowę tylko potwierdził to August.

Minister stanął i pochylił się nieco.

— Nie teraz, bo nam Brühl jest potrzebny, ale później— dodał zcichą — należałoby go z podarkiem jakim usunąć. Rozrzutności się nie oduczy, małymi urzędnikami obejdzimy się bez niego, oszczędzi się wiele, a nie da mu czasu nabierać ambicji. Choć ja się w sercu mojego miłościwego pana nie lękam współzawodników, ale nacóż go czynić nieszcześliwym i wzbijać w pychę. W Czechach Kolowrathom cesarzby pewnie na prośbę króla nadał jakie dobra. Mogliby później tam spocząć sobie.

Patrzył Sulkowski, jakie to na królu uczyni wrażenie, ale zapatrzone był tak w obrazy, że zdawał się nie chcieć słuchać, czy słyszeć planu tego.

Hrabia parę razy dorzucił: — Później, później! — a August, popatrzywszy nań, wstrzymał się od zaprzeczenia i potwierdzenia, zbył go milczeniem.

Po krótkiej chwili wstał król przypatrywać się obrazom, kazał sobie poświecić, zawrócił się po pokoju kilka razy, popatrzył w zwierciadło, pogłodził brodę i ziewnął. Był to znak, że chciał iść do łóżka, a dla Sulkowskiego odprawa. Niedosć zadowolony wieczorną audjencją, przystąpił do ucałowania ręki pańskiej i bardzo powoli się oddalił.

Gdy się to działo na zamku, Brühl pod jakimś pozorem odesłany, odszedłszy z pokorą, kazał się nieść do domu. Godzina już dosyć była spóźniona. Dziwnym trafem złożyło się tak, że o kilka kroków przed jego *porte-chaise* dostrzegł ludzi, niosących drugą podobną, i poznał w niej lektykę żony. Zatrzymała się ona w sieni palacu i państwo razem prawie wysiedli. Brühl, rzadko spotykający się z żoną, z wielką uprzejmością podał jej rękę. Zrazu zdziwiła się tem i niemal cofnąć chciała, ale po namyśle z szyderskim, tłumionym uśmiechem, ostrożnie wzięła rękę męża i, nic nie mówiąc, zwolna z nim poszła na górę.

Brühl na wschodach nie odezwał się wcale. Na górze w sali, chociaż pani zdawała się chcieć od jego towarzystwa uwolnić, nie puścił ręki i przeprowadził ją do jej pokojów. Znaleźli się znowu w tym gabinecie, w którym pierwszego wieczoru po ślubie tak ciekawą rozmową rozpoczęli małżeńskie pożycie...

Od tej chwili spotykali się tylko albo na bardzo krótko, albo przy świadkach. Rankami matka bywała u córki, zabierała ją z sobą, a niekiedy pod różnemi pozorami nie dawała jej nawet powracać do domu. Brühl miał tylko obowiązek dogadzać wszystkim zachciankom żony, co spełniał

zawsze z jak największą uprzejmością; zresztą byli z sobą ni źle ni dobrze, jak dwie osoby prawie obce, które się muszą ocierać o siebie, starać jak najmniej zawadzać sobie. Brühl był cierpliwy i grzeczny. Spotykał niekiedy ciekawe oko żony wlepione w siebie, badające go i uciekające natychmiast, gdy je na tem badaniu pochwycił.

Frania wielce się przez ten czas zmieniła, nabrała śmiałości jeszcze większej i fantazyj dziwnych, nauczyła się rozkazywać w domu i wymagać, aby w mgnieniu oka jej wola była spełnioną. Brühl widywał ją nienaturalnie wesołą, czasem szyderską nietościwie, niekiedy zalotną z obcymi aż do rozbudzenia zazdrości, nawet w mężu tak zrezygnowanym i obojętnym, jakiego on grał rolę. Frania stawiała się piękniejszą codziennie. Jakkolwiek rozmiłowany w Moszyńskiej, chociaż mu przypisywano czule stosunki z piękną Albuzzi, był młodym i nie mógł być obojętnym na te wdzięki, które się zdawały z niego i jego namiętnych wejrzeń uragać...

Gdy weszli do gabinetu, pani Brühlowa odebrała mu swą rękę i poszła do zwierciadła zrzucić przed niem rękawiczki i błyskotki. Wśród tego zajęcia, jakby się spodziewała, że mąż ją pożegna i odejdzie, odwróciła się zdziwiona ku stojącemu uporczywie między progiem a stolikiem.

Wzrok ten wyraźnie mówił: — Pan tu jeszcze? Natwarczy Brühla błędził uśmieszek niezrozumiały, niby odpowiedź: — Tak, pani, czekam.

— Czy mamy co z sobą do pomówienia? — zapytała obojętnie.

— Pani mi może pozwoli usiąść, spocząć i choćby na jej piękność popatrzeć z uwielbieniem.

Odwróciła się Frania i rozśmiała, ruszając białemi ramiionami; ale natychmiast wróciła oczyma do zwierciadła, nie bez pewnego zalotnego ruchu, który nie uszedł oczu Brühla.

— Przyznasz pani, że moje położenie bardzo szczególne?

— Moje także, to prawda; lecz ani pan, ani ja dziwić się mu nie powinniśmy.

— Paniś mi uczyniła nadzieję, że kiedyś... możesz mieć choć fantazję dla męża.

— A! może! nie przypominam sobie — odpowiedziała obojętnie. — To pewna, że jej nie mam wcale. Jedź pan sobie na karty do Moszyńskiej, lub na zabawę do Albuzzi, ale mnie daj pokój. Nudzisz mnie.

— Ja tylko proszę o chwilę rozmowy.

— Mówmy, ale o czem innem.

— Więc może o królu? — rzekł Brühl.

— Nie wiem, czy mi wolno — śmiejąc się, odparła Frania.

— Między nami... przecież jeśli nie mamy sentymentów, mamy wspólne interesa.

— Dobrze pan mówisz, a więc...

— Jak król jest usposobiony dla Sulkowskiego? — zapytał Brühl.

Nastąpiło długie milczenie. Ktoby był zstąpił do duszy tej kobiety, mógłby się przekonać, że ją pytanie ubodło. Widziała, jak mało znaczyła dla tego człowieka, a przez dziwny kaprys chciała go drażnić i pragnęła mu się podobać, aby mieć przyjemność obchodzenia się z nim srogo. Zapytanie obojętne uraziło ją, ale tego nie pokazała po sobie.

— A! — odezwała się nagle. — Chcesz pan, bym była szczerą? Sulkowski, wy, a nawet król, nudzicie mnie okrutnie! Co mi tam do waszych ambicij i sporów? Ja chcę żyć!! Król jest lalką bez życia.

— Na miłość Boga! — krzyknął Brühl, łamiąc ręce.

— Przecież nas nikt nie słucha — poczęła obojętnie Brühlowa. — Tą lalką kazaliście mi się bawić, albo raczej daliście mnie jej na zabawę, ale nie możecie żądać, abym się w niej kochała! Waćpan wiesz najlepiej, co jest nasz król... Piękny, dobry, niezdolny do niczego, mężczyzna — namiętny bez uczucia, przywiązany bez odwagi, pobożny i zabobonny, a lubieżny i rozkosznik, skryty, bojaźliwy, bezmyślny, nudny, śmiertelnie nudny.

— Pani! — zawołał Brühl. — Gdyby to nawet wszystko było prawdą, pani mówić, a mnie się słuchać nie godzi.

— Ziewajmyż — odparła kobieta i otworzyła szeroko usta, a potem padła na fotel, jakby osłabła, z głową zwieszoną na piersi, z rękami opuszczonemi bezwładnie; w tej postawie smętnej, kapryśnej, była niezrównanie piękną. Brühl spojrział i westchnął.

— Pytałeś mnie o Sulkowskiego? — zwolna poczęła Frania.

Minister ruchem głowy potwierdził.

— Któż odgadnie, co się w tej lalce dzieje? czy tam jest serce? czy tam może mieszkać miłość? czy on kogo kocha, czy się może przywiązać? Do Sulkowskiego ma nałóg, jak do trefnisiów nadwornych; więcej nie wiem.

— Ale my, jeśli mu panować mamy, pani i ja, ja przez panią, — dodał Brühl — musimy go usunąć.

— Jak Watzdorfa do Königsteinu? — brwi marszcząc, podchwyciła Brühlowa.

Wspomnienie tego imienia jak kamień padło między nich; minister się zmieszał.

— Daję pani słowo honoru, że ja Watzdorfa nie posłał do Königsteinu, ale Sulkowski.

— Słowo honoru ministra? dyplomaty?

— Nie, uczciwego człowieka — podchwycił Brühl, rękę

kładąc na piersi. — Przecież nie przez zazdrość się go stąd pozbyto... Ja do niej dotąd prawa nie mam.

— Cóż to znaczy dotąd? Czy pan spodziewasz się mieć to prawo?

— Tak mi się zdaje — grzecznie rzekł Brühl. — Nie dziś, to jutro, znudzona, któż wie? raczysz pani spojrzeć na sługę swego.

— Zdaje mi się, że na to poczekasz pan długo — szepnęła kobieta.

— Będę cierpliwy — odezwał się Brühl.

— *Croyez-y et buvez de l'eau* — szydersko dorzuciła kobieta.

Brühl drgnął, ale natychmiast z zimną krwią począł:

— Pani powinnaś dopomóc do obalenia Sułkowskiego.

Brühlowa spojrzała.

— Tak, matka mi mówiła toż samo. Każą mi się obawiać, aby panny Stein lub jakiej innej nie wprowadził.

Ruszyła ramionami.

— Czyż mnie to obchodzi?

— Ale pani lubisz brylanty, stroje, przepych, życie? — zapytał Brühl.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Panibys na wygnaniu i w ubóstwie żyć nie potrafiła.

Wyrazy te zdawały się trafiać do jej przekonania.

— Bardzo dobrze — odezwała się. — Obalimy Sułkowskiego, będzie to zemsta za mojego Watzdorfa; będzie to rozrywka. Obalimy tego pyszałka.

Żewnęła znowu.

— Więc skończone? — spytała. — Dobranoc?

Brühl się zatrzymał.

— Właśnie o tem pomówić należy. Obalić go przecie nie można odrazu, potrzeba ostrożności, trzeba...

Zbierał się długo zapewne wykladać teorię obalenia, gdy Franja wstała żywo z krzesła, jakby jej cierpliwości zabrakło.

— To wymaga instrukcji? nieprawdaż? — poczęła, śmiejąc się. — A nacóż ja jestem kobietą? Pan myślisz, że mnie uczyć potrzeba, jak być chytrą? jak po kropelce sączyć truciznę? jak podstępne szeptać słowa? kiedy w ucho rzucić dwuznacznik, co zabija, podejrzenie, co podkopuje? A! panie, jam się od dziecka wychowała na dworze, ja patrzałam na was, na fustrzów; jam miała nauczycielkę w matce, jam z kolebki wyniosła umiejętność kłamstwa, wprawę w szalbierstwa, miłość fałszu!

I śmiać się zaczęła dziwnie, prawie rozpaczliwym głosem.

— Bądź pan spokojnym, potrafię obalić jego, a gdy zechcę i gdy mi się to podoba, was, i...

Zamilkła nagle, chustkę przyłożyła do oczów, i nie mówiąc słowa, krokiem poważnym, milcząca, weszła do sypialni. Drzwi zatrzasnęła za sobą, słychać było klucz okręcający się w zamku. Brühl pozostał sam.

VI.

W małej uliczce pod murem starego miasta, która po wolnej pochyłości schodziła ku Elbie, stał domek w ogródku, wśród drzewek, otoczony murem, z zamczystą bramą. Poznać było po nim łatwo, że go niedawno wzniesiono, starając się, by trochę wdzięczniej od innych kamienic wyglądał. Na ścianach poczepiał budowniczy girlandy kamiennych kwiatów, wkoło okien posplatał sznury, powyginał ozdoby tak, aby twardy piaskowiec wydawał się miękką masą, którą jeden podmuch fantazji zmusił ułożyć się w zalotne kształty jakieś, niewidzianej architektury. Nigdzie linja prosta nie ostała się długo, kaprys rysownika kazał się jej zginać, opadać, zakreślać owale, zacierać kąty, a ze szpar patrzyły wszędzie to wytrysłe niespodzianie liście, to wymarzone owoce, to gałęzie suche, zwijające się pośmiertnym uściskiem.

Na bramie stały dwa wazony, niby z Włoch kędyś skradzione i przyniesione, aby je przypominały. Z jednej strony domu wystawka, bluszczem opleciona, przypominała też włoskie *pergole*. Przodem kamieniczka zwrócona była ku Elbie, jakby na miasto patrzeć nie chciała. Zdala przed nią świecił pałac Japoński. Posadzone drzewa, choć młode, rosły tu bujnie i już trochę cieniu rzucały, a dwie starsze lipy, pozostałe z dawnych czasów, z popróchniałymi pniami, szeroko roztaczały gałęzie.

Nad znakiem u pierwszego piętra, jednego wieczoru jesieni, na balkonie kamiennym siedziała kobieta sama jedna. Istny to był obraz tęsknicy. Młoda, piękna, smutną była jak noc; czarne brwi ściągnięte, w ciemnych oczach świeciły łzy niewyронione, ręce oparła na kolanach obie, na białych dłoniach zwiesiła głowę przechyloną i patrzyła wdal zadumana.

Łatwo w niej Włoszkę poznać było, bo tak bujnie rosną tylko kobiety i kwiaty pod tamtem słońcem ozywczem; tak piękne kształty nadaje tylko natura wybranym dzieciom w atmosferze woniejącej kwiatem pomarańczowym i morskimi zapachy. Na różowych ustach wpół otwartych, z pod których perłowe wyglądały zębki, błakała się piosenka. Myśl ją przerywała, głos ustawał i po chwili, jakby odniechcenia, cichy płynął z piersi, niby senny, stłumiony i umierał milczeniem znowu i rodził się westchnieniem.

Była sama z sobą, cała w sobie, skamieniała tęsknicą, zdrewniała nudą, znękana życiem. Pieśń płynęła z nalogu, lzy płynęły z serca.

Ubrana, jak w domu i do domu, mogła śnić o włoskiej ciepłej jesieni, tak dzień był gorący, a powietrze parne prawie. To też, zaledwie osłonięta, dała białej sukni spadać z ramion, a czarnym włosom płynąć ku ziemi i na nogach miała tylko pantofelki, a ręce do pół wychodziły jakby na okaz dla snycerza. Wieku trudno było odgadnąć, pierwsza młodość uciekała ledwie, a poczynaly się te lata, co tęsknią już za nią i pragną przyszłości, a lękają się jej razem. Oczy już płakać umiały, a usta śmiały się nieraz pocałunkom i nie zdawały się ich pragnąć. Myślała gdzieś daleko, za morzami, za górami, ale nie tu nad smutną Elbą i pod niebem bladym Północy.

Niekiedy, jakby wewnętrzna jakaś fala nią poruszała, kołysała się, tak siedząc, i naówczas śpiewka głośniejsza dobywała się z jej piersi, lza spłynęła po twarzyczce, oko po niej czarniejszem i płomienistszem się zdawało.

Na lewo w pomarańczowych blaskach zachodziło słońce, ku tej części nieba miała zwrócone oczy. Wtem zaszeleściła coś w ciasnej uliczce: słychać było jakby pośpieszne kroki. Odgłos ich uderzył ucho zamyślanej kobiety i obudził ją ze snu. Strwożyła się, stanęła, słuchała w milczeniu.

W bramę ktoś stuknął. Przerażona, otulając się suknią, chwytając włosy rozrzucone, wbiegła do domu i znikła.

Drugie stuknięcie dało się słyszeć w bramie, w domku było cicho; ktoś uderzył raz trzeci i furtka się otworzyła. Mężczyzna stary, odarty, w bieliźnie tylko i narzuconym na ramiona aksamitnym przyodziewku zszarzanym, w czapce włóczkowej zblakłej na siwych, rozczochranych włosach, wyjrzał, rozglądając się ciekawie. Przed bramą stał płaszczykiem otulony młody mężczyzna, pięknej twarzy, który, nie patrząc i nie pytając, natychmiast wcisnął się do wnętrza. Stary, pomruczawszy, zamknął za nim i włókł się do domu.

Po włosku zapytał go, obracając się, przybyły, czy Teresa w domu, i odebrał obojętną odpowiedź potwierdzającą. Szybkiemi krokami posunął się do domku, którego drzwi od ogrodu stały otworem. Sień naprzestrzała była pusta, przez drugie drzwi widać było dwa laurowe drzewa w wazonach, kwiatem bujnym okryte. Na wschodkach wszędzie pusto było i cicho, a gdy przybyły gość drzwi usiłował otworzyć, oparły mu się. Pukaniem długiem rozbudził wreszcie starą kobietę, z siwym włosom, napół wypelzłym, nędznie ubraną, która, popatrzywszy nań, ustąpiła mu i wpuściła go do środka. Pokoiki, przybrane wdzięcznie, mogły być wesołe, a smutne były jak pustka.

Mnóstwo w nich porozrzucanych rzeczy, ubiorów, nut

w największym nieładzie błakało się po sprzętach nowych, a już zniszczonych. Drzwi szklane na balkon stały otworem. Gość wszedł tu szukać kogoś i znalazł tylko niski stołeczek, na którym Włoszka siedziała przed chwilą. Widok stąd tak był ładny, że się zatrzymał spojrzeć i zadumał trochę.

Wtem poza nim zaszeleściła suknia. Powolnym krokiem szła ta sama kobieta, którąśmy widzieli przed chwilą, ale w sukni ciemnej, szerokiej, którą na siebie narzuciła, i z włosami związanymi niedbale. Nóżki tylko pozostały boso, a na twarzy ten sam wyraz znudzenia.

Gość odwrócił się, witając. Odpowiedziała mu skinieniem głowy. Rozmowa toczyła się po włosku.

— Cóż ci to jest? — spytał przybyły.

— Jestem chora, no! umieram z nudy i tęsknoty — odparła Włoszka zniechęconym głosem. — Tu żyć nie można, nie, nie!

— Skądże te rozpacz?

— Z powietrza! — zawołała kobieta, rzucając się na sofę.

Mężczyzna wziął krzesło i siadł przy niej blisko. Oparła się na rękę, na której białych ale przybrukanych palcach widać było pełno pierścieni.

— Z powietrza! — powtórzyła. — Tu niema czem oddychać! niema czem żyć; tu trzeba umierać!

— Cóż ci to?

— Pytacie? Widzicie.

— Więc znowu te tęsknoty wracają?

— Nigdy mnie nie opuszczały.

— Znowu zawiniła pewnie Faustyna — rzekł przybyły.

Był nim Brühl, jak się domyśleć łatwo.

— Faustyna? — powtórzyła, rzucając nań okiem gniewnem. — U was jest jedna ona: na myśli, na języku, we wszystkim.

— A dlaczegoż nie starasz się zaćmić Faustyny? podobać n. panu, zwyciężyć ją? Starsza...

— Stara jędza, jak świat — przerwała żywo Teresa. — Obrzydła kuglarka. Ale z tym królem...

— Proszę z respektem o królu!

Teresa usta wykrzywiła.

— Więc nic nie powiem.

Posiedzieli trochę w milczeniu.

— Dam ci jedną dobrą radę — odezwał się Brühl. — Gdy śpiewasz, zwracaj się do króla, patrz na niego, uśmiechaj mu się, bądź zalotną. Gdy on ci pokłaśnie, będziesz królową.

— A tymczasem królową stara Faustyna. Król ma nałogi, fe! a nie ma oczów, ni smaku. Śpiewa mu głosem ochrzypłym, włosów połowę ma siwych. Cóż z tego? ona diva, a my komparsy!

Z boleścią domówiła tych słów.

— Słuchaj, Tereso — rzekł Brühl. — Nie rozpaczaj, to się zmieni. Faustyna wróci do domu, ty zostaniesz.

— Wolałabym przeciwnie! — mruknęła Teresa i zamilkła nagle.

— Dziś niema czasu mówić o tem — odezwał się Brühl. — Za chwilę, tylko co nie słyhać, ktoś zapuka do bramy. Niech go stary Beppo wpuści. Nie mogłem swobodnie, niepostrzeżony rozmówić się z padre Guarinim, przyjdzie tutaj. Daj mu co słodkiego, tylko nie ust twoich, które są najśłodsze, i zostaw nas samych.

Teresa słuchała obojętnie; potem, jakby zmuszona do posłuszeństwa, wstała z sofki i gnuśnie poszła ku drzwiom, wołając starą matkę, której kilka słów szepnęła. Brühl niecierpliwie przechadzał się po pokoju, patrząc w ziemię.

Teresa zwróciła się, spojrzała nań i poszła znowu na swe miejsce.

Gluche uderzenie do furtki zaledwie usiadającą poruszyło. Wstała, gotując się na przyjęcie Gauriniego, rozpatrując po izbie, którą sprzątać dopiero zaczęła.

Żwawy krok dał się słyszeć na wschodach, długa twarz jezuity, nos jego spuścisty i dobroduszny uśmiech dał się widzieć na progu.

Zobaczył krzątającą się Teresę.

— Porzuć! — zawołał. — Jam nie gość, ja u moich w domu. Beppo mnie w rękę pocałował, stara o mało nie uściśnęła, aż mi lżej, gdym ze współwyznawcami.

Teresa także pocałowała w rękę ojca, co mogła zabrała i znikła.

Brühl szybko się zbliżył do Guariniego.

— A cóż? — zapytał. — Jedzie? nie jedzie?

— Jedzie — rzekł, śmiejąc się, ojciec. — Król sam mu powiedział, że powinien się rozerwać po pracy. Rozumiesz mnie? — rozśmiał się. — Nadzwyczaj zręcznie rzecz była osnuta. Nigdybym się nie spodziewał, ażeby królowa tak potrafiła dysymulować. Z największem współczuciem dla niego namówiła króla, aby go sam do tego zachęcił. „Wiem, rzekła, że ci Sulkowskiego brak będzie, że zatesknisz po nim... my ci go nie potrafimy zastąpić, ale on się zabija tą pracą. On stworzony na żołnierza, do życia czynnego... niech sobie spocznie, niech się przejedzie i powącha prochu: wróci odmłodzonym“. Król w rękę pocałował za to królowę i ucieszył się, z jej współczucia dla przyjaciela... Dziś jeszcze rozkaże Sulkowskiemu jechać i dam mu piękny wiatyk na podróż. Nie trzeba żałować na to pieniędzy; niech jedzie! niech jedzie! — zawołał o. Guarini.

Brühl mu wtórował.

— Niech jedzie!

— Zabawi kilka miesięcy, — mówił padre — będziemy

mieli dosyć czasu, aby przygotować odprawę. Król się odzwyczaił od niego.

Brühlowi twarz się wyjaśniła.

— Przez ten czas, ja wam nie potrzebuję mówić, co do czynienia macie — dodał Guarini. — Wy nie potrzebujecie działać przeciwko niemu osobiście, toby było szkodliwem. Zostawcie to królowej i mnie; Sulkowski dość swoją dumą narobił tu sobie nieprzyjaciół: jak skoro ludzie postrzegą, że szczęście może się odwrócić od niego, pomogą nam nieproszeni. Wam należy dotrwać wiernym przyjacielem do końca.

— Tak też myślałem — odezwał się Brühl. — Będę nawet czekał, aż mi o wyjeździe powiedzą, a może zlekka przeciw niemu protestował, dowodząc, że mi się bez Sulkowskiego obejść będzie trudno.

— Doskonale! — zawołał Guarini. — *Al nemico il ponte d'oro fugge...* Gdy król zażąda pieniędzy, sypcie.

— Choćby ostatnie — odezwał się Brühl i zatarł ręce, a potem, jakby sobie przypomniał obowiązek, księdza uściskał i w rękę pocałował.

— *Lontano dagli occhi, lontano dal cuore* — pomrukiwał padre powoli. — Król się oduczy od niego, a wy mu go zastąpicie.

Zaczęli chodzić po pokoju obaj. Padre jednak był zamysłony.

— Żonę zostawia, będzie mu donosiła — rzekł cicho.

— Koło niej trzeba mieć ludzi.

— Dosyćby było jednego — uśmiechnął się Guarini. — Ale tam to pono trudno... a i kandydata na tę funkcję znaleźć mi niełatwo.

Zaczęli coś szeptać pocichu.

— *A goccia à goccia si cava la pietra* — dodał padre.

Z drugiego pokoju wyszła w tej chwili powoli Teresa, trochę już przez poszanowanie dla duchownego przybrana, niosąc w ręku talerz owoców, który z uśmiechem na stoleku postawiła.

Ksiądz ją na sposób włoski po ramieniu poklepał, ona pocałowała go w rękę. Dobył z za sukni medale na sznurku, a było ich razem związanych kilka, i, wydzieliwszy jeden Teresie, dwa przyrzucił dla matki i starego Beppa, za co otrzymał jeszcze jeden ręki pocałunek.

Mówili potem z Brühlem długo, cicho, a żywo; minister z pokorą przyjmował instrukcję, lecz z zamyślenia i roztargnienia jego wnosić było łatwo, że sam w tej chwili układał swe postępowanie. Zaczynało już dobrze zmierzchać, gdy o. Guarini się wyniósł pocichu. Teresa wbiegła, aby coś powiedzieć, czy prosić o coś Brühla, ale i ten już śpieszył, obiecując jej przyjść później.

Została więc znowu sama i siadła w pustej izdebce

tak zadumana i smutna, jak wprzód. Stara matka z założonymi rękami, milcząca, przyszła naprzeciw niej przysiąc także; lecz tęsknica na nie obie jakaś powiała i przemówić nie miały o czem, wzdychały tylko.

Jeszcze nie myślano o zapaleniu lampki, aby przez otwarte drzwi do domu nie ściągnąć równie dokuczliwych z nad Elby, jak włoskie, komarów, gdy stukano znowu do bramy. Teresa się nie podniosła nawet z siedzenia, choć może ciekawa była, kto przyjdzie; któż jej tu mógł jaką przynieść pociechę?

Na wschodach słyhać było głos i rozmowę włoską z Beppem. Po tym głosie poznała Albuzzi kobietę i, machinalnie przyglądając włosy, zerwała się z siedzenia, a matka, widząc to, wstała także. W mroku zobaczyły na progu stojącą postać kobiety słusznego wzrostu, po pańsku ubraną i pańskiego oblicza.

Przybyła strojną była jak najwykwintniej, w jedwabną suknię, fryzurę, koronki i obwieszona ulubionymi włoskimi błyskotkami.

Teresa z podziwieniem poznała w niej swoją nieprzyjaciółkę i współzawodniczkę, Bordoni-Hasse, słynną Faustynę. Zakulisowa królowa rozpatrywała się w mieszkaniu swej rywalki i zdawała namyślać, co ma powiedzieć.

Teresa stała milcząca naprzeciw niej.

— Widzisz, przychodze do ciebie: ja! — zawołała, śmiejąc się, Faustyna. — Czekałam próżno, ażebyś ty na zgodę przyszła do mnie; widzę, że ja muszę ci pierwsza podać rękę! E! Tereso moja! myśmy przecie obie Włoszki, obie z pod tego pięknego nieba, pod którym pomarańcze i cytryny kwitną, i zamiast sobie życie słodzić, my je sobie trujemy. Daj mi rękę, bądźmy siostrami!

Teresa zawahała się, na płacz się jej zebrało i, wybuchnąwszy nim, rzuciła się na szyję Faustynie.

— Jam nigdy nie była nieprzyjaciółką tobie! — zawołała. — Jam ci nie odebrała kochanka, nie powiedziała złego słowa.

— A! dosyć! dosyć! niech przepadnie przeszłość — odparła Faustyna. — Nie wspominajmy jej. weźmy się za ręce i idźmy zgodnie. Życie nasze i tak ciężkie a smutne, trują je drudzy; myśmy nie powinny.

Faustyna westchnęła.

— Przyszłam do ciebie; bo mi cię z duszy żal; ale cóż pomoże dobra rada i dobre słowo? Przyjdzie za późno, a co konieczne, tego żadna siła nie przeemoże.

Zamilkła chwile; matka Teresy wyszła powoli, ona sama na niskim stołeczku siadła u nóg Faustyny, podparła się na rękach, jak wprzód, i zadumała.

— Ludzie nam szczęścia zazdroszczą, — mówiła Faustyna — a my lży lżykać musimy. To nie nasz świat... a na

dworze ich, jak na ich łodzi, ostrożnie chodzić potrzeba, ażeby się nie pośliznąć i nie paść. Szczęściem ja mam króla, a ten mojemu głosowi będzie wierny. Dobrze stworzenie, które jak do żłobu idzie do swej łoży, a ja mu obrok zasypuję piosenką.

Rozśmiała się, pochyliła do Teresy i pocałowała ją w czoło.

— Ciebie mi żal, tyś wpadła w ręce, Albuzzi...

Zniżyły głos. Teresa obejrzała się bojaźliwie i szepnęła cicho i ostrożnie:

— Ja się własnej matki boję!

— A ja nikogo — odparła Faustyna. — Ale znaszże ty tego przyszłego króla, który ci chustkę rzucił? — Wzdrygnęła się. — To straszny człowiek! Miły, słodki, dobry, ale mi jego śmiech syczy, jak gadzina; on ma uśmiechy, ale serca nie ma. A taki pobożny, a taki pokorny...

I wstrząsła się Faustyna.

— Przyszedł doprawdy uznać się nad tobą, bo on wkrótce nam tu wszystkim panować będzie... a biada nam pod panowaniem jego, jeśli z nas która sprzeciwić mu się odważy: *Poverina!*

Teresa zmilczała; Faustynie lice gorzało.

— Dla ciebie dobrym on może! lecz gdybyś ty, jak ja, codzień słyszała jęki i skargi na uciski i tłumione łyzy ludzi, o! jakbyś go nienawidziła.

— Moja dobra Faustyno — odezwała się wkońcu Teresa. — Trafiałś na dzień taki, gdy mi to łyzy jeszcze nie oschły od płaczu. O! myśmy tu bardzo biedne. Śpię i we śnie słyszę szum mojego Adrjatyku, zdaje mi się, że tam znowu na progu domku wieczorem; *luciole* migają w powietrzu. Andrea brzdąka na gitarze... piosenka brzmi w powietrzu, wiatr przynosi zapach kwiatów i liści. Budzę się, słucham: szumi, ale wicher, szumi ze śniegiem i brzmi mowa nienawistna i ludzie się śmieją, których szyderstwo rani, a miłość upokarza.

Zakryła twarz rękami Teresa.

— Droga moja, — odezwała się Faustyna, całując ją — więc nie dogryzajmy sobie wzajem, pomóżmy na cierniowej drodze.

I podawała jej rękę, szepcząc w ucho:

— Strzeż się tego, który cię opanował: straszny jest! i niech cię Madonna ma w swej opiece.

Teresa wstała, odprowadzając ją do drzwi.

— *Addio!* — rzekła. — Niech ci Bóg płaci dobre serce; przyszedł w smutku... jaśniej mi teraz, gdy nas dwie razem, a nie przeciw siebie.

Tak się rozstali, a zamyślona Faustyna, której *portehaise* czekała u bramy, szepnęła ludziom, ażeby ją nieśli do domu.

Przez odsłonięte okna lektyki mogła widzieć wszystko, sama nie będąc widzianą. Z uliczki, przy której stał nowy domek Albuzzi, czekając, aż jej wspaniałą protektor rotundę wzniesie na Friedrichstacie, Faustyna prędko dostała się do bramy i miasta. Wąską uliczką musiała przejeżdżać na Zamkową. Z roztargnieniem spoglądała przed siebie. Mrok w mieście nie był jeszcze tak gęsty, jak w domach, twarze ludzi rozeznąć było łatwo. Z przeciwnej strony spostrzegła niesioną szybko od zamku lektykę; poznała, a raczej domyślała się w niej Sułkowskiego, którego blada twarz i czarny wąsik mignęły jej wśród cieni.

Szyby dwóch lektyk o mało się nie otarły o siebie, Faustyna, jakby nagle jakieś rozbudziło się w niej męstwo, w chwili, gdy lektyka Sułkowskiego mijala ją, zadzwoniła w okno swojej i zawołała:

— *Fermate!*...

Sułkowski, który był głęboko zanurzony na siedzeniu, wychylił głowę i spojrzał... Lektyki obie stanęły, ludzie niosący postawili je tak okno w okno, że siedzący w nich wygodnie z sobą rozmawiać mogli.

Spuściła okno Faustyna i wychyliła się wzruszona. Minister, ze swej strony zdziwiony trochę, zbliżył twarz ku oknu.

— Niech wasza ekscelencja trochę każe ludziom ustąpić, albo pozwoli mi mówić po włosku; potrzebuję poufale, choćbym zginąć miała, mówić z wami.

Na te słowa hrabia drgnął i przechylił się ku niej.

— Piękna divo! — zawołał. — Jeśli chodzi o jaki spór, na to jest padre Guarini; jeśli idzie o łaskę jaką, król pan nasz nigdy wam nic nie odmawia, a ja... ja czasu nie mam, piękna pani.

— Hrabio, tu nie idzie o mnie! ani o łaski, bo temi mnie obsypujecie, i ja od was nic nie żądam, nic... idzie o was i o króla — odezwała się śmiało Faustyna.

Sułkowski zdawał się nie rozumieć, jednakże kazał podnieść wieko, wydobyl się z lektyki i podszedł ku śpiewaczce.

— Jestem na wasze usługi i słucham — rzekł z uśmiechem.

— A gdybyście też i wierzyć nie chcieli!... — westchnęła.

Hrabia milczał, widać było zniecierpliwienie, które przemóc usiłował.

— Hrabio, — mówiła, żywa Faustyna — prawdaż to, że się oddalacie? że myślicie odjechać? że się usuwacie i zostawujecie plac wolny nieprzyjaciółom waszym?

Sułkowski począł się śmiać.

— Ja nie mam nieprzyjaciół, — rzekł spokojnie — a gdybym był tak szczęśliwy i miał ich (bo za zaszczyt-bym poczytał zarobić na nieprzyjaźń, służąc panu), wcale-bym się ich nie lękał.

— Czy wy nie dowierzacie? — przerwała Faustyna. — I szczerem nie chcecie być z biedną śpiewaczką? Ale z za kulis wiele widać świata, ale za niemi lepiej się poznaje ludzi, niż w salonach; ja wam, hrabio, dobrze życzę, bo wy kochacie króla i chcecie dobra dla tego kraju, który ja za drugą uważam ojczyznę. Wy jesteście czyści i pragniecie, aby pana kochano; drudzy myślą o sobie, a o kraj nie dbają wcale.

Namarszczył się Sułkowski.

— Ale któż! kto!

— Jakto, wyście tak ślepi! — zawołała, zapalając się, Faustyna. — Czy nie widzicie nic? Czyż ja wam to pierwsza odsłonić i pokazać muszę? Królowa pani nawet zazdrości wam łaski króla, macie nieprzyjaciela we wszechmocnym ojcu Guarinim, a współzawodnika w Brühl. Długo knuty spisek w cichości nareszcie doprowadzili do skutku; was wyprawiają stąd, aby wasze posiadać miejsce, aby wam serce króla odebrać! I wy nie widzicie tego! wy dobrowolnie zaprzędajecie swoją przyszłość! Ten człowiek pochwyci wszystko; dla was tu miejsca nie będzie.

Mówiąc to, załamała ręce. Sułkowski stał, słuchał, ale nie czyniło to na nim wrażenia, drgnął tylko i wnet rumieniec mu na twarz bladą wystąpił.

— Kochana pani, — rzekł — to doprawdy sny są i przywidzenia. Ja wyjeżdżam, ale sam prosiłem o to; ja nie mam nieprzyjaciół, a mam serce króla, którego tak jestem pewny, że żadna moc w świecie odebrać mi go nie potrafi... Uspokójcie się, signora, to są czcze plotki, które około każdego dworu, jak komary nad błotami, latają. Wierzcie mi, ślepy nie byłem i nie jestem, i oszukać mnie niełatwo i pozbyć się mnie.

Począł się śmiać wesoło.

— A! signora Faustyna, — rzekł — wierzcie mi, że wam wdzięczny jestem za tę troskliwość o mnie, za to dobre mniemanie. Wierzcie mi, że o tej naszej rozmowie nikomu w świecie nie wspomnę: zostanie ona między nami.

Chciał odstąpić, kłaniając się, od lektyki, gdy, załamawszy wyciągnięte ku niemu ręce, Faustyna zawołała:

— Hrabio! byćże to może, abyście wy do tego stopnia ślepymi byli? Jestże to podobna? Szlachetny wasz charakter nie przypuszcza zdrady, ale ona w oczy bije: wszyscy widzą to, czego wy widzieć nie chcecie.

— Ale bo to są przywidzenia, domysły, potwarze! Brühl winien mi wiele, i aniby się mógł ważyć porwać na mnie, choćby miał tak potężnych sprzymierzeńców, jak n. pani i najczciodszy padre...

Potrząsł głową.

Faustyna zamilkła i spuściła oczy.

— A więc, co przeznaczone, to nieuniknione! *Chi alla corte è destinato, muore santo o disperato* — szepnęła jakby sama do siebie. — *Addio, signor conte*, i niech Opatrzność was prowadzi i przyprowadza... Nie bawcie długo... Kiedyś może przypomnicie przestrożę głupiej Faustyny, ale już będzie po czasie.

Skloniła głowę smutnie, hrabia ujął ją za rękę ze wzruszeniem.

— Śliczna i dobra Bordoni, — rzekł — wierzcie mi, żem wam wdzięczen bardzo; zawsze to, coście uczynili, wielkiego serca dowodzi. Mało go jest między nami i cenić go umiem. Lecz nie jest tak źle jeszcze... a! nie. Króla mogę nazwać przyjacielem, ufam mu i nie zawiodę się; bądźcie o mnie spokojni.

Faustyna, nie mówiąc już, rzuciła się w głąb *portechaise'y*, a hrabia, uśmiechnąwszy się jej i skłoniwszy głowę, siadł do swojej.

Lecz zmienił w tej chwili postanowienie, i ludziom, co go nieśli, kazał iść do pałacu Brühla.

Godzina była, w której go mógł zastać jeszcze. Zamyślony, przebiegł niewielką przestrzeń, dzielącą od niego, w bardzo krótkim czasie. Nie potrzebował ani pytać, ani prosić o przyjęcie, byle minister był w domu, bo przed wszechmogącym Sułkowskim drzwi się naówczas wszędzie otwierały, jak w zamku.

Brühl był u siebie.

Nie pytając więc, co robił, Sułkowski wbiegł na górę, nie uważając, że go poprzedził paź, który drugimi drzwiami wpadł o nim oznajmić.

Brühl naradzał się z Hennickem, którego odprawił szybko i, nim Sułkowski, zmuszony przechodzić przez cały szereg sal i pokojów, doszedł do gabinetu, padł na kolana przed krucyfiksem, stojącym na rodzaju klęcznika, ręce złożył i zatopił się w ekstatycznej modlitwie.

Łatwość, z jaką mu przyszło przybrać tę postawę, dowodziła, że nie po raz pierwszy używał jej, gdy mu było potrzeba, ażeby go ktoś, niby niespodzianie, zastał pogrążonego w modlitwie. Ta postać strojnego dworaka w aksamitnym fraku, przy szpadce i w peruce fryzowanej, na rozmowę z Panem Bogiem wydałaby się może śmieszna, gdyby kiedykolwiek modlitwa być nią mogła.

Bardzo często, jak świadcza współcześni, zastawano Brühla zatopionego w takich religijnych rozmyślaniach.

Sułkowski, nie pukając, otworzył drzwi i stanął w progu zdumiony; po raz pierwszy w życiu trafiło mu się pochwycić Brühla na modlitwie; oczom swoim nie wierząc prawie, stał, nie ruszając się, a Brühl, jakby otwierających się drzwi nie usłyszał, klęczał ciągle plecami do nich odwrócony, z głową podniesioną, wydając głośnie westchnie-

nia. Wreszcie prawą rękę podniósł i począł się bić w piersi, schylając głowę z taką gorącością ducha, z takim zapalem, jak żebrak pod kościołem, gdy chce na jałmużnę zarobić.

Sułkowski nie ruszał się z miejsca, nie mógł przypuścić, aby to wszystko udaniem było i komedią, wszedł bowiem nie oznajmiony dosyć szybko, a mrok wieczora lektyki jego w ulicy widzieć nie dozwalał.

Ta scena niema trwała długą chwilę. Brühl schylił się do ziemi, rozkrzyżował ręce, słyhać było szmer modlitwy. Ilekroć prawa dłoń jego się podniosła, hrabia mógł na niej dostrzec przywiązany różaniec. Nareszcie zlekka odkasznął.

Usłyszawszy głos, Brühl jakby przerażony porwał się, poskoczył, a ujrzawszy Sułkowskiego, zakrył sobie oczy.

— A! hrabio kochany, przepraszam... wstydzę się... zastaliście mnie na uczynku! Czasem dusza potrzebuje zbliżyć się do Stwórcy swojego. Tyle czasu poświęcamy rozkoszom ziemskim, choć chwilę pragnę oddać Bogu i modlitwie.

— To ja was przepraszam — odparł, powoli wchodząc, Sułkowski — i buduję się istotnie pobożnością waszą. Przebaczcie mi, żem przerwał modlitwę.

— A! ona się już kończyła! — zawołał Brühl i wskazał kanapę.

Świece dwie paliły się już na stole.

— Człowiek, który się tak modli, — pomyślał w duchu Sułkowski — złym być i zepsutym nie może: to niepodobieństwo.

Ciężar mu spadł z serca. Popatrzał na Brühla. Ten miał minę ledwie rozbudzonego po modlitwie, rozmarzonego nią jeszcze, nie ostygłego po ekstazie.

— No, — rzekł Sułkowski powoli, rozpierając się wygodnie — wiecie, że jadę?

Spojrzał Brühl, nie okazał wzruszenia, smutną twarz przybrał.

— Czynicie, co się wam podobało — odparł powoli. — Ja ani pochwalałem tej podróży, anim wam jej radziłem! Szczerze powiedziawszy, byłem przeciwko niej i jestem. Naprzód, że przy królu nikt was nie zastąpi: to próżno. Z wami otwartym być mogę i muszę, powinienem. Z ciężkością mi to wymówić przychodzi: królowa jest panią świętą, pobożną, przywiązaną do króla, ale kobietą. Wpływ jej, który tylko wasz mógł przeważać, zwiększy się przez to, król popadnie w niewolę jej i ojca Guariniego. Znaleźliście mnie na modlitwie, widzicie, żem pobożny, katolikiem zostałem i jestem nim szczerze; ale, ale nie radbym, aby księża zbyt wyłączny wpływ mieli na umysł króla. Nasz drogi pan i tak aż nadto im jest posłuszny, a zraża swych saskich poddanych.

Sułkowski słuchał z uwagą wielką.

— Mój Brühl, — rzekł — masz najzupełniejszą słuszość w tem, co mówisz, ja całkowicie podzielam zdanie twoje.

Wszystko to prawda. Lecz ty tu zostajesz w miejscu, a ja nie zabawię długo. Masz mi za złe, że jadę, ale ja żołnierzem jestem. Król mi dał dowództwo, wojny się spodziewam, przekonałem pana, że jest nieuchronną, że Saksonja korzystać musi z położenia Austrii i upomnieć się o swe prawa. To powód, dla którego chcę wprawy rycerskiej nabyć, jadę więc, jak widzisz, nie dla fantazji.

— A wolałbym, żebyście nie jechali — dodał Brühl. — Mówicie, że ja zostaję, ale ja takiego wpływu na króla nie mam.

— Tymczasem wiesz, co ludzie roją i mówią? — zapytał Sułkowski.

Brühl, zdziwiony, podniósł głowę.

— To w istocie ciekawe — opowiadał Sułkowski powoli. — Przestrzegają mnie, abym się miał na baczności, że na mnie wy z ojcem Guarinim uknułicie spisek, że oddalacie mnie umyślnie, aby podkopać i obalić!

Brühl ręce załamał, zerwał się z krzesła i wybuchnął gwałtownie:

— Dajcie mi tego potwarce! Na mnie, na mnie to śmieją mówić! Ha! niema na świecie nic, czego by obłudzać nie można. Na mnie! Ja i ojciec Guarini! ja, który go się lękam jak ognia, ja i królowa, która mnie niecierpi. No, powiedzcież!! Ja miałbym się porwać na was, mizerny robak przeciw człowiekowi, którego król przyjacielem nazywa. A! to by było okropne, gdyby nie było śmieszne, głupie i podłe!!

— A! a! uspokójże się — śmiejąc się, obojętnie zawołał Sułkowski. — Powtarzam ci to tylko, abym dowiódł, co ludzie marzą, o co posądzają. Przecież nie sądzicie, abym wam nie ufał i lękał się.

I po chwili dorzucił:

— Mógłby zapewne człowiek ambitny a miłkiego rozumu porwać się na co podobnego; lecz srodzeby tego musiał pożałować. Ja króla jestem pewnym, dla mnie on nie ma tajemnic.

Ruszył ramionami pogardliwie.

— Wszystko to prawda, — rzekł poruszony Brühl — ale kiedy tak jest, tem mocniejbym obstawał przy tem, ażebyście się podróży wyrzekli.

— Przepraszam cię, to właśnie powód, dla którego ja jechać muszę, ażeby dowieść głupcom i przekonać ich, iż się nikogo nie lękam, że się z tego śmieję, że gardzę.

Ramionami rzucił i Brühl ręką machnął.

— A że to nie ma sensu! To gdzieś ulica wymyśliła, albo z Berlina przyszło, gdzie się dla Saksonji plotki płodzą... to głupie.

— Mój Brühl, u mnie wszystko gotowe, jutro ruszam do Pragi — wtrącił, rozmowę umyślnie przerywając, Sułkowski. — Nie bez przyczyny obieram tę drogę. Muszę Pra-

gę strategicznie obejrzyć, bo my ją brać i zająć natychmiast będziemy zniewoleni. Chcę się przekonać, jakich sił potrzebować możemy, jaką obrać drogę. Jutro rano się puszczam, proszę cię, pożegnałbym żonę waszą.

Brühl pochwycił za dzwonek.

Wszedł galonowany kamerdyner.

— Pani w domu?

— Tak jest.

— Sama?

— Tak sądzę, ekscelencjo!

— Oznajm hrabiego Sulkowskiego z pożegnaniem i mnie.

Kamerdyner wyszedł żywo, w pokoju panowało milczenie.

Bardzo prędko otworzyły się drzwi.

— Pani prosi!

Sulkowski z ciężkością, jakby zmęczony, powstał z kanapki i poszedł ku salonowi, Brühl za nim.

Mimo wstrząśnięcia, jakiego doznał, niktby go z jego twarzy nie wyczytał; gotowało mu się wewnątrz, ale się uśmiechał obojętnie.

W salonie zastali stojącą piękną panią Brühlową. Właśnie wracała z asambli u królowej, które zwykle trwały od godziny 4-ej do 6-ej po obiedzie. Strojna była i jaśniejąca pięknością, która więcej dziwiła, niż ujmowała. Coś dzikiego błyskało w jej oczach, coś okrutnego śmiało się czasem w ustach, jakiś niepokój ogarniał, patrząc na nią. Było to odbicie tego niepokoju, jaki w jej duszy panował.

Spojrzała na Sulkowskiego.

— Przychodzę się pamięci pani polecić — z pewną niedbałością pańską rzekł obojętnie, trochę głowę uchyłając, Sulkowski. — Wiesz pani zapewne, że jadę. Smutno mi tak miły dwór opuszczać, ale są konieczności. Szczęściem spodziewam się, że to nie potrwa długo.

— A! — odezwała się piękna Frania — a! słyszałam właśnie u n. pani na *cercle*, że hrabia nas osierocasza. Niezmiernie mnie to zdziwiło.

— Mąż pani o tem nie wspomniał? — spytał Sulkowski.

— Mąż! — minkę strojąc dziwną, zawołała pani Brühlowa. — Mój pan mąż tak jest zajęty, że czasem po miesiącu się z nim nie widzimy, mieszkając w jednym domu. Jam zmuszona o nim się od obcych dowiadywać.

— Powinnaś go pani skarcić za to!

— A! nie — zaśmiała się szydersko Frania. — On swobodny, ja także; czy może być co miłszego w małżeństwie? Nie mamy czasu się sobą przesycić, i dlatego bardzo jesteśmy szczęśliwi.

Spojrzała szydersko na męża; Brühl wesoło to brał i śmiał się jak mógł najnaturalniej.

— A hrabina zostaje? — zapytała Brühlowa.

— Niestety! muszę ją porzucić — odezwał się Sułkowski. — Choćbym najmocniej pragnął na koń ją wsadzić, aby przy mnie kampanję odbywała, niepodobieństwo.

— To pan myślisz wojować? — spytała Frania.

— Tak jest! Niechże mi pani życzy powodzenia, abym głowę Turka mógł jej przywieźć.

— Ja od tego uwalniam — odezwała się figlarnie. — Hrabio, przywieź nam tylko swoją całą, a będziemy mieli dosyć. Laurem okolona będzie się ładnie wydawać kiedyś na medalu.

Wspomnienie medalu, które jej na myśl przyprowadziło Watzdorfa, ogniem dzikim zapaliło źrenice.

— Życzę panu hrabiemu szczęścia! — odezwała się z ukłonem.

Oczy mówiły co innego.

Sułkowski się odniechcenia znowu skłonił. Brühlowa zwróciła się ku swoim pokojom. Gospodarz ujął go pod rękę i tak poufale szepcząc coś, powoli skierowali się zpowrotem ku gabinetowi.

VII.

W kilka miesięcy po wyjeździe Sułkowskiego, szarym wieczorem zimowym o. Guarini wszedł do królewskiego gabinetu. Była to godzina, o której zwykł był August III udawać się do królowej, na operę, słuchać muzyki, lub strzelać do celu.

Strzelanie do różnych stworzeń było mu ulubione, że niekiedy zdechłego konia rzucono pod murem, a gdy się błędne psy cisnęły do padła, król j. mość z muru do nich palił. Że zaś psówby wkońcu zabrakło, nie zabijano je na śmierć, kaleczono tylko, aby pozdrowiawszy, znowu się na podobny podwieczorek zbierać mogły.

Tego dnia jakoś i strzelania nie było, i opery nie zapowiedziano, i do królowej na muzykę August nie śpieszył. Dwa razy przychodzili szambelanowie: odprawił ich, mrużąc. Był to znak bardzo złego humoru. Dano natychmiast wiedzieć o tem ojcu Guariniemu, który do króla pośpieszył.

On jeden mógł z niego coś dobyć, innym się to nie udawało. Stary księżyna wszedł z tą swą spokojną miną, zawsze wesołą lub do uśmiechu skłonną.

Król nań chmurno popatrzył i głowę odwrócił.

Pomimo zimnego przyjęcia padre usiadł na taborecie i, podparłszy się na rękę, odezwał:

— Czy wolno spytać w. kr. mości, co tak zasępiło jego czoło? Wierny sługa się tem martwi.

Odwrócił się August, pokiwał głową; coś niewyraźnego zamruczał i chwycił fajkę. Nastąpiło milczenie.

— Lżejby było w. kr. mości, — rzekł padre — gdybyś raczył mi się zwierzyć.

— Głupstwo! — rzekł król.

— Niewarto się gryźć — odparł ojciec.

— Głupstwo! — powtórzył raz jeszcze.

To powiedziawszy, król wstał; począł się przechadzać, wzdychając i, jak miał zwyczaj, kiedy go co niecierpliwiło, nogą podrzucał, co na drodze znalazł, lub co mu się zdawało leżeć na drodze.

Guarini wpatrywał się w niego, jak w tęczę.

— To bo niedobrze jest, — rzekł — że w. kr. mość przy takiej pracy nie szukasz sobie rozrywki. Rozrywka jest człowiekowi koniecznie potrzebna, św. Jan na Pathmos miał hodowaną kuropatwę.

— Kuropatwę! — powtórzył król zamyślony. — Ja wolę polować na cietrzewie; kuropatwa mała zwierzyna.

I chodził znowu, powzdychiwając.

— Trzebaby albo muzyki, albo opery, albo obrazów, albo polowania.

August ręką machnął.

— Gdzież Brühl? — spytał ojciec.

— A! Brühl! jeden Brühl!... ale on zajęty, zajęty niebożatko, niech odpocznie sobie. Brühl dobry człowiek.

— Wyśmienity! — potwierdził Guarini. — Do niego w. kr. mość żalu nie masz?

— Ale co znowu!! Brühl... złoty Brühl — rzekł król, ale głowę zwiesił.

Trudno się było dowiedzieć.

— Jużciż w. kr. mość nie tęsknisz tak za Sułkowskim.

Drgnął król i stanął nagle. Guarini poznał, że do rany rękę przyłożył.

— Otóż to Sułkowski, widzisz, ojczy — bąknął król. — Józefina go nie lubi. Jak można Sułkowskiego nie lubić?... he? powiedz ty?

Guarini zamilkł. Pytanie było wymierzone wprost jak strzał do piersi, jednak nie odpowiadał na nie.

Król, nie lubiący mówić, powtórzył ciszej:

— Ojczy, jak można Sułkowskiego nie lubić?

Jezuita namyślał się bardzo długo. Chwila była stanowcza: należało przypuścić atak umiejętnie; rozważał właśnie, jak ma to uczynić. Spodziewał się go oddawna, przyszła godzina walna, trzeba tedy było począć.

— N. panie, — odezwał się — ja przeciwko Sułkowskiemu osobiście nie mam nic. Jako katolik chłodny jest i obojętny, to prawda... Zdawało mi się też zawsze, że naszą świętą królową panią nie dosyć czci i szanuje.

— Ol ol ol — przerwał król — ol ol

— Przynajmniej ludzie tak inni sądzili — mówił nie-

zmieszany Guarini. — Płochy jest, to pewna, w pychę nie-
pomierną wzbila go łaska pańska...

Zamilkł król, posepnie słuchając.

— N. panie! — żywo zawołał, zbliżając się, Guarini. —
Jesteśmy sami, nikt nas oprócz Boga nie słyszy. Proszę mi
z ręką na sumieniu odpowiedzieć, jak na spowiedzi, czy ni-
gdy Sułkowski nie wodził króla a pana swego na poku-
szenie??

Na te słowa August oczy otworzył wielkie, zarumienił
się i, nagle plecami odwróciwszy, nic nie odpowiadając, cho-
dzić zaczął.

Milczenie było dostateczną odpowiedzią.

Guarini począł śmiać się cicho.

— A nie jestże to zuchwalstwo? he? Pojmuję nawet,
że sługa i przyjaciel może chcieć czasem i na sumienie coś
dla miłości pana wziąć, ale jusciby też mógł poczekać, aż mu
zgóry skiną.

Spuściwszy głowę, król chodził.

— Królowa ma przeczucie — mówił padre. — Co to się
dziwić! Ale o tem *satis*. Alboż to niewiadomo szeroko, że
on żywi myśli zdobywcze względem Austrii, względem do-
mu, któremu zawdzięczamy królowę jejmość i przeciwko
najświętszym przyrzeczeniom naszym...

August siadł w krzesło, jakby znużony, i patrzył na mó-
wiącego.

— A najgorsza ze wszystkich ta ambicja i ta ufność, że
mu to wolno, co zechce, i że z królem a panem swym uczyni,
co mu się podoba. Są ludzie, co to od niego słyszeli. Tro-
chę pokory czy upokorzeniaby mu nie zawadziło. Alboż to
dobrze, by ludzie mówili, że on w Saksonji panuje, a nie
król nasz miłościwy.

— E! e! e! — rzekł król. — Kto mówi? kto? to go po-
wiesić!

— Tacy mówią, co słyszą, jak się Sułkowski wychwala...

— Wychwala! to źle! — odparł król. — Uszy mu natrę.

Guarini uznał, że doza lekarstwa zaadministrowana była
na jeden raz dostateczną i zamilkł. Dopiero po chwili po-
chylił się do ręki króla.

— N. panie, przebaczcie, darujcie, zapomnijcie. Duchow-
nym jestem, suknia na mnie wkłada obowiązek mówienia
prawdy. Ludzie światowi cofnąć się mogą przed nią, ksiądz
musi rzec, co ma w duszy. A komuż szczerzej jak temu, co
ludom panuje i co rzadko prawdę usłyszeć może?

— *E vero!* — szepnął król.

Ale z miny i głosu wyczytał ksiądz, że rozmowy tej kró-
lowi było już nadto, że jej miał do przesytu. Szukał już,
czemby go zabawił, pewien, że rzucone ziarno wnijdzie póź-
niej sobie.

Niewiadomo, czyby się udało Guariniemu wynaleźć

przedmiot rozweselający, lecz wtem właśnie wszedł szambelan, oznajmując, że na pokojach królowej czeka n. pana muzyka.

— Chodźmy! — odezwał się, wzdychając, August.

Guarini się uklonił, poszli.

Służba ze światłem poprzedzała króla.

Pokoje królowej wcale różnie wyglądały teraz, gdy je Józefina zajmowała. Nie było tu przepychu, skromność i powaga wielka, ale majestat cesarskiego domu w niej znać było.

Obrazy, przyozdabiające ściany, wszystkie niemal religijnej były treści. Oprócz tego godła pobożne, krzyże i relikwiarze po gabinetach stały zamiast zwykłych świecidel.

Cały dwór, trzymany w etykiecie surowej przez w. ochmistrzynię i marszałka dworu, składał się z kobiet podżyłych i dobranych tak, aby ich piękność nie uczyniła królowi roztargnienia.

Tego dnia w wielkiej sali koncertowej koncertmistrz Jan Jerzy Pisendel, najsłynniejszy skrzypek swojego czasu, miał się popisować wraz z kilku najprzedniejszymi solistami. Oprócz niego na nowo przez siebie wynalezionym instrumencie w rodzaju *clavicembalo* miał się produkować sam wynalazca jego Pantaleon Heberstreit, który z Pisendelem o lepszą grywał na skrzypcach.

Na flecie mieli grać dwaj mistrze: Buffardia, niezrównany wirtuoz, i rywal jego Quanz, oba doskonali w swej sztuce. Było więc czego posłuchać.

Królowa, trochę już kwaśna, przechadzała się, oczekując na męża, gdy wszedł nareszcie. Zbliżyła się żywo ku niemu, usiłując wyczytać coś z twarzy, zrozumiała tylko, iż był niezadowolony. Ale na to radziła skutecznie muzyka.

Gdy król siadł wygodnie, oczy przymrużył, a Buffardia mu zaśpiewał na flecie, mgły przechodziły i czoło się wypogadzało. Król wśród stojącego dworu do swojego krzesła spieszył, gdy Józefina, nieco przyzostawszy za nim, skinęła na ojca Guariniego.

Nie miała jednak czasu dłużej z nim się rozmówić. Włoch szepnął jej tylko na ucho:

— *Poca roba... Sulkowski.*

Królowa przyspieszyła kroku i znalazła się prawie równocześnie z mężem u stojącego obok krzesła. Śnać tylko na przybycie n. pana czekano, bo też kapela się ozwała z uwerтурой świetną i huczną, której król zaczął słuchać z uwagą wielką.

Na twarzy Józefiny w czasie muzyki więcej znać było zajęcie mężem i sprawami jakimiś ważniejszymi, niż koncertem. P. Pisendel napróżno się popisował swym smyczkiem. Królowa zdawała się go nie słyszeć. Oprócz innych osób dworu pani Brühlowa także siedziała obok matki, a tuż

za krzesłem pana stał wyprostowany Brühl, niewinny baranek, ze spuszczonei oczyma, skromny, jakby nie był pierwszym i jedynym ministrem.

P. Guarini, przesuwając się około niego, szepnął mu nieznacznie:

— Wojna się rozpoczęła, nieprzyjacieli się broni, wszystkie siły skupić należy; zatem baczność!...

Brühl stał, jakby nie słyszał, delektując się muzyką. Grano już duet, w którym Buffardia z Quanzem szli na wyprzódki. Król zupełnie zamknięte miał oczy, używał muzyki, nie doznając dystrakcji żadnej. Ktoby był zobaczył z boku skierowane nań szyderskie wejrzenie Brühlowej, przeląkłby się był pogardy, z jaką nań patrzeć śmiała.

Tuż za jej krzesłem stał dwór ministra dopuszczony na koncert, a wśród niego odznaczał się piękny, młody mężczyzna, tak dziwnie do Watzdorfa podobny, iż się go jak widma przełęknąć było można. Wzrok Brühlowej czasem powłóczyło, zwolna szedł ku niemu, zatrzymywał się na pięknej jego twarzy, szukał oczów; wejrzenia się żeniły i rumieniec występował na lice młodego chłopaka. Brühl, który w tamtą stronę nie patrzył, ilekroć on się czerwienił, bladł powoli; zdawało się, że mu czegoś znużone drgają oczy i poruszają się usta: musiał to być skutek muzyki.

Trwał ten koncert dosyć długo, potem podano wieczrę, na osobnym stole dla królestwa obojga, przy marszałkowskim dla dworu. Król jadł tak i pił, iż zdawało się, że o wszystkim zapomniał; jednakże po wieczery natychmiast zażądał z Brühlem odejść do swych pokojów.

Większa część dworu rozpierzchnęła się; kobiety pozostały na wieczorne pacierze. Był bowiem zwyczaj w niektóre dni tygodnia odmawiania modlitw i litanji pod przewodnictwem o. Guariniego, przy których bliższe osoby królowej panie zawsze bywały przytomne.

I tego dnia *exercitia* duchowne odbyły się w małej domowej kaplicy królowej i dopiero po nich reszta dworu uwolnioną została.

Miał i o. Guarini odchodzić, gdy królowa nań skinęła. W. ochmistrzyni usunęła się zaraz i stanęła w przyzwoitem oddaleniu.

— Cóż było, mój ojczy? Król...

— Sam zagaił o Sułkowskim. Wielce go boli, że niektóre osoby są mu przeciwnie. Zagadnięty, nie mogłem zmilczeć, trzeba było wojnę rozpocząć.

— I cóż? i co? — spytała ciekawie królowa.

— Mówilem dosyć długo: tyle, ile można, aby króla nie znużyć — kończył Guarini. — Powiedziałem wszystko, com miał na sercu.

— A król?

— Milczący słuchał.

— Jakże się wam zdaje? robi to wrażenie na nim?

— Nieochybnie, ale teraz powtarzać potrzeba ataki. Sułkowski wraca, rzecz nie cierpi zwłoki; powinien zastać już króla nawróconym: inaczej przemówi nałóg, odezwie się przyjaźń dawna, zajmie swe miejsce i nie go już z niego wyrugować nie potrafi. N. pani, — dodał Guarini — nie wymagajmy za wiele: nie można żądać, aby go spotkał los Hoyma. Winy nie są tak wielkie, dowieść mu ich niepodobna. Byleby się oddalił, na tem dosyć.

— Dosyć? — spytała Józefina. — Lecz znacie słabość króla dla niego? nie odezwie się ona później, nie skorzysta on z niej? nie znajdzie dróg? Człowiek bezbożny, bo takim jest, to pewna, wszystkiego chwycić się może. Wdzieliście go kiedy z dobrej woli w kościele? Wiecie, że nigdy nie zachowuje postów.

Wzdrygnęła się królowa i na chwilę zamilkła.

— Ja nie ustąpię — dodała. — Wy także powinniście działać. Brühl nie może.

— Chyba w ostatniej chwili, — szepnął o. Guarini — i to ostrożnie. Do dobrego dzieła wszelkich sprężyn użyć należy. Bóg pomoże, Bóg pomoże. Kiedy powraca?

— Żona się go spodziewa co dnia: pisał do króla, że będzie w tym tygodniu. Śpieszyć należy — dodała królowa.

Guarini sklonił się nisko i wyszedł.

Nazajutrz rano, wedle obyczaju, Brühl był w pokoju króla, jak tylko wstał z łóżka. Nie była nużącą ta służba, ale nudną. Zwykle August milczał; trzeba było stojąc patrzeć nań i na uśmiech lub chrząknięcie odpowiadać ukłonem.

Daleko więcej zachodu miał Brühl, rozciągając pilną straż około osoby j. kr. mości. Dla spokoju jego potrzeba było zapobiec, ażeby nikt niespodziany nie miał doń przystępu; przy wszystkich audjencjach bez wyjątku Brühl musiał być przytomnym. Jeśli król szedł na mszę, oczyszczano wprzód drogę najstaranniej z obcych osób, nie należących do dworu. Nikt się do niego zbliżyć nie mógł bez pozwolenia ministra w jego nieobecności. Zdaje się, że król August, który spokój lubił nadewszystko i niespodzianek się lękał, rad był z tego, nigdy bowiem z pod kurateli nie próbował się wyzwolić i swoim stróżom okazywał wielką wdzięczność.

Po mszy i po niezbędnych posłuchaniach, na które niewiele grzecznych słów wyszaflował roztargniony pan, Brühl został z nim sam na sam.

Mógł się domyślać, że o czemś mowa będzie, bo król chodził niespokojny, stał często naprzeciw niego, mrugał, uśmiechał się smutnie, odchodził, wracał znowu i stał uporczywie, nie mogąc się jakoś zdobyć na rozpoczęcie rozmowy. W ostatku zatrzymał się, położył rękę na ramieniu ministra i spytał:

— Brühl, co ty mówisz o Sułkowskim?

Jakkolwiek przygotowany, Brühl się zaciął i oczy spuścił.

— N. panie, — odparł zrećźnie bardzo — ja pewno nieinaczej o nim trzymam, jak w. kr. mość.

— A wiesz ty, co ja o nim myślę?

— Nie wiem, ale jestem wiernym sługą pana mego i mam za przyjaciół tych, których on widzi dobrze, za wrogów tych, co mu są niemili. W. kr. mość byłeś laskaw umieścić przy swej osobie dwóch moich braci, otóż, gdyby jeden z nich miał nieszczęście zasłużyć na gniew króla, wyparłbym się brata.

Królowi się twarz wypogodziła.

— Brühl! ja ciebie kocham! — zawołał.

Minister schylił się do ręki pana.

— Brühl, ja ciebie bardzo kocham — dodał August — i dlatego chcę się ciebie poradzić. Słuchaj, mnie nim straszają...

Spojrzał w oczy Brühlowi z natężeniem.

— Mów śmiało, mów...

— Ja osobiście nie mam nic przeciwko Sułkowskiemu, ale że łaska pańska, która mnie pokorniejszym czyni, jego w pychę wzbija, to pewna, że może się czasem chwalił, że on robi, co chce, nietylko w sprawach państwa, ale nawet z najjaśniejszym panem: to być może.

— Hm! to być może, powiadasz! to być może, a tak! to być bardzo może — rzekł król. — Prawdę powiedziawszy, na muzyce mizernie się zna, a na obrazach też niewiele; jemu aby gołe, aby gołe! Ale tst! — dodał król — żeby Guarini nie słyszał, jaką on tu Wenus przyniósł raz! Com ja biedy miał z królową! Spalić ją kazała. A była bardzo piękna. No, i to prawda, że pozwalał sobie czasem...

Nie dokończywszy, August zapatrzył się w okno, zamyslił i ziewnął.

— Jak ty myślisz, — zapytał — czy to prawdziwy Ribera ten, co go wczoraj przysłali z Wenecji?

Brühl ramionami ruszył.

— Ja, n. panie, jestem w tem zdania w. kr. mości.

— To może być Ribera — mruknął król cicho.

— Tak, to mógłby być Ribera — powtórzył Brühl.

— Ale mógłby być ił Frate...

— O! niezawodnie, że podobny bardzo do Frate.

— Ty się znasz, Brühl.

— Uczę się przy w. kr. mości.

Począł się przechadzać August, bardzo zadowolony, zbliżył się do ucha Brühlowi i rzekł:

— Królowa chce, abym go odpędził, bo jej ktoś szepnął, że mi doradzał bałamuctwem...

— Ale o to w. kr. mości nikt w świecie nie może po-

sądzać! — krzyknął Brühl. — Nikt! wszyscy wiedzą o jego życiu przykładnem...

— Ja nigdy nie dopuszczę, żeby mnie posadzano — szepnął król. — Nigdy, nigdy! wolę... wolę...

Nie mógł dokończyć. Brühl się doń zbliżył i szepnął:

— Żywa dusza, nikt! nie może posadzać w. kr. mości. I rękę położył na piersi.

— Tak być powinno — szepnął August i, zniżywszy głos jeszcze, cichuteńko do ucha mu rzekł: — Myślisz, że on co wie? posadza? he? he?

— Z pewnością nie wie nic i wiedzieć nie może, ale ciągle będąc tu, nieustannie szpiegując, mógłby... któż to przewidzieć potrafi.

Król zatrwożony wyprostował się.

— Kiedy tak, to go trzeba oddać. Tak, tak! lepiej będzie. Ty mi go zastąpisz.

Brühl znowu do ręki pańskiej pośpieszył. Na czole Augusta widać jednak było troskę, wzdychał ciężko, kosztowało go rozstanie z przyjacielem młodości: łzę miał w oku.

— Brühl, to postanowione, tak królowa chce. Guarini radzi, ty nie masz nic przeciw. Ale jak? jak? jak? mów... ale mów...

Minister spuścił oczy wdół, palec położył na ustach, przybrał postawę zadumanego i zafrasowanego. Król śledził każdy ruch jego i minę, czekał, aż zawyrokuje. Nagle podniósł głowę.

— N. panie, — odezwał się cicho — powodów do niełaski starczy: dosyć przypomnieć mu, że sobie mógł pozwolić względem króla a pana zbytnej poufałości. Nigdy nie będę w. kr. mości radził surowości zbytnej, dosyć go oddalić od jego oblicza, aby był najsrożej ukaranym. Wygnanie od dworu będzie dlań najcięższym wyrokiem.

— Tak jest, — przebaknął król — nawet mu małą pensję zostawię.

Spojrzał na Brühla, ten potwierdzał, co król mówił, i kłaniał się.

— Więc wygnanie, — dodał August — a jak to zrobić, zostawiam tobie. Ułóżcie, żebym ja nie miał z nim przykrości, żadnego gadania długiego; nic, nic! Niech sobie jedzie...

Mówili jeszcze, gdy August, już rozpromieniony tem, że zbył się kłopotu i zrzucił go na cudze ramiona, ruszył się żywo.

— Brühl, — rzekł — oznajmić królowej, że mam z nią do pomówienia. Królowa, jeżeli się nie modli, to maluje; jeśli maluje, ja tam mogę przyjść.

Brühl się wymknął natychmiast; w pięć minut potem król w towarzystwie szambelana pośpiesznie dążył do pokojów żony. W istocie zastał ją przy paście. Młody arty-

sta, z założonemi rękawami i kredą w rękę, stał w postawie pełnej uszanowania za królową, która siedziała u trójnoga przed naciągniętym papierem. Na nim rozpoczęta była głowa Chrystusa, około której pracowała najjaśniejsza artystka, niekiedy zwracając się ku swojemu pomocnikowi. niewiele tam w istocie było pracy n. pani, bo pomocnik przysiadł się w jej niebytności, przerabiając fałszywe tony i prostując zatarte rysy; ale nazajutrz królowej Józefinie zdawało się, że ona to malowała sama i z roboty swej była wielce zadowolona. Tym sposobem postępował dalej obrazek i wkońcu zwał się dziełem rąk pańskich, a dwór cały uwielbiał talent córki cesarów.

Gdy król wszedł, nie wstała nawet Józefina, wskazując mu tylko na robotę rozpoczętą. August stanął za nią i długo z przyjemnością wpatrywał się w rysunek, który od wczoraj mało co popsuły jeszcze, wcale dobrze wyglądał. Wkońcu król powiedział komplement, a zboku spojrzawszy na artystkę, dał mu znak, ażeby się do przyległej salki oddalił, co biedny malarz spełnił, kłaniając się aż do ziemi, z nadzwyczajnym pośpiechem.

Obejrzał się August i schylił do ucha Józefiny.

— Więc — rzekł cicho — stanie się, jak każesz, oddalimy Sułkowskiego: tom przyszedł powiedzieć.

Królowa odwróciła się szybko, uśmiechając do męża.

— Ale tst! ani słowa, — dodał August — maluj. Brühl to ułoży, ja nie chcę się tem gryźć.

— Nie potrzebujesz, — rzekła Józefina — wezwij ojca Guarini... Brühla, oni to dopełnią.

Nie chciał już o tem dłużej mówić August i natychmiast zwrócił rozmowę na obraz.

— Kolorytu mogę powinszować, — rzekł — *très fin* i bardzo świeży. Liotard nie zrobiłby lepiej, słowo daję; malujesz ślicznie... nie daj tylko temu artyście psuć sobie i nie słuchaj żadnej rady.

— On mi tylko kredę temperuje — rzekła królowa.

— Głowa piękna! powieszę ją u siebie, gdy mi ją zechcesz darować. — I uśmiechnął się z galanterją.

Ponieważ godzina obiadu jeszcze nie wybiła, król skłonił się, pocałował w rękę Józefinę i odszedł, po drodze wskazując artyście, wygnanemu do sali, aby królowej w pomoc pośpieszył.

Na twarzy pańskiej malowało się teraz zadowolenie ze zbytego ciężaru i wyzwolenie od troski. Do wczorajszego całkiem był niepodobny: czoło miał wypogodzone, uśmiech na ustach, oddychał swobodniej i myśleć mógł o czem innem. Nie szło mu tyle o Sułkowskiego, co o zamknięcie drogiego spokoju, o kilka dni życia struty i zepsuty. Gotów był człowieka poświęcić, ale rad się był zbyć sprawę — jak najrychlej i nic już o tem nie wiedzieć.

Na wieczór zadysponowano strzelanie do tarczy przy pochodniach.

Gdy po niem powrócił do swych pokojów, poznać go nie było można.

Brühl z powodu tak wyjątkowych wypadków był na zawołanie, nie oddalał się wcale.

Spojrzawszy nań, król rozśmiał się i rzekł:

— Rzec skończona: po obiedzie strzelanie, wieczór muzyka, jutro opera.

Pośpiesznie się zbliżył do oczekującego.

— Niech nikt o nim nie wspomina: rzecz skończona; ani nazwiska, ani nazwiska, proszę...

Podumał chwilę.

— Użyjecie, kogo zechcecie, kładę to na was... byłem już o niczem nie wiedział.

Zamyślił się i nagle zakończył:

— Słuchaj, Brühl, to Ribera...

— Tak jest, n. paniel — potwierdził minister.

VIII.

Karnawał w tym roku obiecywał się świetnym. W Saksonji wszystko szło jak najpomyślniej, szlachtę, która skowyczeć śmiała, wysyłano na rekolekcję do Pleissenburga; w Polsce zapewniały spokój sejm pacyfikacyjny i śmierć ostatniego z Sobieskich. Faustyna śpiewała zawsze cudnie, a na grubym zwierzu w lasach Hubertsburskich nie zbywało. Ostatni jarmark lipski, na którym się król bawił, przedziwnie obfitował w konie i psy myśliwskie. Dzień po dniu w cudownie naprzód obmyślanym szły porządku.

W tak błogim to spokoju zwiastowany powrót Sulkowskiego napelniał trwoga, przyśpieszył szturm królowej i wywołał wyrok na niego. Spodziewano się, że ulubieniec pański nawet do osoby króla przypuszczonym już nie zostanie.

Hennicke i jego pomocnicy pilnować kazali po wszystkich drogach i gościńcach; strażę stały w bramach, poprzebierani ludzie zdala otaczali pałacyk Sulkowskich, aby, jak tylko przybędzie, środki stanowcze przedsięwzięte zostały.

Ekwipaże generała-ministra i wielkiego ochmistrza dworu już były nadeszły wcześniej. Żona miała ku Pradze wyjeżdżać, przeciwko niemu. Tego właśnie się lękano i bardzo zręcznie pani Kolowrathowa oznajmiła jej o woli królowej, ażeby w gotowości była przybyć do zamku, gdy jej znać dadzą, i raczyła się nie oddalać z Drezna. Hrabina, rada nie rada, posłuszną być musiała.

Nad wieczór 1 lutego (1738) hrabia Sułkowski znajdował się już w Pirna, gdzie koniom tylko chciał dać wytchnąć, aby przed nocą do Drezna pośpieszyć. W gospodzie kurjer,

jadący przodem, wszystko przygotował na przyjęcie ministra. Nikt w świecie jeszcze nie spodziewał się, nie podejrzewał, nie domyślał tak nieprawdopodobnego upadku. Wszystko, co żyło w miasteczku, urzędnicy, burmistrz, rada, w paradnych strojach czekali na mrozie przed gospodą na przybycie tego, którego za wszechwładnego uważano, przed którym drżało wszystko.

Kurjer zapowiedział przybycie to jego ekscelencji na godzinę czwartą; lecz, że w wigilię dnia tego śniegi zawiąły drogi i kopno było na górzystych gościńcach, przyjazd się opóźnił.

Właśnie wszystkich oczy skierowane były w stronę Pra-gi, gdy od Drezna jeździec, płaszczem obwinięty, na koniu zgrzanym nadbiegł i zsiadł przed gospodą. Była to najlepsza ze wszystkich *Pod koroną*, a właściciel jej, Jonasz Hender, człek bardzo śmiały i rezolutny, zobaczywszy podróżnego, któremu by innym razem był rad bardzo, teraz poskoczył przeciwko niemu, aby go uprzedzić, że tu dlań miejsca nie było.

W klasycznym stroju dawnych gospodarzy, z fartuchem na piersiach białym jak śnieg, w futrzanej czapeczce na głowie, Jonasz ze swą rumianą i wesołą fizjognomją, stworzoną na uśmiechanie się do ludzi, przystąpił grzecznie ku nieznanemu.

— Przepraszam was... spodziewamy się jego ekscelencji hrabiego Sułkowskiego; kąta nie mam w domu, ani dla konia, ni dla was; ale *Pod palmową gałęzią*, choć zapewne nie to, co u mnie, znajdziecie popas wcale dobry i człowieka miłego: to mój szwagier.

Przybyły zaledwie zdawał się chcieć słuchać Jonasza. Cugle koniowi rzucił na szyję, sam patrzył ku gospodzie rozłargniony. Był to człowiek średnich lat, ale o wieku tylko z oczu i zmarszczek koło nich sądzić było można, gdyż zapewne dla zimna brodę i usta miał zawiązane chustką, a czapkę na czoło głęboko nasuniętą.

— Właśnie — bąknął stłumionym głosem z pod chustki, nie podnosząc jej — dlatego, że tu stanie jego ekscelencja, i ja zająć muszę: ja do niego jestem posłany.

Skłonił się oberżysta i własnoręcznie konia pochwycił.

— A! to co innego, — zawołał — to co innego; proszę do mnie, niech się pan ogrzeje. Wino ciepłe z korzeniami gotowe, a niema na chłód, jak *glühwein*: to doświadczone. Konia wezmą do stajni.

Parobek na skinienie poskoczył i chwycił zmęczonego siwka. Gospodarz, w nadziei może, iż się coś dowie, prowadził idącego do izby. Wpatrywał się w niego, aby odgadnąć, kto to mógł być taki, a ze stroju, ani z miny odgadnąć tego nie umiał. Ubiór był pospolity, mowa czysta i nie saska, obejście się bardzo poufałe znamionowało dworaka; lecz nic

znowu tak bardzo znakomitego na koniu, bez służby nie przybyło w takim niepozornym płaszczu i butach.

Jonasz zwykł był bystrem okiem, rozpoznając znaczenie ludzi, trafiać zawsze w ton właściwy i obchodzić się z nimi, jak komu przystało. Tym razem nie wiedział, z jakiego ma zagrać tonu, ale spodziewał się po odsłonieniu oblicza odgadnąć, czy miał z masztalerzem do czynienia, czy z urzędnikiem. Zdumiało go to, że, wchodząc do domu, podróżny wcale najwyższym urzędnikom miasta, stojącym na mrozie, nie oddał czołobitności. Mógł z tego wnosić, że się od nich sądził wyższym; lecz dworscy i wszyscy, co się ocierają o panów, tak bywają zarozumiali.

Ponieważ dla tak wielkiego, jak Sułkowski, pana nie jednej izby potrzeba było, bo jechał dwornie i musiało mu być przestronno, została więc tylko izba samego gospodarza, do której Hender zaprosił nieznanego.

Można tu było spocząć bardzo przyjemnie, bo na kominię palił się ogień wesoły, rumiana gospoia coś przy nim warzyła; dwoje dziewczątek zwijało się, pomagając jej, a izba była przystrojona całę pięknie i w sprzęt czysty zamozna. Hender pomógł nieznanemu rozwinąć się z ogromnego płaszcza i chusty, z pod której wyszła chuda, koścista, dziwna, a niemila postać, z twarzą kancelaryjną, wcale nieprzyjemną. Oczy jej patrzyły jak dwoma świdrami w człowieka, a usta krzywiły się dziwnie i faldowały.

Spojrzawszy nań, Jonasz, który był niepospolitym ludzi znawcą, zaraz sobie rzekł w duchu:

— To jakiś niebezpieczny człek.

Lecz tem gościnniejszym wypadalo być dla tak strasznie wyglądającego posła ze stolicy. Choć mieszkańcy Pirny w Saksonji za reatczyków uchodzą, a Hender był rodem z tego miasta, nie brakowało mu roztropności. Starł fartuchem krzesło, przybliżył je do ognia i zaprosił siedzieć przybyłego, który bardzo obojętnie wszystkie świadczone sobie grzeczności przyjmował. Był jakby przybity i pogrążony w smutnych myślach jakichś.

Kilka razy gospodarz się coś odezwał, ale nie odebrał odpowiedzi. Przyniósł szklaneczkę grzanego wina na miseczce i podał ją z uśmiechem: podróżny ją przyjął, lecz ani mu głową nie kiwnął.

— To musi być ważna figura! — rzekł w duchu Jonasz. — Nieinaczej.

Podwoił więc grzeczności i dzieciom się kazał trzymać zdaleka, gdy wtem dała się słyszeć trąbka, klaskanie z batów, szmer w ganku. Sułkowski nadjeżdżał. Gospodarz jak oparzony wyleciał na spotkanie.

Nieznanomy gość pozostał nieruchomy, zamyślony, ze szklaneczką wina w ręku. I to miało swe znaczenie. Właśnie w triumfie wprowadzano ministra do przeznaczonych

dlań pokojów: gwar był wielki, bo znużony pan, dziękując, wszystkich do domów odprawiał. Służba zносиła skrzynki z wiktuałami.

Hender, którego też we własnym domu wyproszone za drzwi, wszedł dosyć kwaśny do swojego mieszkania i nie-pomału się zdziwił, zobaczywszy nieznanego, który pił wino zamysłony i, w ogień patrząc, miny do niego robił nie-przyjemne. Zdawał się nic nie słyszeć i nie widzieć, nawet gospodarza.

Ten stanął i czuł się w obowiązku głośno oznajmić:

— Jego ekscelencja przybyć raczył!

Kiwnął głową dziwny gość i skrzywił się; namyslał się widocznie. Wina dopiwszy, na pectoralik dobyty popatrzył, zrobił minę do niego niedobłą, potrząsł znowu głową, za czapkę wziął i wyszedł...

Gdyby pan Jonasz Hender bywał w Dreźnie, a miał sprawy w wyższych urzędach, poznałby był radcę Ludovici w tym gościu.

Zwolna i jakby ze wstrętem radca przyłożył rękę do klamki i, nie pytając o pozwolenie, wsunął się do izby gościnnej.

Stół był w niej nakryty, służba się krzątała, młody adjutant generała stał w oknie, Sułkowski z wyciągniętymi nogami leżał na kanapie.

Zobaczywszy we drzwiach znaną twarz Ludovici'ego, porwał się rozpromieniony.

— To wy! — zawołał — a to przedziwnie! Mielicie tę pocziwą myśl wyjechania naprzeciw mnie: cudownie! Niezmiernie wam wdzięczny jestem, przecież się coś dowiem o stolicy; ostatnie listy próżne były i czeze. Jak się masz, Ludovici, jak się masz?

Twarz radcy, który się kłaniał jakoś smutnie, nic dobrego nie wyrażała. Przywitanie było milczące.

Ludovici zukosa spojrzał na adjutanta. Sułkowski poszedł do drugiego pokoiku, w którym ogień palił się też na kominie. Zdziwiła go tajemnicza jakaś, przeciągnięta twarz Ludovici'ego.

Hrabia był w humorze jak najlepszym. Nad Renem i w Węgrzech, polecony wszędzie listami, imieniem swem i stanowiskiem, jakie zajmował, jak najlepiej był przyjęty. Wracał szczęśliwy z wycieczki, dumniejszy, niż kiedy, pewniejszy siebie, niż dawniej.

Zaledwie weszli do drugiej izby, zaczął zasypywać pytaniami pana radcę. Odpowiedzi płynęły skąpo, Ludovici jakby nie miał odwagi ust otworzyć; przypatrywał się ze smutkiem tej radości, którą miał jednym słowem zniszczyć i może w rozpacz zamienić.

Dał się zrazu wygadać Sułkowskiemu, który, śmiejąc się, swe powodzenia, honory, jakie mu oddawano, i do-

świadczenie, jakie zdobył, opisywał szeroko. Zdawało się, że w przyszłości obiecywał sobie głowę Maurycyego saskiego.

Ludovici patrzył i głową potrzasał tylko.

— Cóż ci to, radco, przemarzył czy strząśles się? Co ci jest? Usta ci się otworzyć nie chcą.

Ludovici się dokoła obejrzał.

— Nie mam się czego śpieszyć, — rzekł ponuro — bom z niczem dobrem nie przybył.

— Żona zdrowa?

— Chwała Bogu!

— Król zdrów?

— Tak, tak, zdrów! ale...

Radca spojrzał na hrabiego i rzekł smutno:

— Z tem przybyłem, nie znajdziesz go w. ekscelencja, jakimś go odjechał. Zmieniło się wiele rzeczy: ja tej podróży zawsze byłem przeciwny, jam ją odradzał.

— Ale cóż się tak złego stało? — zawołał lekceważąco Sułkowski.

— To, co najgorszego stać się mogło — odezwał się Ludovici. — Nieprzyjaciele pańscy oskarżyli go, królowa na czele, Guarini, hr. chytry Brühl... nie mam co goryczy sączyć po kropelce: jesteśmy zgubieni...

Sułkowski, który nań patrzył jak na człowieka, coby, zmysły postradawszy, prawil od rzeczy, ruszył ramionami i rozśmiał się.

— Co ci się śni? co ci się śni?

— Dalbym wiele, ażeby to snem być mogło — mówił dalej radca tonem ponurym. — Nie czas się łudzić, należy się ratować, jeżeli ratunek jeszcze możliwy. Przybyłem, wykradłem się, ważąc życie, aby was ostrzec. W bramach strażę, w domu szpiegi... Jeżeli przyjedziecie do Drezna tak, że was w bramie poznają, nie dopuszczą was do króla nawet. Takie są rozkazy!

— Ale to nie może być! — gwałtownie wybuchnął hrabia. — To głupia mistyfikacja; ktoś ci napłótl niedorzeczności, a tyś dobrodusznie mu uwierzył. Niema na świecie człowieka, coby mi mógł serce króla odebrać. To proste niepodobieństwo, to bałamuctwo, to nikczemne kłamstwo! Ja się z tego śmieję! Mnie, mnie do króla nie dopuścić? Ludovici, tyś zmysły postradał...

Radca, ręce złożywszy, stał, patrząc na ministra z pewnym rodzajem politowania.

Sułkowski począł się przechadzać po pokoju żywo, śmiejąc się niekiedy sam do siebie.

— Skądże ty te głupie plotki pobrałeś? — zapytał

— Ale z najlepszego w świecie źródła — rzekł powolnie grobowym głosem Ludovici. — Dałem słowo, że nie odkryję tego, czy tej, co mnie przestrzegła i jechać kazała. To, co mówię, jest najświętszą prawdą.

— Na Boga, ale jakże się to stać mogło? — zawołał Sułkowski nieco strwożony. — Mów!

— Król jest słaby, — począł Ludovici — królowa jest kobieta i uparta, o. Guarini jest najprzebieglejszym z ludzi, a Brühl umie doskonale nas cudzemi zagrzebywać rękami. Otóż cała tajemnica. Nie tails wasza ekscelencja swej niechęci dla mnichów, masz ich pracy owoce. Wszystko ułożone. Spiskowi wymogli na królu oddalenie wasze, choć się opierał długo. Pójdziecie na honorowe wygnanie z małą pensyją, abyście Brühlowi nie przeszkadzali robić milionów. Lękają się wpływu waszego, słabości serca króla, więc was do niego nie dopuszczają.

Sułkowski się zmarszczył.

— Jesteś tego pewnym? — rzekł krótko.

— Najpewniejszym: w bramach rozkaz mają strażę, w zamku pilnują także. Dostaniecie odprawę, jak skoro ukazecie się w mieście.

— I król widzieć mnie nawet nie zechce? — wybuchnął Sułkowski.

— Król jest niewolnikiem — rzekł Ludovici.

Przez chwilę zdawał się namyślać Sułkowski.

— Jeżeli myślicie z całym dworem ruszyć do miasta, — odezwał się Ludovici — rzecz skończona; wpadniecie w ich ręce. Może jest jaki środek dostać się mimo nich do króla: użyjcie go. Macie wpływ, próbujcie działać; ale to walka o śmierć, o życie, z królową, ze spowiednikiem i z Brühlem.

Z namarszczoną brwią chodził Sułkowski długo, zbliżył się potem do radcy i poklepał go po ramieniu.

— Jesteś pewnym tego?

— Jak że żyję.

— No, to milcz... ja się ich wszystkich nie boję: mnie tak zgnieść, jak Hoyma i innych nie można. Jam twardy... Zobaczmy... Najmniejszego nie dawaj znaku po sobie; chodźmy jeść. Siadam z tobą na konia. Dwór zostanie tu, za kilka godzin będziemy niepoznani w Dreźnie. Ciekawym, kto mi się odważy jutro drzwi królewskich zabronić! Zobaczmy... Wszak do miasta się dostaniemy niepoznani?

— Musimy — odparł krótko Ludovici.

— Trzeba jeść, aby ludzie się z głodu czego nie domyślali. Chodź!

To mówiąc, wprowadził radcę do pierwszej izby, gdzie stół był już zastawiony. W milczeniu lub rozmawiając o rzeczach obojętnych, zaczęli się posilać, ale Sułkowski mało się czego dotknął. Pił wino i łamał chleb, którym stół przed sobą zarzucał. Radca zmęczony jadł za wszystkich.

Sułkowski się odezwał do młodego adjutanta:

— Hrabi Alonsie, i wy i konie pomęczcie: nocujcie w Pirnie. Ja chcę żonie uczynić niespodziankę, siadam na konia i razem z radcą przetrzęsę się trochę do Drezna.

Adjutant zdał się niezmiernie zdziwiony. Sułkowski zwyczajnie podróżował wygodnie i z pewną okazałością; takie *incognito* w brzydką porę, po drogach śniegami zawianych, pod wieczór, wydało mu się dziwaczne. Z wejrzenia jego wyczytawszy zdumienie, Sułkowski dodał z przymuszonym uśmiechem:

— Niema w tem nic tak nadzwyczajnego, czasem i fantazji młodzieńczej w starszym wieku trzeba dogodzić.

To mówiąc, wziął na stronę owego hr. Alfonsa i cicho dał mu polecenie.

Adjutant wyszedł natychmiast.

Sułkowski stał milczący i zamyślony.

Wkrótce dwa świeże konie osiodlane stały u wrót gospody; radzono ministrowi, aby choć sługę lub masztalerza wziął z sobą, lecz stanowczo odmówił. Podróż ta dla adwokata, który już drogę z Drezna do Pirny raz przebył, nie bardzo będąc do konia nawykły, przykrejszą była jeszcze, niż dla pana; lecz nie chciał Sułkowskiego odstąpić.

Szczęściem dla obu, niebo się wyjaśniło, śnieg przestał prószyć i mrozek tylko ostry wziął na noc. Konie były nawykłe do drogi, którą często przebywały, dosyć więc było puścić im cugle, aby się trzymały bitego gościńca. Słońce się miało ku zachodowi, puścili się klusem wyciągniętym, hrabia przodem, adwokat za nim, nie mówiąc słowa do siebie.

Wkrótce mrok padać zaczął, lecz śnieg nieco przyświecał i konie szły instynktem. Pomijali szybko rozrzucone nad drogą osady, domki i gospody.

Już było ciemno i noc nadchodziła i światła gęste zwiastowały Drezno. Gościniec też zaczynał być więcej ożywionym; lekkie sanie, jezdni, piesi i ciężkie wozy wymijały się, nawołując. Na wypogodzonym niebie czarne wieże kościołów widać było zdala.

Sułkowski zwolnił kroku i musiał zaczekać trochę, nim go Ludovici napędził.

— Jeżeli w bramach pilnują, — odezwał się — trzeba pewnych ostrożności przy wjeździe.

— W. ekscelencja zawiniesz się płaszczem i będziesz musiał na ten raz jechać za mną, jako mój towarzysz. W bramach pilnują wprawdzie, ale patrzą na ekwipaże i dwór, z którym się spodziewają pana.

— Mówiłeś, że i około domu mojego pilnują także?

— Z pewnością — odparł Ludovici.

— Więc albo do domu nie pojedę i ukryję się u was, lub muszę pieszo tam wniknąć niepostrzeżony.

— I tegobym nie życzył, — przerwał radca — w teraźniejszych czasach za sługi ręczyć niepodobna: ktokolwiek zobaczy i doniesie.

Sułkowski się zamyślił i rozśmiał gorzko.

— To zabawne — zawołał. — Któżby mi dziś rano był powiedział, że nie będę gdzie miał bezpiecznie prznocować w Dreźnie.

Ruszył ramionami.

— Jeżeli tak jest w istocie ze mną źle, — bąknął po chwili z wyrazem dumy — nie chcę narażać nikogo. Mój Ludovici, podejmij się tylko konia odesłać na pocztę, ja pójdę pieszo i miejsce sobie wynajdę, a co mam czynić, będę wiedział.

To powiedziawszy, zawrócił konia Sułkowski, okrył twarz. Ludovici'ego puścił przodem, przygarbił się na siodło i z miną pacholka, który się wlecze za swoim panem, pojechał w trop za radcą.

Zbliżyli się do bramy. W istocie, jak zwykle, stały w niej strażę, lecz radca dał im jakieś zmyślane nazwisko na pastwę, niebardzo się nawet dwukonnym przypatrywano i bez przeszkody wjechali do miasta.

Już byli o kroków kilkanaście od wrót, gdy żołnierz przypadł do Ludovici'ego.

— Skąd pan? z Pirny może?

— Z Pirny, tak jest — rzekł radca.

— Nie słyszałeś pan o j. ekscelencji hrabi Sułkowskim, który dziś miał przybyć właśnie?

— Owszem, — zawołał dobrodusznie Ludovici, zwracając się na siodło ku pytającemu — gospoda *Pod koroną* zamówiona dla j. ekscelencji, ale nadbiegł kurjer z oznajmieniem, że dopiero za parę dni z Pragi wyruszy.

Żołnierz odbiegł rad, że to ich od pilnej straży nocnej uwalniało, a radca i hrabia ruszyli dalej.

W mieście ruch jeszcze był dosyć wielki, jak zwykle czasu karnawału. Około starej poczty Sułkowski zsiadł, oddał konia Ludovici'emu, kilka słów mu szepnąwszy, i, zadumany, udał się pieszo ku domowi.

Nie wątpił już teraz po zapytaniu u wrót, że to, o czem mu doniósł radca, prawdą było; musiał więc z pewnemi ostrożnościami dostać się do domu. Zawahał się nawet, czyby mu raczej gdzie indziej nocować nie wypadało, ale duma nie dopuszczała kryć się jak winowajcy. Szło mu tylko o to, ażeby mógł wniknąć przez służbę, której nie dowierzał, niepostrzeżony. Odwykły dawno od podobnych tajemnych wycieczek i szukania środków skrytych, Sułkowski zrazu niebardzo umiał sobie poradzić.

Dziwnem uczuciem przejmował go widok ulic, ludzi, których poznawał, powozów przesuwających się, całego tego wesołego ruchu karnawałowego. Mijali go mniejsi urzędnicy i słudzy różnych dworów, których on widywał, a którzy się w osłoniętym pieszo idącym człowieku nie domyślali wcale tego, przed którym niedawno mało na kolana nie padali. Położenie własne wydawało się Sułkowskie-

mu bajecznem niemal, cała przygoda marzeniem, niebezpieczeństwo urojeniem jakimś. Gniewał się niemal, że temu mógł uwierzyć. Mierzył stanowisko, jakie zajmował, z groźbą upadku i nie pojmował, ażeby coś podobnego ziszczyć się mogło.

Śmielej jakoś pod panowaniem tych myśli zmierzał ku swemu pałacykowi. Na stałę już od niego będąc, dostrzegł ludzi kilku, przechadzających się dokoła i niby oczekujących na kogoś. Postacie te, kryjące się po kątach, potwierdziły, iż straż koło wrót nań czatowały. Za każdym zbliżającym się powozem ludzie ci wyskakiwali z za węgłów i kryjówek i, kołując, biegli przejeżdżającym się przepatrywać. Sulkowski wsunął się w boczną uliczkę; niepewnym był, co pocznie. W tej chwili na myśl mu przyszedł człowiek jeden, któremu zdawało się, że mógł zaufać. Był nim ojciec Vogler, jezuita, dawny spowiednik króla, człowiek stary, który się napozór dobrowolnie oddalił od dworu, ustępując ojcu Guariniemu.

Żył on prywatnie, do niczego się nie mieszając, rzadko pokazując na dworze, teraz zatopiony w książkach. Niegdyś ulubieniec króla, wyszedł z łask jego, nie umiejąc go zabawić, nie starając się podobać, podkopywany powoli. Był to człowiek milczący, surowy, pracowity; zresztą tajemniczy i ukrywający się z sobą. Sulkowski miał go za kapelana i spowiednika w swym domu i zyskał sobie jego życzliwość. Chociaż Vogler napozór żył zdala od wszystkich intryg dworskich, sam nawet o. Guarini zdawał się go lękać i okazywał mu wielkie uszanowanie. Vogler nie krył się ze swym wstrętem dla Brühla, a choć mówił mało, znać było, iż cały ten dwór i wszystko, co się tam działo, w smak mu nie szło.

Przypomniawszy sobie teraz Sulkowski, iż przed wyjazdem Vogler go przestrzegał, ażeby na długo się nie oddalał, zbyt łaskom nie ufał, i tym, co przyjaźń dlań odgrywają, nie wierzył.

Jeżeli kto, to Vogler musiał być najlepiej o wszystkim uwiadomiony. Hrabia, zmuszony przekradać się przez stary rynek i ludną ulicę zamkową, przy której mieszkał jezuita, zasłonił się płaszczem jak najstaranniej i szedł w cieniu pod kamienicami, aby nie mógł być poznanym. Powozy i lektyki dążyły ku zamkowi; poznał *porte-chaise* Brühla, którą jego hajducy kłusem nieśli do zamku; minął ją, uśmiechając się sam do siebie z goryczą, którą pierwszy raz poznał w życiu. Na myśl mu teraz nie wiedzieć dlaczego przyszła ta scena uliczna z Erellem, prowadzonym na ośle i zdało mu się, że go spotkał los nieszczęśliwego dziennikarza.

Dom, w którym mieszkał Vogler, należał do zamku, a wniść doń było w małej uliczce bocznej, na której teraz ciemność panowała. Drzwi główne stały jeszcze otwo-

rem, ale na wschody musiał się drapać omackiem. Wiedział, że Vogler zajmował mieszkanie na drugim piętrze. Zadzwonił więc do drzwi, które z trudnością mógł wynaleźć w ciemnościach.

Zakrywszy twarz, czekał długo, aby mu otworzono. Mały chłopaczek z ogarkiem w ręku drzwi uchylił.

— Pater Vogler?

Chłopak wpatrywał się bojaźliwie w nieznanego przychodnia i wahał, co ma odpowiedzieć.

— Pater Vogler? — powtórzył hrabia głośniejszym głosem. — Interes pilny, bardzo pilny! Czy sam jest?

Chłopak nie umiał sobie poradzić, drzwi zostawił otwarte, a sam ze świecą umknął. Dopiero po chwili powrócił, ręką pokazując nieznanemu, aby wszedł. Sułkowski, nie zrzucając z siebie płaszcza, wbiegł do mieszkania.

Była to cela uczonego. W pośrodku stół foljantami zarzucony, przy ścianach proste półki, na których stały i leżały w nieładzie wielkim stopy ksiąg i papierów. Na stole paliła się lampka z umbrellką. Przed nią stało wysiedziane krzesło, skórą obite, z którego tylko co powstał człowiek chudy, wysokiego wzrostu, przygarbiony, łysy, z oczyma przymrużonemi. Zdawał się odwiedzinami nocnymi niezmiernie zdziwiony i oczy osłabione pilno zwrócił na wchodzącego, który jeszcze był osłonięty całymi. Dopiero, gdy chłopak drzwi zamknął, Sułkowski zrzucił nakrycie z głowy, odkrył twarz i zbliżył się do o. Voglera, który, pochwyciwszy go za rękę, krzyknął z podziwienia.

— Tst! — zawołał Sułkowski.

Vogler go uścisnął milczący i posadził, ale naprzód wyszedł do przedpokoju, aby dać rozkazy stosowne chłopcu.

Hrabia, sparty na stoliku, milczał a myślał.

— Widzę, — rzekł drżącym głosem, wracając, jezuita — że musisz wiedzieć o wszystkim, choć tu u nas nikt nie wie nic jeszcze. Nikt nie widział was?

— Wprost tu przybywam z podróży — rzekł hrabia. — W Pirnie dowiedziałem się o tym spisku, którego potwierdzenie z ust waszych słyszę, domyślam się. Więc to prawda? więc śmiano?...

Vogler poruszył ramionami.

— Tak jest, czekają na was z tą niespodzianką dobrzy przyjaciele — rzekł z wolna. — Do króla was nie dopuszczą.

— Właśnie na tem mi zależy, abym ja im niespodziankę uczynił i do króla wszedł mimo ich wszystkich! — zawołał Sułkowski. — Mylą się ci panowie; król na niewidziane może podpisać wyrok, ale jeśli ja go zobaczę, jeśli ja z nim godzinę pomówię tylko, odzyskam dawną władzę, a naówczas... Naówczas — zawołał Sułkowski, wstając i podnosząc pięść ściśniętą do góry — nie ja pójdę precz, ale ci, co się na mnie targnąć śmieli.

Zamilkł.

Vogler załamane ręce podniósł do góry.

— Idzie o to, ażebym miał gdzie przenocować i przecze-kać do jutra, aby o przybyciu mojem nie wiedział nikt. Na dworze nikomu z pewnością nie wydano rozkazów, żeby mnie nie dopuszczono, z prawa i z urzędu mam o każdej godzinie przystęp do n. pana: nikt mi go wzbronić nie może. O godzinie jedenastej król sam, Brühl niema.

Jezuita słuchał z uwagą, nie okazując, jak sądził o pla-nie hrabiego.

— Nie macie nic do stracenia, próbować należy; potrze-ba, musicie.

— Odważycie się mi dać nocleg u siebie? — zapytał Suł-kowski z uśmiechem zwątpienia.

Nie namyślając się, o. Vogler odpowiedział:

— Proszę. Nie będzie wam wygodnie, ale moje mieszka-nie na usługi wasze. Jesteście tu bezpieczni, bo do mnie albo nikt, lub rzadko kto przychodzi. Rozgośćcie się, panie hrabio, i niech Bóg pomoże dobrej sprawie.

Sułkowskiemu oczy błysły.

— Jeśli do króla dostąpię, jestem pewny, wygrałem sprawę...

— Daj Boże! — szepnął Vogler.

Nazajutrz rano Brühl przez Hennickego wiedział, iż Suł-kowski za parę dni dopiero ma przybyć. Posłano ajenta tajnego do Pragi, ażeby tam i w powrocie czuwał nad nim. Na dworze cały spisek ten największą był tajemnicą, hrabi-na Sułkowska, którą królowa uprzejmie przyjmowała na zamku, nie miała najmniejszego przeczucia. Król odzyskał był humor wyborny, a karnawał obyczajem dawnym obie-cywał się świetnie.

O rannej godzinie minister stawił się po rozkazy, ode-brał je i, zostawiwszy o. Guariniego na zwiadach przy królu, sam do pałacu odjechał. Tu, przywdziawszy ubranie nowe, gdyż kilka razy na dzień etykieta zmieniać je zmu-szała, kazał się nieść w lektyce do hrabiny Moszyńskiej. Był u niej teraz, jak w domu. Hrabia, mąż jej, przed kilku mie-siącami życia dokonał, została wdową i Brühl był pewnym równie jej serca, jak tego, że ręki nie odda nikomu. Sto-sunki jego czulej przyjaźni z piękną panią nie były tajne. Codziennie z nią odbywały się narady, co wieczora pani Moszyńska, jeśli Brühl przyjmował u siebie, przyjeżdżała do niego. Wiedzano, że nim rządziła. Często bardzo Hen-nicke, gdy pilno wypadło mu o czymś donieść, bo radzić się nie potrzebował, szukał ministra u hrabiny.

I tego dnia Brühl wszedł tu, jak do domu, dla wytchnie-nia. Moszyńska odpoczywała z książką w ręku, w żalobie jeszcze po mężu, piękna w tym stroju i majestatycznie po-ważna.

Zobaczywszy w progu wchodzącego, zdala zawołała doń hrabina:

— Sułkowski? cóż Sułkowski? jest? przybył?

— Niema go! Z Pirny dali wiedzieć, że dopiero za dwa dni przybędzie.

Fryderyka głową poruszyła z nieukontentowaniem widocznym.

— To nienaturalne, — odezwała się — to podejrzane. Żona mi mówiła, że najpóźniej miał być wczoraj. Ktoś mu mógł dać znać.

— Niepodobieństwo! nikt nie wie!

Hrabina się rozśmiała.

— Liczmy osoby przypuszczone do tajemnicy: — rzekła, wydobywając piękną rękę białą i na paluszkach zaczynając rachować — królowa, Kolowrathowa, król, Guarini, wy, Henryku, ja i zapewne żona wasza. Ta, gdyby jej nie powiedziano, odgadłaby; dodajmy Hennickego... Słyszeliście kiedy, żeby tajemnica ośmiu osobom powierzona utrzymać się mogła?

Brühl głową potrząsł, lekceważąc to sobie.

— Choćby się dowiedział, to go nie uratuje. Królowi żona tak dogryzła Sułkowskiemu, że dla najdroższego mu pokoju wyrzec się go musi.

Tak rozpoczęła rozmowa przeszła wkrótce na inne przedmioty. Brühl wszakże, pomimo pozornego spokoju, trochę był zamyślony i ponury. Około południa brał za kapelusz i miał zatrzymującą go hrabinę pożegnać, gdy zapukano do drzwi i, jak widmo blady, nie czekając pozwolenia, wpadł Hennicke.

Zmieniona jego twarz i samo wnijsie szturmem do salonu zwiastowało już jakąś katastrofę. Hrabina się porwała z siedzenia.

Brühl pobiegł ku niemu.

Hennicke mówić nie mógł, oczy mu latały oblakane na wszystkie strony.

— Co ci jest? Hennicke, opamiętaj się! — krzyknął Brühl.

— Co mi jest! Sułkowski potajemnie od wczoraj był w mieście, o godzinie jedenastej zjawił się na zamku, nikogo nie pytając, wszedł do króla. O. Guarini, który przy nim był, powiada, że król zbladł jak marmur. Hrabia, jakgdyby o niczem nie wiedział i nie domyślał się niczego, w najczulszych wyrazach pozdrowił króla, przykleknawszy, i oświadczył, że pierwszym jego krokiem było i pragnieniem upaść do nóg pana. Król się rozculił i uściśnął go. Zaczął opowiadać wesoło o podróży, o przygodach, króla rozśmieszył... i wszedł wprost w dawne swe obowiązki, nikogo nie pytając. W chwili, gdy to mówię, Sułkowski jest u n. pana. Na zamku po-

płoch: królowa płacze, o. Guarini blady chodzi... wszystko stracone.

Brühl i Moszyńska spojrzeli na siebie.

Brühl nie zdawał się przełkniętym, ale podrażnionym mocno. Zaciśnął usta.

— Słuchaj, Hennicke, Sulkowski tam przecież pozostać przez cały dzień nie może; spotkać się z nim nie mam ochoty: dać mi znać, gdy do domu odejdzie. Doskonale pilnowano po bramach i wybornie spełniono moje rozkazy — dodał minister sucho.

Podszedł do hrabiny, pocałował ją w rękę, szepcząc słów kilka i, skinąwszy na Hennickego, oddalił się z nim razem.

W krótkich słowach opisana przez radcę scena w istocie była ciekawą. Na zamku upiór żaden nie byłby uczynił większego wrażenia nad niespodzianie zjawionego Sulkowskiego, który, nie pytając o pozwolenie, wszedł do króla. August osłupiał na chwilę, bo nie w świecie przykrzejszem dlań być nie mogło nad wymówki i spory, o. Guarini, mimo mocy nad sobą, nie mógł ukryć pomieszania. Sulkowski z pozorą wesołością przywitał pana na klęczkach, potem począł opowiadać o sobie, radować się, że miał szczęście oblicze króla oglądać. To uspokoiło nieco Augusta. Uważał tylko ojciec Guarini, że słowa prawie się nie odezwał, mruczał i uśmiechał się.

Zrazu padre chciał pozostać do końca rozmowy i nie zejść ze stanowiska; później przyszło mu na myśl, że był obowiązany donieść o wypadku królowej, aby natychmiast środki właściwe przedsięwziąć. I choć król niespokojnie się oglądał, Guarini po godzinie prawie przysłuchiwania się wyjść musiał. Sulkowski mówił wesoło i żywo, ale jakby gorączkowo. Chociaż najmnieszem słowem nie tknął położenia swojego, nie dał poznać, że wie, co go czeka, domyślać się było można z rozdrażnienia, ze śmiałości, z jaką występował, że waży ostatnią stawkę na kartę. Król oglądał się, jakby przestraszony, i przybierał postawę coraz surowszą; chwilami się dawał rozchmurzyć i wnet wracał do sztywności jakiejś zimnej.

Dopóki ojciec Guarini znajdował się w pokoju, hrabia mówił tylko o swej podróży i wyprawach; gdy za nim drzwi się zamknęły, zmienił nieco ton i przedmiot.

— N. panie, — mówił — z niewypowiedzianą tęsknotą śpieszyłem tutaj; miałem jakieś przeczucia przykre, choć te się, dzięki Bogu, nie sprawdziły, i serce w. kr. mości ręczy mi za to, że się ziścić nigdy nie mogą. Służę panu mojemu od dzieciństwa, poświęciłem mu życie, gotówem oddać jego resztę; potrafiłem pozyskać łaskę i zaufanie, w sumieniu mojem czuję się czystym; nie obawiam się spisków nieprzy-

jaciół, choćbym ich miał, a nie sędzę, ażebym mógł ich mieć, bo nikomu nic złego nie uczynilem...

Król słuchał z tą powagą przymuszoną ciągle, która nic dobrego nie zwiastowała.

Sułkowski odezwał się jeszcze raz o ucałowanie ręki. Dał mu ją król zmieszany, mrużąc, przestępując z nogi na nogę, ale nie odzywając się żadnem zrozumiałem słowem. Hrabia zapalał się coraz mocniej i mówił ze zwiększającą się, rosnącą coraz gorączką.

— Królu mój, panie mój, w twe serce ja wierzę, jak w Boga! Bogdajby tylko intryganci przewrotnemi jakimi i chytremi podszeptami mi go nie odebrali.

— O! o! — przerwał August — tu intrygantów niema.

— A na jakiż dwór się oni nie wcisną? jakiejże oni sukienki nie wdzieją? — zaśmiał się Sułkowski. — N. panie, jam żołnierz i ramię po rycersku; w bawelnę nic obwiązać nie umiem. Są źli ludzie, a ci, co najśłodszy, najpokorniejsi, najusłużniejsi, ci właśnie najniebezpieczniejsi. Panie i królu mój! nie chcę innych wymieniać, ale Brühl... Brühla się pozbyć potrzeba, lub o władnię wszystkiem i odbierze w. kr. mości prawdziwych przyjaciół, aby sam tu władał i rozporządzał.

Mówiąc to, patrzył na twarz królewską, która się okryła purpurą, a w chwili jednej bladła i stała się białą a siną. Oczy Augusta nabrały dzikiego wyrazu, jaki nadał gniew wstrzymywany w sobie. Sułkowski, znając go, wiedział, że trzeba było wybuch taki raz zwyciężyć, aby miłującego pokój pana opanować; nie trwało to nigdy długo. Król miał popęd gwałtowny czasami do rozerwania więzów, ale spróbowawszy ledwie swej siły, cofał się przed tem, co go użycie jej kosztować miało. Hrabia widział go nieraz w położeniu podobnem i zamiast się ustraszyć, stał się śmielszym jeszcze.

— N. panie — zawołał, doganiając króla, który, zwolna wstawszy, ku oknu się cofał. — W. kr. mość czcisz słusznie w pamięci wielkiego rodzica swojego, niech on wam za wzór służy. Ten nad sobą nikomu panować nie dawał: ani królowej, ani faworytom, ani ministrom, ani mnichom. On panował wszystkim. W. kr. mość możesz skinąć tylko, chcieć, rozkazać, a zamilknie, co szemrze, poleci precz, co cięży i więzi... Trzeba mieć odwagę życia i panowania, trzeba użyć żywota i władzy, którą Pan Bóg dał: trzeba te więzy potargać.

Król słuchał, ale, coraz bardziej przerażony, oburącz zatknął sobie uszy i, zamiast dać jakąkolwiek odpowiedź, jeszcze się dalej usunął ku oknu.

Sułkowski, który już zaszedł tak daleko, że cofnąć się było niepodobieństwem, bił, jak mu się zdawało, żelazo, póki było gorące.

— Czuje tu, — rzekł — że się targam na wielkie rzeczy, ale czynię to przez miłość dla mojego pana, którego chcę widzieć tak wielkim, jak był rodzic jego, tak szczęśliwym, jak on. Co warto to życie klasztorne! Pragniesz w. kr. mość spokoju, ale go będziesz miał przy sławie i dobrej myśli, jak skoro skinąć zechcesz i energicznie objawić swą wolę. Tych opiekunów nieproszonych, jak pater Guarini i pan Brühl, trzeba odprawić. Królowa, święta pani, cnót wielkich, niech się za nas modli, niech buduje swym przykładem, a my, n. panie, pojedziemy lada dzień Węgry zdobywać, bo jego cesarska mość Karol VI niedługo pociągnie. W obozie dopiero odetchniesz, n. panie.

Rozśmiał się Sulkowski.

Król patrzył w okno ponuro: żaden ruch i słowo nie zdradziło myśli jego.

Widocznie znużony był.

Szczęściem w tej chwili ruch na korytarzach zwiastował godzinę obiadową; August ruszył się z miejsca, jakby nie czekając dworu, chciał iść. Sulkowski podszedł do ręki, wziął ją prawie siłą, zaczął całować gorąco. Rumieniec na twarz króla wystąpił. Wszedł właśnie w. marszałek dworu i zastał hrabiego zegnającego się z n. panem w tak czuły sposób, iż najmniej nie powątpiewał o lasce, w jakiej faworyt zostawał.

Część tej rozmowy, niestety, królowa sama z za drzwi wraz z o. Guarinim wysłuchiwała, ręce łamiąc.

Sulkowski wyszedł oślepiiony, pewien siebie, ufając w to, że potrafi przerobić wszystko, i że nic mu nie grozi więcej. Z dawniejszą swą butą i zarozumiałością przywitał dworzan i urzędników, których na zamku spotkał, i, po krótkiej rozmowie z nimi, kazawszy sobie podać lektykę dworską, do domu nieść się polecił.

W jego przekonaniu wszystko było jak najszczęśliwiej skończone i zwyciężone. Wierzył w serce króla, widział walkę, jaką stoczył z sobą, lecz pewien był, że zwyciężył. W domu przywitał żonę pogodną twarzą, rozkazał zawołać Ludoviciemu urzędników, przynieść papiery po południu i złożyć sobie raporta z czynności.

Ludovici nadbiegł pośpiesznie i został odprawiony z tem, ażeby do dnia następnego były wygotowane punkta jak najmocniej mogące Brühla potępić, wykazujące nadużycia, fałszywe rachunki, zaległości i t. p.

Cała część dnia i noc następna miały być poświęcone zgromadzeniu dowodów jak najbardziej obarczających.

Radca, odebrawszy te rozkazy, wyruszył natychmiast do pilnować ich spełnienia.

Gdy się to działo u Sulkowskich, król przy obiedzie z początku do ust nic wziąć nie chciał. Znano go zbyt dobrze, ażeby nie użyto najskuteczniejszego środka. Frosch i Storch

znaleźli się naprzeciw stołu, wyprostowani oba, mierząc się oczyma, zwiastującemi wkrótce mającą wybuchnąć walkę. Frosch rozkraczony, z rękami w kieszeniach, ani chciał spojrzeć na Storcha, raz nań czy dwa wzgardliwem rzucawszy okiem; Storch, przekrzywiwszy usta, zmrużywszy powieki, pokazywał nań palcem i, stojąc wyprostowany, nieznanie, zwolna sunął się ku niemu. Dla niepoznaki nogi jego sklezione nie poruszały się, ale całym ciałem przyparty do ściany, dźwigał się cicho ku współzawodnikowi, zdającemu się nań nie zwracać uwagi.

Gdy się znalazł tak blisko Froscha, iż między niego a ścianę mógł się wcisnąć, podniósł nagle kolano i na niem podrzucił go w górę. Frosch, uderzony, krzyknął, król spojrział i twarz mu się rozmarszczyła.

Zwykle owe trefne żarty rozpoczynały się z mimiką wyrazistą, ale w milczeniu. Okrzyk Froscha był znakiem rozpoczęcia wojny na języki. Oba ci bohaterowie słynęli z rodzaju dowcipu, który starczył na dnię powszednie królowi.

— Zdrajco! — zawołał Frosch, stając naprzeciw Storchowi. — Nie masz odwagi mnie, bohatera, zaczepić i wyzwąć do walki, bo wiesz, że starłbym cię na pył, na proch i jednym dmuchnięciem nieczyste szczątki puścił na cztery wiatry! Zachodzisz mnie podstępem, nikczemnie, podle, więc kara cię należna nie ominie.

Storch, udając skruszonego i przestraszonego, przyczem oczy mu się wywracały tak, że w nich tylko białka widać było, nagle padł na kolana, złożył ręce i zdawał się błagać miłosierdzia. Nieporuszony tem, Frosch rzucił się na schylonego i złożyło się tak, że, przez głowę mu się przewaliwszy, nogami zawisł na ramionach; Storch wstał, chwyciwszy go za pięty, i zaczął z nim biegać po pokoju, ale go tymczasem obu rękami Frosch bił w plecy, a wkońcu za uszy pochwycił i oba się potoczyli na ziemię.

Król, o wszystkim zapomniawszy, począł się śmiać i aż się wychylił, aby przyjemnego tego widowiska nie stracić; przywróciło mu to nawet apetyt i zaraz jeść łapczywie począł.

Królowa, choć ją to wcale nie bawiło, a na sercu miała troskę wielką, udawała, że się śmieje.

Wkrótce potem przy niskim stoliczku Frosch i Storch grali w warcaby najpocieszniej w świecie, zrywając sobie peruki i biegając za sobą po kątach.

Wszystko to, wraz z kilkoma szlankami dobrego wina, poprawiło znacznie humor królowi, tak że Józefina nie wątpiła, iż po obiedzie do pilnego dzieła przystąpić będzie można, które nie cierpiało zwłoki.

Brühl z ojcem Guarinim oczekiwali w królewskich pokojach. Minister nie wahał się w zamku na własną już odpowiedzialność wydać rozkazy, aby, w razie zjawienia się

Sułkowskiego, powiedziano mu, iż n. pan przyjąć go nie może. Szambelanowie mieli polecenie złożyć się, czem chcieli, a na żaden sposób hrabiego nie dopuścić.

Była to walna bitwa, która niewiadomo czyjem skończyłaby się zwycięstwem, bo mowa Sułkowskiego pewne na królu uczyniła wrażenie, gdyby nie to, że królowa Józefina słyszała część znaczną śmiałych wykrzykników hrabiego i poduszczeń do odzyskania niepodległości.

Jak zwykle, August po obiedzie aż do opery lub muzyki śpieszył przywdziać szlafrok i zamknąć drzwi swe natrętom, i już żegnał Józefinę, nic o Sułkowskim nie wspomniawszy, gdy ona go sama zatrzymała w gabinecie.

— Auguście, — zawołała — słyszałam, co ci mówił i do czego ci nakłaniał Sułkowski.

— Gdzie? jak?

— Byłam u drzwi, — przerwała Józefina — i dobrze się stało, żeś się tam znalazła przypadkiem. Ty jesteś aniołem dobroci, ale król takim być nie powinien. Ten zuchwalec obraził majestat królewski, mnie, ciebie; śmiał się zapomnieć do tego stopnia, aby ci radzić życie bezbożne. Auguście, jeżeli noga tego człowieka postanie na dworze, pioruny i kara Boska ścigać nas będą. Tyś to ścierpiał...

— A, a cóż? a jakże? — zapytał August. — To mnie męczy. Ja potrzebuję spoczynku. Wypędzić go... no... wypędzić.

— Daj natychmiast rozkazy.

August posłusznie głową skłonił. Niedowierzająca mu jednak królowa posłała natychmiast po Guariniego i szepnęła mu, aby działał niezwłocznie.

Brühl, posępny i zmieszany, czekał na pana. Zobaczywszy go, nie powiedział nic August, tylko z wymówką pokiwał głową, pogroził i rzucił się na krzesło.

Prawie w tejże chwili wchodził, śmiejąc się, o. Guarini.

— A! a! zguba się nam znalazła! N. panie, Sułkowski powrócił, śnać pomiarkował, że niepotrzebnie szukać chciał szczęścia po świecie. *Chi sta bene, non si muove*. Żle mu tu śnać było, jednak wrócił, bo gdzie indziej jeszcze gorzej!

August fajkę palić zaczynał i wskazał nią na Brühla.

— Ten winien! ha? poco wpuścili. Królowa słuchała, głupstwa gadał... Pfuj!

— Nie jam winien, ale nas ktoś zdradził, n. panie! — zawołał Brühl.

— Rób, co chcesz, — rzekł król żywo — nie chcę widzieć. Napisać rozkaz, do podpisu dać, posłać...

— Ale niema się czem trapić! niema sobie czem psuć humoru i zdrowia. N. panie, — dodał Guarini — Faustyna dziś śpiewa razem z Albuzzi, są w najczulszej zgodzie, kochają się jak dwie gołąbki.

Obejrzał się August i zamruczał:

— *Amor, quel che piace!*

Był to początek śpiewu, którego o mało nie zanucił, lecz zaraz się zajął fajką.

O. Guarini, dbały o to, ażeby smutne przerwać myśli, nastroił tak rzeczy, iż natychmiast wniesiono przysłany z Wenecji przepyszny portret Giorgiona. Ujrzawszy go, król porwał się w uniesieniu:

— *A, che bello!*

Zapomniał o wszystkim.

— Co to za miękkość! jaka słodycz... co za koloryt, jakie życie! — wołał, lubując się arcydziełem, i oczy mu się uśmiechały.

W pół godziny potem w jakimś niezmiernie ważnym teatralnym interesie prosiła o posłuchanie Faustyna i otrzymała je.

Cofnęli się wszyscy. Nadzwyczaj ożywioną rozmową bawiła króla dobre pół godziny, a gdy wyszła, August ją wzrokiem przeprowadzał tak rozpromienionym, jakgdyby ani ministrów, ani interesów, ani żadnego utrapienia na świecie nie było. Chmury zostały rozproszone do jednej.

Nie tak było łatwo niepokój królowej i innych osób, należących do spisku, rozpędzić. Znano śmiałość Sułkowskiego, przywiązanie króla do niego, środki, jakich mógł użyć, ażeby się docisnąć, wiedząc obyczaj Augusta i mając na dworze przyjaciół i protegowanych wielu. Straże więc tego dnia rozstawiono wszędzie, około pałacu hrabiego, który się ruszać nie myślał, około opery, na zamku, u drzwi bocznych, u wnieścia na wschody, wiodące do apartamentów królewskich...

O. Guarini nie odchodził na chwilę, królowa czuwała. Brühl naradzał się, biegał, hr. Moszyńska jeździła, Hennicke ze wszystkimi podwładnymi, Globig, Loss, Stammer, cała czereda sekretarzy i służby Brühla, rozsypali się po mieście, zajmując przeznaczone im stanowiska.

Ruch ten wszystek wcale nie obchodził Sułkowskiego, pewnego swojego zwycięstwa i wygotowującego notaty, którym miał położyć przeciwnika. Hrabia, swem rannem wystąpieniem dumny, przekonany był, iż niem wrażenie na królu uczynił, które wszelkie inne przeważy.

Żona, mniej dowierzająca, pojechała wieczorem do królowej. Nie przyjęto jej zrazu. Zaniepokojona tem, domagała się usilnie chwilowego posłuchania i wreszcie je otrzymała.

Józefina przyjęła ją bardzo zimno, lecz z porady o. Guariniego odegrać miała rolę całkiem nieświadomej spraw dworu i nie mieszkającej się do niczego.

Hrabina Sułkowska, panną będąc, była frejliną królowej, miała jej łaskę i niczem na zmianę uczuć nie zasłużyła. Weszła do pokoju, w którym Józefina nad książką pobożną siedziała, nie wiedząc sama, jak ma rozpocząć rozmowę.

Z przybranym uśmiechem oznajmiła n. pani, że przyszła się szczęściem swem z nią podzielić z powrotu męża. Z tego zρέcznie przeszła do pogłosek, jakoby nieprzyjaciele jego szkodzić mu usiłowali.

— Moja hrabino, — przerwała królowa — mówmy o czem innem, proszę cię; ja zajęta jestem mojami dziećmi, modlitwą, sztuką, ale do żadnych spraw i intryg dworskich się nie mieszam i wcale o nich wiedzieć nie chcę.

Jeszcze raz usiłowała użalić się hrabina. królowa powtórzyła zimno:

— O niczem nie wiem. Król się mnie wcale nie radzi, ja się do jego spraw nie wtrącam...

Po krótkiej rozmowie, zwróconej zaraz przez królowę na świeżo nawróconego i ochrzczonego Izraelitę, którego hrabina była kumą, potem na nabożeństwo postne, jakie się od popielca zaczynać miało, pani Sułkowska wstała i ze smutkiem pożegnała królowę.

Czy uwierzyła w tę całkowitą nieświadomość wszystkiego, w to usunięcie się zupełne od dworskich intryg, odgadnąć trudno. Dosyć spokojna, bo nawykła wierzyć w męża, odjechała do domu.

Późno w noc nadszedł Ludovici, ale w humorze nie zwiastującym nic dobrego. Przychodził z oznajmieniem, że w poszukiwaniu aktów znajdował nieprzelamane przeszkody, że urzędnicy nie byli na swych miejscach po biurach, że wszystko się dnia tego rozprzegło, że go zbywano rozmaitemi nieprawdopodobnymi i śmiesznymi pretekstami i że na jutro w żaden sposób gotowym z papierami być nie może.

IX.

Są charaktery podobne Sułkowskiemu, które niebezpieczeństwa do ostatniej chwili widzieć i uwierzyć w nie nie chcą. Ani to, co mu od królowej przyniosła żona, nie kryjąc, iż była zbyt zimno i obojętnie przyjęta, ani to, co mu oznajmił Ludovici, nie odjęto zaufania w siebie i wiary w przyszłość.

Zdawało mu się, że król doń był nadto nawykłym, aby się bez niego mógł obejść. Pewien był, że na nim silne uczynił wrażenie ostatnią rozmową, jeżeli się to w ten sposób nazwać mogło; nie wiedział zresztą może sam, na co rachował, lecz był zupełnie spokojnym. Żona, kobieta skromna, bojaźliwa, znająca dwór i dwory i to, co się zwykło zwać łaską pańską, choć nie okazywała tego po sobie, w śmiertelnej była trwodze. Wiedziała dobrze, iż niełaska w Saksonji, zwłaszcza gdy się zajmowali przygotowaniem jej nieprzyjaciele, nie kończyła się na prostem usunięciu i wygnaniu. Szła za

niemi pod jakimkolwiek pozorem konfiskata dóbr, a często i wiekiste więzienie bez sądu i bez wymiaru... trwające życie całe. Sułkowski, popadłszy w nielaskę, zawsze mógł być strasznym swym nieprzyjaciółom przez stosunki na dworach: francuskim, austriackim i pruskim; cóż więc naturalniejszego było nad obawę, aby go nie zamknięto dla własnego bezpieczeństwa?

W śmiertelnej trwodze spędziła noc pani Sułkowska, kryjąc łzy swe, któremi mężowi męstwa odejmować nie chciała.

Hrabia przeciwnie, był w wybornym humorze, zwierając się żonie, co mówił królowi i jakie na nim uczynił wrażenie. Pochlebiał sobie, że sieci, zastawione przez nieprzyjaciół, potargał, że wszystko powróci do dawnego stanu i że on teraz obali tę klikę nieprzyjazną, a królowę usunie tak i otoczy, aby niebezpieczną być przestała.

Nazajutrz rano, d. 5 lutego, hrabia po męczącej podróży nie zasnął długo, obudził się o zwyczajnej godzinie, ubrał, i wedle dawnego obyczaju pojechał do króla na zamek.

Gdyby był cokolwiek więcej miał przebiegłości, a mniej zaufania w sobie, dostrzegłby był z łatwością, że, zobaczysz go, wszystkich dwór spowaźniał; że niektórzy się nieznacznie z drogi usuwali, a ci, co nie mogli uniknąć z nim spotkania, nadzwyczaj byli małowówni i chłodni. Sułkowski miał dawniej swobodę wchodzenia do króla, kiedy mu się podobało i gdziekolwiek się znajdował.

Dażył więc prosto do pokojów króla, wiedząc, gdzie go szukać o tej godzinie, gdy Löwendahl zaszedł mu drogę grzecznie bardzo i oznajmił, że król w swoim gabinecie pilnemi sprawami jest zajęty i bez wyjątku żadnego, nikogo a nikogo wpuszczać nie kazał.

— Ale to się do mnie stosować nie może! — zawołał Sułkowski, uśmiechając się.

— Nie wiem, — odparł Löwendahl — może się to później wyjaśni, lecz darujesz mi hrabia, że ja ściśle się muszę pilnować rozkazów i nie śmiem ich tłumaczyć.

Nie chcąc się poniżać do sporu, Sułkowski, pewien, iż się później pomścić potrafi tego niewłaściwego znalezienia się, uklonił zdala, zawrócił i odszedł.

Postanowił przyjechać powtórnie o godzinie jedenastej, gdy król wszystkich zwykły był przyjmować. Schodząc ze wschodów, zdala zobaczył *porte-chaise* Brühla i to go mocno ubodło.

— Ale cierpliwości, — rzekł w duchu — cierpliwości! Są to ostatnie wysiłki tych ichmościów, przecież nie będą śmieli drzwi mi zamknąć przed nosem. Zobaczymy...

Pojechał do kancelarji Ludovici'ego i znalazł go bladym i pomieszanym.

— Papiery? macie papiery? — zapytał.

— Dotąd ich nie mam, zbieram to, co wprzód było przygotowane; jest coś w obejściu się ze mną urzędników tajemniczego, nic dobrego i nic nam nie zwiastującego pomyslnego: chodzą, a raczej uciekają jak poparzeni.

— Ja to rozumiem bardzo dobrze — zaśmiał się Sułkowski. — Jakże chcesz, aby kto, widząc swój upadek, nie stracił głowy. Ja się jeszcze do n. pana docisnąć nie mogłem, powiedziano mi, że zajęty w gabinecie. Musi być walna narada, co tu zrobić z Sułkowskim, który wszystkim szyki pomieszał.

Zaczął się śmiać, a Ludovici westchnął, ale z błędu wyprowadzać nie myślał.

Ważyło się przez chwilę, czyby nie jechać do Brühla. Właściwie on powinien był już być u Sułkowskiego; usunięcie się także było rodzajem wypowiedzenia wojny.

— Nieczyste ma sumienie, — rzekł w duchu — nie śmie mi się na oczy pokazać, a może węzélki zwija, czując odprawę. To pewna, że nie dam mu tu popasać długu.

Ludovici nie był tego dnia do rozmowy, milczał, zamyślał się, stawał, nie słysząc, co doń mówiono, przechadzał się, stękał. Sułkowskiego to prawie śmieszyło.

Nie mając co począć z sobą, dla żartu postanowił odwiedzić hr. Moszyńską, aby zobaczyć, jak go też przyjmie i czy bardzo się przestraszy.

Ruszył więc do hrabiny, ale tu przeproszono go, że godzina była ranna, a hrabina nieubrana. Wrócił do domu, gdzie żona go u progu spotkała niespokojna.

Sułkowski, żartując z jej przestachu, powiedział, że natychmiast jedzie napowrót do króla. Zamilkła na to. Było trzy kwadranse na jedenastą, gdy Sułkowski na zamek udał się znowu. W przedpokojach osób znalazł bardzo mało. Frosch i Storch, którzy tylko przy królu byli tak pocieszni, siedzieli z minami powszedniemi ludzi znudzonych i nie mających najmniejszej ochoty do błaznowania. Storch miał od padania na ziemię bóle w kolanach, a Frosch, posępny, wyglądał jak noc i nie widać było w nim najmniejszego do weselości usposobienia. Siedział z obowiązku, oczyma i sercem będąc za oknem, gdzieś w domu.

Gdy Sułkowski do drzwi apartamentu się zbliżał, paż króla przybiegł i oznajmił mu, że n. pan był u najj. pani. Do królowej iść ani chciał, ani mógł Sułkowski; tam potrzebna się było anonsować i mógł być nie przyjętym. Przeszedł się kilka razy po przedpokoju i, nie wiedząc, co z sobą począć, udał się napowrót do lektyki. Chciał się kazać nieść do domu, ale wiedział, że widok tak wczesnie powracającego zaniepokoi żonę, wołał więc przebyć tę chwilę gdzie indziej.

Ta powtórna niebytność króla mogła mu dać do myślenia: w istocie dorozumiewał się intrygi, lecz w skutek jej nie

wierzył. Postanowił stałością i cierpliwością przemóc te przeszkody, wytrwać na stanowisku, nie okazywać zniecierpliwienia i był zawsze jeszcze pewien, że zwycięży.

Po drodze był dom Faustyny. Postanowił wstąpić do niej. Znał on admirację króla dla śpiewaczki i jej usposobienia, miał nadzieję jeśli się nie dowiedzieć czego od niej, to przynajmniej wyrozumieć.

Już z przedpokoju dochodziła go taka wrzawa włoska, że niemal chciał się cofnąć, aby nie wpaść w niewłaściwe towarzystwo. Wtem drzwi się otworzyły i Amorevoli, Monticelli, Albuzzi, Puttini, Pilaja, kilku Francuzów, krzycząc i kłócąc się jeszcze, poczęło się wysypywać z pokoju. Zobaczywszy Sułkowskiego, wszyscy natychmiast umilkli, rozstępując się i kłaniając mu nisko.

Faustyna, która ich wypędziła, właśnie stała na progu: zdziwiła się na widok hrabiego i zmieszana nieco, z uśmiechem wymuszonym, zaprosiła go, aby wszedł.

— Kiedyż w. ekscelencja wróciliście? — zawołała. — My nic nie wiemy o jego powrocie.

— A, bo ja dotąd napół jestem *incognito* — rozśmiał się hrabia. — Proszę sobie wystawić, piękna pani, że od wczoraj nie mogłem dostąpić szczęścia oglądania oblicza pana mego. Trzy razy byłem w zamku, a dwa nie zostałem przyjętym. Jai! — dodał Sułkowski, wskazując palcem na siebie. — Zaczynam sądzić, że kilkomiesięczne oddalenie uczyniło mi dwór i jego obyczaje niezrozumiałymi i przychodzę do was prosić o tłumaczenie.

— Hrabia sobie przyjemne żarty ze mnie stroisz — odparła Włoszka, spoglądając nań z pewnem politowaniem i uwagą. — Ja znam tylko dwór ze sceny. Na scenie królową jestem lub boginią, a zszedłszy z desek, zupełnie nieświadomą istotą tego, co się w świecie dzieje.

— Jednakże — ciszej począł Sułkowski — powiedzcie mi, słyszeliście co? czy się tu jaka burza na mnie zebrała, staraniem waszego przyjaciela Guariniego naprowadzona...

— Nic a nic nie wiem, — trzęsąc głową, ozwała się Faustyna — mnie moje kłopoty teatralne starczą. Być bardzo może, że na was, panie hrabio, spiskują, ale wy przecież obawiać się tego nie potrzebujecie.

— Ani się też lękam, lecz chciałbym *tirer au clair*, co to jest?

— To jest zazdrość i współzawodnictwo — odezwała się Bordoni. — My w teatrach doskonale to znamy: rzecz niezmiernie powszednia.

— A lekarstwo na to?

Faustyna ruszyła ramionami.

— Kto może się usunąć, uciec, a kto ma ochotę walczyć, musi się bić i trwać w boju, bo spokojności nie znajdzie nigdzie i nigdy.

Sułkowski nie śmiał jej przypomnieć przestroż, jakie mu dawała przed kilku miesiącami, teraz mowa jej i usposobienie były całkiem zmienione: Faustyna lękała się.

Widząc, że się niewiele dowie, hrabia spytał o nową operę, o muzykę Hassego; przeszedł się po saloniku kilka razy i pożegnał Faustynę.

Postanowił wprost jechać do domu. Pomimo wiary, która go dotąd nie opuszczała, chmurne miał czoło i musiał się powstrzymywać, aby nie okazać niecierpliwości, jakiej doznawał.

Przed pałacem znalazł ekwipaż dworski. Baronówna Löwendahl, córka w. ochmistrza dworu, była u jego żony. Sułkowski poszedł do salonu.

Na kanapie siedziały dwie panie zajęte żywą i niespokojną rozmową. Widząc go wchodzącego, panna Löwendahlówna, żywa osóbką, niezbyt już młodziuchna, która zawsze o wszystkim bywała najlepiej uwiadomioną, porwała się z kanapki i podbiegła ku niemu. Na twarzy jej widać było pomieszenie i rozdrażnienie niezwykle.

— Hrabia mi to najlepiej objaśnisz — zawołała, witając się. — Na dworze zaszły czy gotują się jakieś zmiany. Nie możemy odgadnąć, co to być może.

— Ale skądże panie to wnoszą? — zapytał, witając się, gospodarz.

— Wiem doskonale — poczęła żywo Löwendahlówna. — Przed godziną król posłał po starego generała Baudissina, który leży na podagrę chory, i kazał mu do siebie przyjechać. Generał, który ledwie o kiju się może po pokoju przechadzać, kazał przeprosić króla, tłumacząc się chorobą; mimo to, posłano po niego raz drugi i widziałam na moje oczy sama, że musiał jechać i pojechał na zamek.

— Nie wiem, co to może być — odpowiedział spokojnie Sułkowski. — Byłem na zamku dwa razy, ale oba razy najśmieszniej w świecie trafiłem tak, że króla widzieć nie mogłem.

Zaczął się śmiać, panna Löwendahlówna ciągnęła dalej, szczebiocząc żywo:

— Od kilku dni już gloszą, że Baudissin, który kilka razy napróżno o dymisję prosił, dostanie ją nareszcie. Nic mu tak złego nie będzie, bo dawno odpocząć potrzebuje. Gorzej daleko, bo drudzy mówią, że mój ojciec może także być odprawionym.

— Nie sędzę, — rzekł Sułkowski — ale żem od kilku miesięcy nie był w Dreźnie, nie rozumiem tego wszystkiego, nie jestem *au courant*.

Panna Löwendahl spojrzała nań.

— Domyslić się łatwo. Miejsca są potrzebne dla nowych kreatur.

— Cicho! cicho! — przerwała hrabina. — Doprawdy ja się lękam już i słowa...

Hrabia ramionami ruszał.

— Popłoch próżny — rzekł. — Zmieni się to wszystko wprędce.

Na te słowa wszedł kamerdyner.

— Jego ekscelencja w. ochmistrz baron Löwendahl i j. e. generał Baudissin.

Wszyscy po sobie spojrzeli, marszałkówna pobladła i cofnęła się ku kanapie.

— Prosić — zawołał, idąc ku drzwiom, Sułkowski.

W tejże chwili wchodzili już oznajmieni goście, a Löwendahl, zobaczywszy córkę, zdziwiony nieco na nią popatrzał, jakby wymawiał, że ją tu znajduje.

Przywitanie było zimne, Sułkowski sztywnie i chłodno przyjmował gości, nie umiając sobie wytłumaczyć ich odwiedzin. Wskazywał im siedzenia, gdy Baudissin zbliżył się do niego i rzekł:

— Hrabia pozwolisz, ażebyśmy mogli mówić bez świadków; przychodzimy z polecenia króla.

Twarz Sułkowskiego nie zmieniła się wcale, wskazał natychmiast drzwi przyległego gabinetu.

Kobiety, które cichej rozmowy posłuszyć nie mogły, siedziały przestraszone i zaciekawione. Sułkowska, blada, drżała, czując, że to nie zwiastowało nic dobrego.

Panna Löwendahl chciała odjechać i nie miała siły, hrabina zatrzymywała ją gwałtownie.

Gdy się we trzech w gabinecie znaleźli, Baudissin, stare, posłuszne żołnierzysko, z widoczną przykrością dobył z kieszeni fraka papier... rozkaz z królewskiej kancelarii przysłany i przez króla własnoręcznie podpisany.

W milczeniu podał go Sułkowskiemu, który w przejściu z salonu do gabinetu, jakgdyby próg innego świata przestąpił, stał blady i widocznie rażony jak piorunem.

Drżącemi rękami ujął ten papier, oczy nań zwrócił, czytał a nie rozumiał: stał jak obłąkany.

Löwendahl, któremu i żal się go zrobiło, i szło o to, aby co prędzej się stąd wydobyć, widząc, że hrabia stoi, milczy i nie zdaje się rozumieć, o co idzie, stanął za nim i głośno czytać zaczął powoli.

Pismo było w niewielu wyrazach krótko zredagowane:

„J. kr. mość, zauważywszy, że hrabia Sułkowski po kilkakroć i ostatni raz przy widzeniu się z nim zapomniał się a uchybił j. kr. mości, uznał właściwem urzędy, jakie przy j. kr. mości sprawiał, odjąć i od obowiązków wszystkich przy sobie uwolnić. Jednakże, ze względu na długoletnią służbę jego, raczył mu pensję jako generałowi pozostawić“.

Coś gorszego może spodziewał się zapewne Sułkowski, wnosząc z tego, co innych spotykało, rozpatrzywszy się więc

w piśmie, przyszedł wkrótce do siebie i odzyskał przytomność.

— Wola najjaśniejszego pana — rzekł — jest dla mnie świętą. Jakkolwiek czuję się niesprawiedliwie dotkniętym, skutkiem zapewne poduszczeń nieprzyjaciół moich, zniosę, co mi przeznaczono. Jeżeli się nawet zapomniał wobec j. kr. mości, pewnie to raczej było skutkiem mojej miłości dla n. pana, niż braku poszanowania.

Baudissin i Löwendahl nie odpowiedzieli nic. Sułkowski, przed którym niedawno jeszcze niemal na twarz padali, ujrzał na nich pierwszych skutek nielaski.

Dawna grzeczność zapomnianą została: Baudissin obchodził się z nim jak z równym, a Löwendahl jak z podwładnym. W twarzach było widać zakłopotanie i chęć jak najrychlejszego uwolnienia się.

Oba skłonili się zdala, obłudnie, Sułkowski oddał im ukłon i wyprowadził do sali. Tu zdaleka tylko pożegnawszy siedzące panie, wyszli co najrychlej. Hrabia, niewiele już po sobie okazując wrażenia, przeprowadził ich grzecznie do sieni i powrócił spokojny niemal tak, że żona domyślić się z twarzy nie mogła, co się stało. Potajemna ta narada nie była daremną.

Panna Löwendahl dosiadywała, chcąc się o czemś dowiedzieć.

Nie śmiano go pytać.

Z zimną krwią Sułkowski przystąpił do stołu i spojrzał na żonę, której twarz wyrażała niespokojną ciekawość.

— Winszuję pani, — rzekł głosem, w którym lekkie przebijało się drżenie — jesteśmy wolni. N. panu podobало się ze swej służby mnie odprawić. Nie boli mnie to nic a nic, chociaż dobrego i kochanego pana żałuję. Na dworze tym jednak w takim składzie okoliczności, jaki jest dzisiaj, wytrwać uczciwemu człowiekowi było trudno.

Żona rzuciła się na kanapę, zasłaniając oczy.

— Moja droga, — rzekł hrabia — uspokój się, proszę. Przyczyną odprawy ma być to, że się wobec króla j. mości zapomniał, co znaczy, że mówił niemiłą i nieproszoną prawdę; król mi zostawić raczył pensję generalską, a dał mi nieoszacowaną swobodę — dodał, rękę wyciągając ku żonie. — Pojedziemy do Wiednia.

Panna Löwendahl patrzyła na hrabiego z podziwieniem. Nie mogła pojąć tej spokojności, z jaką przyjął nagły swój upadek ze szczytu. W istocie duma Sułkowskiego nie dozwalała mu ani mocno uczuć wrażenia, ani go okazać. W przedkim czasie po pierwszym osłupieniu przyszedł do siebie i po pańsku przyjął, co los mu wydzielił.

Być bardzo może, iż spodziewał się jeszcze zmiany...

Hrabina płakała.

Uczuła panna Löwendahl, że była tu zbyt cenną, bo pocieszyć nie mogła, a przytomnością swą nie dała się im wynurzyć przed sobą; ścisnęła więc w milczeniu rękę przyjaciółki i wysliznęła się z pokoju.

Sułkowska padła twarzą na kanapę.

— Droga moja, — zawołał hrabia — zaklinam cię na wszystko, bądź mężną. Nie przystoi nam dać poznać, żeśmy dotknięci. Zawdzięczamy sercu króla, że ja nie jadę jeszcze do Königsteinu na miejsce Hoyma i że, zamiast mi odebrać majątek, zostawia mi pensję. Wypicie w Uebigau, na które jestem skazany, nie ma w sobie nic strasznego i nie wyłącza nadziei... obalenia tego całego rusztowania, które zręczna ręka pocziwego, słodkiego, wiernego mojego przyjaciela Brühla zbudowała... Uspokój się, proszę cię.

Ale niełatwo było ukoić.

Sułkowski, nic nie mówiąc, spojrział na zegarek, podał rękę żonie i, szepcząc pocichu, przeprowadził ją do jej pokojów.

X.

Jeżeli co może w człowieku obudzić najwyższą wzdargę dla plemienia ludzkiego, to widok zmiany naglej, jaką wywołuje ruina i upadek przed chwilą jeszcze balwochwalczo czczonego ulubieńca losu.

Jest w tem coś tak nikczemnego, tak upadającego, aż serce wzdryga się na to; ale w takich tylko razach człowiek poznaje świat i wypróbowuje swych współbraci. Kto nie przeszedł przez podobne przesilenie sam, nie odczuł tego, co ono budzi w sercu, nie pojmie, jaką goryczą zapływa.

Sułkowski, który od dzieciństwa był przy królewiczu i nawykł uważać się za przyjaciela, który nie przypuszczał nawet, ażeby coś podobnego jemu się trafić miało, znosił swą dolę z dumą chłodną; lecz nie mógł się powstrzymać od najwyższej pogardy, jaką w nim już obejście się dwóch królewskich posłów wzbudziło.

Wysłał natychmiast po Ludovici'ego. Radca był mu wiernym wszystkim, był mu do ostatniej chwili wiernym; lecz... obawa o los, o miejsce, o stanowisko sprawiły, że teraz już na zawołanie nie przybył, wymawiając się zajęciem urzędowym.

— Wypadnie więc, — rzekł zimno hrabia — ażebym ja poszedł do niego z wizytą, choćby dla odebrania papierów, jeśli te nie są już w ręku Brühla i jeśli niemi nie okupił przebaczenia.

Wybrawszy popołudniową godzinę, hrabia tegoż dnia udał się na zamek. Pochód ten był prawdziwą drogą krzyżową.

W mieście już od dwóch godzin wiedziano o upadku Sułkowskiego; chociaż jedną chyba dumą tylko mógł zawinić względem podwładnych i nikomu nic złego nie uczynił, a dla wielu był aż nadto dobrym, wszyscy się czuli w obowiązku okazywać mu, jak się radowali niepomieranie z jego upadku.

Przechodził około kancelarji Brühla; zobaczyli go pisarkowie przez okno: cała zgaja ich z piórami za uchem, z rękami w kieszeniach, ze śmiechem na ustach, wybiegła na ganek, w ulicę, żeby się wczorajszemu władcy, a dziś skazanemu winowajcy przypatrzeć.

Sułkowski słyszał i widział, co się wkoło działo, ale miał tyle mocy nad sobą, że się ani obejrzał, ani dał poznać, iż coś widzi i czuje. Przeszedł wolnym krokiem i pominął ich, choć długo szyderstwa i wykrzyki dochodziły jego uszów.

Po drodze co krok spotykał kogoś z tych, co wczoraj mu się najuniżeniej kłaniali, a dziś udawali, że go nie widzą, lub wpatrywali się natrętnie, nie dejmując kapelusza, ażeby okazać, iż sobie drwią z niego.

Mijały go powozy, z których ciekawe wychylały się głowy i ściagały go oczyma. Na zamku wniście nieboszczyka nie uczyniłoby było pewnie większego wrażenia: szept, cofania się, śmiechy, lub usuwanie się z drogi witały go wszędzie.

Nie śmiano mu drzwi zamknąć, ale służba nawet nie ustępowała idącemu. Przy tych usposobieniach trudno się było do kogo odezwać, nie było kogo zapytać.

Sułkowski cofnąłby się był może i nie poszedł tu więcej, ale chciał i postanowił raz jeszcze króla zobaczyć.

Wiedząc godziny, łatwo mu było obrachować, iż król, nawykły do bardzo regularnego życia, przechodzić będzie przez garderobę, idąc do królowej. Tu szczęściem nie było nikogo. Wprawdzie służba mogła oznajmić n. panu i przestrzec o nim, lecz ważył się już na wszystko.

Przez kilkanaście minut ów mocz, co niedawno trząsł całym dworem i królem, pozostał sam, w kątku rozmyślając nad tem, jakie los mu zgotował koleje. Zadumał się tak, gdy drzwi się otworzyły; król, nie patrząc i nie widząc go, wszedł z szambelanem, a gdy Sułkowski, nagle przypadłszy, do nóg mu się rzucił, chciał przerażony cofnąć się nazad.

Hrabia za nogi go pochwycił.

— N. panie, — zawołał — nie godzi się, abyś sługę twoję, nie wysłuchawszy, odpędzał. Od dzieciństwa miałem szczęście wiernie sprawować me obowiązki przy osobie w. kr. mości.

Na twarzy króla zbladłego odmalowało się jak największe pomieszanie i trwoga. Głosem przerywanym zawołał:

— Sułkowski... ja nie mogę... idź... ja nie chcę słyszeć nic...

— Na Boga w. kr. mość zaklinam, — podchwycił hrabia — nie domagam się nic oprócz tego, abym czysty odszedł, bo się nim czuję i jestem w sumieniu. Racz w. kr. mość przypomnieć lata, które przebyłem u jego boku, czym kiedy zawinił, czym się przemieszczał, czym się zapomniał i przekroczył przeciw winnemu poszanowaniu... Są ludzie, którzy mnie chcą usunąć, aby oko pilne, strzegące ich czynności, czuwać nie mogło; chcą mnie oddalić dlatego, że wierny. Królu...

Podniósł oczy, August swoje drżącymi rękami zasłaniał i niecierpliwie nogami tupał, powtarzając:

— Nie chcę nic słyszeć...

— Ja się chcę tylko usprawiedliwić.

— Dosyć, — zawołał król — mam najmocniejsze postanowienie rozstać się z wami: to się już zmienić nie może. Ani wam, ani rodzinie waszej, ani nikomu nic się złego nie stanie... bądź spokojny, ale idź, idź, idź!!

Król mówił to tak gwałtownie i z takim przestachem, jakby się obawiał, aby kto nie nadszedł na tę scenę, lub żeby łyzy go nie zmięczyły.

— N. panie! — krzyknął w rozpacz hrabia, porывая się z ziemi — nie chcę nic, ale niechże mi choć wolno będzie za doświadczone od w. kr. mości łaski i dobrodziejstwa złożyć ostatni raz dzięki; o ostatnią łaskę proszę: niech królewską rękę, której winienem tyle, ucałuję.

Królowi także na łyzy się prawie zbierało, ale miał za sobą szambelana, świadka i szpiega zarazem; wyciągnął więc rękę drżącą, którą hrabia pochwycił, okrywając pocałunkami.

— Królu mój! — zawołał — i taż to ręka mnie dziś odpycha niewinnego! Niewinnego, powtarzam, bom chyba zbyt miłości dla w. kr. mości mógł zgrzeszyć.

Niepokój i trwoga w królu rosły widocznie.

— Dosyć! — krzyknął — ja was słuchać nie mogę, nie chcę, i rozkazuję odejść.

Sułkowski zmilczał już, skłonił się i odstąpił. August pominął go i rzucił się co żywiej do drzwi, ku pokojom królowej wiodącym, które się zaraz za nim zamknęły.

Hrabia potrzebował chwili, aby zebrać myśli i siły, spierał się o mur, ręką ścisnął czoło, pozostał tak jakiś czas i miał już odejść, gdy nadchodzący szambelan w sposób najnieprzyzwoitszy oznajmił mu, ażeby dłużej tu nie bawił.

— N. pan rozkazuję panu przeze mnie natychmiast zamiek opuścić i nie pokazywać się więcej na dworze. Woła jest n. pana, abyś pan zamieszkał w Uebigau.

Sułkowski spojrzał dumnie, nic nie odpowiedział i wyszedł.

Wrzało w nim wszystko, umiał się jednak pohamować; ostatni wysiłek nadaremny był zrobiony: nie pozostawało

nie nad wypicie tego kielicha bez wzdrygnięcia. Chęć jakiejś pomsty odzywała się w sercu, ale ją umiał przytłumić, wiedział, że onaby raczej nieprzyjaciółom posłużyła niż jemu.

Powrócił do domu, aby rozchorowaną żonę uspokoić i zapewnić, że się niczego lękać nie mają.

Wygnanie do Uebigau pod samem Dreznem dozwalało się spodziewać i spotkania z królem i może wytłumaczenia. Chciał więc w pierwszej chwili Sułkowski zająć pałacyk mu przeznaczony, ale żona słyszeć i mówić o tem nie dozwoliła.

— Brühl się tem nie ograniczy, będziemy w jego rękach! Znajdzie powód do nowego prześladowania, jedźmy natychmiast, uciekajmy z przeklętej Saksonji. Do Polski, do Wiednia, gdzie chcesz, byle nie tu!

Przez cały ten wieczór około domu Sułkowskich widać było kraczących ludzi, kupki stojące ciekawych, przypatrujące się oknom, śledzące życie, pragnące widzieć i nasycać się drganiem ofiary. Sułkowski, chwilami z za firanek niewidzialny, stał i nawzajem wpatrywał się w tę tłuszcę nikczemną ze wzgardą i oburzeniem. W ciągu wieczora nie ukazał się nikt, nie przyszedł, nie odezwał. Na dole tylko kamerdynerowi oddano urzędowy papier, którym j. kr. mość uwalniał hr. Sułkowskiego od sprawowania obowiązków ministra spraw zewnętrznych, wielkiego podkomorzego dworu i wielkiego koniuszego.

Papier ten rzucił hrabia na stół, nie mówiąc słowa.

Tegoż wieczora, po powrocie z zamku, było przyjęcie u Brühla. Nim się goście zjechali, minister wyszedł do sali, aby być gotowym na ich przyjęcie. Twarz jego zdradzała poruszenie wielkie i niepokój, znużony był po ciężkiej walce. Rzucił się właśnie na fotel, gdy z przeciwnej strony weszła pani Brühlowa.

Nim ją zobaczył, zatopiony będąc w myślach, miała mu się czas przypatrzyć. Z szyderskim nieco wyrazem poglądała na niego.

Postrzegł ją nareszcie i wstał.

— Powinnaś powinszować panu, — odezwała się — jesteś jedynym panem sytuacji, królem Saksonji i Polski, Henricke namiestnikiem, Loss, Stammer i Globig wicekrólami! nieprawdaż?

— A pani królową, — rzekł, uśmiechając się, Brühl — *à double titre!*

— Tak jest, — rozśmiała się Brühlowa — i zaczynam się oswajać z mym stanem, znajdując, że jest wcale znośnym.

Ruszyła ramionami.

— Byle to dłużej trwać mogło, niż królestwo Sułkowskiego. Zapomniałam, — śmiejąc się, szepnęła — że waćpan rozumnie bardzo oparłeś swój tron na ramionach kobiet. Królowa, ja, która jestem drugą, Moszyńska i pani Stern-

berg to coś znaczy, nie licząc Albuzzi, bo ta jest nadliczbowa.

— Pani sama jesteś temu winna, iż muszę obcej pomocy szukać i serc poza domem.

— A! serc! serc! — przerwała Brühlowa. — Ani pan, ani ja o sercach mówić nie mamy prawa. Mamy fantazje, nie serca, mamy zmysły, nie uczucia, ale... tak lepiej.

Odwróciła się od niego.

— Jedno słowo, — odezwał się Brühl, podchodząc za nią — jedno ciche słowo; później przyjdą goście i nie będę miał szczęścia rozmówić się z panią.

— To słowo?

Brühl się prawie do ucha przybliżył:

— Pani się kompromitujesz!

— Naprzykład?

— Ta młodzież z mojej kancelarii...

Brühlowa zarumieniała się, minkę nastroiła dumną i gniewną.

— Mam moje fantazje! — rzekła. — A nikt mi ich za-
bronić nie może. Proszę się do nich nie mieszać, jak ja się
nie wdaję w to, co pan minister robi. Bardzo proszę!

— Pani!

Na te słowa, które zdawały się małą małżeńską sprzecz-
kę rozpoczynać, weszła hrabina Moszyńska, ożywiona, pro-
mieniejąca. Zbliżyła się do Brühlowej, podając jej rękę,
i zawołała głośno:

— A zatem zwycięstwo! *sur toute la ligne!* W mieście
całem mówią tylko o tem: dziwują się, drżą...

— Cieszą — dodał Brühl.

— No, nie wiem doprawdy, — przerwała Moszyńska —
ale nam na tem dosyć, że my się cieszymy z upadku tego
prokonsula. Jesteśmy przecie raz *en famille* i nie potrze-
bujemy się kłaniać pysznemu panu.

— Cóż słychać? co myśli? — spytał minister.

— Jeżeli go znasz, — zawołała Moszyńska — powinieneś
się domyślić. Pojedzie naturalnie do Uebigau, będzie sie-
dział, potrząsając głową po dawnemu, i starać się nie omie-
szka zabiegać drogę królowi, intrygować, aby do łaski po-
wrócić.

Brühl rozśmiał się.

— Tak, to bardzo do prawdy podobne; ale, droga pani...
od Uebigau niedaleko do Drezna, ale też blisko i do König-
steinu... Wątpię... wątpię...

Nadchodząca hrabina Sternberg, żona nowego posła au-
strjackiego, piękna czarnooka wiedeńska, pańskiego oblicza,
arystokratycznej postawy, uchodząca także za egerję Brüh-
la, wtrąciła, prawie nie witając się:

— Trzymam zakład, że pojedą do Wiednia.

Brühl się skrzywił.

Dwie panie rozpoczęły z sobą rozmowę pocichu, a Moszyńska wzięła Brühla na stronę.

— Popelniliście błąd, — rzekła — nigdy się nie powinno rzeczy robić przez połowę; będzie się mścił: należało go zamknąć...

— Królby na to nie zezwolił w pierwszej chwili — odezwał się Brühl. — Zanadto żądając, mogliśmy go doprowadzić do otwartego buntu, a naówczas Sulkowski-by nam poucinał głowy. To jedno; powtóre, znam hrabiego i dlatego się go nie boję: głowa słaba, spisku uknuć nie potrafi. Nim wyjedzie z Uebigau, ja znajdę dowody na przywłaszczone dwa miliony talarów, a naówczas Königstein będzie usprawiedliwiony.

— Brühl! — rozśmiała się Moszyńska — dwa miliony talarów... a ty...

— Ja nie mam grosza! — zawołał minister. — Ja się rujnuję na występy, aby panu mojemu honor uczynić: jam w długach...

Zbliżył się do ucha hrabiny.

— Nie sądź pani, ażebym był tak ograniczony, bym nieprzyjaciela wypuścił z rąk, nie dobiwszy, ale musiałem to rozłożyć na dwa tempa. Z Uebigau, w którym żyć musi i skąd nie tak rychło mi ucieknie, dostanę go, gdy zechcę. Tymczasem zbieram dowody nadużyć. Król za kilka tygodni zgodzi się na wszystko.

Rozśmiał się dziwnie, gdy wtem nadechodzący wielki ochmistrz Löwendahl zmusił go opuścić hrabinę, która wolnym krokiem do kobiet przeszła.

Z Löwendahlem poszli znowu na ustronie.

— Jakże on to przyjął? — zawołał Brühl.

— Zrazu osłupieniem, ale po chwili bardzo mężnem sercem i wielką dumą.

— A jednak — syknął Brühl — mówił mi szambelan Friesen, że, zaskoczywszy króla w garderobie, pełzał u nóg jego.

— To być może, — rzekł Löwendahl — ale...

Nie miał czasu dokończyć, kamerdyner ode drzwi dawał mu znaki, musiał więc, przeprosiwszy, odbiec gościa i pójść dowiedzieć się, dla czego pilnego tak go odwoływano. Nie bez niepokoju przechodził salon, bo, choć króla strzeżono pilnie, lękał się jeszcze, aby dawny ulubieniec pisma jakiego nie podrzucił, lub sam, mimo zakazu, nie przekradł się do zamku. Wiedzano o stosunkach jego z o. Voglerem, a choć jezuita rzadko bywał dopuszczany do króla, jako duchowny miewał wszelkiego czasu posłuchanie.

W gabinecie czekał Hennicke, dosyć poufale rozparłszy się na krześle. Wprawdzie ruszył się na widok ministra, ale znać było, że go sobie lekceważył i że potrzebniejszym był on Brühlowi, niż Brühl jemu.

— Cóż tak pilnego? — z wyrzutem począł minister. — Ludzie mogą sądzić, że się coś stało?

— A! niech tam sobie sądzą — niecierpliwie dorzucił Hennicke. — Wasza ekscelencja bawisz się, a ja pracuję; ja nie mogę dogadzać fantazjom jego.

— Coś ty oszalał?

— Ja? — zapytał spokojnie Hennicke.

— Zapominasz się! — zawołał Brühl.

Hennicke rozśmiał się.

— No, no, dajmy temu pokój, ekscelencjo, dla wszystkich możesz być wielkim człowiekiem, ale dla mnie...

Machnął ręką.

— Cobys wasza ekscelencja znaczyl bez Hennickego?

— A ty beze mnie? — zawołał trochę gniewnie Brühl.

— Ale ja jestem widelec, którym każdy minister musi jeść: to co innego.

Brühl złagodniał.

— No, cóż tam? co? mów?

— Cobys mi miał wasza ekscelencja dziękować, to burczysz. Hennicke był lokajem, to prawda, ale właśnie dlatego, że nim był, nie lubi przypomnień dawnych.

To mówiąc, rozwijał papiery.

— Ot co przynoszę: Ludovici'ego upoiłem, zapewniłem, że go zrobimy radcą tajnym w departamencie, i ręczę, że takim tajnym będzie, iż nikt w świecie o tem się nie dowie! cha! cha! Mam już wskazówki. Są sumy, pobrane z akcyzy, są kwity, są zaległości wojskowe. Ho! ho! znajdzie się tego dużo! A z czegożby dobra kupował! przecież po królu Leszczyńskim je nabył.

— Trzeba, żeby dowody były — rzekł Brühl.

— Czarno na białem — mówił Hennicke.

— Na kiedy gotowem być może?

— Za dni kilka.

— Zbytecznie śpieszyć się nie mamy potrzeby — mówił Brühl. — Król musi pierwszy swój krok wielki wydychać. Faustyna zaśpiewa, o. Guarini zagada, prochu trochę wystrzelamy. Scena w korytarzu się zapomni, dopiero można będzie do drugiego aktu przystąpić. Główną jest rzeczą, aby nikt tajemnicy nie wydał, aby się tego nie domyślano, aby podejrzenia nie miał i nie drapnął nam...

Hennicke, który się wpatrywał bacznie w swego pryncypała, dodał:

— Trzeba mu niewidzialną wartość postawić i tu i w Uebigau. Wypadnie, aby się kilku lokajów odprawiło; niewielu on ich tam ma, a natomiast mu się nastręczy sług z naszej ręki, którzy czuwać będą i donosić.

— Bardzo dobrze — rzekł Brühl.

— Spodziewam się, że dobrze, bo ja nigdy źle nic nie obmyślam — dodał Hennicke.

— Gdyby się nam wymknął do Wiednia, do Prus, choćby do Polski, — rzekł zadumany Brühl — byłaby rzecz niewygodna i niesmaczna.

— Ba! i niebezpieczna — począł Hennicke, poprawiając perukę. — Choć to głowa nietęga, ale żadnym nieprzyjacielem gardzić się nie godzi.

— Zatem rzecz postanowiona — szepnął Brühl. — Waćpan zbierasz dowody winy. Mnie, który po nim biorę spadek, nie wypada przeciwko koledze i współzawodnikowi działać otwarcie. Ja go ciągle przed królem bronię i za nim proszę. Papiery te, niby przypadkowo podchwyczone, zanieś hr. Wackerbarth-Salmour, to rzecz ułożona.

Chciał już odchodzić.

— Słuchaj, Hennicke, — rzekł cicho — ty się oddalać nie możesz, ale Globiga do tego użyć najlepiej. Już ciż takiego gościa, jak Sułkowski, w łada komórcę osadzić niepodobna, zwłaszcza, że wedle wszelkiego podobieństwa, wypadnie mu tam dłużej zamieszkać. Rozumiesz! Globig niech pojedzie spacerem, sanna bardzo dobra, zapusty, ot tak... w odwiedziny do komendanta, i niech sobie opatrzy jakich czystych kilka pokojów dla hrabiego, żeby znów nie zbyt mu było źle. Jest tam teraz próżnych dosyć. Nie mówiąc dla kogo i co, niech oczyszcza, ale tak, żeby się tam nie domyślano.

Hennicke rozśmiał się.

— Wasza ekscelencja nie zapomnisz o mnie, że za takiego grubego zwierza coś mi się gościńca należy.

— Gdy go zamkniemy do klatki — rzekł Brühl. — Ale, mój Hennicke, powiadasz, bym ja o tobie nie zapomniał, a mnie się zdaje, że ty najlepiej sam o sobie pamiętasz.

— Jak wasza ekscelencja! — wyrwał się Hennicke, który papiery składał. — Obaśmy z jednego materiału, nie mamy się co okłamywać. Znamy się dobrze.

Brühl, choć go eks-lokaj tak brutalsko traktował, nie śmiał nic odpowiedzieć, owszem, łagodził go. Był mu potrzebny.

Z wypogodzoną twarzą powrócił minister na pokoje, gdzie już stoliki do gry były gotowe. Pani Moszyńska, bijąc paluszkami o stół, oczekiwała na niego.

— Siadajże, — odezwała się — już o tej godzinie interesu wszystkie spać iść powinny!

XI.

Zapusty w tym roku były weselsze, niż w przeszłych latach. Wszyscy starali się rozweselić króla, na którego czole często widać było jakoby obłok smutku i tęsknoty. W godzinach poobiednich ziewał czasami, a żarty o. Guari-

niego chybiały i, niesłuchane, rozpraszały się w powietrzu. Uproszono Faustynę, aby, śpiewając, podchodziła bliżej łoża królewskiej i dobierała najulubieńszych aryj. Frosch i Storch mieli przyobiecane osobne wynagrodzenie za podwójną dozę żartów; strzelano codzień do tarczy, soliści popisywali się świetnie, zabawy na zamku jaśniały przepychem strojów i bogactwem wymysłów. Brühl nie wychodził prawie z zamku, a ile razy król pozostał sam, stawał u drzwi, czekając na rozkazy i zgadując myśli. August też bywał niekiedy w wesołym humorze i chrząkał a śmiał się ochoczo; ale czasem wśród uśmiechu napływała chmura, oblicze się nią zaciągało nagle: król odwracał się do okna, i zdawał się nie słyszeć i nie widzieć nic.

Zaraz nazajutrz posłano Sułkowskiemu rozkaz niezwłocznego udania się do pałacyku wcale nieprzygotowanego na przyjęcie go zimą, do Uebigau. Musiał opuścić Drezno. Czatowali nań ludzie, żeby przeprowadzić go śmiechem i szyderstwami i oznakami lekceważenia.

Przy powozie hrabiego biegł jego piesek ulubiony, Fido. Zasadził się nań strzelec około mostu i pod kareta Sułkowskich z pistoletu go ubił.

Działo się to w biały dzień, wśród miasta, a nikt nie rzekł słowa. Zuchwalec triumfował, patrzący się śmiali, pies biedny padł ofiarą. Pani Sułkowska rozplakała się w powozie, hrabia ani wyjrzał, ani rzekł słowa: zniósł to ze stoicką rezygnacją, udając, że o niczem nie wie.

Nikczemna tłuszcza przeprowadzała jadącego za most, biegnąc za powozem z krzykami. Woźnice popędzali konie, hrabia patrzył wdał chłodnymi oczami i ani drgnął nawet; nadto czuł się wyższym nad to, aby cierpieć.

Hennicke i kancelarja Brühla wiedziała o tem dobrze (jeśli do tego nie wpływała), doniesiono Brühlowi: uśmiechnął się tylko...

W mieście krążyły najosobliwsze powieści. Bądź co bądź, nowy minister, który w kilka dni potem wziął na siebie znaczniejszą część dostojęństw, od których dawnego faworyta uwolniono, dowiedział się też przez swoich szpiegów, że upadek Sułkowskiego raczej żal obudzał, niż radość, raczej przestrasz, niż nadzieję polepszenia. Szemrano wszędzie.

Brühl na to miał jeden ratunek: odosobnienie króla takie, aby słowo nieupoważnione do uszów jego nie doszło. Zaraz następujących dni rozpoczęło się obsadzanie wszystkich miejsc, których urzędnicy mieli przystęp do króla. Brat Brühla wszedł w obowiązki w. marszałka dworu, pozmieniano nawet paziów i lokajów, podejrzanych o sprzyjanie i stosunki z Sułkowskim.

Karmiono Augusta wszystkiem, co tylko mu smakować mogło, ale go wzięto w opiekę najściślejszą. Było mu

z tem zupełnie dobrze, bo, oprócz dogodzenia nałogom swym, nie potrzebował nic.

W pierwszej chwili o usunięciu i oddzieleniu królowej, dla zapobieżenia wpływowi jej, mowy być nie mogło: lecz w planie Brühla stało już pozbycie się Józefiny, jako najbliższa konieczność. W największej tajemnicy mógł to przygotować z pomocą żony; o. Guarini byłby się może na tak radykalny środek nie zgodził. Brühl czuł się wszechmogącym, a jego podwładni, wice-króliki, jak ich nazywano, podnosili głowy do góry.

Obawa Sułkowskiego trwała jednak zawsze, sprawa z nim rozpoczęta była, ale nie dokonana. Hennicke zbierał dowody nadużyć i rozproszonych pieniędzy. Szło o odebranie mu Fürstemburgowskiego pałacu, który od króla dawniej otrzymał w podarunku, o odjęcie mu pałacu w Uebigau i o zamknięcie rywala na klucz w Königsteinie, czego tyle było przykładów dawniejszych za panowania Augusta Mocnego, iż Brühl, na nich się opierając, spodziewał się tego dokonać łatwo. Sułkowski na swobodzie był wiekuistym niebezpieczeństwem: Sułkowski w Wiedniu z żoną był wrogiem na przyszłość strasznym.

Przyczyniło się i to do zwiększenia obawy Brühla, iż odepchnięty hrabia nie okazywał się wcale przybitym. Przewożono sprzęty niedostające do Uebigau, a piękne położenie pałacu z widokiem na całą nadelbiańską okolicę czyniło go wcale znośnym pobytem. Z okien swych mógł Sułkowski codzień oglądać wieżę tego zamku, w którym niedawno panował.

Karnawał miał się ku końcowi, hrabia nie ruszał się z przeznaczonego mu miejsca pobytu.

Śledzono z ciekawością jego kroki, nie można się było dowiedzieć nic. Z miasta nie jeździł tam nikt, samotność była straszną. W Briesnitz zasadzeni szpiegdy napróżno wypatrywali gości. Ludzie z pałacu jeździli codzień po żywność do Dreżna, ale oprócz przekupek na rynku nie widywali nikogo. Nie dawał się pochwycić na niczem winowajca.

Co się działo w pałacu? nie wiedział nikt. Hrabia czytywał po całych dniach i rozmawiał z żoną, pisał listy, ale jaka drogą one i dokąd szły, tego dosledzić nie było podobna.

Pewnego poranku Brühl wszedł z papierami do króla. Nic przykrzejszego królowi być nie mogło nad widok papierów i perspektywa rozmawiania o intrygach. Najmniejsze słowo sprowadzało chmury i ziewanie.

Brühl skracał też przykrą pracę, dając gotowe rzeczy do podpisu. Zasiadał August do stolika i, nie rzuciwszy nawet okiem na akta, kładł na nich jakby odbity z pomocą

jakiej maszyny podpis, zawsze jednakowy, czysty, wyraźny, majestatyczny i spokojny.

Tego dnia, spostrzegłszy stos papieru, król zaczął się już gotować do pańszczyzny podpisywania, ale Brühl stał nieruchomie, nie rozkładając tego, co trzymał w ręku.

Kilka wejrzeń pytających skłoniło go wreszcie do mówienia, z którym się ociągać zdawał.

— N. panie! — rzekł — dziś przybyłem w takiej przykrew sprawie, że radbym jej i dla siebie i dla pana mojego najmiłościwszego uniknąć.

Król usta wykrzywił i poprawił perukę.

— Wolałbym, żeby się tego podjął kto inny, ale nikt mnie wyręczyć nie chciał — westchnął Brühl. — Muszę więc sam to przedstawić n. panu.

— Hm? — odezwał się August.

— W. królewska mość przyzna mi, — mówił dalej minister — że do sprawy Sułkowskiego wcale się nie mieszałem.

— Skończone! dosyć! skończone! — przerwał niecierpliwie trochę król.

— Niezupełnie, — kończył Brühl — i to właśnie jest nieszczęście. Objąłem po nim sprawy; jestem człowiek sumienny, musiałem wejść we wszystko.

Oczy króla otwarte szeroko patrzyły na mówiącego. Było w nich niemal coś groźnego.

— Znalazły się w papierach rzeczy, korespondencje, ogromnie obwiniające niewdzięcznego sługę w. kr. mości; nadużycia, deficyt w kasie.

Król chrząknął mocno.

— Ale ja mam pieniądze jeszcze, Brühl! — zapytał żywo.

— Są, przecież nie tyle, ileby ich być powinno — zniżając głos, mówił minister. — Gorsza daleko, iż listy, stosunki, komunikacje z dworami kompromitują Sułkowskiego i wskazują go jako wielce niebezpiecznego człowieka. W Polsce, jeśli się tam uda, będzie, zasłonięty prawami Rzeczypospolitej, wicherzyć; jeśli pojedzie do Wiednia, tam też może być niebezpiecznym. Słowem, gdziebykolwiek się udał...

Mówiąc to, Brühl powoli patrzył na króla jak w tęczę, zdawał się rachować z wrażeniem i do niego zastosowywać słowa. Znał on dobrze twarz i humor pański, a mimo to nie umiał sobie dobrze teraz wytłumaczyć, co ona oznajmowała. August patrzył i słuchał zdumiony, oczyma biegał po pokoju, wracał na Brühla, czerwieniał, bladł, był zmieszany, żaden wyraz z ust mu się nie dobył.

Na chwilę przestał mówić minister, czekał. August chrząknął mocno, kaszlnął i wlepił oczy wyzywające w niego.

Kończył więc, nie mogąc inaczej.

— W. królewska mość zna mnie i wie, że jestem przeciwnym wszelkim gwałtownym środkiem. Ja też kochałem tego człowieka, byłem jego przyjacielem, mogę powiedzieć, dopóki się panu mojemu nie przemieszrzył. Dziś, jako minister, jako sługa wierny, gwałt sercu zadać muszę.

Rozpoczęcie sprawy zapewne było z o. Guarinim obrachowane w ten sposób, iż padre miał nadejść wśród rozmowy, i w istocie zjawił się w tem miejscu. Król chciał zużytkować inaczej przybycie Guariniego i, przywitawszy go, zapytał o Faustynę.

— Zdrowiuteńka! — zaśmiał się ojciec. — *Chi ha la sanità, é ricco e se no'l sa...*

Ale Brühl stał z temi nieszczęsnymi papierami.

— W. kr. mość pozwolisz, bym tę niemiłą sprawę zakończył — rzekł, wtrącając się żywo. — O. Guarini wie o wszystkim.

— A! wiel to dobrze! — I zwrócił się król do ojca: — A co mówi?

Padre ramionami ruszył.

— Co pan mówi miłościwy! — odrzucił, śmiejąc się. — A ja! jam kapłan, ksiądz, mnie się nie godzi.

Nastąpiło milczenie. August oczy spuścił w ziemię; Brühl się ułakł nieco: szło wszystko w odwłokę.

— Za życia najjaśniejszego rodzica, Augusta Mocnego, — podchwycił — Sułkowski byłby już na Königsteinie.

— Nie, nie — rzekł August, ale usta mu się ścisnęły i zbladł, popatrzał na Brühla, wstał, przechadzać się zaczął.

Guarini, z rękami złożonemi, stał, wydając westchnienia głębokie.

— Nigdy nie nastawałem na obchodzenie się surowe z nikim — rzekł Brühl. — Byłem i jestem za przebaczeniem, ale tu są ślady takiej niewdzięczności, takiego zdradziectwa.

Jezuita oczy w niebo podniósł i westchnął raz jeszcze.

Oba oni z Brühlem śledzili najmniejszy ruch króla i nie wiedzieli, co sądzić. Nigdy może nie był tak zagadkowym. Znając go, byli pewni, iż przemóc i zwyciężyć potrafią, ale szło o to, aby nie nużyć Augusta, bo, zmęczony, miał zawsze długo żał do tych, co go nudzili. Brühl spojrział na Guariniego, oczyma nagłąc, aby dobijał poczętego targu. Padre odstrzelił podobnem wejrzeniem, zdając to na ministra. August na podłodze nogą miał rozesłany kobierzec i prostował, o czem innem myśląc.

— Co w. kr. mość rozkaże? — spytał natarczywie Brühl.

— Gdzie? jak? co? — mruknął król.

— Z Sułkowskim...

— A, z tym, tak... tak... — I znowu kobierzec król miał nogą, patrząc na ziemię.

Naostatek, jakby z wielkim wysiłkiem, odwrócił głowę do Brühla i wskazał ręką na stół:

— Papiery te do jutra.

Minister się zmieszał, na żaden sposób nie chciał i nie mógł zostawić papierów. Chociaż pewnym był, że ich król czytać nie będzie, obawiał się czegoś niespodziewanego, był nadto ostrożnym, rachował, że się to da za jednym zamachem dokonać. On i Guarini nieznacznie spojrzeli na siebie.

— N. panie, — odezwał się Włoch cicho — to taka gorzka potrawa, że jej na dwa dania nie warto rozkładać. *Alcun pensier no paga mai debito*, co tu myśleć?

Król nic nie odpowiedział, po chwili odwrócił się do Brühla:

— Strzelanie do tarczy po południu na zamku.

Wtrącenie tego rozkazu było znaczące, Brühl stał zmieszany.

— Ostatni jeleni długo nas męczył, — dodał — ale rosgacz był też wart pracy.

Milczał trochę.

— A żubr ostatni zdechł — dodał i westchnął.

Zegar wskazywał godzinę, w której król zwykł był iść do królowej, kazał zawołać szambelana.

Brühl czuł się odprawiony z niczem, a cały zachód był stracony. Nie wiedział, czemu ten opór przypisać; Guarini i on spoglądali na siebie. Król śpieszył z wyjściem. Musieli natychmiast za nim wyjść także z pokoiów i Brühl wciągnął spowiednika do gabinetu przyległego.

Papiery rzucił na stół zniechęcony.

— Nie rozumiem — rzekł.

— *Pazienza! Col tempo e colla paglia maturano le nespole!* — odparł Guarini. — Do jutra, to nie mogło się stać tak prędko. Król nie mówił nic, oswoi się z tą myślą, a że nic mu tak nie ciąży, jak ponawiane szturm, postawicie na swoim.

Zamyślił się minister.

— Zawsze to źle! — rzekł. — W sercu coś dla Sułkowskiego zostało.

Poczęli szeptać i naradzać się z Guarinim. Jezuita natychmiast udał się do królowej, Brühl z papierami do domu.

Najregularniejszy w życiu swem król, jak mówiliśmy już, w popołudniowych godzinach, które szlafrokowem nazywano, przy fajce, przypuszczał do siebie tylko tych, co go mogli zabawić. Brühl, jeśli się tam zjawił o tym czasie, musiał także zapomnieć o obowiązkach ministra, a wziąć na siebie trefnisię. Lecz, że o tych godzinach nie groziło żadne niebezpieczeństwo, bo nikogo na zamek, oprócz domowych, nie wpuszczano, bardzo rzadko zjawiał się minister. Król bawił się z trefnisiemi swymi, lub wedle fantazji, nie wolno mu tylko było wezwać nikogo takiego, któryby

do dworu nie należał, a Brühlowsky zausznicy, gdyby nawet rozkaz odebrali, znaleźliby sposób nie spełnienia go, aż zasięgnąwszy rady ministra.

Z czasów Augusta Mocnego pozostał, jak inni, przywiązany do dworu, sławny ów Hanswurst n. pana, Józef Fröhlich, który się nosił z kluczem srebrnym szambelańskim na grzbiecie, biorącym w siebie kwartę wina.

Lecz dawniej ulubiony panu, teraz był tylko po nim pamiątką. Brühl, który mu nie dowierzał, starał się go usuwać równie, jak barona Schmiedel. Całkiem jednak dawnych sług ojca nie dopuściłby był August odpędzić. Fröhlich miał swój dom za mostem (*harrenhaus*), miał się już dobrze i nieczęsto się pokazywał u dworu; ale, ilekroć się pokazał, dosyć było Augustowi twarz jego puciołowatą i śmiejącą się zobaczyć, aby się już śmiać na kredyt, nim jeszcze wyrzekł słowo.

Dnia tego po obiedzie nie było Brühla. Frosch dostał fluksji od policzka, który mu Storch wymierzył, niby żartem, za co został ukarany aresztem przy kuchni. Niebardzo się więc zdziwiono, gdy król pазia wysłał, aby mu Fröhlicha sprowadził. Ponieważ figle Fröhlicha najwyrazistszemi się stawały i działały najmocniej, gdy naprzeciw wesołej twarzy starego trefnisia stał kammerkurjer, baron Schmiedel z melancholicznem swoim obliczem, paż zapytał, czy i Schmiedel miał być wezwany.

Król potrząsł głową i powtórzył mu:

— Fröhlich sam.

Wielkie było zdziwienie starego Hanswursta, gdy mu na zamek iść kazano. Wdziął, jak mógł najżywiej, jedną ze trzechset sukni pstrych, które mu sprawił August Mocny; klucz swój przyczepił i puścił się mimo wichru przez most pieszo, myśląc tylko, czem n. pana zabawić potrafi.

Trefnisie też mają chwile, w których się im śmiać i śmieszyć nie chce. Jedną z takich właśnie przebywał ów Fröhlich *semper, nunquam traurig* na medalu, ale w naturze często jak ocet kwaśny. Nie wydawał się on z tem, że mu terazniejsze panowanie wcale w smak nie szło, stare czasy wydawały mu się nieskończeniem lepszymi, choć w istocie wcale nie były dobre.

Nałóg tylko i długie nawyknienie do wydobywania z siebie wesołości na rozkazy zdołały z Fröhlicha i tym razem wykrzesać iskierkę, z którą w oczach i minie stawiał się przed królem.

Oprócz dowcipu swego miał dla zabawy Fröhlich wielką zręczność w kuglarskich sztukach i tym razem łatwiej mu było zacząć od figla, niż od konceptu.

Uklęknąwszy przed królem i złożywwszy czołobitność, Fröhlich oświadczył, iż tak biegł na rozkaz n. pana, że mu w gardle zupełnie zaschło. Odczepił swój klucz szambe-

lański i ośmielił się prosić, czyby n. pan, uwzględniając wiek jego i stargane siły, nie dozwolił mu dla wzmocnienia napić się wina. Król klasnął w ręce i kazał paziowi przynieść butelkę.

Fröhlich tymczasem oczyszczał nieco zaśniedziały klucz, z którego miał pić, i opowiadał, jak ten dar wysoko cenił, a jak go teraz mało używał. Paż stał z butelką, gotów nalewać, gdy Fröhlich, zajrzawszy na dno, z przerażeniem ujrzał w niem coś siedzącego głęboko.

— Któżby się był spodziewał! — zawołał. — Ptacy sobie w niem gniazdo usłały... — W istocie z klucza wyleciał kanarek. Król rozśmiał się, ale na tem nie było końca. W kluczu coś było jeszcze, Fröhlich z wielkimi krygi począł wydobywać wstążki. Różnobarwnego tego towaru wyciągnął ogromną kupę: sześć chustek do nosa, stoczek i garść orzechów. Jak się to wszystko tam mieścić mogło, było tajemnicą Fröhlicha.

Oświadczył potem, że, nie będąc pewien, czy w tym zaczarowanym kluczu jeszcze się co nie mieści, bodaj księżniczka zakłeta, woli dla bezpieczeństwa za zdrowie pana napić się z prostego kieliszka. Po odbytej ceremonji paż odszedł do przedpokoju, a Fröhlich zaczął króla śmieszyć, przedrzeźniając aktorów na scenie.

Trwało to wszystko z pół godziny. Król się śmiał, bo musiał, ale tylko oko Fröhlicha postrzegło, że był niespokojny, poruszony i roztargniony.

Nie wiedział, czemu to miał przypisać, gdy z nadzwyczajnem zdumieniem ujrzał króla, idącego ku najdalszemu od wszystkich drzwi oknu i dającego mu rękami znaki, aby się zbliżył.

Było w tem coś tak tajemniczego i niezwyčajnego, że Fröhlich prawie się przeląkł. Na palcach jednak pośpieszył i znalazł się u okna, przy którym król stał, jakby przestraszony i niepewny, oglądając się niespokojnie dokoła.

Rozwiązania tej zagadki zdumiony trefniś napróżno szukał w głowie.

— Słuchaj, Fröhlich — rzekł król zaledwie dosłyszalnym głosem. — Hm! śmieję się głośno, głośno! ale słuchaj, co powiem, rozumiesz...

Trefniś nie rozumiał jeszcze nic, ale głową skinął i śmiać się zaczął tak, że śmiechem mógł najhuczniejszą zagłuszyć rozmowę.

Król wziął go ręką za ucho i przyciągnął je prawie do ust.

— Fröhlich wierny, pocciwy, nie zdradzi — rzekł. — Dziś tajemnie do Uebigau, rozumiesz! powiedzieć mu, rozumiesz! niech zaraz ucieka do Polski.

Fröhlich zrazu szmer tylko i wyrazy słyszał, nie mógł pojąć, ażeby król go za tajemnego posła chciał użyć. Na

myśl mu jeszcze nie przyszedł Sułkowski. Rękami i miną zrobił znak zapytania.

Król pochylił się mu do samego ucha i rzucił w nie jedno słowo:

— Sułkowski!

Powiedziawszy je, jakby się sam zląkł tego zakazanego na dworze nazwiska, odskoczył na kilka kroków. Fröhlichowi śmiech zamarł na ustach. Bał się, że może niedobrze zrozumiał.

Twarz jego wyrażała snąć tę niepewność, bo król, nakazawszy mu znowu śmiać się, powtórzył dobitnie rozkaz.

Wyrazy z ust jego dobywały się urywane: pośpiesznie, krótko, bez związku; trefniś jednak wkońcu wiedział, iż król kazał mu oznajmić o niebezpieczeństwie i ostrzec hrabiego, aby do Polski uciekał.

Dla niepoznaki słuchał jeszcze chwilę August konceptów, potem dobył z kieszeni garść dukatów i wyspał je Fröhlichowi do kamizeli.

— Idź! — rzekł.

Fröhlich, przypuszczony do ucałowania ręki, natychmiast się wyniósł. W przedpokoju, pochwaliwszy się dukatami, nie dał się pażom powstrzymać i co prędzej pobiegł do domu.

Nie mieściło mu się w głowie to, co się z nim stało. Potrzebował zebrać myśli, opamiętać się, naradzić z sobą, jak miał spełnić dziwny rozkaz króla, który bał się własnego otoczenia i trefnisia za powiernika użyć musiał. Zamyslił się, westchnął.

Zadanie było trudne. Mniej nawet oswojony z życiem dworu i losem faworytów, mógł się domyślić łatwo, iż koło Uebigau pełno szpiegów być musiało, a w samym pałacu nawet nie zbywało na nich.

Fröhlich był znaną wszystkim figurą. Szczęściem częste za Augustów maskarady nauczyły się przebierać i do niepoznania twarz i postawę przeinaczać. Fröhlich zamknął się w swojej izdebce i, nie tracąc czasu, przystąpił do wyboru peruki i sukni.

Były to pierwsze dni lutego. Elba stała w pędzie, od Czech począwszy, a lód był jak mur. Zdało się więc Fröhlichowi, że przystęp do pałacu od strony rzeki mógł jeszcze być najbezpieczniejszym i najmniej strzeżonym. Zbyt było późno i niebardzo bezpiecznie iść pieszo za miasto, ale sانعzek do Briesnitz łatwo mógł dostać. Przyrzekłszy dobrą zapłatę, puścił się w drogę. Gospoda wiejska pełna była gwaru zapusznego, bo tu ze stolicy najgorsze, ale najweselsze gromadziło się towarzystwo. Woźnicy kazawszy czekać, stary drugimi drzwiami wyszedł i pieszo puścił się ku Elbie.

Czuł, że chyba szczęśliwy traf jaki może mu niebezpieczne poselstwo ułatwić; zresztą, myśl ta, że go król posłał, dodawała odwagi. Wahał się długo, wkońcu do otwartej furtki wbiegłszy, na podwórze pałacu, wprost się puścił do sieni.

Tu znalazł pustki i ciemność. Sułkowski za najświetniejszych swoich czasów nigdy dworu nie trzymał wielkiego, teraz go jeszcze zmniejszył. Wschody stały ciemne. Dopiero wdrapawszy się na nie, usłyszał głosy ludzkie. W przedpokoju służba klóciła się, grając w karty.

Na widok dziwnie ubranego człowieka, zjawiającego się o tej godzinie, skoczyli wszyscy przestraszeni, zadając pytania.

Fröhlich oznajmił im, że ma dwa słowa do powiedzenia hrabiemu i to jak najspieszniej. Kamerdyner naprzód go obrewidował i przetrząsł kieszenie, bojąc się, czy nie miał broni i nie zamierzał jakiej napaści, a dopiero potem pobił do hrabiego.

W pałacu zrobił się rozruch: peruka i ubranie, chusta, którą miał przewiązaną brodę, nie dały poznać Fröhlicha. Wprowadzono go do sali, do której dopiero teraz światło wniesiono. Sułkowski był nieubrany, blady, ale spokojny i tak dumny, jakgdyby ministrem być nie przestał.

Gość zażądał oddalenia służącego. Wszystko to obudzało podejrzenia jakieś i obawy, lecz hrabia nie okazał trwogi. Gdy pozostali sam na sam, Fröhlich odsłonił twarz.

— Przed dwoma godzinami — rzekł — byłem zawołany do króla. Powtórzę wam jego własne wyrazy:

„Dziś, tajemnie, do Uebigau... powiedzieć mu: niech zaraz ucieka do Polski“.

Sułkowski słuchał z niedowierzaniem.

— Król ci to mówił?

— Król, i z taką obawą, aby go kto nie podsłuchał, jakgdyby był nie królem, ale niewolnikiem.

— Jest nim i na wieki zostanie — westchnął Sułkowski. Zamyślił się hrabia.

— Bóg zapłać — odparł po przestanku krótkim. — Zżyłeś biedy dla mnie, a raczej dla króla. Czem ci mogę odwdziaczyć?

— Tem jednym, abyś hrabia spełnił wolę króla jeszcze dzisiejszej nocy.

Sklonił się. Hrabia stał zamyślony, jak przykuty do miejsca.

Za Fröhlichem zamykały się drzwi i stary bił się już po śniegu do swoich sanek, a Sułkowski stał oparty o stół, niedobrze wiedząc, co ma począć.

Znał już dosyć Brühla, ażeby wiedzieć, że z rady należało korzystać.

Nazajutrz król powracał ze mszy rannej, gdy mu o Gua-

rini zaszedł drogę, dopytując o zdrowie. Na to zwykle n. pan odpowiadał czemś takim, co pośredniczyło między chrząknięciem, uśmiechem a czkawką. Twarz zresztą dostojnego pana najlepsze dawała świadectwo, iż chorym być nie mógł. Odziedziczył w części siłę i zdrowie po ojcu, a że ich mniej nadużywał, służyły mu wybornie.

O. Guarini razem z innymi prowadził n. pana na po-koje.

Król kilka razy spojrzał nań badawczo, jakby chciał się czegoś dowiedzieć z twarzy, wreszcie rzekł lakonicznie:

— Mróz...

— Ja to najlepiej czuję, bom Włoch, — rzekł Guarini — ale choć tak zimno, n. panie, — szepnął cicho — są ludzie, co się nie lękają podróży. Pewien hrabia, którego imienia nie chcę wymówić, bo miał nieszczęście popaść w niełaskę... wybrał się, słyszę, nocą, niewiedomo dokąd...

Król, jakby nie słyszał, nie odpowiedział nic.

Na pokojach oczekiwał Brühl z papierami, ale zmieszany i kwaśny.

August zbliżył się do niego szybko.

— Brühl! te papiery, co wczoraj, skończyć trzeba.

— Już wszystko skończone — odparł minister z westchnieniem.

— Hm! co? — spytał August, udając zdziwionego.

— Winowajcy już niema, najj. panie. Musiał się czuć do grzechu: nocą uciekł do Polski.

Król ręką w stół uderzył i okazał twarz zdumioną bardzo.

— Jestem pewny zdrady — dodał minister, niespokojnie się kręcąc. — Znać, że na dworze ma jeszcze zwolenników i przyjaciół; lecz prędzej, później wszystko się odkryje.

Zamiast odpowiedzi, August stojącą ogromną tabakierę porcelanową otworzył i podsunął ją ministrowi, nic nie mówiąc.

Brühl z ukłonem dotknął końcami palców tabaki.

— Polować się będzie koło Taubenheim — odezwał się król. — Niech zaraz ekwipaże przysposabiają.

I poszedł do okna.

XII.

Brühl zwyciężył, nie miał jednak tej pociechy, ażeby nieprzyjaciela się pozbył na zawsze; musiał przez długie lata lękać się zawsze odwetu, o który wszakże Sułkowski się nie pokusił. Objawwszy dobra po królu Leszczyńskim w Polsce, mając znaczne majątki, dorobiwszy się u dworu wiedeńskiego tytułu księcia, bawił najwięcej w Wiedniu i nie próbował przypominać się Augustowi, nad którym Brühl od tej chwili rozciągnął jak najtroskliwszą opiekę.

Opowiadanie nasze jest wstępem do życia Brühla, który aż do śmierci Augusta III władał Saksonją i Polską, potrafił się przerobić na polskiego szlachcica i odegrał, wedle słów własnych, jedną z najciekawszych ról ulubieńca, któremu szczęście służyło do zgonu. Szkodaby było ten ciekawy dramat psuć opowiadaniem jego treści. Brühl jest postacią historyczną, zarazem i typem swej epoki nadzwyczaj wybitnym: w Brühlu maluje się cały August III, jak w zwierciadle.

Moglibyśmy zakończyć ten epizod, nie dodając doń nic więcej, gdyby nam tradycja nie pozostawiła jednej ciekawej sceny, która do naszego opowiadania jako epilog należy.

W r. 1756, w czasie wojny z Prusami, gdy Brühl na szczycie swej potęgi, zostawując w szponach zwycięzcy całe mienie, pałace, galerję, bibliotekę, zbiory, uchodzić musiał do Polski wraz z Augustem późną już jesienią, dworskie ekwipaże z powodu złej drogi na Śląsku i niedostatku koni na kilka taborów rozbite zostały. Król znajdował się w najpierwszym z nich, minister jego wypadkiem znalazł się w ostatnim. Obawę miał wielką, aby się nie dostał w ręce króla pruskiego, który go nienawidził. Pragnął więc koniecznie doścignąć króla i, przy nim bezpieczniejszym się czując, dalszą podróż odbywać.

Wszystko się jednak jak najnieszczęśliwiej składało: padały konie, łamały się koła i pośpiech stawał się niemożliwym. Jesienne deszcze popsuly drogi tak, że dwa razy większa nad zwykłą ilość koni nie starczyła do powozów. Minister, rad nie rad, musiał ścierpieć, co mu było przeznaczonem, i ulec losowi swemu. Jechał pod wrażeniem wypadków, o jakich już był uwiadomiony, miljonowe i niczem nie nagrodzone poniósłszy straty, jako wygnaniec wraz z królem chroniąc się do Polski, w której absolutne rozporządzanie się nie było możliwem, jak w Saksonji. Zręczność Brühla i tu na wiele niedogodności umiała znaleźć lekarstwo, lecz szło trudniej i mozolnie. Nie dziw też, iż dawny losu ulubieniec chmurny był, przelekły niemal i zniecierpliwiony. W krótkim przeciągu czasu piękna twarz jego nad miarę postarzała. Miał chwile roztargnienia, w których niedobrze rozumiał, co doń mówiono.

Wieczór nadchodził, deszcz lał jak z wiadra, konie się ledwie wlokły, gdy jedno z małych śląskich miasteczek pokazało się z za szarej, opony dżdżystej, z wieżyczką kościoła i oświeconemi domami. Brühl spodziewał się tu znaleźć króla, gdy przed pocztą oznajmiono mu, że król o trzy mile dalej nocował, że koni niepodobieństwo było dostać, a służba nakłaniała, aby dla niegodziwej słoty na nocleg w mieście pozostać. Chciał Brühl ślać za końmi, obiecując sowitą zapłatę; lecz wszystko było próżnem: do rana koni dostać nikt się za nic nie obowiązywał. Trzeba więc było szukać gospo-

dy w miasteczku, które tylko jedną miało. Dosyć liczna służba, towarzysząca już naówczas tytułem hrabiowskim zaszczyconemu ministrowi, rozbiegła się szukać stosownego mieszkania.

W gospodzie „Pod koniem“ zajęte było wszystko. Po-dróżny dwór polskiego pana rozpościerał się w niej szeroko.

Ministrowi zdawało się, że dosyć będzie jego nazwiska, aby mu ustąpiono, gdyż panowie polscy bywali bardzo łagodni i grzeczni poza izbą sejmową, a Brühl rozporządzał wszystkiem i mógł dać za grzeczność starostwo. Kamerdyner jego ekscelencji pobiegł „Pod konia“, gdzie znalazł dosyć szumny dwór i dosyć pańsko wyglądającego kogoś tytułowanego księżciem. Nie pytając nawet o nazwisko, narzucił się z prośbą, a jak mu się zdawało, z rozkazem raczej, ustąpienia części gospody dla jego ekscelencji.

Usłyszawszy nazwisko, książę ów dziwnie się skrzywił, zamyślił i odparł Niemcowi bardzo dobrą niemczyzną, nawet trochę saskim zarywając akcentem, że gospody zajętej nie ustąpi, ale ją z panem ministrem podzieli.

Deszcz z wichrem bił tymczasem w okna karety tak skutecznie, iż we wnętrzu jej mokrą było. Kamerdyner powrócił z odpowiedzią, a Brühl, nie zastanawiając się dłużej nad nieprzyjemnością robienia na noclegu znajomości, kazał zajechać „Pod konia“.

Spodziewał się, że tu ktoś wyjdzie przeciwko niemu, ale się omylił: nikt nie wystąpił z powitaniem. Brühl zwykł był, w razie, gdy go lekceważono, podważać grzeczności, uprzejmości i nadskakiwania; wysiadł więc z mocnem postanowieniem zawstydzenia swą dobrocią dumnego panka polskiego. Kamerdyner otworzył drzwi. Minister wbiegł do obszernej izby, w której ogień się palił na kominie i dwie świece na stole i, szukając oczyma owego księcia obiecanego, ujrzał opodal nieco stojącego, wcale niez mieszanego tem niespodziewanem spotkaniem, nieco tylko postarzałego, ale dumniejszego jeszcze, niż kiedykolwiek był — Sułkowskiego.

Książę stał milczący, zgóry spoglądając na nieprzyjaciela, nie witając go ukłonem: obojętny, wpatrywał się tylko z ciekawością.

Brühl, po pierwszym rzucie oka, zbladł przerażony i chciał się cofnąć nazad: zdawało mu się, że wpadł w jakąś zasadzkę. Mimo siły charakteru, twarz się tak dziwnie zmieniła od tego piorunowego wrażenia, iż Sułkowski nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

Przyszedł mu śnać na myśl i pater Guarini i jego włoskie przysłowia i język tak na dworze używany, bo począł od włoskiego:

— *Si riscontrano gli uomini, e non le montagne.*

Brühl stał osłupiały: widocznem było, że nie chce i nie może pozostać.

— Musiałeś pan słyszeć bajkę — rzekł Sułkowski — o bu-
rzy, która wilka z owcą razem napędziła do pieczary... coś
podobnego jest z nami. Przecież w taką slotę i pluchę nawet
nieprzyjacielowi nie godziło się przytułku odmówić.

Brühl stał niemy, zwracając się napół ku drzwiom.

— Bądź pan hrabia pewny, że ja mojego położenia nad-
używać nie będę, by się znęcać nad nim — dodał Sułkow-
ski. — Prawdziwie zabawna rzecz takie spotkanie dla mnie
i to jeszcze w chwili, gdy po latach czternastu losu ręka
mnie pomściła.

— Mości książę! — przerwał Brühl jak najłagodniej.

— Mości hrabio, — odparł Sułkowski — gdyby to od
waćpana było zależało, zamiast księstwa, miałbym dziś wy-
godną kwaterę w Königsteinie.

— Mości książę, — wtrącił Brühl — przypisujesz mi
większą władzę, niż miałem. Upadek swój winienesz położyć
naprzód na karb własnej nieopatrzności, potem słusznego
czy nie gniewu królowej jejmości, naostatek woli n. pana,
której ja byłem tylko wykonawcą.

— Mości hrabio! — rzekł Sułkowski — należy wcale od-
wrotnie powiedzieć, tak jak historia kiedyś zapisze, że n. pan
był i jest wykonawcą jego fantazji...

— Książę się mylisz...

— Hrabia nie możesz mnie przecie sądzić tak ograni-
czonym, — dokończył Sułkowski — abym, znając lepiej od
innych charakter i położenie, dał sobie wmówić niewinność
pańską!

— Boga biorę za świadka! — zawołał, składając ręce,
Brühl.

— To najwygodniej, — odparł Sułkowski — bo świadek
ten nie miesza się do spraw naszych tak czynnie, aby dla
nich zstępował na ziemię. Najlepszem świadectwem Bożem
jest los, który waćpana spotyka. Oto są owoce waszej poli-
tyki: pruski najazd i sromotna króla ucieczka.

Brühl się zżymnął.

— To nie koniec, to początek! — rzekł. — Zobaczymy,
jak na tem wyjdą najezdnicy, a jak my.

— Tak, król i pan na Ocieszynie jedziecie drugie uszczę-
śliwiać królestwo, aby je przywieść do tego stanu, co Sa-
ksonję! — rozśmiał się Sułkowski.

— W zarządzie Saksonji — kłaniając się, rzekł Brühl —
nie potrzebowałem żadnych inowacyj, dosyć mi było wstę-
pować w ślady mojego znakomitego poprzednika.

Sułkowskiemu oczy błysnęły.

— Poprzednik pański inaczej układał przyszłość Sakso-
nji — rzekł Sułkowski dumnie. — Dowodem ten plan, który,

podchwyciwszy mu, wydałeś pan dworowi austriackiemu przez księcia Lichtensteina.

Brühl zżył się.

— Ja? ja o tem nie wiem nic — przebaczył ponuro zmieszany. — Jeśli kto się tego dopuścił...

Sułkowski śmiać się począł i przeszedł zdala po pokoju, unikając zbliżenia do Brühla.

— Słuchaj, Brühlu, mówię po staremu i bez tytułu, — rzekł, zwracając się — nie graj komedji przynajmniej ze mną: to się na nic nie zdało. Tak samo, jak ze mną, nie odegrasz jej w obliczu historji, której okłamać niepodobna. Zamkniesz usta Erelom i Justim, zakażesz pisać, mówić, myśleć, ale ostatecznie czyny twoje cię wydadzą. Możesz sobie kupić bezkarną teraźniejszość, ale nie jest w niczyjej mocy uczynić cię czystym przed historją. Staniesz przed nią, jak na sąd Boży, nagim, odartym z maski, różu i bielidla, a uniknawszy pręgieryza za życia, nie ujdiesz go po śmierci.

— Moje życie całe jest jawnem! — zawołał Brühl, unosząc się. — Tajemnic nie mam: pragnę tego sądu, mości książę.

— A gdybyś go nie chciał, czy chciał, mości hrabio, nie unikniesz; to darmo... będzie nieubłagany i okrutny.

— Poddaję się mu, — przerwał Brühl — nic sobie do wyrzucenia nie mam; wy zaś, mości książę, przebaczam wam, mówicie jako współzawodnik, któremu nie dało się to samo zrobić dla siebie, co mnie szczęście w ręce wcisnęło.

— Jak się to szczęście nazywa? — śmiejąc się, zawołał Sułkowski. — Padre Guarini, czy...

Brühl się zarumienił, książę ramionami ruszył.

— Na honor, hrabio, ja zdala admiruję was... Nie mówcie mi, że jabym to samo, co wy, na waszem miejscu mógł uczynić! Ja, wyznaję w pokorze, nie potrafiłbym ani połowy zła i fałszu, jakieście dokonali, przyprowadzić do skutku. Chciałem sławy, wielkości, wzrostu Saksonji, znałem Augusta III, pana naszego, szlachetną ale nieudolną i leniwą naturę; stałem na straży, aby moją energją jej dopomagać. To, co mam, winienem wspomniałomyślności pana mego, a nie przewrotnym rachunkom.

— Mości książę, — przerwał Brühl — tego już nadto.

Sułkowski się zwrócił ku niemu, ruszając ramionami.

— Przecież my oba, jak augurowie rzymscy, możemy się z tej komedji za kulisami śmiać, nie kryjąc przed sobą! Możecie być dla drugich niewinnym Efraimem... Ale dla mnie będziecie starym, dobrze znanym Brühlem, któregom widział w paziowskim mundurze kłaniającego się lokajom...

Ministra twarz bladła i czerwieniała naprzemiennie, niecierpliwość go porywała, widać było, że chwilami chciał wyjść, to znowu, jakby nie rozpaczając jeszcze o tem, że się potrafi zbliżyć i wytłumaczyć, zatrzymywał. Brühl miał w to-

warzystwie wielką zręczność, giętkość, nieustraszoność, sofizmat zawsze gotowy, wykręt łatwy; znał Sułkowskiego o ciężałość, sądził, iż go pokona wkońcu. Tu jednak rachuba chybiła, Sułkowski czerpał wymowę i moc z wyjątkowego położenia. Napróżno szukając jakiegoś punktu oparcia, Brühl wkońcu odezwał się, cedząc pocichu wyrazy:

— W. książęca mość winienbyś choć dlatego być nieco względniejszym dla Brühla, że Brühl w Polsce, gdzie posiadasz dobra, także coś znaczy.

— Tak, ale w Polsce, panie Brühlu, są pewne prawa, które więcej znaczą od ministrów, a może i kogo starszego jeszcze. W Polsce raczej się Brühl mnie niż ja jego obawiać może. Szlachta wielkopolska pójdzie za mną, bom ja też niedawno ze szlacheńca urósł na austriackiego księcia.

— Zaszczyt szlacheństwa polskiego i ja z w. ks. mością mam wspólny — przerwał Brühl.

— A! przedziwna farsa! — rozśmiał się Sułkowski. — Jestże w kraju całym jeden człowiek, coby nie wiedział, jakżeście z turyńskiego do polskiego szlacheństwa przyszli? To wasze szlacheństwo jest, jak wszystkie wasze czyny, okłamaniem prawdy.

— Mości książę, jeśli życzysz sobie, bym opuścił izbę — rzekł Brühl, zabierając się do wyjścia.

— Wcale nie, bo mnie ta scena bawi, — odparł książę — ale powtarzam panu, my z sobą komedji grać nie potrzebujemy.

Stanęli chwilę milczący, wpośród ciszy słychać tylko było deszcz bijący w szyby gospody i spływające z szumem z dachów i rynien strumienie wody. Dla Brühla było to groźbą, przykuwającą go do tej jedynej wolnej izby, którą z nieprzyjacielem podzielać musiał. Minister namyślać się zdawał.

— Mości książę, — odezwał się — mówmy, jak starzy towarzysze...

— Fatalne przypomnienie! — mruknął Sułkowski.

— Na dowód, że nie miałem nic osobiście przeciw księciu, ofiaruję się go z królem przejednać. Brzemie tych urzędów, które dźwigam, w istocie dla mnie za ciężkie.

— A tak, — przerwał Sułkowski — mógłbyś się niemi podzielić. Liczmy: wielki podkomorzy, prezydent izb, najwyższej izby podatkowej, akcyzy generalnej, fundacji naumburskiej i merseburskiej dyrektor, generalny komisarz portów morza Bałtyckiego, komendant saskich wojsk w Polsce, pułkownik szwoleżerów i regimentu pieszego, fundacji meiseńskiej kapitularz, proboszcz budziszyński, kawaler polskiego orderu Orła Białego i rosyjskiego św. Andrzeja, a nawet pruskiego Orła Czarnego! Czy to wszystko? Starostw polskich nie liczę. Cha! cha! — śmiał się Sułkowski.

— Bez żartu, — przerwał Brühl — jestem znużony, nie jestem zazdrosny; jedź książę do Warszawy, ja go z królem przejednam.

— Tak, aby nazajutrz potem bez sądu wyprawić mnie bezpiecznie do jednej z fortec saskich — przerwał Sułkowski. — Nie, dziękuję wam. Wolę przebywać na wiedeńskim dworze i stamtąd genialne wasze podziwiać czyny!!

Brühl westchnął, oczy podnosząc w niebo. Już naówczas był autorem owej sławnej książki o modlitwie, która go w oczach łatwowiernych pobożnym, a w innych świętoszkiem czyniła, i chętnie odgrywał rolę niewinnej ofiary.

— A! — zawołał — niema pod słońcem nieszczęśliwszego człowieka nade mnie, przy wszystkich szczęścia pozorach. Pokutuję za cudze winy, gdy to, co mogłem kiedy dobrego uczynić, przypisywane jest drugim; nikt mnie nie zna, potwarz się znęca nade mną; ci, którym życzę dobrze, ściągają mnie.

— A! kochany hrabio, — śmiał się Sułkowski — rola Zinzendorfa, którego wygnałeś z kraju za jego pobożność, nie przystała wam. Gracie ją źle... Bracia morawscy was nie przyjmą, a tacy ludzie, jak ja, wyśmieją. Dajcie temu pokój: ogrzycie się przy kominie i nie mówcie więcej.

To mówiąc, książę usunął się prawie pod samo okno, znalazłszy fotel w kątku, siadł na nim zamyślony i milczący. Brühl też zajął miejsce zdala, nie patrząc już nań i zdając się tylko zajęty rozgrzaniem i odpoczynieniem. W dziwnym tem położeniu, spoglądając niekiedy na siebie, przetrwali czas jakiś. Sułkowski nie myślał wcale przerywać milczenia, Brühl nie tracił nadziei trafienia jeszcze w jakąś słabą stronę nieprzyjaciela i rozbrojenia gniewu jego; lecz początek był trudny, gdyż z różnych stron zachodząc, został już zbity z tropu i nie mógł nowej wynaleźć ścieżki, któraby go do celu wiodła.

Upłynęło pół godziny, a na podwórzu wzmagał się wicher i niepogoda. W kominie świszczal i wył jesienny wiatr najdziksze głosami, czasem okna brzęczały od nacisku burzy, która zdawała się odlatywać i powracać, wysilona spoczywać i znowu złością podnosić.

Dziwne to towarzyszenie rozmowy dwóch współzawodników wybornie się z jej tonem zgadzało. Niekiedy drzwi otwarte w gospodzie zatrząskiwały się same gwałtownie, tak, że ściany domu drgały. Resztki ognia, jakby popchnięte niewidzialną siłą, pochylały się zwyciężone na izbę i pędziły w nią kłęby dymu, to znowu, wzmagając się, wracały do komina. Najweselej usposobiony umysł musiałby był ulec wrażeniu tej nocy i rozpasanych żywiołów.

Brühl niekiedy wzdychał.

Głowę zwrócił ku Sułkowskiemu, który zdawał się drześć obojętny.

— Pozwól mi, książę, słowo jeszcze powiedzieć, nie na uniewinnienie moje, ale dlatego, bym przemilczenia nie miał na sumieniu.

— Co za delikatne i drażliwe sumienie! — szepnął Sułkowski.

— Król nasz dziś urazy zapomniał, przebłagaćby go było łatwo — dodał. — Ja nie chcę być pośrednikiem, bo nie mam wiary u w. książęcej mości, ale ks. biskup krakowski, lub...

— Czy hrabia chciałbyś mi wmówić, — odezwał się zagadnięty — że król kiedykolwiek zażalonym był na mnie? Nie ludź się pan tem, byłem i jestem świadomym wszystkiego, co przed laty czternastu spowodowało mój upadek; mam najmocniejsze dowody, iż królowi narzuciliście gwałtem moją niełaszkę, żeście pracowali nad nim i musieli o nią walczyć.

— Ja? ja przeczę temu i protestuję! — zawołał Brühl.

— Brühl! — krzyknął Sułkowski — za kogo mnie masz, bym ci przypisywał robotę własnoręczną tam, gdzie mogłeś ją cudzemi wykonać rękami? Nadto jesteś doskonałym artystą, abyś miał występować tam, gdzie żar możesz palcami drugich zagrzebać.

Brühl ruszył ramionami.

— Nic łatwiejszego nad potwarz! — rzekł z westchnieniem.

— A nic czasem podobniejszego do potwarzy nad prawdę — dodał Sułkowski. — Gdybym mógł waćpanu objaśnić, jak i za czyją radą wyjechałem nocą z Uebigau, aby uniknąć zgotowanego dla mnie pomieszkania po Hoymie, przekonałbyś się, że znam moją sprawę do gruntu.

— Tak, — przerwał żywo Brühl — lecz jeśli w istocie znasz do gruntu sprawę, toś książę i to wiedzieć powinien... Tu się zaciął nieco.

— Że ja także jestem w rękach ludzi, sił, nazwij to jak chcesz, których narzędziem być muszę.

— Powiedz, hrabio, że chcesz być ich narzędziem, — rzekł Sułkowski — i właśnie, że ja nie mógł i nie chciałem być niczyjem, zostałem strącony. Do tej roli jam stworzony nie był, a waćpan odegrasz ją jak prawdziwy wirtuoz.

I począł się śmiać cicho.

— Ale książę kochałeś króla, — rzekł minister, rzucając się w inną stronę — nie miłozby było zbliżyć się do niego?

— O! pewnie, gdybyście przez lat czternaście pracując nad tą łagodną i flegmatyczną naturą, nie uczynili z niej lalki wam posłusznej, nałogowo do spokoju nawykłej i nie umiejącej kochać nikogo, a bawiącej się wszystkiem — westchnął Sułkowski. — Patrząc dziś na tę ruinę człowieka nadto boleśnie. Pomści go przyszłość na pamięci waszej.

Zamilkli znowu — Brühl dodał jeszcze:

— Nie mam sobie nic do wyrzucenia. Zdało mi się, że sama Opatrzność sprowadziła nas tutaj, aby zbliżnić do reszty ranę i krzywdę uczynioną wynagrodzić. Z mej strony wszystko, co tylko można było wymyślić, zrobiłem dla spełnienia widoków Opatrzności, aby być posłusznym palcowi Bożemu.

— Bóg i Brühl, jak to brzmiał! — rozśmiał się Sułkowski. — Naprawdę pozazdrościłeś sławy Zinzendorfowi. W dziwnem usposobieniu spotkałem w. ekscelencję między luteranizmem saskim a katolicyzmem polskim. Widać, że te dwa wyznania zeszły się na granicy i zdublowały, a skąd taka pobożność.

— Jestem katolikiem — odezwał się Brühl.

— Wiem, w Polsce, — odparł Sułkowski — *ratio status*. Brühl zamilkł.

— A nawet musicie być bardzo gorliwym, gdy was pocciwy Guarini tak proteguje.

Mówiąc, splunął Sułkowski, pochylił się i przyległ niemal do szyby ciemnej, chcąc wyrzec na podwórze.

Potem, słowa nie mówiąc, wziął futrzaną czapkę i, zostawiając Brühla samego, wyszedł z izby do sieni. Wiatr wył ciągle i deszcz lał jak z rynny, pomimo to, nie wchodząc już do izby, książę kazał kamerdynerowi zaprzęgać.

Służący chciał protestować.

— Do pierwszej lepszej wsi, gospody, chaty, byle stąd precz! — zawołał. — A prędko!!

I nie wszedł już do gościnnej, w której Brühla pozostawił; wolał się zimną, a gdy nareszcie po dość długiem oczekiwaniu powóz zaszedł przed ganek, rzucił się doń niecierpliwy i pytającemu słudze odparł:

— Dokąd chcesz. Wszystko jedno.

Przez oświecone z wnętrza okno gospody widać było cień czyjś, jakby usiłujący dojrzeć w ciemności, co się przed domem działo. Powóz Sułkowskiego ruszył, i głowa w oknie znikła.

K O N I E C

+ Dolo

d

